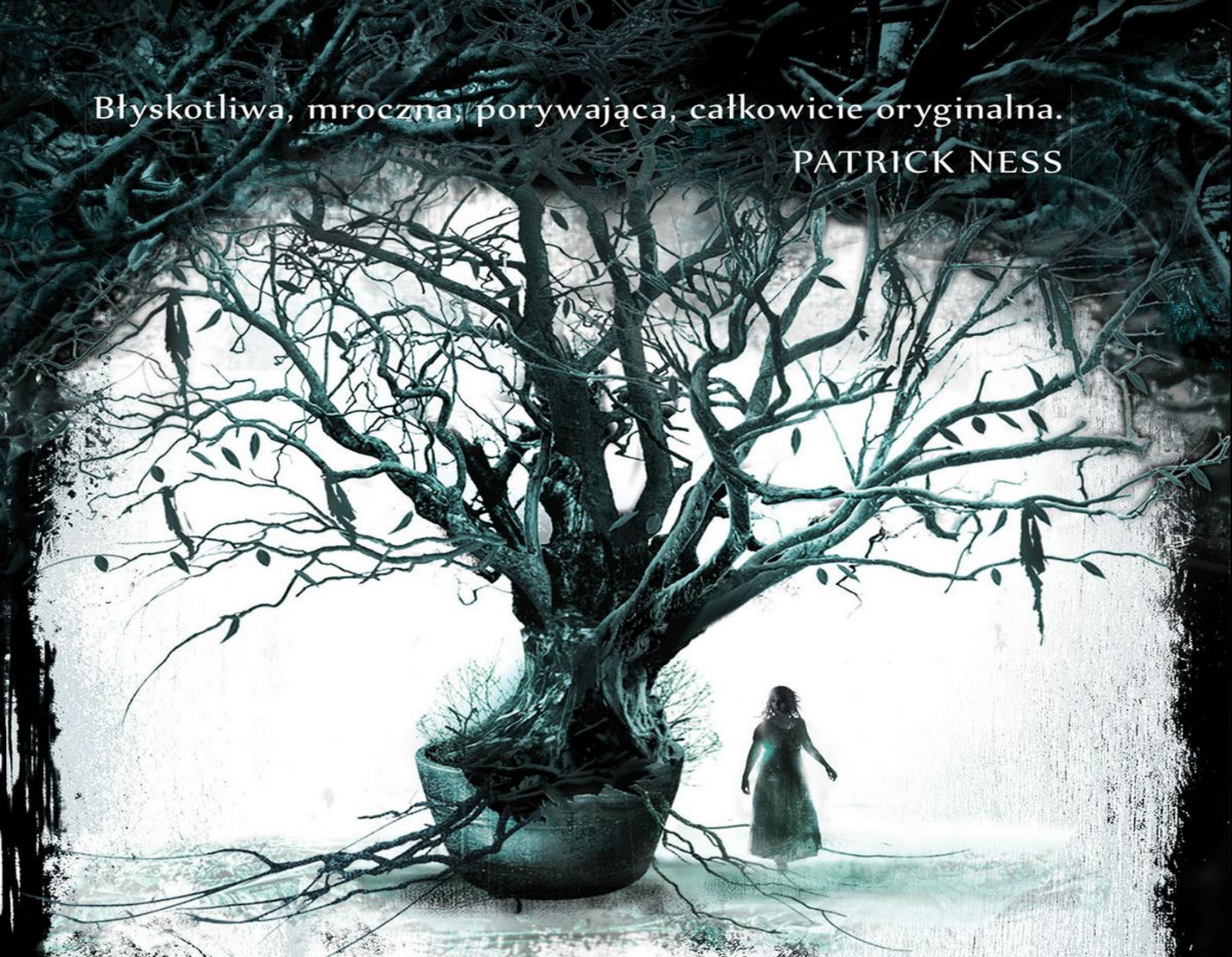


Błyskotliwa, mroczna, porywająca, całkowicie oryginalna.

PATRICK NESS



# DRZEWO KŁAMSTW

FRANCES HARDINGE

FRANCES HARDINGE



DRZEWO  
KŁAMSTW

Przełożył Krzysztof Mazurek

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2017

*Tytuł oryginału*  
THE LIE TREE

*Redakcja*  
Aleksandra Kiełczykowska

© Cover design by James Fraser

*Adaptacja okładki*  
Magdalena Zawadzka / Aureusart

*Korekta*  
Beata Wójcik

*Redaktor prowadzący*  
Anna Brzezińska

Copyright © Frances Hardinge, 2015  
First published 2015 by Macmillan Children's Books an imprint of Pan Macmillan, a division of Macmillan Publishers International Limited  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017  
Copyright © for the Polish translation by Krzysztof Mazurek, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-599-2

Wydawnictwo  
**CZARNA  
OWCA**  
www.czarnaowca.pl

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Mojemu ojcu*

*Za spokojną mądrość i uczciwość oraz traktowanie mnie z szacunkiem jak  
dorosłą na długo przedtem, nim wydorosłałam*

## ROZDZIAŁ 1

# Wygnańcy

Stateczek wiozący pocztę przebijał się z trudem przez fale, znacząc drogę na niebie tłustym śladem czarnego dymu. Wcinał się w fale w regularnym, mdlącym rytmie, jakby przeżuwał jedzenie chorym zębem. Wyspy, ledwo co widoczne przez mgłę, też wyglądają jak zęby, pomyślała Faith. Nie tak jak śliczne, czyste, białe zęby Dover, ale jak nierówne, połamane siekacze, wystające krzywo z bezkresu rozkołysanego, szarego morza.

– Rybołów – powiedziała Faith, szczękając zębami, i wskazała go palcem.

Jej sześcioletni brat Howard okręcił się, ale zbyt wolno, żeby zobaczyć wielkiego ptaka, którego blady korpus i czarno zakończone skrzydła już znikwały we mgle. Faith skrzywiła się, kiedy braciszek przesunął się na jej kolanach. Tyle dobrego, że przestał domagać się przyjścia niani.

– Tam jedziemy? – Howard, mrużąc oczy, patrzył na upiorną wyspę rosnącą przed dziobem statku.

– Tak, How.

Krople deszczu biły o cienki drewniany daszek nad ich głowami. Z pokładu zawiąło chłodem, wiatr zacinał w policzki.

Pomimo otaczających ją dźwięków Faith była pewna, że słyszy delikatne odgłosy dochodzące ze skrzynki, na której siedziała. Niedostrzegalne ruchy, jakieś drapanie, tarcie łuski o łuskę. Serce bolało ją na myśl, że w środku siedzi mały chiński wąż jej ojca, osłabiony chłodem, zwijając się panicznie

i rozwijając, gdy pokład stateczku mocniej się zakołysze.

Za jej plecami podniesione głosy konkurowały z krzykami mew i rytmicznymi uderzeniami ogromnych łopatek koła napędowego o fale. Deszcz się wzmacniał i wszyscy znajdujący się na pokładzie cisnęli się pod małym zadaszeniem znajdującym się w rufowej części jednostki. Miejsca było dosyć dla pasażerów, ale nie dla wszystkich skrzyń i bagaży. Mama Faith – Myrtle – robiła, co mogła, by zabezpieczyć jak najwięcej miejsca na rodzinne bagaże, i całkiem nieźle jej się to udawało.

Faith obróciła się przez ramię i spojrzała na Myrtle, która machała rękami jak zawiadowca stacji, podczas gdy dwaj majtkowie przesuwali kufry i skrzynie rodziny Sunderly na nowe miejsce. Myrtle była woskowo blada ze zmęczenia i opatulona szalami, ale biła od niej wiara ładnej kobiety, iż mężczyźni będą zachowywać się wobec niej rycersko, przemawiała ciepłym głosem i jak zwykle udało jej się wszystkich oczarować.

– Dziękuję, właśnie tak. Och, bardzo przykro mi to słyszeć, ale nic na to nie poradzę – z tej strony na boku, jeśli pan łaskaw – no cóż, pańska skrzynia wygląda bardzo solidnie, a ja boję się, że dokumenty i papiery męża nie wytrzymają tego deszczu, więc – wielebny Erasmus Sunderly, słynny przyrodnik – jakże to miło z pana strony. Tak się cieszę, że się pan zgodził...

Tuż obok wujek Miles o okrągłej twarzy drzemał w swoim fotelu, obojętny na wszystko i zadowolony z siebie, jak mały szczeniaczek na kocu. Spojrzenie Faith prześlizgnęło się po nim i zatrzymało na wysokiej, milczącej postaci. Ojciec Faith w swoim długim, czarnym płaszczu pastora, na głowie kapelusz z szerokim rondem, ocieniający wysokie czoło i zakrzywiony nos.

Ojciec zawsze napełniał Faith lękiem. Nawet teraz wpatrywał się w szary horyzont swoim spojrzeniem bazyliuszka, dystansując się od przenikliwego deszczu, smrodu okrętowych ścieków i tłustego od sadzy dymu oraz małostkowych kłótni i przepychanek. Całymi tygodniami widywała go częściej

na ambonie niż w domu, więc dziwnie było mieć go teraz tak blisko siebie. Patrząc na niego, poczuła lekkie, okraszone bólem współczucie. Ojciec nagle znalazł się poza swoim środowiskiem, jak lew, którego pokazują w strugach deszczu.

Jakiś czas temu Myrtle kazała córce usiąść na największej skrzyni należącej do rodziny, żeby nikt jej znów nie wytaszczył na deszcz. Zazwyczaj Faith udawało się wtapiać w tło, bo nikt nie poświęcał czasu i uwagi czternastoletniej dziewczynie o drewnianych rysach twarzy z warkoczem koloru błotnistego brązu. Teraz kuliała się ze wstydu pod niechętnymi spojrzeniami. Jej matka nie знаła tego uczucia.

Filigranowa Myrtle była tak ustawiona, by powstrzymać wszystkich, którzy chcieliby próbować wcisnąć swój bagaż pod daszek osłaniający kufry przed deszczem. Wysoki mężczyzna o szerokich ramionach i nosie jak kartofel próbował przez chwilę przecisnąć się obok niej ze swoim kufrem, ale powstrzymała go w pół kroku uśmiechem.

Mrugnęła dwa razy powiekami, a jej wielkie, niebieskie oczy zrobiły się jeszcze większe, bił z nich blask nieskalanej uczciwości, jak gdyby dopiero co zobaczyła stojącą przed sobą postać w całej pełni. Pomimo zaczerwienionego od zimna nosa i bladości twarzy wciąż udawało jej się rozdawać uśmiechy, które były jednocześnie słodkie i zachęcały do dzielenia się najskrytszymi myślami.

– Dziękuję, że jest pan tak wyrozumiały – powiedziała. W jej głosie wyczuwało się bardzo słabą nutę zmęczenia.

To była jedna ze sztuczek Myrtle, które stosowała, aby panować nad mężczyznami – odrobina kokieterii, przywoływana tak łatwo i instynktownie jak otwiera się wachlarz. Za każdym razem, kiedy jej się to udawało, Faith czuła skurcz w żołądku. Teraz znów się udało. Dzentelmen zalał się rumieńcem, uklonił szarmancko i wycofał, ale Faith czuła, że jego niechęci nie

udało się pokonać. Dziewczyna podejrzewała, że jej rodzina narobiła sobie wrogów na pokładzie.

Howard nieśmiało wielbił swoją matkę, a kiedy Faith była młodsza, również widziała ją w tym samym ciepłym, miodowym świetle. Rzadkie odwiedziny Myrtle w pokoju dzieciennym były niemal zawsze niezwykle ekscytujące, a Faith uwielbiała rytuał czesania, ubierania i dopieszczania, żeby dzieci wyglądały porządnie przy każdym spotkaniu. Wydawało jej się, że Myrtle jest bytem z innego świata – ciepłym, wesołym, pięknym i niedotykalnym, słoneczną nimfą obdarzoną niezwykłym poczuciem tego, co modne.

Już rok temu jednak Myrtle postanowiła, że trzeba zacząć „trzymać Faith w ryzach”, co polegało między innymi na przerywaniu lekcji bez ostrzeżenia, ciągnięciu jej ze sobą nie wiadomo po co na krótkie wycieczki do miasta, a później znów porzucaniu w szkolnej ławie. W ciągu tego roku bliskość i poznanie zwyczajów matki dokonały swego, pozłotka zaczęła pękać i odpadać. Faith czuła się jak szmaciana lalka podnoszona z podłogi i porzucana zgodnie z dziwnym rytmem niecierpliwego dziecka.

Teraz ludzie odsuwali się i rozsiadali po bokach, a Myrtle sadowiła się na stosie zrobionym z trzech kufrów tuż obok skrzyni Faith. Na jej twarzy widniał wyraz samozadowolenia.

– Mam nadzieję, że w mieszkaniu, które przygotował dla nas pan Lambert, jest przyzwoity salon – rzuciła – i że służący się nadadzą. Kucharka absolutnie nie może być Francuzką. Nie będę w stanie prowadzić domu, jeżeli moja kucharka nie będzie mnie rozumiała wtedy, kiedy będzie jej wygodnie...

Głos Myrtle nie był nieprzyjemny, ale mówiła bez przerwy, nie ustawała. Przez ostatni dzień jej paplanina była stałym elementem podróży, kobieta wylewała żale i dzieliła się spostrzeżeniami z dorożkarzem, który zawoził ich na stację, z bagażowymi, którzy ładowali walizy i skrzynie rodziny na pociąg



w Londynie, a później do Poole, z oschłym właścicielem zimnej gospody, w której spędzili noc, i z kapitanem statku dymiącego jak stara lokomotywa.

– Po co my tam jedziemy? – przerwał jej Howard. Oczy miał szkliste ze zmęczenia. Był na granicy wytrzymałości – za chwilę albo zaśnie i nie będzie można go obudzić, albo dostanie napadu złości.

– Przecież wiesz, kochanie – Myrtle pochyliła się, by odsunąć mokre włosy z oczu Howarda delikatnym ruchem urękawiczonej dłoni. – Na tej wyspie są bardzo ważne jaskinie, gdzie różni panowie odkrywają interesujące skamieliny. Nikt nie wie więcej o skamielinach niż twój tato, więc poprosili go, żeby przyjechał i się im przyjrzał.

– A dlaczego my musimy jechać? – nalegał Howard. – Nie zabrał nas do Chin. Ani do Indii. Ani do Afryki. Ani do Mnogolii. – To ostatnie słowo było w jego wydaniu najdoskonalszą wersją nazwy „Mongolia”.

To było dobre pytanie i prawdopodobnie nie tylko on je sobie zadawał. Wczoraj na domy całej parafii, którą opiekował się pastor Sunderly, spłynął deszcz kartek pocztowych z wyjaśnieniami, odwołujących w ostatniej chwili umówione spotkania. Dzisiaj wiadomość o niespodziewanym i nieplanowanym wyjeździe rodziny rozchodziła się po parafii jak pożar lasu.

Prawdę mówiąc, sama Faith chciałaby poznać odpowiedź na pytanie Howarda.

– Tam nigdy nie moglibyśmy pojechać! – stwierdziła niejasno Myrtle. – Węże i febra, ludzie, którzy jedzą psy. Teraz jest inaczej. To będą takie małe wakacje.

– Czy musimy jechać z powodu Pana Chrabąszcza? – spytał Howard, marszcząc brwi w skupieniu.

Po wielebnym nie było widać, czy słyszy tę rozmowę, czy nie, ale nagle wziął głęboki oddech przez nos i wypuścił powietrze z ust z niechętnym sykiem. Wstał na równe nogi.

– Deszcz ustaje, a ta poczekalnia jest zbyt przepelniona – stwierdził i wyszedł sztywnym krokiem na pokład.

Myrtle zmarszczyła czoło i spojrzała na wuja Milesa, który przecierał zaspane oczy.

– Może i ja powinienem pójść na małą przerwę. – Wuj Miles spojrzał na siostrę i niedostrzegalnie uniósł brwi. Przyglądził węża, uśmiechnął się i podążył za swoim szwagrem.

– Dokąd poszedł tato? – spytał Howard piskliwym głosem, wykrzywiając szyję, by wyrzeć na pokład. – Ja też mogę iść? Mogę wziąć mój karabin?

Myrtle na sekundę zamknęła oczy, a jej usta zadrżały, jak gdyby odmawiały krótką, niecierpliwą modlitwę o spokój. Podniosła powieki i uśmiechnęła się do Faith.

– Faith, ty jesteś prawdziwą opoką. – Tym właśnie uśmiechem zawsze obdarzała córkę – przyjacielskim, lecz ze śladami znużenia. – Może i nie jesteś duszą towarzystwa... Ale przynajmniej nigdy nie zadajesz pytań.

Faith udało się uśmiechnąć krótko i chłodno. Wiedziała, kogo Howard miał na myśli, mówiąc o Panu Chrzęszczu, i podejrzewała, że jego pytanie trafiło w dziesiątkę.

Przez ostatni miesiąc rodzina poruszała się w gęstej mgłę niedopowiedzeń. Spojrzenia, szept, subtelne zmiany sposobu bycia i łagodnie rozluźniane kontakty. Faith zauważyła tę zmianę, ale nie potrafiła odkryć jej przyczyny.

I wtedy pewnej niedzieli, kiedy rodzina wracała spacerkiem z kościoła, podszedł do nich mężczyzna w brązowym filcowym kapeluszu. Kłaniał się i kiwał głową, uśmiechał się, ale ten uśmiech nigdy nie obejmował jego oczu. Napisał artykuł na temat chrzęszczy i teraz pytał, czy szanowny wielebny Erasmus Sunderly nie zechciałby napisać przedmowy do jego tekstu. Szanowny wielebny nie był skłonny nawet się nad tym zastanawiać i zrobił się chłodno poirytowany w obecności znajomego. Mężczyzna „chciał się na siłę

zaprzyjaźnić”, łamiąc wszelkie zasady i nie przestrzegając dobrych manier. W końcu wielebny powiedział mu to prosto w oczy.

Uśmiech entuzjasty chrząszczy zamienił się w coś znacznie mniej przyjemnego. Faith wciąż pamiętała jego zjadliwą odpowiedź:

– Niech mi pan wybaczy, że wyobrażałem sobie, iż pańskie maniery dorównują panu intelektowi. Plotki się roznoszą, wielebny, i wydawało mi się, że będzie pan zadowolony, iż znalazł się równy panu człowiek nauki, który wciąż jest skłonny podać panu rękę.

Faith przypomniała sobie te słowa i poczuła, że krew tężeje jej w żyłach. Nigdy w najśmielszych snach nie wyobrażała sobie, że kiedyś zobaczy, jak ktoś tak bez pardonu obraża jej ojca. A co gorsza, wielebny odwrócił się od nieznanego z furją i w milczeniu, nie żądając żadnych wyjaśnień. Chłodna mgiełka podejrzeń Faith zaczęła się krystalizować. Za granicą ktoś rozsiewał plotki. Jej ojciec wiedział, o co chodzi, ona jednak nie miała pojęcia, co się za tym kryje.

Myrtle bardzo się myliła. W Faith przelewało się od pytań, kłębiących się jak wąż w skrzyni.

Ale mnie nie wolno. Nie wolno mi się temu poddawać.

W umyśle Faith zawsze było TO. Nigdy nie dawała temu innego imienia, bo bała się, że roztoczy nad nią jeszcze większą moc. To było jak uzależnienie, tyle wiedziała. Zawsze poddawała się temu bez walki, chociaż nigdy nie zrobiła tego do końca. To było jej zupełnym przeciwieństwem – nie było osobą, którą zna świat. Faith, dobra, porządna dziewczyna. Opoka. Można się na niej oprzeć, jest wprawdzie nudna, ale godna zaufania.

Najtrudniej było się oprzeć niespodziewanym okazjom. Porzucona koperta, z której wystaje róg listu, czysta i kusząca. Uchylone drzwi, których nikt nie zamknął na klucz. Nieostrożna rozmowa obojętna na uszy ciekawskich.

Był w niej jakiś głód, a przecież dziewczynki nie bywają głodne. Co

najwyżej, siedząc przy stole, dziobią potrawę widelcem. Kilka nudnych lekcji z przemęczoną guwernantką, nieciekawe spacerunki, rozrywki, którym brakuje rozmachu. Ale to nie wystarczało. Cała wiedza – każda wiedza – wołała głośno do Faith, a w zawłaszczaniu tego, co niewidoczne, była cudowna, trująca przyjemność.

Teraz jednak jej uwaga była skupiona na bardzo konkretnym, niepokojącym punkcie. W tej właśnie chwili ojciec i wuj Miles rozmawiają być może o Panu Chrabąszczu i omawiają powody ich nagłego wyjazdu z Anglii.

– Mamo... mogę trochę pospacerować po pokładzie? Mój brzuch... – Faith niemal uwierzyła we własne słowa. Przewracało jej się w żołądku, ale z ekscytacji – stateczek kołyszący się nieprzyjemnie na falach nie miał tu nic do rzeczy.

– Dobrze, ale nie odpowiadaj, jeśli ktoś będzie cię nagabywać. Weź parasolkę i uważaj, żebyś nie wypadła za burtę. Wracaj, zanim się zaziębisz.

Kiedy Faith powoli szła wzdłuż relingu, a słabnący deszcz bębnił w rozłożoną parasolkę, musiała przyznać sama przed sobą, że znów poddaje się TEMU. Podniecenie płynęło ciemnym winem w jej żyłach i boleśnie wyostrzało zmysły. Powoli zniknęła z oczu Myrtle i Howardowi, celowo się guzdrząc, w pełni świadoma każdego rzuconego w jej stronę spojrzenia. Każde z tych spojrzeń w końcu się jednak męczyło i ześlizgiwało z niej.

Nadszedł jej moment. Nikt nie patrzył. Przemknęła szybko przez pokład i zniknęła między skrzyniami poupychanymi u podstawy dygoczącego, pozbawionego kolorów komina stateczku. Powietrze smakowało solą i poczuciem winy, a ona wreszcie czuła, że żyje.

Przemykała od jednej kryjówki do drugiej, przytrzymywała spódnice, żeby ta nie zdradziła jej położenia, fruując na wietrze. Jej szerokie, kwadratowe stopy, tak niezgrabne, kiedy ktoś próbował wcisnąć je w modne buciki, poruszały się bezgłośnie po deskach pokładu z niebywałą sprawnością.

Znalazła kryjówkę między dwiema skrzyniami. Wuj i ojciec stali zaledwie trzy metry od niej. Widzieć ojca i nie być widzianą to niemal świętokradztwo.

– Uciekać z własnego domu! – wykrzyknął wielebny. – To mi pachnie tchórzostwem, Milesie. Nie powinienem był dać ci się przekonać i wyjeżdżać z Kentu. Co dobrego wyniknie z naszego wyjazdu? Plotki są jak bezdomne wściekłe psy. Uciekasz, a one rzucają się za tobą w pogoń.

– Plotki to rzeczywiście psy, Erasmusie – wuj Miles zmrużył oczy, patrząc przez binokle – i polują stadami na oczach wszystkich. Musiałeś na jakiś czas pożegnać się z socjetą. A kiedy cię nie będzie, znajdą kogoś innego, za kim będą się uganiać.

– Wyślizgując się jak tchórz pod osłoną nocy, Milesie, nakarmiłem te psy. Wyjazd będzie potraktowany jako dowód przeciwko mnie.

– Może i tak, Erasmusie – odpowiedział wuj Miles z niezwykłą dla siebie powagą – ale czy nie wolałbyś być sądzony tutaj, na wyspie zapomnianej przez Boga i ludzi, przez garstkę farmerów i hodowców owiec, czy w Anglii, przez ludzi, którzy naprawdę coś znaczą? Wykopaliska na wyspie Vane były najlepszą wymówką, jaką mogłem dla ciebie stworzyć, i jestem zadowolony, że postanowiłeś przyjąć moje argumenty.

Wczoraj rano artykuł w „Intelligencerze” czytano głośno przy śniadaniu w całym kraju. Gdybyś został, zmusiłbyś całe swoje otoczenie do opowiedzenia się po jednej ze stron, a biorąc pod uwagę rozmiary plotki, podejrzewam, że nie spodobałyby ci się decyzje, które by podjęto.

Erasmusie, jedna z najbardziej poczytnych i szanowanych gazet w kraju określiła cię mianem oszusta i szarlatana. Jeżeli nie chcesz wystawić Myrtle i dzieci na bolesne konsekwencje skandalu, nie wolno ci wracać do Kentu. Dopóki twoje imię nie zostanie oczyszczone, nic dobrego cię tam nie czeka.

## ROZDZIAŁ 2

# Wyspa Vane

### *Oszust i szarlatan.*

Te dwa słowa uczepliły się Faith, stawały jej przed oczami, gdy szła dalej po mokrym pokładzie, patrząc bezmyślnie na mijane wyspy. Jak to możliwe, że ktoś mógł podejrzewać jej ojca o oszustwo? Jego nieugięta uczciwość była zarazem plagą i dumą rodziny. W obecności pastora nigdy nie miało się wątpliwości, co robić, nawet jeżeli stało się pod ostrzałem jego niechętnych spojrzeń. No i co wuj Miles miał właściwie na myśli, mówiąc „oszustwo”?

Kiedy wróciła do salonu, wuj Miles i ojciec siedzieli już na swoich miejscach. Faith znowu zasiadła na skrzynce z wężem, ale nie mogła spojrzeć nikomu w oczy.

Wuj Miles, mrużąc powieki, wpatrywał się przez binokle w zmoczony deszczem przewodnik, jak gdyby rodzina naprawdę jechała na wakacje, a później wyglądał przez bulaj na morze.

– Jest! – Pokazał palcem. – To wyspa Vane.

Zbliżający się i rosnący w oczach ląd z początku nie prezentował się okazale, lecz Faith wkrótce zrozumiała, że podchodzą do wyspy od węższego końca, dlatego i z tej perspektywy wygląda jak łódź ze zwężającym się dziobem. Dopiero kiedy stateczek pocztowy okrążył wyspę i zaczął opływać jej dłuższy brzeg, zobaczyła, że pierwsze wrażenie było mylne. Olbrzymie czarne fale rozbijały się o ciemnobrązowy klif, wyrzucając w górę dzikie

strugi piany.

Nikt tu nie mieszka – to była jej pierwsza myśl. Nikt nie mógłby tu mieszkać z wyboru. To miejsce dla wyrzutków społeczeństwa. Kryminalistów, skazańców, jak w Australii. I ludzi, którzy przed czymś uciekają, tak jak jej rodzina.

*Jesteśmy wygnańcami. Być może będziemy musieli tu mieszkać już do końca życia.*

Mijali nierówne przylądki i głębokie zatoczki. Rozrzucone tu i ówdzie samotne budynki patrzyły melancholijnie w morze. Po chwili stateczek zwolnił i mieląc wodę, skręcił z trudem do głębszej zatoki, w której port przykleił się do otaczającego go wysokiego muru, a za nim, jeden za drugim, wznosiły się rzędy domów ze ślepyimi oknami. Łupkowe dachy smagał deszcz. Dziesiątki kutrów rybackich pobłyskiwało złowieszczo we mgle, kołysząc się na prawo i lewo. Powietrze wypełniły ogłuszające krzyki mew, ptaki darły się, kłócąc i przekrzykując tą samą na wpół złamaną nutą. Na pokładzie zaczął się ruch, pasażerowie jak jeden mąż odetchnęli z ulgą i ruszyli ku bagażom, przygotowując się do zejścia na ląd.

Stateczek zatrzymał się w końcu przy nabrzeżu w ścianie deszczu. Pośród przekrzykujących się głosów, rzucania lin i manewrowania trapami wuj Miles wcisnął parę monet w kilka dłoni i bagaż rodziny Sunderly znalazł się na suchym lądzie.

– Wielebny Erasmus Sunderly z rodziną? – Na nadbrzeżu stał chudy mężczyzna w czarnym płaszczu, całkowicie przemoknięty, krople wody rozbijały się na szerokim rondzie jego kapelusza. Był starannie ogolony, miał sympatyczny, choć nieco niespokojny wyraz twarzy, teraz był nieco posiniały z zimna. – Pan Anthony Lambent przekazuje pozdrowienia – powiedział i wręczył ojcu przemoczony list. Faith zauważyła ciasną koloratkę na szyi mężczyzny i zdała sobie sprawę, że on także musi być pastorem.

Ojciec Faith przeczytał list, skinął z aprobatą głową i wyciągnął rękę.

– Pan... Tiberius Clay?

– W rzeczy samej, sir. – Clay z szacunkiem potrząsnął dłoń pastora. – Jestem wikarym na Vane.

Faith wiedziała, że wikary jest zastępcą proboszcza, który ma zbyt wielu parafian lub za dużo pracy.

– Pan Lambert prosi o wybaczenie... Chciał osobiście wyjechać po państwa do portu, ale ten nagły deszcz... – Clay skrzywił usta i spojrzał w górę na ciężkie, ołowiane chmury. – Istnieje niebezpieczeństwo zalania nowych otworów, więc trzeba dopilnować, żeby wszystko zostało przykryte. Bardzo proszę, sir. Pozwoli mi pan, że pomogę z bagażami? Pan Lambert przysłał powóz, żeby zabrać państwa i państwa rzeczy do Zatoki Byka.

Wielebny wprawdzie się nie uśmiechnął, ale pomruki przyzwolenia nie były pozbawione ciepła. Oficjalne maniery wikarego wyraźnie zdobyły jego sympatię.

Rodzina ściągała na siebie spojrzenia – Faith była tego pewna. Czy informacje o tajemniczym skandalu dotarły już na wyspę Vane? Nie, chodziło pewnie tylko o to, że byli obcy i przyjechali obładowani absurdalną ilością bagażu. Do jej uszu dotarły jakieś stłumione pomruki i wymawiane półgłosem słowa, ale nic nie mogła zrozumieć. Miała wrażenie, że słyszy ciąg dźwięków bez samogłosek.

Nie bez trudu ułożono z bagażu Sunderlych wysoką i chybotliwą wieżę na dachu dużego, lecz zniszczonego deszczem i wiatrem powozu. Przywiązano walizki pasami i wikary wcisnął się do środka razem z rodziną pastora. Powóz ruszył i zadrżał na kocich łbach. Faith poczuła, że jej zęby drżą od wibracji.

– Czy jest pan przyrodnikiem, panie Clay? – spytała Myrtle, z wdziękiem i odwagą ignorując jęk kół powozu.



– W towarzystwie tu obecnych jestem jedynie skromnym amatorem. – Clay delikatnie skłonił się wielebnemu mokrym kapeluszem. – Niemniej jednak moim profesorom w Cambridge udało się wtłoczyć mi do głowy trochę wiedzy z geologii i historii naturalnej.

Nie było to dla Faith żadną niespodzianką. Wielu przyjaciół i znajomych jej ojca było duchownymi, którzy natknęli się na swojej drodze życiowej na nauki przyrodnicze. Dżentelmeni, którzy mieli służyć Kościołowi, byli wysyłani na dobre uniwersytety, gdzie otrzymywali wykształcenie godne swej klasy – poznawali grekę, łacinę, i mieli okazję liznąć nieco nauk ścisłych. Czasem to wystarczyło, by połknęli naukowy haczyk.

– Moim największym wkładem w wykopaliska jest praca fotografa – to moja pasja. – W głosie wikariusza słychać było nuty radości, kiedy wspomniał o swoim hobby. – Rysownik pana Lambenta miał nieszczęście złamać rękę w nadgarstku już pierwszego dnia, więc mój syn i ja rejestrowaliśmy obrazy odkryć moim aparatem fotograficznym.

Powóz wyjechał z małego miasteczka, które zdaniem Faith bardziej przypominało wioskę, i wspinał się po nierównej, wijącej się serpentynami drodze. Za każdym razem, gdy podskakiwał na wybojach, Myrtle nerwowo chwyciła się ramy okiennej i wszyscy bezwiednie napinali mięśnie.

– Te budowle na cyplu to wieże telegraficzne – rzucił Clay. Faith udało się dostrzec szeroki, obskurny cylinder. Wkrótce potem minęli niewielki kościół ze zwężającą się wieżą. – Plebania jest tuż za kościołem. Mam nadzieję, że zrobią mi państwo tę przyjemność i wpadną na herbatkę podczas pobytu na wyspie.

Wydawało się, że powóz walczy ze wzgórzem; skrzypiał i stukał tak dramatycznie, że Faith spodziewała się, iż koło może odpaść w każdej chwili. W końcu zatrzymał się nagle i rozległo się energiczne postukiwanie w dach.

– Przepraszam. – Clay otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Nad ich

głowami wywiązała się ożywiona rozmowa w języku stanowiącym mieszankę angielskiego i francuskiego, którego nienawykłe ucho Faith nie mogło zrozumieć.

Twarz Claya znów pojawiła się w drzwiach, tym razem zachmurzona i zmartwiona.

– Chciałbym państwa po tysiącuroć przeprosić. Mamy dylemat. Dom wynajęty przez państwa znajduje się w Zatoce Byka, gdzie można dotrzeć albo drogą prowadzącą dołem, tuż przy linii brzegowej, albo trasą, która pnie się w górę i przekracza grzbiet, a później schodzi w dół po drugiej stronie. Właśnie się dowiedziałem, że droga nad morzem jest zalana. Jest tam falochron, ale kiedy przyptyw jest tak wysoko i fale są tak gwałtowne...

Zmarszczył czoło i rzucił przeproszające spojrzenie w kierunku nisko wiszących chmur.

– Domyślam się, że droga prowadząca górą jest dłuższa i bardziej męcząca? – spytała pospiesznie Myrtle, spoglądając jednym okiem na zasepionego Howarda.

Clay zmarszczył czoło.

– To bardzo... stroma droga. Woźnica informuje mnie, że przy obciążonym powozie koń sobie z nią nie poradzi.

– Sugeruje pan, że powinniśmy wysiąść i iść piechotą? – Myrtle zeszywniała i wysunęła do przodu swój maleńki, śliczny podbródek.

– Mamo – szepnęła Faith, czując, że za chwilę utkną w martwym punkcie. – Mam parasolkę i bardzo chętnie się przespaceruję.

– Nie! – rzuciła ostro Myrtle, aż Faith poczuła rumieniec na twarzy. – Jeśli mam być panią tego domu, nie zamierzam wejść do niego, wyglądając jak mokra mysz. I tobie też na to nie pozwolę!

Faith poczuła falę złości i gniewu. Chciała krzyknąć na całe gardło. A jakie to ma znaczenie?! Gazety rozdzierają nas na strzępy. Naprawdę uważasz, że

ludzie będą nami bardziej pogardzać, jeśli będziemy mokrzy?

Wikariusz wyglądał tak, jakby znalazł się w potrzasku.

– W takim razie obawiam się, że powóz będzie musiał przejechać tę trasę dwa razy. Tu niedaleko jest stary domek – kiedyś obserwowano z niego morze, wypatrując ławic sardynek. Może dałoby się tu zostawić skrzynie i bagaże i woźnica wróciłby po nie później? Bardzo chętnie zostanę i ich popilnuję.

Twarz Myrtle pojaśniała z radości, ale zanim zdążyła otworzyć usta, odezwał się stanowczo jej mąż.

– Absolutnie nie wyrażam na to zgody – stwierdził ojciec Faith. – Niech pan wybaczy, ale niektóre z tych skrzyń zawierają wyjątkowo cenne okazy flory i fauny, które muszą zostać umieszczone w domu tak szybko, jak tylko się da, bo w przeciwnym wypadku ulegną zniszczeniu.

– No cóż, ja chętnie poczekam w tym domku i uwolnię konia od swojego ciężaru – stwierdził wujek Miles.

Clay i wujek Miles wysiedli z powozu i zaczęto rozładowywać skrzynie i kufry rodziny jeden po drugim, zostawiając na dachu jedynie pudła z okazami przyrodniczymi. Woźnica mimo to patrzył niepewnie na przechylony powóz, marszcząc czoło i próbując dać im do zrozumienia, że i tak jest zbyt obciążony.

Ojciec Faith nie ruszył się, żeby wyjść i dołączyć do pozostałych mężczyzn.

– Erasmusie... – zaczął wujek Miles.

– Muszę zostać z moimi okazami – przerwał mu ostro wielebny.

– Może moglibyśmy zostawić jedną z pańskich skrzyń? – zapytał ostrożnie Clay. – Widziałem tam pudło opisane „Różnorodne wycinki”, które jest znacznie cięższe niż cała reszta.

– Nie, panie Clay. – Odpowiedź wielebnego była szybka i zimna jak lód. – Ta skrzynia ma szczególne znaczenie.

Ojciec Faith omiół spojrzeniem swoją rodzinę – jego wzrok był chłodny i nieobecny. Zerknął na Myrtle i Howarda, a później jego wzrok spoczął na

Faith. Wiedziała, że ocenia ją pod względem ciężaru i znaczenia. Zrobiło jej się słabo – czuła się, jak gdyby ktoś ustawiał ją na ogromnej wadze.

Nie mogła czekać na torturę decyzji jej ojca, ujętą w bezwzględnych słowach.

Nie patrząc na rodziców, wstała niepewnie. Tym razem Myrtle nie powiedziała nic, żeby ją powstrzymać. Podobnie jak Faith, miała świadomość, że wielebny milcząco podjął decyzję, i spuściła pokornie głowę.

– Panno Sunderly? – Clay był wyraźnie zdziwiony, widząc, jak Faith wychodzi z powozu prosto w kałużę.

– Mam parasolkę – powiedziała pospiesznie. – Chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza. – To maleńkie kłamstwo pozwoliło jej na wyjście z sytuacji z twarzą.

Woźnica przyjrzał się raz jeszcze obciążeniu swojego pojazdu i skinął głową. Kiedy powóz oddalał się z turkotem kół, Faith unikała wzroku swoich współtowarzyszy, czuła, że pomimo chłodnego wiatru jej policzki są gorące od poniżenia. Zawsze wiedziała, że ojciec cenił ją mniej niż Howarda – uwielbianego syna. Teraz jednak dowiedziała się, że w jego ocenie jest niżej nawet od „różnorodnych wycinków”.

Mały domek wcinał się w zbocze wzgórza od strony morza, był zbudowany z byle jak ociosanych kamieni z miejscowej skały, miał dwuspadowy dach kryty łupkową dachówką i małe okna bez szyb. Na podłodze znajdowały się błotniste kałuże. Bicie deszczu o dach nad ich głowami na szczęście powoli ustawało.

Wuj Miles i Clay wciągnęli skrzynie i kufry jeden po drugim do środka, podczas gdy Faith strzepywała krople deszczu z ociekającej wodą kapoty. Czuła się bezużyteczna i odrętwiała. I dopiero wtedy, kiedy u jej stóp wylądowała z głośnym hukiem skrzynia pastora, Faith poczuła, że jej serce zaczyna bić szybciej. Klucz został w zamku.

Skrzynia zawierała wszystkie prywatne dokumenty jej ojca. Jego dzienniki, notatki z badań naukowych i korespondencję. Może znajdzie się w niej wskazówka, co to za tajemniczy skandal ich tu wygnał.

Faith odchrząknęła.

– Wuju... Panie Clay... Moja chustka i ubranie są bardzo przemoczone. Czy mogłabym prosić o chwilę, żeby... – Zawiesiła głos, pokazując gestem przemoczony kołnierz.

– A... Oczywiście! – Clay wyglądał na lekko zaniepokojonego, jak to często bywa z dżentelmenami, gdy zderzają się z sekretami damskiej odzieży.

– Wygląda na to, że deszcz trochę ustaje – zaobserwował wuj Miles. – Panie Clay, może podeszlibyśmy do klifu i opowie mi pan wtedy coś więcej o wykopaliskach? – Dwaj mężczyźni wyszli za próg i po chwili ich głosy ucichły.

Faith uklękła na kolanach przed skrzynią. Czuła pod palcami śliską skórę pokrywającą skrzynię i przez chwilę zastanawiała się, czy nie zdjąć z rąk obcisłych koźlęcych rękawiczek, ale wiedziała, że to by zbyt długo potrwało. Klamry były sztywne, ale poddały się jej pospiesznemu szarpaniu. Udało jej się przekręcić klucz w zamku, otworzyła wieko i zobaczyła kremowe kartki zapisane różnymi charakterami pisma. Już nie było jej zimno. Twarz jej płonęła, a w dłoniach czuła mrowienie.

Zaczęła otwierać listy, wyciągając je ostrożnie z kopert i trzymając za krawędzie kartek, by ich nie pobrudzić ani nie pognieść. Wiadomości z czasopism naukowych. Listy od wydawcy. Zaproszenia z muzeów.

Zadanie było czasochłonne, więc straciła poczucie czasu. W końcu natknęła się na list, którego styl przyciągnął jej uwagę.

„...podważając autentyczność nie jednej, ale wszystkich skamielin, które prezentował pan środowisku naukowemu i na których opiera się pańska reputacja. Twierdzą, że w najlepszym wypadku skamieliny są specjalnie

zmienione, a w najgorszym – po prostu podrobione. Znalezisko z New Falton to w istocie dwie skamieliny zgrabnie połączone ze sobą. Mówi się o śladach kleju na zewnętrznych złączeniach...”.

Ktoś mocno zastukał do drzwi i Faith aż podskoczyła.

– Faith! – usłyszała głos wuja. – Powóz wrócił!

– Chwileczkę! – odkrzyknęła, pospiesznie składając list. Kiedy go zamykała, zauważyła, że na jej białych rękawiczkach jest wielka niebieska plama. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że rozmazała atrament na liście, zostawiając na nim ślady kciuka.

## ROZDZIAŁ 3

# Zatoka Byka

Kiedy powóz wlokł się drogą, stukocząc kołami, Faith ścisnęła dłonie, żeby ukryć ślad na rękawiczce. Było jej niedobrze od przepełniającego ją uczucia nienawiści do samej siebie. Gdyby ojciec przejrzał listy, natychmiast natknąłby się na dowód jej zbrodni. Któż oprócz niej był jeszcze sam na sam ze skrzynią? Bardzo szybko wydedukowałby, że to właśnie ona jest winowajczynią.

Złapią ją. Zasłużyła sobie na to, żeby ją przyłapano. Co się z nią dzieje?

Cały ten czas jednak rozważała i analizowała zdania przeczytane w liście, gotowała się z wściekłości, solidaryzując się z ojcem. Jak ktokolwiek mógł uwierzyć, że któreś z jego odkryć to fałszerstwo? A już na pewno nie skamielina z New Falton!

Wszyscy byli zgodni co do tego, że jest prawdziwa. Wszyscy. Wielu ekspertów badało ją, dźgało, zachwycało się nią i pisało o niej. Jedno z czasopism naukowych ochrzciło ją nawet mianem Nefilim z New Falton, choć jej ojciec nigdy nie używał tego określenia i twierdził, że jest to zaledwie „znalezisko dziesięciolecia”. Czy to możliwe, że oni wszyscy się pomylili?

On musi mieć wrogów. Ktoś próbuje go zniszczyć.

Zmierzchało, kiedy powóz wdrapał się na grań wzgórza, a później zaczął zjeżdżać zygzakiem w dół krętą, nierówną drogą. W końcu zwolnił i Faith

ujrzała żółte światło bijące z otwartych drzwi.

Budynek był stary – pokryty dachówką z łupka, zbudowany z nierównych, brązowych kamieni wyglądających jak postrzępiony karmel. Po drugiej stronie brukowanego podwórka były stajnie i stodoła. Za nimi wznosiła się kopułowata szklarnia, szyby w półświatle były mlecznobiałe. Jeszcze dalej widać było trawnik i ciemny, postrzępiony zagajnik, a za nimi – rysujący się niewyraźnie zarys czegoś, co mogło być następnym budynkiem.

Powóz jechał, rozchlapując kałuże, i w końcu stanął. Clay wyskoczył i podał rękę Faith, pomagając jej wysiąść z powozu, podczas gdy wuj Miles płacił woźnicy.

– Dobranoc! – Wikariusz pospiesznie skłonił się Faith i wujowi Milesowi.  
– Nie chcę was trzymać na deszczu!

Na dwór wybiegł służący i zaczął rozładowywać bagaż. Wuj Miles i Faith pobiegli pod parasolem w kierunku otwartych drzwi. Chuderlawa kobieta w średnim wieku stała w progu. Odsunęła się, żeby ich wpuścić.

– Pan Miles Cattistock i panna Sunderly? Jestem Jane Vellet – gospodyni i zarządzająca służbą. – Miała głęboki, niemal męski głos, twardy wzrok i małe, przebiegłe oczka. Jej sukienka w ciemnozielone paski była zapięta wysoko, aż pod brodę.

Hol był ciemniejszy, niż się wydawało, a jedyne światło padało z dwóch latarni postawionych na parapetach. Pod sufitem dostrzec można było czarne drewniane belki. Faith czuła w powietrzu aromat parafiny i inne zapachy, które mówiły jej, że dom jest stary i od dawna żyje swoim życiem – a przede wszystkim nie jest jej domem.

Po chwili Faith siedziała przed kominkiem, w którym płonął żywy ogień, w dłoniach miała talerz z gorącą zupą. Jeżeli Myrtle czuła wyrzuty sumienia z powodu tego, że pozostawiła córkę przy drodze, dobrze je ukrywała. Była zaróżowiona na twarzy i pełna energii, zrobiła już chyba obchód nowego domu



i stwierdziła, że wiele mu brakuje.

– W ogóle nie mają tu gazu – informowała Faith teatralnym szeptem. – Podobno można go dostać w mieście, ale tu musimy przetrwać przy lampach i świecach. Nie ma kucharki, tylko gosposia, służąca i lokaj. Wszyscy pracowali u ostatnich lokatorów – mieszkały tu dwie starsze, niepełnosprawne panie i całą służbę zatrzymano do dalszych obowiązków. Podobno gosposia i służąca „jakoś dają sobie radę” z gotowaniem. Ale jak sobie poradzą z gotowaniem dla pięcioosobowej rodziny? I nie ma niani dla Howarda – ty musisz się nim zajmować, Faith, dopóki kogoś nie znajdziemy.

– Gdzie jest ojciec? – spytała Faith, kiedy matka zatrzymała potok wymowy, by nabrać powietrza.

– Wyszedł, gdy tylko przyjechaliśmy, żeby znaleźć jakieś pomieszczenie dla okazów botanicznych – odpowiedziała Myrtle ze znużeniem w głosie. – Okazuje się, że szklarnia nie wystarczy. Siedzi w ogrodzie w świątyni dumania Bóg wie jak długo i bawi się swoją roślinką.

– W świątyni dumania?

– To ponoć stara wieża. – Myrtle odchrząknęła, kiedy gosposia przechodziła przez pokój. – Pani Vellet, czym konkretnie jest ta świątynia dumania?

– Wybudowano ją jako wieżę obserwacyjną, proszę pani – odparła pospiesznie pani Vellet. – Miała służyć do obserwacji okrętów Napoleona. Tu, na wyspie Vane, nie pobudowano fortów tak jak na Alderney. Dzentelmen, który był wtedy właścicielem domu, postanowił, że jako dobry Anglik sam zbuduje jakiś obiekt obronny.

– I przydała się na coś? – spytała Myrtle.

– Skończyły mu się pieniądze, zanim dokończono budowę, proszę pani. I wtedy skończyła się też wojna – odparła pani Vellet. – Przez jakiś czas używano jej jako magazynu jabłek... Ale dach przeciekał.

– Dziwne miejsce na przechowywanie rośliny – zastanawiała się głośno Myrtle. Westchnęła. – Tak czy inaczej, nie wolno mu przeszkadzać ani podchodzić do wieży. Podobno roślina jest niezwykle delikatna i egzotyczna, a obce spojrzenie może sprawić, że opadną jej liście albo coś w tym guście.

Faith zastanawiała się, czy ojciec wycofał się do zapomnianej wieży, ponieważ było to jedyne miejsce, w którym mógł być sam. Bolało ją serce. Wiedziała, że zwierzęta oddalają się czasem od stada, kiedy są zranione.

Nawet zawsze skora do konwersacji Myrtle traciła siły. Długa podróż wypija z człowieka energię, jak obraz farbę na świeżym płótnie po długim pociągnięciu pędzla. Kiedy zauważono, że Faith opadają powieki, kazano dzieciom iść do łóżek.

– Masz najmniejszy pokój, kochanie – powiedziała jej Myrtle – ale nic nie dało się na to poradzić. Chyba nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Pani Vellet sięgnęła po świecę i zaproponowała, że pokaże jej sypialnię. Kiedy przechodziły przez hol, Faith spojrzała przez drzwi i zobaczyła, że niewielki salonik przejęła już menażeria ojca. Jaszczurki wpatrywały się przed siebie przez szkło. Stary wombat prychał i kręcił się przez sen, ostatnio właściwie tylko tym się zajmował. Faith zmarszczyła czoło, zdając sobie sprawę, że nie widzi węża.

Pod jedną ze ścian w holu stała część nierozpakowanych skrzyń i pudeł. Z niedowierzaniem rozpoznała na samym dnie skrzynkę z wężem. Pozostawiono go w zimnym holu, jak gdyby był pudłem na kapelusze.

Faith podbiegła i kucnęła przy nim. Przycisnęła ucho do skrzynki. Ze środka nie dobiegał żaden odgłos.

– Pani Vellet, czy mogłaby pani kazać wnieść to pudło do mojego pokoju?

Pokój Faith okazał się maleńki, mniejszy niż połowa jej sypialni w dawnym domu. W kominku palił się żwawo ogień, oświetlając małą umywalkę ze splekanym, marmurowym blatem, starą szafę i duże łóżko z czterema

kolumnami na narożnikach i zasłonami po bokach, które pamiętały zapewne poprzedniego monarchę. W cieniu za szafą kryły się drugie drzwi z ogromnymi zasuwami.

– Czy przynieść panience gorące mleko z cytryną przed snem? – spytała gosposia.

– Macie tu jakieś zdechłe myszy? – W chwili kiedy wypowiadała te słowa, Faith zdała sobie sprawę, że być może nie jest to najlepsza reakcja na propozycję gorącego napoju. – Mój ojciec ma małego węża mandaryńskiego! – wyjaśniła pospiesznie, patrząc na unoszące się brwi pani Vellet. – Mięso... Maleńkie skrawki świeżego mięsa też wystarczą – mówiła, zacinając się. Podejrzewała, że nie robi świetnego pierwszego wrażenia. – I jakieś stare szmaty. I... oczywiście, mleko z cytryną, bardzo chętnie, dziękuję pani.

Dopiero kiedy znalazła się sama w pokoju, otworzyła skrzynkę i wyjęła z niej klatkę. Maleńki wąż leżał na samym dnie, zwinięty w żalostną ósemkę. Był kruczoczarny, a wzdłuż jego ciała rysowała się biało-złota kreska. Ten wzór zawsze przypominał Faith procesję ze świecami, idącą przez ciemny las. Na probostwie spędzała sporo czasu z menażerią ojca, opiekowała się nią nawet podczas jego wyjazdów, ale mały wąż był jej ulubieńcem. Ojciec przywiózł go osiem lat wcześniej z Chin.

Kiedy Faith wyciągnęła rękę i pogładziła go po grzbiecie, westchnęła z ulgą, widząc, że lekko się poruszył. Przynajmniej wiadomo, że nic mu się nie stało. Postawiła klatkę na komodzie z dala od przeciągu, ale niezbyt blisko kominka. Żył w chłodnym klimacie i zbyt wysoka temperatura z pewnością też by go mogła zabić.

Po chwili pani Vellet przyniosła jej kilka suchych szmat i miseczkę ze skrawkami wołowiny. Faith wcisnęła do klatki szmaty, które miały służyć za gniazdo, i napełniła miskę wodą ze słoja stojącego przy łóżku. Wąż nie zwrócił uwagi na mięso, za to z radością się wykąpał.

Kiedy Faith upewniła się, że wąż nie wyslizgnie się przez pręty klatki, przypomniała sobie plamę atramentu na rękawiczce. Próbowwała ją zmyć zimną wodą w dzbanku stojącym przy łóżku, ale nic to nie dało. W końcu ukryła rękawiczki pod materacem.

Ubrania Faith od zawsze były źródłem jej nieustającej męki. Nie mogła wyjść na zakurzoną ulicę, wybiec na deszcz, usiąść w wiklinowym fotelu czy oprzeć się o pomalowaną na biało ścianę bez zniszczenia czegoś, zabrudzenia czy pomięcia zaprasowanej fałdy. Jej ubrania były zawsze źródłem winy. „Eliza godzinami zmywała szczotką brud ze skraju twojej spódnicy...”.

Co gorsza, ubrania ją zdradzały. Jeżeli w tajemnicy wymknęła się z domu albo ukryła się w szafie lub oparła o zakurzone drzwi, żeby podsłuchać rozmowy starszych, na czymś zawsze zostawał ślad. Nawet jeżeli nie dostrzegał tego nikt z rodziny, zauważali to służący.

Faith położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Końskie włosie wystawało z materaca i przebijało się przez prześcieradło. Zasłony przy łóżku nie dało się do końca zaciągnąć, a od okna wiało wilgotnym chłodem. Długi dzień odcisnął w jej umyśle wyraźne piętno. Kiedy zamykała oczy, widziała szare niebo i ciemne, niespokojne fale.

Wiatr szarpał okiennicami i drzwiami zamkniętymi na zasuwę, a niekiedy za wyciem wiatru gdzieś daleko rozlegał się dźwięk przypominający ryk, który wydobywa się z gardła zwierzęcia. Wiedziała, że musi to być jakaś sztuczka wiatru, ale w jej wyobraźni malował się obraz ogromnej czarnej bestii z gór, wyjącej pośród sztormu.

Zastanawiała się, czy ojciec wciąż siedzi na wygnaniu w wieży. Faith czuła czasem, że istnieje między nimi jakiś związek, jak ukryty korzeń łączący drzewo mangrowca z małymi, dziecięcymi odrostami. Przez chwilę próbowała to sobie wyobrazić i pomyślała, że być może jej ojciec będzie w stanie wyczuć jej emocje, jeśli skupi się na tym wystarczająco mocno.

Wierzę w ciebie – chciała przesłać mu właśnie tę myśl. Niezależnie od tego, co mówią ludzie, ja w ciebie wierzę.

Faith obudziła się nagle, słysząc głośny dźwięk kroków – ktoś szedł po drewnianych deskach. Kiedy otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą nieznany baldachim, wszystkie wspomnienia wróciły falą.

Odsłoniła zasłonę wokół łóżka, na wpół spodziewając się, że ktoś biega po jej pokoju. Odgłos kroków był tak blisko, zaledwie kilka metrów od jej głowy. W sypialni oczywiście nie było nikogo, ale po chwili znów coś usłyszała, i tym razem jednak zrozumiała, skąd się bierze tajemnicze skrzypienie drewna. To był odgłos kogoś, kto wbiega lub zbiega po schodach.

Schody dla służby! Jej pokój musi być bardzo blisko schodów. Muszą być bardzo blisko, jeśli słyszy kroki przez ścianę. Faith wstała i obesza sypialnię, uważnie przyciskając ucho do ścian. Poczła falę tryumfu, gdy znalazła miejsce, w którym dźwięk był najwyraźniejszy. Rozpoznała nawet daleki pomruk rozmowy.

Takie odkrycie wzburzyłoby niejednego. Cała idea schodów dla służby polegała na tym, że służący wchodzili i wychodzili niezauważeni przez rodzinę. Po co miałyby być te schody, skoro służba i tak budzi cię o świcie? Faith jednak nie była zła – właśnie dostała szansę, aby przysłuchać się niewidzialnemu światu służących.

Oczywiście, ona nie będzie z tego korzystać dla TEGO.

Zasuwy na tajemniczych drzwiach za kredensem były zardzewiałe, ale w końcu udało jej się je otworzyć. Drzwi były zamknięte na głucho, lecz po chwili otwarły się z trzaskiem i Faith zamrugła, patrząc prosto w słońce.

Wyjście prowadziło do maleńkiego ogrodu dachowego, płyty z jasnego kamienia lśniły od rosy. Otaczał go płótek z kutego żelaza, ciężki od pnączy, który zasłaniał ogród przed wzrokiem ciekawskich. Rzeźby dzieci z białego kamienia, upstrzone mchem i zniszczone przez upływ czasu, trzymały

w dłoniach kamienne misy, z których wylewał się kolorowy żagwin. Po drugiej stronie Faith zobaczyła małą, obrośniętą winoroślą bramkę, a za nią – kamienne schodki, prawdopodobnie prowadzące na dół.

Na twarzy Faith pojawił się uśmiech. Jeżeli byłaby dziewczyną, która lubi się ukradkiem wymykać z domu, miałaby teraz swój własny, prywatny ogródek, przez który można niezauważonym wyjść na dwór i wrócić do domu.

Ubrała się i postanowiła kontynuować badanie domu. Schodząc głównymi schodami, instynktownie liczyła stopnie, zapamiętując te, które skrzypią, i te, którym można będzie zaufać. Faith złapała się na tym, że odnotowuje, które zasuwy i zatrzaski trzeba będzie dyskretnie naoliwić.

Nie! Faith zdecydowanie nie chciała do TEGO wracać.

Przypomniała sobie, że wkrótce czeka ją confirmacja, i jak zwykle poczuła falę lęku na samą myśl o tym. W oczach Kościoła i Boga będzie dorosła. Jej grzechy będą jej własnymi grzechami. Oczywiście zawsze czuła nieśmiertelny Boski osąd, który jak olbrzymie wahadło świszczwał nad jej głową, ale jej młodość była kruchą tarczą – była wymówką. Teraz ostre jak brzytwa wahadło będzie mogło ściąć ją jednym cięciem. Należy wyplenić wszystkie niewłaściwe nawyki i przyzwyczajenia.

A jednak – szeptał głosik w głowie Faith – dom w Zatoce Byka wykazywał pewien potencjał.

Wchodząc do mrocznej jadalni wyłożonej drewnianymi panelami, Faith dostrzegła matkę stawiającą do pionu służącą – ładną, ciemnowłosą piętnastolatkę, z której ust nie schodził lekki uśmieszek wyższości.

– Nie, Jeanne, to absolutnie nie wystarczy! – Myrtle gestem pokazała na deskę, którą trzymała służąca, a na której leżały dwa olbrzymie, długie bochenki chleba. Taki chleb Faith widziała po raz pierwszy. – Kiedy proszę cię o chleb z masłem, oczekuję kromki z prawdziwego bochenka chleba, mniej więcej tej grubości. – Myrtle podniosła rękę i wyprostowała palec

wskazujący i kciuk, pokazując odległość wynoszącą mniej więcej trzy centymetry. – Proszę, zajmij się tym.

Służąca wydeła usta, wzruszyła ramionami i oddaliła się z deską.

– Co za dom! W nocy ani na chwilę nie zmrużyłam oka. Jestem pewna, że tych pokoiów od wieków nikt nie wietrzył. I cóż to, na Boga, huczało i ryczało całą noc?

– To chyba jest właśnie Wielki Czarny Byk – odpowiedział jej wuj Miles, puszczając do nich perskie oko. – Kiedy szaleje sztorm, ta bestia wyskakuje z trzewi ziemi i ryczy. A tak naprawdę jest to zupełnie naturalne zjawisko spowodowane tym, że wiejący wiatr przebija się przez morskie jaskinie.

– Uważam, że to nieuczciwe ze strony gospodarza, który wynajął nam dom, że nic nie powiedział o ryczącym upiornym bydłociu – stwierdziła niechętnie Myrtle.

– No tak, ale jest miejscowy przesąd mówiący, że na wyspie nie ma ani skrawka, który nie miałby swojego własnego dziwactwa – wtrącił wuj Miles z uśmiechem. – Clay opowiedział mi wczoraj parę historii – o wyjących kobietach, statkach widmach i tak dalej. Poza tym wyspa Vane była podobno gniazdem kontrabandy podczas wojny z Francją. Ktoś miał tu zakopać przed śmiercią sporo złota i już od pięćdziesięciu lat jego duch na próżno próbuje doprowadzić do niego ludzi.

– To chyba nie zna się na szaradach – mruknęła pod nosem Faith, siadając przy stole.

– Z bardziej ziemskich tematów, okazuje się, że ktoś zostawił nam rano dwie kartki. – Myrtle spojrzała na męża. – Jedna jest od doktora Jacklersa, mój drogi. Powiada, że ma nadzieję na to, iż będzie mógł zajrzeć do nas dzisiaj po południu i zawieźć cię na miejsce wykopalisk. Druga jest od pana Lambenta. Píše, że miejscowe towarzystwo geologiczne spotyka się w jego domu o czwartej i że byliby zaszczytzeni, gdybyś mógł zjawić się tam jako gość

honorowy. Reszta z nas została zaproszona na popołudniową herbatkę. Mają posłać po nas powóz.

Wielebny spojrział na żonę krótko, jakby nic nie zrozumiał, potem skinął głową, żeby pokazać, że usłyszał, i wrócił do milczącej konsumpcji śniadania.

– Może wszyscy powinniśmy pojechać na wykopaliska z doktorem Jacklersem – podpowiedział wuj Miles pełnym nadziei głosem. – Moglibyśmy zrobić sobie rodzinny wyjazd.

– Naprawdę byśmy mogli? – Faith spojrzała na oboje rodziców, a w jej wzroku była prośba i ekscytacja. W bibliotece ojca na probostwie spędziła długie godziny, czytając książki o prehistorycznych zwierzętach, w zdumieniu przyglądała się szkicom kości stworów, które już dawno wyginęły. Była zelektryzowana myślą, że zobaczy prawdziwe wykopaliska.

Myrtle spojrzała na męża, który popatrzył na siedzących przy stole nieobecny spojrzeniem i odchrząknął.

– Dlaczego nie – powiedział.

Wróciła Jeanne i delikatnie, z wystudiowaną niewinnością postawiła deskę na stole, po czym znowu wyszła. Długie bochenki chleba zostały z agresywną dokładnością pocięte na półtoracentymetrowe kawałki, ale chleb nie przetrwał tego doświadczenia. Strzępy chleba tworzyły stos, wokół którego leżały fragmenty skórki posklejanej kawałkami masła.

– Jeanne! – krzyknęła Myrtle za głuchą na wszystko służącą. – Jeanne! No, tego już za wiele! Będę musiała poprosić panią Vellet, żeby pokroiła chleb. Tak właśnie zrobię!

Nad ich głowami coś zagrzmiało, usłyszeli odgłos małych stópek biegających po pokoju, a chwilę później – kilka eksperymentalnych trzaśnień drzwiami. Myrtle zmarszczyła brwi i spojrzała na męża, który patrzył na sufit z chłodną dezaprobatą. Howard o tej porze miał jeszcze spać, a już z całą pewnością nie powinno go być słycać.



– Faith – powiedziała Myrtle półgłosem. – Byłabyś tak miła i zjadła dziś śniadanie z bratem, a później pomogła mu odrobić lekcje? – Nie spojrzała nawet na córkę i nie czekała na odpowiedź.

Faith rzuciła tęskne, pożegnalne spojrzenie potrawce z wędzonej ryby i ryżu, bekonowi, tostom i marmoladzie, po czym wstała z krzesła.

Myrtle wyjaśniała kiedyś Faith, w jaki sposób odpowiednio wydawać polecenia służącym. Wydaje się takie polecenie w formie pytania, by nie okazać się nieuprzejmym. „Przyniesiesz herbatę?”. „Czy mogłabyś porozmawiać z kucharką?”. Zamiast jednak intonacją wskazywać na to, że to rzeczywiście jest pytanie, na końcu obniża się głos, żeby pokazać, że tak naprawdę nie jest to pytanie i że nie spodziewamy się odmownej odpowiedzi.

Faith przyszło do głowy, że właśnie ten sposób rozmawia z nią jej matka.

Howardowi przydzielono dwa sąsiednie pokoje – jeden to „dziecięca sypialnia”, w której spał, w „dziennym pokoju dziecka” miał zaś się bawić, odrabiać lekcje i jeść posiłki.

– Nienawidzę ich – powiedział, popijając wodę i jedząc grzanekę. – Tu w nocy są szczury. Nie potrafię spać bez Skordle.

„Skordle” to autorska wersja Howarda wymowy „Miss Caudle” – niani, która w hrabstwie Kent zazwyczaj spała w jego pokoju. Faith w tajemnicy lubiła to przezwisko i uważała, że „Skordle” brzmi jak nazwa jakiegoś mitycznego zwierzęcia.

Nie lubiła za to pokojów dziecięcych, ale z innego powodu niż jej brat. Przez ostatni rok czuła się jak na huśtawce, niepewnie oscylując między dzieciństwem a dorosłością. Było to zawsze najbardziej zrozumiałe podczas posiłków. Niekiedy okazywało się, że w jedną noc wyrosła jak fasola tuż pod niebo dorosłości i pozwalano jej na przywilej jedzenia z rodzicami w jadalni. A później, bez ostrzeżenia, znajdowała się z powrotem w pokoju dziecięcym z Howardem, jedząc owsiankę i siedząc na skrzypiącym, za małym krzeselku.

Jedzenie dla dzieci było „proste” i „pożywne”, co zazwyczaj oznaczało „bez smaku” i „pozbawione jakiegokolwiek aromatu”. Dziecięce pokoje pachniały właśnie takim jedzeniem – ziemniakami, mlekiem ryżowym i rozgotowaną baraniną. Te zapachy sprawiały, że Faith czuła, jakby nosiła na sobie starą wersję samej siebie, która była na nią zdecydowanie za mała. I swędziała.

– Do drugiej ręki! – Faith delikatnie wyjęła łyżkę z owsianką z lewej dłoni Howarda, po czym włożyła ją w jego prawą dłoń. Na tym froncie trwała nieustanna wojna.

Najtrudniej było po śniadaniu, kiedy musiała wcisnąć go w niebieską marynarkę. Howard nienawidził tego wdzianka, ale musiał wkładać je na lekcje. Lewy rękaw był przyszyty do boku, dzięki czemu dłoń Howarda tkwiła w pułapce kieszeni.

Myrtle twierdziła, że upór Howarda, który chciał wszystko robić lewą ręką, jest tylko „przemijającą modą” – nie trzeba się tym martwić i z pewnością nie należy go do tego zachęcać. Jego niania jeszcze przed Skordle na zbyt wiele mu pozwalała i Howardowi zostało po niej kilka „złych przyzwyczajień”.

– Wiesz, co mówi mama! Musisz się nauczyć poprawnie jeść i pisać, zanim odeślą cię do szkoły! – Zgodnie z planem Howard miał zostać umieszczony w szkole z internatem, kiedy skończy osiem lat.

Chłopiec wykrzywił buzię tak jak zwykle, gdy mówiło się o szkole. Faith przełknęła rosnącą w jej gardle gulę goryczy i zazdrości.

– Jesteś szczęściarzem, How. Niektórzy daliby wszystko za to, żeby móc pójść do dobrej szkoły. – Faith nie wspomniała, że jest jedną z tych osób. – Posłuchaj! Jeśli włożysz kurtkę i skończysz ćwiczenia w pisaniu, możemy zbadać potem, co jest w ogrodzie. I możesz wziąć swój karabin!

Jej oferta przetargowa spotkała się z dobrym przyjęciem.

Na dworze Howard biegał i „strzelał” do górnych okien domu ze swojego małego drewnianego karabinu, wołając głośno „pif-paf!”. Celował do czarnych kruków, które cierpliwie, bez pośpiechu odchodziły, przeskakując z nogi na nogę, kiedy chłopczyk do nich podbiegał, a później rozkładały leniwie skrzydła, żeby przed nim umknąć. Strzelał do wszystkiego, gdy szli błotnistą, zarośniętą trawą i chwastami ścieżką w kierunku morza.

Jeżeli ktoś zauważyłby jego zachowanie, Faith prawdopodobnie oberwałoby się za to, że pozwala mu „na zbyt wiele”. Zawsze towarzyszyła im obawa, że Howard – jedyny syn – złapie jakieś śmiertelne przeziębienie. Faith widziała już, jak z pięciu młodszych braci powoli uchodziło życie i wiedli jak umierające z braku wody kwiaty. Niektórzy umierali jako niemowlęta, inni dożywali zaledwie kilku lat. Pierwszych dwóch było Howardami, później jej rodzice postawili na Jamesa i dwóch Edwardów z podobnym skutkiem. Z tego właśnie powodu żyjący jeszcze Howard wydawał się kruchy, jak gdyby trzymał braci za ręce, oddzielony od nich ponurą zasłoną.

Faith jednak знаła Howarda znacznie lepiej niż rodzice. Rozumiała, że potrzebował biegania w kółko do upadłego i szaleństw, tak jak potrzebował swojego drewnianego karabinu. „Strzelał” do wszystkiego, co napełniało go strachem. Teraz próbował sprawić, by jego nowy świat stał się bezpieczny.

Ich wzrok przyciągnęła przysadzista wieża wyrastająca na skraju zagajnika. W świetle dnia widać było, że to tylko kikut, który sięga na wysokość pierwszego piętra. Kamienie miały kolor starej herbaty, wąskie jak strzelnice okienka były zawałone zaprawą i porośnięte bluszczem.

Ciekawość ciągnęła Faith w kierunku wieży, ale w kieszeni ciążyły jej zwinięte w kulkę rękawiczki. Musiała się ich pozbyć, zanim znajdzie je któraś ze służących.

W pobliżu morza ścieżka się rozdwajała. Ta, która odchodziła w lewo, wspinała się na klif. Faith i Howard poszli w prawo, dróżka wiła się w dół,

ku kamienistej plaży. Tam Howard dostał szau – strzelał do nerwowo stąpających po kamieniach łowców ostryg, do klifów w kolorze brudnego błota wyrastających po obu stronach plaży i do własnego odbicia w mokrym piasku.

Na plaży był mały hangar dla łodzi, w środku – łódź wiosłowa, a za nim stos głazów. Kiedy Howard biegał po plaży, Faith wślizgnęła się za hangar i wcisnęła rękawiczki w ciemną, wąską przestrzeń między dwoma kamieniami. Od razu zrobiło jej się lżej. Poczucie winy przestało tak kłuć, kiedy znikło ryzyko, że ktoś może ją przyłapać.

Faith wróciła na plażę. Podobała jej się mimo wyblakłych kolorów i nisko wiszących, szarych chmur. W jej głowie otwierały się strony ksiąg przyrodniczych jej ojca, znajdowała słowa na to, co widzi. Zwinne, ostroskrzydłe rybitwy tnące szare powietrze. Krzywonośna czarno-biała alka o tęnym dziobie czyszcząca pióra na urwisku. Drżące na wietrze białe kwiaty solirodu pośród kamieni.

Wpatrując się w odległe cyple, Faith widziała białe grzywy fal rozbijających się o skały. Tu i ówdzie dostrzegała czarne rozpadliny u podnóża skał.

– Patrz, Howardzie! – wykrzyknęła, przekrzykując wiatr, i pokazała palcem. – Jaskinie morskie!

Howard podbiegł i zmrużył oczy, patrząc we wskazanym kierunku, a później wymierzył do jaskiń ze swojego karabinu.

– Czy w środku są potwory? – spytał w zamyśleniu.

– Może.

– Popłyniemy tam i zobaczymy?

Faith spojrzała na małą łódź wiosłową stojącą w hangarze i przyjrzała się rozkołysanemu morzu. Ciemne dziury działały na jej wyobraźnię.

– Może kiedy indziej – powiedziała. – Ale będziemy musieli spytać mamę

i tatę.

Kiedy Howard już się zmęczył, poprowadziła go z powrotem w kierunku domu. Jej oczom raz jeszcze ukazała się szarobura wieża.

Poprzedniego wieczoru ojciec spędził w niej wiele godzin, opiekując się jakąś tajemniczą rośliną. Myślała wtedy, że po prostu chce zostać sam, ale teraz przypomniała sobie skrzynkę z „różnorodnymi wycinkami”, która pozbawiła ją możliwości podróżowania w powozie. Zastanowiła się nad tym i stwierdziła, że opis tego pakunku jest wyjątkowo nieprecyzyjny, jej ojciec był zazwyczaj znacznie bardziej konkretny.

– Howard. Chcesz obejrzeć lwy koło wieży?

Faith musiała obejść budowlę dookoła, żeby znaleźć ciężkie, drewniane drzwi ukryte w drzewach. Nikt nie mógł jej zobaczyć, a pokusa była zbyt wielka. Uniosła w górę starodawną zasuwę i otworzyła drzwi.

Wewnątrz panowała ciemność. Do jej nozdrzy dotarł dziwny zapach, a z nim – chłód, który kłuł w oczy.

Spojrzała w górę i zobaczyła w półmroku szare od pajęczyn belki stropowe. Dach był nienaruszony – ze zdziwieniem zdała sobie z tego sprawę – co oznaczało, że blokował światło słoneczne. Dlaczego jej ojciec miałby umieścić ważny i drogi okaz rośliny tam, gdzie nie dociera słońce?

Faith ostrożnie weszła do wnętrza wieży, poczuła, że jej but ślizga się lekko po omszałej kamiennej podłodze. Rozejrzała się w półcieniach niewielkiego pomieszczenia.

Zobaczyła przytulony do ściany, kopulasty kształt owinięty nieprzemakalną tkaniną, pod którą ledwo widać było podstawę donicy. Roślina miała około piętnastu centymetrów wysokości – była na tyle mała, że można ją było przewozić w skrzyni.

W chwili, w której powoli zbliżała się do dziwnego kształtu, zdała sobie sprawę, że rozlegające się gdzieś za nią okrzyki „Pif-paf!” stają się coraz

głośniejsze, a głos – coraz bardziej podekscytowany. W panice i z poczuciem winy wybiegła na światło słoneczne i szybko zamknęła za sobą drzwi do wieży. Rozejrzała się w obawie, że jej ojciec wraca z jakiegoś spaceru.

Zamiast tego zobaczyła Howarda mierzącego w zarośla z drewnianego karabinu. Przez chaszczki przedzierał się dziwny mężczyzna.

Nie był jednym ze służących, Faith zauważyła to natychmiast. Miał zniszczone ubranie, nieuczesane włosy i postrzępioną brodę. W ręce trzymał drewniane wiadro. Nieproszony gość. Jego dziwny wygląd zapalił czerwone światełko w głowie Faith. Poczła gęsią skórkę, jak gdyby była zwierzęciem, które zwęszyło inny gatunek.

Czternaście lat wyszkolonych lęków ruszyło pełnym galopem. Dziwny człowiek. Obcy. Ona była dziewczyną, niemal kobietą i nagle znalazła się – co nie było dozwolone – obok obcego mężczyzny bez opieki i bez świadków. A to sytuacja, w której mogło się wydarzyć tysiąc strasznych rzeczy.

– Pif-paf! – wrzasnął Howard. Mężczyzna zatrzymał się i spojrział na nich.

Faith chwyciła Howarda pod pachę i ruszyła biegiem w kierunku domu. Wpadła przez drzwi frontowe i niemal zderzyła się z matką, która wychodziła z salonu.

– Boże drogi! – Myrtle uniosła brwi. – Faith. Co się stało?

Faith odstawiła Howarda na podłogę i dysząc ciężko, wyjaśniła, o co chodzi. Myrtle pospiesznie podeszła do Howarda i zaczęła się nad nim użalać, a ten zdał sobie sprawę, że pewnie coś mu się stało, i natychmiast zaczął wyc.

– Zajmij się Howardem, Faith. Ja powiem ojcu.

Kilka chwil później, gdy dziewczyna wciąż próbowała uspokoić Howarda, do salonu wszedł sztywnym krokiem jej ojciec.

– Gdzie był ten człowiek? – spytał.

– Niedaleko wieży – odparła Faith.

– Jak blisko podszedł? – spytał ojciec. Faith nigdy nie widziała go tak

ponurego i zdenerwowanego. Poczła falę ciepła na myśl o jego niepokoju.

– Z dziesięć metrów. Schodził obok w dół zbocza.

Pani Vellet przysła szybko, wezwana przez wielebneho. Na jej policzkach widniał niewielki rumieniec niezadowolenia i Faith zastanawiała się, czy Myrtle szkoliła ją, tak jak obiecała.

– To mi wygląda na Toma Parrisa – odparła natychmiast pani Vellet, kiedy usłyszała opis obcego.

– A może mi pani powie, dlaczego temu Parrisowi wolno wchodzić na teren posiadłości? – W głosie wielebneho zabrzmiały stalowe nuty.

– Przepraszam, sir – odparła szybko gospoia – lecz przejście przez teren to najkrótsza droga na plażę. A to najlepsza plaża na wyspie, jeśli ktoś szuka przegrzebków, więc... – Rozłożyła ręce i znów zrobiła tę swoją minę, która značila: tak właśnie jest i nic na to nie poradzę.

– Absolutnie nie zgadzam się na żadne naruszanie naszej własności – oznajmił nieprzejednanym tonem wielebny. – Muszę myśleć o bezpieczeństwie mojej żony i dzieci, a także o drogocennych okazach w szklarni, których nie mam zamiaru zostawiać na łaskę i niełaskę jakichś ciekawskich. Wynajmuję dom i grunt i będę uważał wszystkich, którzy wchodzą tu bez pozwolenia, za kłusowników. Jeśli zna pani tych gagatków, proszę ich poinformować, że będę zakładał wnyki.

Jak blisko podszedł? Początkowo Faith z wdzięcznością odczytała jego niepokój jako obawę o bezpieczeństwo jej i Howarda. Kiedy się jednak uspokoiła, zaczęła się zastanawiać, czy ojciec nie ma na myśli czegoś innego.

Jak blisko podszedł do wieży?

## Grobowa pieczara

O drugiej po południu pod dom podjechał powóz. Jakąś minutę później w przedpokoju pojawił się krzepko wyglądający mężczyzna w średnim wieku z zaczerwienionymi policzkami, czarnymi bokobrodami i mocnymi, białymi zębami. Przedstawił się jako doktor Jacklers i potrząsał dłonią wielebnego, ściskając ją parokrotnie i pociągając, jak gdyby próbował oderwać ją od ciała.

– Wielebny! Cóż za zaszczyt poznać pana. Czytałem pańskie artykuły w czasopiśmie Królewskiego Towarzystwa Nauk!

Doktor potrząsał dłonią wuja Milesa nieco mniej żywiołowo mimo jego zapewnień, iż on również interesuje się naukami przyrodniczymi i być może dobry pan doktor słyszał o jego artykuliku na temat skamieniałych skorupiaków. Myrtle uciszyła brata krótkim kasznięciem.

Kiedy przedstawiano Faith, doktor Jacklers wydawał się przez chwilę zaskoczony.

– Faith... Aha! Pamiętam tę historię! Myślałem... – Głos mu zamarł. Stał z ręką wyciągniętą na tyle wysoko, by móc poklepać po głowie małe, wymaginowane dziecko. – To już tyle lat? Wyglądasz teraz na prawdziwą kobietę!

Faith podziękowała mu, ale była nieco zmieszana. Wiedziała dokładnie, jakie wydarzenie ma na myśli. Był to dzień, który pamiętała jako mieszaninę



szczęścia, zadumy i zakłopotania. Miała siedem lat i wtedy właśnie ojciec z własnej woli zaproponował jej, żeby poszła z nim na spacer na plażę. Faith dreptała przy nim i kręciło jej się w głowie z radości, że tata chce spędzić z nią trochę czasu. Pierwszy raz zachowywał się miło i bezpretensjonalnie. Od czasu do czasu zatrzymywał się, pochylał i zbierał kamyczki do koszyka, a raz nawet zatrzymał się, żeby jeden z nich jej pokazać. To był biały kamyk, miał niewielkie żyłki i wypukłości, które układały się we wzór.

– Potrafisz znaleźć kilka takich kamyczków? – spytał.

Uradowana Faith pobiegła naprzód i przynosiła mu każdy kamień, który według niej miał nadzieję na bycie czymś specjalnym, chociaż większość z nich po prostu świeciła od wody morskiej i robiła się nieinteresująca na dłoni po wyschnięciu.

W pewnym momencie ojciec skręcił ostro w kierunku podstawy klifu i przywołał małą do siebie.

– Spróbuj tu poszukać, Faith.

Podczas gdy on stał, wpatrując się w morze, ona pętała się między głazami. W końcu zobaczyła to, czego szukała – płaski kawałek kamienia ze spiralą nacięć. Przyniosła go i ostrożnie podała, drżąc niemal z nadziei i niepewności.

– Dobra robota, Faith. – Jej ojciec kucnął. – To skamielina, i to bardzo ładna. Zapamiętaj tę chwilę. Zapamiętaj, kiedy znalazłaś swoją pierwszą skamielinę.

Znacznie później Faith czytała artykuły w gazetach o swoim znalezisku. Mała Faith, beztrąsko baraszkując na plaży, przyniosła ojcu kamień, który wydawał jej się po prostu ładny, a który on natychmiast rozpoznał jako ogromnie interesującą skamielinę. Dziennikarze uwielbiali historie mówiące o „dziecku, które chcąc nie chcąc, otwiera drzwi do cudów natury”.

Zawsze kiedy wielebny przedstawiał córkę entuzjastom nauk przyrodniczych, ci, którzy pamiętali tę historię, spodziewali się ujrzeć małą

dziewczynkę o szeroko otwartych oczach – obraz czystej niewinności. W konfrontacji z okazem niewydarzonej jeszcze kobiecości często nie wiedzieli, jak zareagować. Faith spadła z bezpiecznego, uświęconego brzegu dzieciństwa i teraz znajdowała się na ziemi niczyjej – nie była ani jednym, ani drugim, jak syrena morska. Dopóki nie dowlecze się do skał małżeństwa, będzie obiektem trudnym do sklasyfikowania.

– Młoda damo, mogę zapytać, czy znalazła pani jeszcze inne ciekawe skamieliny? – spytał doktor Jacklers, szczerze próbując ją rozbawić.

Faith pokręciła głową. Tu był pies pogrzebany. Jej pierwsze znalezisko było również ostatnim. Ojciec nigdy więcej nie zabrał jej na polowanie na skamieliny.

Czuła się tak, jak gdyby otworzył drzwi na piękny słoneczny dzień, a później znów je zamknął. Próbowała sobie tłumaczyć, że te drzwi nie zostały zamknięte raz na zawsze, że otworzą się kiedyś na oścież. Pastor pozwalał jej przecież czytać książki ze swojej biblioteki, przepisywać swoje notatki i dyktował jej, a to wszystko uważała za oznaki zainteresowania i tego, że wciąż chce, by dzieliła z nim jego prywatny świat.

Spojrzenie doktora Jacklersa ześlizgnęło się z Faith. Dziewczyna zrozumiała. Stało się to, co z mokrymi kamyczkami na plaży – jej blask zelżał.

Entuzjazm Howarda w związku z wyjściem całej rodziny na wycieczkę zniknął natychmiast, kiedy się okazało, że nie będą się wypuszczać na morze.

– Ale znaleźliśmy na plaży małą łódeczkę i Faith powiedziała, że będziemy mogli badać jaskinie morskie!

– Faith żartowała, kochanie! – Myrtle rzuciła córce gniewne i rozdrażnione spojrzenie. – Prądy morskie są stanowczo za silne, Howardzie. Nie chciałbyś zobaczyć, jak tata pracuje?

Howard nerwowo spojrział na ojca i chwycił Faith za rękę.

Kiedy rodzina Sunderly wyszła na podwórko niczym oddział wojska, Faith

czuła, że płonie pod ukradkowymi spojrzeniami służących. W wysokich butach z cholewami czuła się niezręcznie, a kołnierzyk miała zapięty zbyt ciasno.

Faith słyszała stłumiony chichot, kiedy zamykały się drzwi frontowe. Miała wyczułone instynkty samotnika i odgadła, że służący śmiali się już z jej panicznego powrotu do domu. Miała wrażenie, że do tej pory to jej rodzice zaangażowani byli w kampanię robienia sobie wrogów ze wszystkich domowników, teraz jednak ona sama stała się obiektem niewybrednych żartów.

– Co zostało już znalezione? – spytał pastor.

– Wykopujemy ręcznie ciosane płyty krzemienia, wielebny, i kości hipopotama karłowatego oraz zęb, który moim zdaniem jest zębem mamuta. – Doktor zatarł ręce. – Miałem nadzieję na szczątki ludzkie, może nawet na czaszkę. Jestem specjalistą od czaszek, wielebny. Ale... prawdę mówiąc, jestem bardzo zadowolony, że jest pan tu i że nas pan wyprowadzi na właściwą drogę. – Doktor zerknął na ojca Faith. – Bałem się, że biorący udział w wykopaliskach zaczną deptać sobie po piętach. Lambent jest niecierpliwy i chciałby mieć wszystko od razu. Próbuje go powstrzymać przed wysadzaniem w powietrze skał i torowaniem sobie drogi na każdym zakręcie. Jaskinia jest jednak na jego ziemi, więc bez niego sobie nie poradzimy. No i mamy jeszcze naszego dobrego wikariusza...

– Pan Clay wydaje się bardzo miłym człowiekiem – rzuciła Myrtle. W tym stwierdzeniu pobrzmiwały echa pytania.

– Tak, rzeczywiście! Z tym że jak na swój wiek ma nieco staromodne poglądy. – Doktor często się uśmiechał, ale te uśmiechy były jak zaciśnięta pięść. – My jednak nie możemy go wykluczyć z wykopalisk, bo to on odnalazł tę jaskinię. A raczej odnalazł ją jego pies. Biedak wpadł do ukrytego szybu i złamał nogę. Mieliśmy wielki kłopot z wyciągnięciem go na powierzchnię.

– Co do mnie, czytałem najnowsze prace na temat łowców w jaskiniach,

których nie zna nikt inny, więc beze mnie też sobie nie poradzą. – Doktor uśmiechnął się ponuro.

Faith przesunęła się niepewnie na siedzeniu. Jej ojca wezwano w roli eksperta, ale wyglądało na to, że miejscowi chcą go tak naprawdę wykorzystać do rozsądzenia swoich małych sporów.

Droga skręciła ku środkowi wyspy, zaczęła się nieco wznosić, a później opadać. Wreszcie powóz się zatrzymał.

Teren dookoła był skalisty i nierówny. Tu i ówdzie wznosiły się ostre grzbiety, między nimi znajdowały się małe dolinki i jary, a także wijące się zygzakowato suche dna potoków. W kierunku morza schodziła dziwna struktura ławek skalnych, jak gdyby jakiś gigant niezdarnie próbował wyciosać stopnie w zboczu wyspy.

Doktor Jacklers prowadził rodzinę Sunderly ścieżką wysypaną trocinami, aż można było zajrzeć w dół do najbliższego wąwozu. Faith zobaczyła tam kilka brezentowych namiotów. Podekscytowana zdała sobie sprawę, że namioty otaczają wejście do tunelu wyrąbanego w zboczu wzgórza między dwoma wielkimi głazami. Wzmocniono je drewnianą konstrukcją – widziała jakby w półcieniach drewniane pale i podpory.

Tunel prowadzący w przeszłość, pomyślała.

Kiedy doktor gromkim głosem przywitał robotników, pięciu mężczyzn w pobrudzonych ziemią ubraniach roboczych przerwało pracę i stanęło obok wejścia w uprzejmym milczeniu.

Szósty mężczyzna, ubrany jak dżentelmen, spojrzął na nich i przysłonił dłonią oczy, po czym ruszył krętą ścieżką w górę, by ich przywitać.

– Pan Anthony Lambent – doktor zdołał powiedzieć tylko tyle, bo ich gospodarz już był obok.

Lambent miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a wydawał się jeszcze wyższy, kiedy parł w ich stronę jak blond huragan. Faith zgadywała, że ma

około trzydziestki, ale w jego kroku wciąż czuć było niespożytą energię młodości. Na zielonym płaszczu widniały małe krople błota, a jasnożółty fular był lekko przekręcony.

– Wielebny! – krzyknął, jak gdyby był to okrzyk wojenny, i ścisnął dłoń pastora. Ojciec Faith nieco się skulił i pewnie zastanawiał się przez chwilę, czy nie bronić się laską. Lambent z trudem pozwolił doktorowi dokończyć prezentację gości, bo chciał, żeby jak najszybciej zeszli do wąwozu. – Chodźcie państwo. Pozwólcie, że was oprowadzę!

Kipiał niespokojną energią, był jak koń, który w każdej chwili może kopnąć.

Myrtle zrobiła skrzywioną minę, schodząc krok po kroku ścieżką w dół, a Faith szła za nią równie ostrożnie. Szlak był trudny dla tych, którzy nie widzieli swoich stóp. W końcu Lambent zauważył, jak mocno wyprzedził swoich gości, i cofnął się.

– Wybaczcie mi państwo! – powiedział. – Jestem strasznie niecierpliwy – nie potrafię ustać w jednym miejscu.

– Czy ta przypadłość nie przeszkadza panu spać? – spytała Myrtle.

– Ma pani rację. Przez wiele lat spałem ledwie dwie godziny co noc, choć lekarze robili, co mogli. W końcu zmuszono mnie do brania laudanum. Na szczęście teraz mam przy sobie moją drogą żonę, która wywiera na mnie niezwykle kojący wpływ. Gdy tylko Agatha zaczyna coś mówić, już czuję, że ziewam.

Faith wątpiła, czy „jego droga żona” podziękowałaby mu za taki komplement.

Kiedy dotarli do stóp wzgórza, Lambent zobaczył drewniany karabinek Howarda.

– No proszę! – Pochylił się i zbliżył twarz do twarzy brata Faith. – Czyżbyśmy mieli tu żołnierza? A może sportowca? Czy pan poluje na dzikiego

zwierza, drogi panie?

Howard zamarł, wpatrując się w wielką, okoloną bokobrodami twarz Lambenta, po czym skinął niepewnie głową.

– Kapitalnie! – wykrzyknął Lambent. – A do czego pan strzela, sir?

Howard otworzył buzię, ale jej nie zamykał. Jego wzrok wyrażał panikę i skupienie. Z gardła zaczęły wydobywać się jakieś ciche dźwięki. Niektóre z nich próbowały łączyć się w słowa.

– Lw... lw... lw...

Faith rozpoznała znaki i wiedziała, że nieśmiałość i lęk tamują głos w gardle Howarda. Im więcej ludzi będzie się w niego wpatrywać, tym będzie gorzej. Podeszła do niego pospiesznie i położyła mu dłoń na ramieniu w opiekuńczym geście.

– Na lwy – powiedziała szybko. – Howard poluje na lwy.

Lambent odrzucił głowę do tyłu i gromko się zaśmiał.

– Dzielny chłop! I rzekłbym śmiało, że jesteś gotów podróżować dookoła świata tak jak twój ojciec, prawda?

Howard zamrugał nerwowo, wpatrując się w blond grzywę Lambenta.

– Crock! – zawołał Lambent.

Podszedł do nich jasnowłosy młody mężczyzna o rozłożystych ramionach i dotknął dłonią czoła. Był niemal tak wysoki jak Lambent, ale nieco pochylał głowę, żeby jego wzrost nikogo nie przerażał. Poruszał się lekko i swobodnie, jak olbrzym w kruchym świecie.

– To jest mój nadzorca, Ben Crock. Crock, proszę, zaopiekuj się paniami, podczas gdy ja będę pokazywał panom naszą sekcję wykopalisk. – Uśmiechnął się i puścił oko do wszystkich, żeby pokazać, że owego „krzepkiego młodzieńca” Howarda zalicza do grona „dżentelmenów”.

Więc to było to. Przyniesiono lampę ze świecą kompozytową i Lambent ruszył w głąb tunelu, za nim podążył wielebny, wujek Miles, a nawet mały

Howard, który trzymał się rękawa wuja. Panie zostawiono na zewnątrz pod opieką Crocka. Faith poczuła się tak, jakby ktoś zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Pośród praktycznych płóciennych namiotów postawiono drewnianą ramę i przykryto ją bogato zdobionym materiałem z pomponami. Przypominało to nieco beduiński namiot z podwiniętymi bokami.

W środku znajdowała się wersalka, mały stolik i kilka krzeseł. Dwa z nich zostały pospiesznie oczyszczone z kurzu, żeby Faith i Myrtle mogły usiąść. Na dnie porcelanowej filiżanki była resztką bursztynowej herbaty – wspomnienie pobytu innego gościa. Ewidentnie magazynowano tutaj przybyłe panie.

Faith jednak nie chciała siadać. Była przecież na terenie wykopalisk! Prawdziwych naukowych wykopalisk. Rozejrzała się wokół. Fascynowało ją wszystko, nawet taczki pełne gruzu.

Po drugiej stronie wąwozu widziała Claya, który przymocowywał aparat fotograficzny do trójnożu, podczas gdy chłopiec mniej więcej w wieku Faith przytrzymywał całą konstrukcję, żeby się nie przewróciła. Przypomniała sobie, że Clay wspominał o tym, iż ma syna.

W najbliższym namiocie Faith dostrzegła długi stół, na którym ciasno, jedna przy drugiej, stały płytkie drewniane skrzynki.

– Panie Crock, mogę popatrzeć? – Wskazała palcem na namiot. Była zbyt rozgorączkowana, żeby udawać nieśmiałość.

– Faith, nie powinnaś zawracać głowy panu Crockowi! – Myrtle rzuciła w jej kierunku uciszające spojrzenie, ale Faith trudno było uciszyć – na pewno nie w tym momencie.

– Bardzo proszę!

– Nie widzę w tym nic złego. – Crock uśmiechnął się do nich obu łagodnie i przytrzymał brezent namiotu, żeby mogła wejść. Kiedy Faith podeszła do stołu, okazało się, że skrzynki są oznaczone tajemniczymi symbolami

i sekwencjami liczb i zawierają brązowe, pokryte mazią fragmenty i strzępy czegoś, co wyglądało na kości.

– Lepiej ich nie dotykać, panienko – poradził cichym głosem Crock. – Zniszczy sobie pani rękawiczki. To jest wciąż mokre od...

– Specjalnej masy – dokończyła instynktownie Faith i spojrzała na niego. – Rozgotowane kopyta końskie lub coś w tym guście. Dzięki temu starożytne kości nie kruszeją, kiedy wysychają. – Czytała na ten temat w książce swojego ojca, ale po raz pierwszy mogła taką substancję powąchać i zobaczyć, jak oblepia kości starsze niż piramidy.

– Tak, panienko. – Ben Crock powoli mrugnął powiekami. Jego cierpliwe brązowe oczy nie zmieniły wyrazu, ale dziewczyna wyczuła, że próbuje dopasować jej obraz do nieco innej postaci.

Faith przyglądała się kościom i zatrzymała wzrok na odłamku, który odłożono na bok. Odetchnęła głęboko. Z jednej strony kość miała ostre zakończenie. Na szerszym końcu znajdowała się idealnie okrągła dziurka.

– Panie Crock! Czy to jest igła?

– Tak, panienko – odparł pospiesznie Crock. – Wydłutowana z poroża łosia kamiennym narzędziem. Tak w każdym razie myślą panowie.

– Epoka lodowcowa?

– Tak mówi doktor Jacklers.

Faith zdała sobie sprawę z tego, że się uśmiecha. Ktoś po prostu odpowiadał na jej pytania, bez owijania w bawełnę, a to sprawiało, że czuła niemal fizyczną ulgę.

Pomyślała przez chwilę o igle, którą w odległej epoce wiecznego lodu wydłutowano z kości – w czasach, kiedy renifery robiły ślady na śniegu nawet w Wielkiej Brytanii. Zdała sobie sprawę, że żałuje, iż nie może jej dotknąć. Chciała wyciągnąć rękę poprzez niezliczone stulecia i potrzymać igłę w dłoni, tak jak kiedyś trzymał ją jej twórca. To byłoby niczym dotknięcie gwiazdy.



Dopiero kiedy wychodzili z namiotu, Myrtle znalazła się u boku córki.

– Faith – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Czy zawsze musisz zachowywać się tak niedorzecznie?

Niedługo potem Lambent wyłonił się z tunelu wraz z „dżentelmenami”. Howard był lekko przykurzony i zdezorientowany.

– ...Więc nasz tunel jeszcze się nie przebił – stwierdził Lambent – ale nie ma takiego problemu, którego nie mogłaby rozwiązać beczka materiału wybuchowego. Pokażę wam teraz, jak opuszczamy się do jaskini!

Myrtle została w „namiocie Beduinów”, a Lambent poprowadził resztę rodziny Sunderly w górę znacznie dłuższą, wijącą się serpentynami ścieżką. Na grzbiecie wzniesienia Faith ujrzała trawiasty płaskowyż z licznymi zagłębieniami, pokryty tu i ówdzie niskimi krzewami.

– Ostrożnie stawiać kroki! – rzucił wesoło Lambent. – Tu właśnie pies wikariusza odnalazł niespodziewany uskok, a może być ich więcej!

Przed nimi, w największym zagłębieniu, stała duża platforma ze świeżego, nieheblowanego drewna, wewnątrz której znajdował się podługowaty otwór. Nad otworem ustawiono solidną ramę podpierającą ogromny trzpień obrotowy z owiniętym wokół niego grubym łańcuchem, który wyglądał nieco jak mechanizm do opuszczania wiadra do studni. Zamiast wiadra jednak wisiała tam klatka bez dachu o kwadratowej metalowej podstawie, której boki miały prawie metr wysokości.

– Kazałem ten stary mechanizm przewieźć z opuszczonej kopalni z drugiej strony wyspy – obwieścił Lambent. – Klatkę podciąga do góry ten oto przyjaciel – wskazał na krzepko wyglądającego konia, do którego uprząży przymocowano luźny koniec łańcucha. – Potrzebowaliśmy czegoś w tym rodzaju, bo uskok ma dobre dwadzieścia metrów.

Howard, ściskając mocno palce Faith, stanął na paluszkach, by spojrzeć w dół na obramowanie szybu.

– Aha! – wykrzyknął Lambent. – Młody człowiek ocenia wzrokiem wielkość kosza! Czy chciałby się pan przejechać na dół, młodzieńcze? – Spojrzał przez ramię na pastora. – I co pan myśli, wielebny? Czy Howard chciałby być jednym z pierwszych ludzi od czasów epoki kamienia łupanego, który zobaczy tę jaskinię na własne oczy? Możemy go opuścić kilkanaście metrów wraz z jednym z naszych ludzi i latarnią, na tyle nisko, żeby mógł spojrzeć w głąb pieczary.

W oczach wielebnego zapaliło się łagodne światło. Spojrzał na Howarda i Faith wiedziała już, że ten pomysł zaczyna mu się podobać. Jego syn, oglądający prehistoryczną jaskinię, której tajemnice wciąż jeszcze nie zostały odkryte. Byłoby to coś w rodzaju chrztu. Ledwo dostrzegalnie skłonił głowę, a Faith poczuła szarpnięcie zazdrości.

Uświadomiła sobie niejasno, że Ben Crock szepcze coś do ucha Lambentowi. Doszły do niej słowa „dziecko” i „ryzyko”. Niemniej jednak wszystkie argumenty zostały odsunięte gestem dłoni.

Lambent przywoływał chłopaka, ale Howard wciąż trzymał rękaw Faith. Znowu poruszał ustami i poczerwieniał z frustracji, bo z jego gardła nie wychodził żaden dźwięk.

– Pojedzie na dół, jeżeli ja też pojedę – Faith szepnęła ojcu, wiele się nie zastanawiając. Nie mogła się temu oprzeć. Oczywiście wolałaby, żeby jej ojciec odwrócił się i powiedział: „Faith, chciałbym, żebyś to zobaczyła. Chciałbym, żebyś była częścią tej ekspedycji”. Okazało się jednak, że stać ją co najwyżej na przejażdżkę za plecami brata, ale i to było lepsze niż nic.

Tym razem wielebny nie uciszył jej spojrzeniem. Być może zauważył, że Howard jest nieco mniej przestraszony na myśl o tym, że siostra pojedzie razem z nim.

Skinął głową. Faith poczuła, że policzki czerwienieją jej z podniecenia, kiedy robotnicy przygotowywali kosz i mocowali do haka na ramie lampę

oliwną. Po naleganiach Bena Crocka przywiązali również liny asekuracyjne, które miały zapobiec okręcaniu się kosza wokół własnej osi.

Jeden z boków kosza miał zawiasy, dzięki czemu otwierał się tak jak drzwi. Przytrzymano go, żeby Faith i Howard mogli wejść do środka.

– Siadajcie. Tak będzie bezpieczniej – zawołał Crock. Na widok jego zmarszczonego czoła dziewczyna poczuła, że coś zaczyna jeździć jej w żołądku ze strachu, ale podekscytowanie było silniejsze.

Faith objęła Howarda ramionami, gdy zwolniono łańcuch i kosz zaczął się opuszczać. W drodze na dół minęli drewnianą ramę i teraz otaczała ich czerwona skała pełna małych zagłębień i dziur. Oczy Howarda jaśniały w świetle latarni.

– To nasza przygoda, Howardzie! – szepnęła Faith. – Cofamy się w czasie! Bardzo, bardzo daleko do epoki, w której był to szczyt góry, a nie wyspa. Nie było tu morza, tylko stały ląd pokryty głębokim śniegiem. Wokół chodziły mamuty, a ziemia drżała z każdym ich krokiem. Olbrzymie stada reniferów, włochate nosorożce wielkości koni pociągowych. Tygrysy szablozębne.

Otaczała ich przeszłość. Faith wręcz czuła jej zapach. I nie był to zapach śmierci. Czuła, że przeszłość żyje i jest jej tak samo ciekawa, jak ona jest ciekawa przeszłości.

Szyb się rozszerzał, jak gdyby kosz opuszczał się w dół szyjki butelki. Światło latarni padało na reliefy poszarpanych i wyszczerbionych ścian, a pod nimi panowała nieopisana ciemność.

Metalowy łańcuch opowiadał historię o szczękaniu zębami, dzwonił i dźwięczał, a metaliczne odgłosy odbijały się echem od ścian szybu. Chwilę później pośród tej monotonnej muzyki usłyszeli niewyraźne szczęknięcie, a potem odgłos przypominający pęknięcie.

Kosz spadał.

Najpierw była sekunda poczucia całkowitej utraty wagi i nieszczęścia,

które zakręciło w głowie. Kosz obijał się o ściany skalne, a Howard zaczął krzyczeć. Czysty, bezbrzeżny lęk uderzył Faith jak spadająca cegła.

Kosz zatrzymał się nagle z szarpnięciem, które przechyliło go na bok. Kiedy Howard leciał do przodu, Faith objęła go ramieniem, a wolną ręką chwyciła otaczającą ich barierkę. Coś ciężkiego uderzyło ją w plecy. Usłyszała metaliczny odgłos. To był luźny koniec łańcucha przymocowany do kosza. Liny asekuracyjne były napięte i jęczały, kiedy kosz kołysał się, pochylony nad czarną przepaścią. To właśnie liny powstrzymały ich upadek. Z góry słychać było okrzyki, ale echo rozmywało słowa.

Niepewnie, szarpnięciami, kosz zaczął się unosić. Faith spojrzała do góry i zobaczyła fragment nieba, a na jego tle kilka pochylonych głów. Kosz się kołysał, a dziewczyna widziała, jak delikatne liny ocierają się o skałę i zaczynają się pruć.

– Cichutko, Howardzie, cichutko... – brzmiało jak zaśpiew. Howard pociągał nosem i łkał – i były to jedyne prawdziwe dźwięki w tym świecie.

Otwór przybliżał się z każdą sekundą. Faith zobaczyła ramiona wyciągające się ku koszowi. Chwyciła Howarda pod pachy i uniosła go tak wysoko, jak potrafiła. Ramiona słabły pod jego ciężarem, ale nagle ktoś go unióśł. Nogi Howarda zadrżały i o mało co nie kopnął jej w głowę.

Wówczas kosz zaczął się unosić jeszcze szybciej i tym razem czyjeś dłonie chwyciły jej ręce i przedramiona. Już ją mieli. Unieśli ją w górę i nagle siedziała na trawie. Trudno jej było uwierzyć, że przeżyła.

Później rozległy się krzyki, najgłośniejszym krzyczał Lambent, który był rozpalony do czerwoności niczym człowiek rażony piorunem. Był lokalnym sędzią magistrackim i powiedział, że ktoś za to odpowie, ale wkrótce stało się jasne, że nie ma tu nikogo takiego. Głównym obiektem jego gniewu był człowiek, który sprzedał mu stary mechanizm kopalniany.

Howard zanosił się płaczem. Należało zbadać, czy nie ma jakichś obrażeń,

wytrzeć go chusteczkami, pocieszyć, poklepać po plecach i zaproponować cukierki. Wielebny był wściekły, ale była to wściekłość lodowata. Jego złość stopniowo ustąpiła pod naporem przeprosin. W końcu kto mógł się spodziewać, że taki gruby łańcuch się zerwie? A dzięki linom prowadzącym i asekurowującym kosz nie było rzeczywistego niebezpieczeństwa.

Faith podeszła niepewnym krokiem do Bena Crocka, który siedział na trawie i próbował złapać oddech. Na obu dłoniach miał zaczerwienienia i krwawe otarcia od liny.

– Dziękuję – powiedziała cichym głosem, rzucając wymowne spojrzenie na jego ręce.

– Żadna dama nie powinna przeżywać takiego lęku, kiedy jest pod moją opieką – powiedział tylko. – Mam nadzieję, że mi pani wybaczy, panienko.

## ROZDZIAŁ 5

# Czaszki i krynoliny

Rodzina Sunderly pojechała do domu, żeby się przebrać i pokłócić o to, co właśnie się wydarzyło. Przez jakiś czas wydawało się, że Myrtle jest tak roztrzęsiona, że odmówi uczestnictwa w popołudniowej herbatce u Lambentów. Ustąpiła dopiero wtedy, gdy kilkanaście razy zapewniono ją, że jej dzieciom nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Faith nie powiedziała ani słowa. Wciąż pamiętała lęk i przerażenie, kiedy wydawało jej się, że Howard wypadnie z kosza. Czuła, że śmierć zaglądała jej w oczy.

Myrtle nie była pewna, czy zaproszenie skierowane do „pań Sunderly” obejmowało także Faith. Gdyby było to zaproszenie na kolację, bez wątpienia zostawiono by ją w domu wraz z Howardem. Popołudniowa herbatka była jednak czymś zgoła odmiennym. W końcu Myrtle zgodziła się, że Faith powinna w niej uczestniczyć, chociaż sama Faith podejrzewała, że jej matka chce po prostu, by ktoś był przy niej jako dama do towarzystwa.

Z uwagi na znaczenie tej wizyty Myrtle zgodziła się związać gorset Faith o cal ciaśniej niż zwykle. Jednocześnie odrzuciła sugestię, że córka powinna włożyć dłuższą spódnicę w dorosłym stylu. Faith знаła tylko kilka dziewcząt w swoim wieku i w ostatnim roku przyglądała się, jak ich spódnice wydłużają się i wędrują ku podłodze. Większość z nich dostąpiła również zaszczytu noszenia dorosłego gorsetu i Faith była świadoma, że ma na sobie bezkształtny

gorset dziecięcy. Zastanawiała się czasami, czy Myrtle nie utrzymuje jej w roli dziecka z czystej próżności, nie chcąc przyznać, że jest w takim wieku, iż może mieć niemal dorosłą córkę.

Już miała wychodzić, kiedy nagle zauważyła na dłoniach Faith szydełkowane rękawiczki.

– A gdzie są twoje rękawiczki z kozłęcej skóry? – spytała oskarżycielsko.

– Ja... nie wiem – Faith zalała się rumieńcem. – Na pewno miałam je na łodzi... – Tu drżącym głosem zasugerowała, że nieszczęsne rękawiczki wypadły za burtę.

– O, Faith! – Myrtle wykrzywiła usta ze złością.

Dom Lambenta stał na krańcu cypla mniej niż milę od prowadzonych wykopalisk. Zniszczona deszczem i wiatrem drewniana tabliczka oznajmiała, że dom nazywa się The Paints. Ceglane mury trzypiętrowego budynku chroniły jego mieszkańców przed złą pogodą, ale płoty i niewielkie drzewa rosnące wokół poddawały się wiatrowi, pochylając się nisko tuż nad trawą. Posesję zamykały duża stajnia i wozownia. W psiarni poszczekiwały psy myśliwskie.

Nastąpiły typowe w takich okazjach opóźnienia, kiedy próbowano wymanewrować Myrtle z powozu Lambenta. Jej krynolina, stelaż spódnicy wykonany z fiszbinów wieloryba i lniane ozdoby, które wystawały spod obrzeża jej sukni, trzeszczały i drżały, odsuwały się, by ujawnić światu jej eleganckie buciki z wielkimi kokardami.

Rodzina Sunderly ledwo co weszła do holu, a już wziął ich pod swoje skrzydła Lambent.

– Proszę do środka! Pozwolą państwo, że wszystkich wam przedstawię!

Poprowadził ich do pomieszczenia, które wyglądało na pokój trofeów, na podłodze z biało-czerwonych kafelków pełno było psiej sierści i ostów. Z drewnianych ram wystawały poroża jeleni, rzucając rozgałęzione cienie na ściany. Były tam również maski afrykańskie, rzeźby z chińskiego jadeitu, kiel

morsa, bumerang i inne pamiątki z dziwnych i egzotycznych krajów. W pomieszczeniu znajdowało się około dwunastu gości. Faith rozpoznała jedynie doktora Jacklersa i Claya.

Kiedy rodzina Sunderly weszła do środka, Faith rozejrzała się nerwowo po pokoju, badając wzrokiem każdą twarz, szukając śladów chłodu lub wzdargy. Kiedy jednak przedstawiano jej ojca, widziała tylko entuzjazm, ciekawość i szacunek. Jeżeli jad skandalu zatruł jego dobre imię, nikt z tu obecnych nie był chyba tego świadom.

Jak zwykle, pochlebstwa roztopiły lodowatą powściągliwość wielebnego, a to, co pozostało, starła koronkowa chusteczka jego żony. Myrtle oczarowała wszystkich i w mig stała się ulubienicą dżentelmenów – jako kobieta dowcipna, lecz niezbyt inteligentna. Tymczasem wuj Miles pokazywał gościom skamielinę skorupiaka, którą trzymał w puszcze na tytoń, mimo że jego siostra próbowała go bezskutecznie powstrzymać.

Faith znalazła się obok doktora Jacklersa, po którym widać było, że nie ma pojęcia, jak się zachować.

– Niech mi pan opowie o czaszkach! – szepnęła Faith. Była to odważna sugestia, być może niepasująca do młodej damy, a jeżeli Myrtle byłaby w zasięgu jej słów, Faith na pewno nie zadałaby takiego pytania. Niemniej jednak fakt, że Crock chętnie odpowiadał na jej pytania, dodał jej nieco odwagi. A może na wyspie Vane reguły gry są inne? Może nikt się nie zdziwi, jeśli wykaże nieco zainteresowania naukami przyrodniczymi?

– A, chce pani rozbawić starego człowieka, panienko! – zaśmiał się doktor, pokazując silne, białe zęby, ale oczywiście dał się rozbawić. – Mam zbiór czaszek – nie dlatego, że chcę straszyć młode damy, takie jak pani, ale dlatego, że piszę artykuł o mózgu ludzkim i korzeniach inteligencji. Mierzę również głowy moich pacjentów – nawet jeśli przychodzą z katarem, zawsze wymyślę jakiś powód, żeby móc zmierzyć obwody ich czaszek taśmą.



– Więc jest pan kranio metra? – Gdy tylko Faith zadała to pytanie, zobaczyła, że uśmiech znika z twarzy doktora, i wiedziała, że popełniła błąd. Cieszył się, że może jej coś wyjaśnić, a teraz ona to wszystko zepsuła, bo za dużo wie. – Czy to... Czy to właściwe słowo? – Oczywiście wiedziała, że to właściwe słowo, ale przełknęła ślinę i następne zdanie wypowiedziała celowo z wahaniem. – Ja... chyba gdzieś je słyszałam.

– Tak. – Pewność siebie doktora powoli wracała w obliczu jej nieśmiałości. – To dokładnie to słowo, moja droga. Bardzo dobrze.

Kiedy doktor przeszedł do opisu swojej kolekcji czaszek, Faith słuchała, czując, jak zbierają jej się kwasy w żołądku. Była na siebie wściekła za to, że posłużyła się zbyt inteligentną terminologią. Właśnie w tym momencie ktoś rozmawiał z nią o nauce i jeżeli okazałoby się, że dziewczyna wie za dużo, na pewno by przerwał. Tak, wyjaśniał rzeczy, które wiedziała od dawna, ale powinna być wdzięczna nawet za to.

Kiedy Faith miała pięć lat i zaczęła mniej więcej orientować się w książkach ojca, z entuzjazmem dzieliła się swoją wiedzą. Za każdym razem, gdy do domu przychodzili goście, buzia jej się nie zamykała, komentowała ostatnie fakty, które odkryła, i najnowsze słowa, które przykuły jej uwagę. Chciała zrobić wrażenie, udowodnić ojcu i wszystkim innym, że jest bystra. Za każdym razem jej wysiłki spotykały się na początku z pełnym zdziwienia śmiechem, a później z niepewną ciszą. Nikt nie był niemiły, ale po jakimś czasie uprzejmie ją ignorowano, jak gdyby była plamą na obrusie. Płakała przed snem, zdając sobie sprawę, że wcale nie jest taka bystra, że jest głupia, głupia, głupia. Wszystkich wprawiała w zakłopotanie i wszystko psuła. Odrzucenie bardzo ją osłabiało. Już nie walczyła o pochwały ani nie starała się o to, żeby ktoś brał ją na poważnie. Teraz poczuła się upokorzona, bo za wszelką cenę chciała brać udział w jakiegokolwiek interesującej rozmowie, lecz jej na to nie pozwalano. Mimo to za każdym razem udawała ignorancję,

jednocześnie nienawidząc siebie samej za to, że jest tak zdesperowana.

– Im większa czaszka, tym większy mózg i tym potężniejsza inteligencja – mówił dalej doktor, coraz bardziej się rozgrzewając. – Wystarczy spojrzeć na różnicę w wielkości czaszek mężczyzn i kobiet. Czaszka męska jest większa, co dowodzi, że jest siedliskiem intelektu. – Doktor nagle złapał się na tym, że nie było to całkiem taktowne. – Umysł kobiecy jest zupełnie odmienny – dodał pospiesznie – i w rzeczy samej cudowny! Ale zbyt wiele intelektu może go zepsuć i spłaszyc, tak jak kamień w suflecie.

Faith się spłoniła. Czowała się całkowicie zdradzona i stłamszona. Zdradziła ją nauka. W głębi duszy zawsze wierzyła, że ona jedna nie będzie jej oceniać, nawet jeżeli będą ją oceniać ludzie. Książki jej ojca otwierały się bez trudu pod jej palcami. Artykuły naukowe w czasopismach nie umykały jej zbyt kobiecemu spojrzeniu. Wydawało jej się jednak, że nauka ją obciąża, szufladkuje i wydaje wyrok – Faith chce zbyt wiele. Zgodnie z prawidłami wiedzy dziewczyna nigdy nie będzie mądra... A jeżeli jakimś cudem jest inaczej, oznacza to, że jest z nią coś straszliwie nie tak.

– Aha, rozpoznaję ten refren – stwierdził kobiecy głos tuż za plecami Faith. – Raz jeszcze Jacklers rozwodzi się nad swoimi czaszkami!

Była to dama, którą przedstawiono jako „pannę Hunter, naszą poczmistrzynię i operatora telegrafu”. Była niewysoka, zadbana i czarnowłosa, miała szybkie ruchy, które przywodziły Faith na myśl kurkę wodną. Jej tłuściutkie, urękawiczone paluszki nieustannie rozprostowywały i poprawiały ubranie, ale wzrok miała spokojny i oceniający.

– Pan wybaczy, panie doktorze, nie chcę, żeby skracał pan przeze mnie wykład. – Panna Hunter uśmiechnęła się blado. Faith nie była pewna, czy usłyszała nacisk na słowie „skrócić”, czy tylko go sobie wyobraziła.

Trudno się było pomylić co do reakcji doktora Jacklersa. Jego czerwone policzki stały się prawie fioletowe. Rzucił pannie Hunter spojrzenie pełne

goryczy. Nie był mężczyzną wysokim, a Faith zastanawiała się, czy uwaga panny Hunter nie była zawołowanym szyderstwem na temat jego wzrostu. Niemniej jednak Faith podejrzewała, że coś jej umknęło.

– Ja po prostu mówię – nie ustępował doktor – że Wszechmocny wyznaczył każdemu z nas swoje własne miejsce na świecie...

Były to słowa brzemiennie w skutki. Rozmowa szybko przerodziła się w gorącą debatę na temat ewolucji.

Przyrodnicy zawsze lubili się spierać i dyskutować. Jeszcze mieszkając na probostwie, Faith przyzwyczała się do tego, że goście jej ojca uśmiechają się, przekomarzają i prawią sobie komplementy nad filiżanką herbaty, jednocześnie obstawiając rywalizujące ze sobą teorie jak konie wyścigowe. Spory na temat ewolucji były jednak zupełnie odmienne. W ich tle słychać było nutę lęku, surową niczym rozrąbany siekierą klocek drewna.

Tę samą surowość i napięcie słychać było teraz w rozmowie. Ku zdziwieniu Faith łagodny i słynący z dobrych manier Clay był teraz jednym z najgłośniejszych i najbardziej rozgorączkowanych dyskutantów.

– Lamarck i Darwin prowadzą świat ku olbrzymiemu błędowi – deklarował. – Jeżeli zgodzimy się na to, że gatunki się zmieniają, powiemy, że zostały stworzone jako niedoskonałe. Będziemy wtedy krytykować samego Boga!

– Ale Clay, co powiesz o szczątkach wymarłych zwierząt? – zaprotestował Lambert. – Mastodont! Wielki niedźwiedź jaskiniowy! Tur! Dinozaury!

– Wszystkie zginęły w potopie – odparł Clay bez wahania. – Albo w podobnych katastrofach. Nasz Pan wielokrotnie zaczynał od czystej kartki i za każdym razem tworzył inne gatunki, by ucieszyć swój świat.

– Ale skamieliny... Większość z nich musi mieć co najmniej dziesiątki tysięcy lat, a to było dawno przed potopem.

– To niemożliwe. – Clay nie ustępował. – Wiemy, jak wyglądał stary świat,

z zapisów w Piśmie Świętym. Nie może mieć więcej niż sześć tysięcy lat.

Najstarsi mężczyźni aprobująco kiwali głowami. Inni wyglądali raczej na zawstydzonych. Clay zauważył chyba, że zapadła cisza.

– Doktorze Jacklers! Pan sam mówił coś bardzo podobnego! Pamiętam, jak omawiał pan te problemy z moim ojcem...

– Być może, ale to było wieki temu. – Doktor Jacklers wyglądał na zakłopotanego. – Clay... Wszystko się zmieniło w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Faith była córką przyrodnika i wiedziała, co doktor ma na myśli. Cały świat się zmienił. Zmieniła się jego przeszłość, a z nią wszystko inne. Dawniej wszyscy znali historię Ziemi – została stworzona w ciągu tygodnia, a człowiek otrzymał na niej godne miejsce, by nią rządzić. A historia świata na pewno nie mogła być dłuższa niż kilka tysięcy lat...

Wtedy jednak naukowcy dowiedzieli się dzięki swoim eksperymentom, jak długo trwa rozpad skały. Znajdowali skamieliny i dziwnie ukształtowane ludzkie czaszki z wystającymi nad oczami kośćmi, które przypominały krzaczaste brwi. Później, kiedy Faith miała pięć lat, ukazała się książka o ewolucji pod tytułem *O pochodzeniu gatunków*. Kiedy ujrzała światło dzienne, świat zatrzęsł się jak łódź, która uderza o skały.

I horyzont nieznannej przeszłości zaczął się rozszerzać. Dziesiątki tysięcy, setki tysięcy albo miliony lat... Im bardziej otwierały się ciemne stulecia, tym bardziej kurczyło się znaczenie gloryfikowanej od wieków ludzkości. Człowieka nie było na samym początku stworzenia, a świata nie dano mu w prezencie. Nie, był on spóźnionym gościem, którego przodkowie wyrastali ze szlamu i śluzu, a potem z trudem czołgali się po powierzchni ziemi.

Pismo Święte nie kłamie. Każdy porządny, bogobożny naukowiec o tym wiedział. Ale skały, skamieliny i kości też nie mogły kłamać i zaczynało wyglądać na to, że opowiadały zupełnie inną historię.

– Prawda się nie zmieniła! – wykrzyknął starszy pan z grzywą siwych włosów. – Tylko umysły tych, którzy wątpią! Chciałbym przypomnieć, że jest wśród nas wielebny Erasmus Sunderly, którego największe znalezisko jest niemyim świadkiem prawdy Ewangelii!

Wszystkie oczy zwróciły się ku ojcu Faith, który nie uniósł nawet brwi.

– Byłem jednym z pierwszych, których wezwano, by przyjrzeć się znalezisku z New Falton – mówił dalej starszy pan. – Kiedy na nie spojrzałem i zobaczyłem skamieniałe ludzkie ramię z niemal niedostrzegalnymi śladami skrzydła, które z niego wyrastało, poczułem... olbrzymi lęk. I od razu wiedziałem, co to jest. „To”, powiedziałem, „jest jeden ze starożytnych olbrzymów Nefilim i jest tak autentyczny jak ja sam. Daję za to głowę i jestem w stanie postawić na szali swoją reputację!”.

Policzek wielebnego zadrżał niezauważalnie, kiedy padło słowo „reputacja”. Faith poczuła falę współczucia. Chciała być szczęśliwa, że jej ojciec ma tak wiernego poplecznika, ale deklaracja starszego pana była nieco zbyt desperacka. Wprawiała ją w nerwowość.

– Moi drodzy państwo – powiedział Lambent – to chyba nie jest rozmowa, którą można prowadzić w mieszanym towarzystwie.

Towarzystwo się rozmieszało. Przez chwilę w powietrzu wisiało jeszcze napięcie, jakby uprzejmość była wystawiana na próbę. Panie zapewniały czarujące towarzystwo, ale teraz dżentelmeni chcieli, żeby sobie poszły i cieszyły się popołudniową herbatką, tak aby oni mogli kontynuować naukowe spotkanie i swobodnie rozmawiać.

Faith poczuła, że robi jej się ciężko na sercu, gdy krok za krokiem podążała za pozostałymi paniami. To jest twoja przyszłość – powiedział okrutny głos w jej głowie. Wychodzenie ze spotkań naukowych, w których nie wolno ci uczestniczyć.

W połowie długości korytarza jej uwagę zwróciły otwarte drzwi. Za nimi

znajdował się mały pokój, w którym pachniało kurzem i formaldehydem. Światło padające z wysokich okien odbijało się w oszklonych szafkach i w oczach wypchanych zwierząt. Gabinet osobliwości – ostoja badacza przyrody.

Faith spojrzała na Myrtle i pozostałe panie, z których żadna nie zwracała na nią uwagi. Poczła ogień rebelii i dobrze znany głos śpiewający w jej uszach. Jeżeli nie mogę siedzieć przy stole, to chociaż zgarzę okruchy.

Wślizgnęła się do małego pomieszczenia i po cichu zamknęła za sobą drzwi.

Chodziła po pokoju jak zahipnotyzowana, wpatrując się w jedną szafkę po drugiej. Motyle. Suche, rozpięte skóry jaszczurek i małych krokodyli. Papierowe pozostałości mięsożernych roślin z ciernistymi zębami lub pręcikami podobnymi do języków. Każda rzecz i każdy przedmiot były oznaczone małą, starannie wykaligrafowaną etykietą. Wypchana mangusta została na zawsze zamrożona w czarno-żółtych zwojach węża. Kolorem i wzorem łusek przypominał węża należącego do pastora. Faith poczuła się trochę zakłopotana. Kiedy zajrzała do eksponatów w największej szafce, poczuła dziwny ucisk w żołądku. Wypchany borsuk albinos czaił się między muchą zamrożoną w błyszczącej kropli bursztynu a ciężkim korzeniem przypominającym kształtem człowieka. W wielkim szklanym słoju unosiła się para połączonych ze sobą syjamskich prosiąt w bladym, wieczystym śnie.

Dziwotwórcy natury – widniało na głównej etykiecie.

To właśnie ja, pomyślała Faith, czując nagle, że jest jej niedobrze. Mały, kobiecy mózg, w który wtłoczono zbyt wiele. Może to właśnie o to chodzi. Może dlatego nie potrafię się powstrzymać przed szpiegowaniem i czajeniem się po kątach.

Faith właśnie wyszła z pokoju na korytarz, kiedy znowu pojawiła się Myrtle, zniecierpliwiona i zaciskająca usta.

– Cóż, u Boga, cię zatrzymało?

– Przepraszam, mamó. Zgubiłam się... – Faith ściszyła głos i z satysfakcją zauważyła, że irytacja matki zmienia się w pełną zmęczenia rezygnację.

– Nie ma czasu na pętanie się po korytarzach ani myślenie o niebieskich migdałach. – Myrtle wyprostowała nienagannie prosty kołnierz Faith jeszcze bardziej. – Te „damy” będą oceniały naszą rodzinę i ważne jest, żebyśmy zrobili dobre pierwsze wrażenie. Nie możemy okazywać zbyt wiele entuzjazmu, bo jeżeli pozwolimy na to, żeby poklepywały nas po plecach, jutro cała wyspa będzie się zachowywać tak samo. Protekcyjnie.

Faith podążyła za Myrtle i znalazła się w saloniku z zielonymi tapetami na ścianach, w którym kilka pań siedziało przy stole nakrytym srebrnym serwisem do herbaty. W kominku trzaskał ogień. W porównaniu z przyjemnym ciepłem sali z trofeami myśliwskimi było tutaj duszno i parno.

Na wiklinowym tronie przy kominku siedziała kobieta, której Faith wcześniej nie widziała. Miała wysokie, królewskie czoło i burzę zebranych w kok blond włosów. Była okryta kocami, co oznaczało, że prawdopodobnie jest niepełnosprawna.

– Proszę bardzo, wchodźcie panie, żeby mój człowiek mógł zamknąć drzwi. Miejsca przy kominku są najcieplejsze. Jestem Agatha Lambent. – Miała głęboki, przyjemny głos, ale każde zdanie żałośnie zapadało się w siebie, jakby przyciśnięte własnym ciężarem.

W sali z trofeami myśliwskimi dżentelmeni wreszcie zdejmą okowy ze swojej konwersacji. Podobnie tu, w saloniku, każda z pań mogła się w ciszy zrelaksować i stać się kimś bardziej realnym, cieszyć się przestrzenią, w której nie ma mężczyzn. Nie zmieniając się fizycznie, kobiety rozkwitły, otworzyły się jak kwiaty – albo noże.

Faith czuła, że jej matka szybko ocenia sytuację. Każdy miał swoje miejsce na niewidocznej drabinie. Nietrudno było się domyślić, że wyżej od ciebie są

książęta, a pokojówki – znacznie niżej. Były jednak tysiące szczebli, niektóre o nieznacznym różnicach wysokości, a Myrtle zawsze chciała ocenić poziom człowieka co do ułamka centymetra.

Spojrzenie niebieskich oczu Myrtle przemykało się szybko po pokoju i obecnych tam paniach. Pani Lambent mówiła bezbłędną angielszczyzną, tak jak i rodzina Sunderly, ale w wypowiedzianych pod nosem pozdrowieniach innych pań słychać było miejscowy akcent. Ich sukienki były dobrej jakości, choć nieco przestarzałe. Większość z nich miała na sobie pełne krynoliny o kształcie dzwonu – w stylu, który był modny kilka lat wcześniej. Z drugiej strony Myrtle miała na sobie najnowszy krzyk mody – półkrynolinę o płaskim przodzie.

Faith skrzywiła się wewnątrz, widząc, jak Myrtle płynie pewna siebie nad podłogą i rozdaje ukłony, które były wprawdzie uprzejme, ale nieco protekcyjne. Widziała, że jej matka mości sobie pozycję nieco niżej pani Lambent, ale nieznacznie wyżej od innych pań. Być może na wyspie wszystkie te damy pełniły ważne funkcje, ale nie zmieniało to faktu, że były one prowincjuszkami.

– Jakże to miło, że nas pani zaprosiła – powiedziała, podchodząc do pani Lambent. I jak miło, że przyszyliśmy – dodawała jej postawa i maniery w najśłodszych tonach.

Faith usiadła i próbowała się zanadto nie kręcić. Dzięki mocno zaciągniętemu gorsetowi czuła się nieco doroślej, ale trudno było usiedzieć bez ruchu, bo paski wciskały się jej w ramiona.

Myrtle była młodsza niż inne kobiety, ale nie podporządkowywała się ich opiniom. Wręcz przeciwnie, wysuwała kontrargumenty: „Aha, ale zawsze mi się wydawało, że w Londynie...” lub „Cóż, przypominam sobie, że kiedyś pewien dżentelmen z Londynu powiedział mi...” – przed małżeństwem mieszkała w stolicy i to była jej karta przetargowa.



Przestań, proszę – błagała ją w duchu Faith. Czy wszyscy muszą nas nienawidzić? A co będzie, jeżeli zostaniemy tu na lata? Tylko czarnowłosa panna Hunter była niewzruszona manierą Myrtle i przyglądała się jej rozbawiona, jak gdyby oglądała interesujący spektakl teatralny.

To nie jest moje miejsce – powiedziała sobie zdesperowana Faith. Ja nie należę do tego pokoju z herbatką, czepeczkami i ploteczkami...

Faith próbowała nie słuchać swojej matki ani szeleszczących, niechętnych szeptów w innych częściach pomieszczenia. Powiodła spojrzeniem wokół i zdała sobie sprawę, że pokój pełen jest religijnych ozdób – ksiązek do nabożeństwa, urywków z psalmów, różnych memento mori, takich jak porcelanowe czaszki i czarne wieńce. Być może choroba pani Lambent kazała jej skupiać się na tym, co będzie potem. Z pewnością, sądząc po ilości religijnych artefaktów, była zdeterminowana, żeby nie pójść do piekła.

– Faith! – Myrtle syknęła przez zaciśnięte usta.

Faith obudziła się z letargu i okazało się, że pani Lambent przygląda się jej z powagą swoimi dużymi oczami. Spłoniła się, zdając sobie sprawę, że pewnie ktoś zadał jej przed chwilą pytanie.

– Proszę wybaczyć Faith. Dziewczyna wciąż nie może dojść do siebie po wczorajszej podróży morskiej. – Myrtle obrzuciła córkę spojrzeniem, które dalekie było od wyrozumiałości.

– Na pewno była bardzo męcząca – zgodziła się panna Hunter. – Szczególnie jeśli – jak rozumiem – nie przywieźli państwo ze sobą swojej własnej służby? – Jej uśmiech był nieco zbyt słodki.

– Dom, który wynajęliśmy, ma pełną obsługę – odparła pospiesznie Myrtle.

– Oczywiście nie można państwa za to ganić! – Panna Hunter rozłożyła kształtne, pulchne dłonie. – Zawsze wynikają jakieś kłopoty, kiedy miesza się dwa zestawy służących – wiemy, jak lubią plotkować!

Filizanka Faith szcęknęła, uderzając o podstawkę. Słowa panny Hunter

brzmiały jak echo jej własnych podejrzeń. Rodzina Sunderly nie sprowadziła tu swoich służących, bo nie chciała, żeby wraz z nimi pojawiły się plotki.

– Mam nadzieję, że znajdzie tu pani wszystko, czego będzie jej trzeba – mówiła dalej przyjaznym tonem panna Hunter. – I my mamy tu swoje towarzystwo, a większość nowinek z Londynu prędzej czy później do nas dociera. Mamy nawet... londyńskie gazety. Przeważnie dzień później, ale wiadomości to nie mleko – trzymają się nieźle. – Mówiła suchym tonem, ale teraz słychać było w jej słowach zaczepkę. – Ja szczególnie lubię czytać „Intelligencera”. Czytuje pani tę gazetę, droga pani Sunderly?

– Wolę „Timesa” – stwierdziła Myrtle wyniośle, a jej łyżeczka rysowała pospieszne kręgi w filiżance.

Faith pochylała głowę, mając nadzieję, że na jej twarzy nie odmalowują się żadne uczucia. A już miała nadzieję, że na wyspę Vane nie dotrą żadne mroczne plotki o jej ojcu. Trudno jednak było nie domyślić się zawołanego znaczenia słów panny Hunter.

Faith spojrzała na matkę i zobaczyła, że policzki jej zbladły.

Matka wie. Oskarżenia przeciwko ojcu. Matka musiała wiedzieć o tym od samego początku.

Nie uprzedziliśmy wiadomości z „Intelligencera”. Podążały razem z nami aż na wyspę. Panna Hunter musi wiedzieć o skandalu... I wkrótce wszyscy się dowiedzą.

## ROZDZIAŁ 6

### Żółte oczy

Kiedy powóz Lambentów wiózł rodzinę Sunderly z powrotem do Zatoki Byka, Faith próbowała znaleźć w sobie odwagę. Musiała porozmawiać z ojcem. Musiała go ostrzec i powiedzieć, co mówiła panna Hunter, żeby wiedział, że cokolwiek się zdarzy, ona jest po jego stronie. Dla Faith torturą było patrzeć, jak sam musi znosić taki ciężar.

Kiedy w końcu dotarli do domu i Jeanne odebrała ich płaszcze i kapelusze, wuj Miles zapalił świeczkę i bawił się fajką, przygotowując się do codziennego spaceru.

Wielebny zatrzymał go przy drzwiach.

– Milesie, jeżeli wychodzisz na dwór, trzymaj się blisko domu. Dzisiaj rano kazałem ogrodnikowi porozstawiać wnyki.

Wuj Miles, kaszląc, wypluł z siebie olbrzymią ilość dymu.

– Erasmusie, czy to mądre? W ciemności... Jeżeli ludzie są nieświadomi niebezpieczeństwa...

– Nie sądzę, żeby pozwalanie nocnym intruzom na błąkanie się po naszej ziemi można było opisać jako „mądre” lub „bezpieczne” – odparował wielebny. – A teraz, jeśli mi wybaczyacie, muszę iść do wieży. – Wyszedł sztywnym krokiem do ogrodu.

Jakiś czas później pastor wrócił z niewielką drewnianą skrzyneczką w dłoni. Kiedy wszedł, otrząsając ziemię z butów, Faith zebrała się na

odwagę.

– Ojcze, czy...

– Mój drogi, mogłabym z tobą porozmawiać? – Myrtle odezwała się w tym samym czasie i jej głos zdusił pełne wahania słowa Faith. Na twarzy matki malowała się pewna ostrożność, jak zwykle, gdy chciała przedyskutować z mężem delikatny temat. – Jest coś, o czym chciałabym ci wspomnieć.

– To będzie musiało poczekać – odparł krótko wielebny. Spojrzał na skrzyneczkę w dłoni. – Wszystko będzie musiało poczekać. Jest to sprawa wymagająca mojej natychmiastowej uwagi – całej uwagi. Będę w bibliotece i pod żadnym pozorem nie wolno mi przeszkadzać. – Wielebny zaanektował bibliotekę na swój gabinet już pierwszego dnia i teraz była ona ziemią świętą.

Ojciec Faith do perfekcji opanował sztukę wypowiedzania zdań, które brzmiały jak wyrok śmierci, a jego decyzje były nieodwołalne. Drzwi biblioteki zamknęły się za nim na głucho. Właściwy moment przeminął.

Faith poszła do Howarda, żeby razem z nim zjeść kolację, a później pomogła mu w modlitwie i ułożyła go do snu, zastanawiając się, jak to się stało, że została jednocześnie guwernantką i nianią. Howard był senny, ale kleił się do niej, wyciągał ręce i obejmował ją za każdym razem, kiedy próbowała wyjść.

Kiedy gładziła go po głowie i układała do snu, bieg jej myśli przerwał ledwie słyszalny dźwięk. Z ciemności za oknem wydobył się krótki, ostry krzyk, podobny trochę do szczeknięcia lisa, a trochę – do głosu dziecka. Na dole otwierały się i zamykały drzwi. Słyszała stłumione rozmowy, okrzyki niepokoju i pospieszne kroki.

Faith wymknęła się z pokoju brata i pospiesznie zeszła na dół. W salonie znalazła matkę, wuja i panią Vellet pograżonych w rozmowie, którą prowadzili ściszymi głosami.

– Proszę pani, musimy posłać po lekarza... – nalegała pani Vellet.

– Nie mogę się na to zgodzić bez wiedzy męża... – Myrtle rzuciła nerwowe spojrzenie w kierunku biblioteki.

– Czy tego zabronił? – spytał wuj Miles. – Czy Erasmus w ogóle wie o tym, że na jego progu leży okaleczone dziecko?

– Zostawił instrukcje – bardzo jasne instrukcje – żeby mu nie przeszkadzać. – Ton Myrtle był przekonujący, czerpała siłę z argumentów brata. Wiedziała bowiem, że wuj Miles nie odważyłby się na to, by zaryzykować wybuch złości wielebnego. – Milesie... Czy jest jakaś szansa, żebyś ty...

– Myrtle, jeżeli miałbym pieniądze na lekarza, natychmiast bym po niego posłał, ale teraz po prostu nie mam żadnych funduszy.

– Pani Vellet... – Myrtle zwróciła się do gosposi. – Czy nie można by zabandażować chłopaka w kuchni?

– Tak, proszę pani. – Pani Vellet z trudem utrzymywała zwykłe opanowanie. – Ale możemy zrobić tylko tyle, nic więcej.

Kobiety były tak pogrążone w rozmowie, że nawet nie zauważyły, jak Faith wymknęła się do biblioteki.

Ojciec chciałby o tym wiedzieć. Oczywiście, że chciałby wiedzieć.

Zapukała. Po długiej chwili ciszy usłyszała cichutki dźwięk, który mógł być odchrząknięciem, lecz równie dobrze mógł być przytłumionym słowem.

Faith nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Lampy gazowe były skręcone tak, że ledwo co pełgały, ale mosiężna lampa do czytania rzucała drżącą aureolą światła. Ojciec siedział przy biurku, odchyłony w fotelu. Kiedy Faith weszła, nieznacznie odwrócił głowę w jej kierunku i zmarszczył brwi.

Faith otworzyła usta, żeby przeprosić, ale słowa zamarły jej w gardle. Ciało ojca, zawsze wyprostowanego jak trzcina, teraz było dziwnie przekrzywione. Nigdy nie widziała go tak bladego, wyglądał jak marionetka, której obcięto sznurki. Poczowała mrowienie na skórze.

W pokoju panował zapach wilgoci, ten sam zimny zapach, który zauważyła

w wieży. Teraz oplatał zimnymi palcami jej gardło, wżerał się w nerwy korzeni zębów i pełznął w kierunku tułowia i oczu. Powietrze było bez reszty wypełnione tym zapachem.

– Ojczy?

Jej własny głos brzmiał dziwnie, jak gdyby przykleiły się do niego gęsie pióra westchnień. Kiedy ostrożnie podchodziła do biurka, jej kroki tłumił ten sam dziwny, pierzasty puch. Ze wszystkich stron powietrze samo mieszało się w małych, bezgłośnych oddechach.

W luźnych palcach ojca drżało pióro, na papierze pod stalówką zbierała się plama atramentu. Zobaczyła kilka zdań skreślonych niewprawnymi, pokręconymi literami, zupełnie nieprzypominającymi zwykłego pisma wielebego.

Jego źrenice były maleńkie i nieprzeniknienie czarne. W świetle lampy wydawało się, że szarość jego oczu zamieniła się w błotnisty, nierówny odcień żółci. Kiedy Faith przyglądała się ojcu, plamki i kreski na jego tęczówkach wydawały się poruszać i obracać, jak moczarka na wodzie...

– Ojczy!

Oczy bez koloru skupiły się na niej, przez chwilę wzrok się wyostrzał. Później szczęka wróciła do zwykłego zaciętego wyrazu, a czoło zaczęło się powoli marszczyć.

– Wynoś się! – powiedział to szeptem tak zjadliwym, że Faith nigdy jeszcze nie słyszała u niego takiego tonu. – Wynoś się!

Faith obróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju, czując, że serce wali jej jak młotem.

– Faith! – W holu zjawiała się Myrtle. Widziała, że dziewczyna zamyka za sobą drzwi. – Czy twój tata skończył już pracę na dzisiaj? Dzięki Bogu. Muszę z nim porozmawiać.

– Nie! – Faith instynktownie odwróciła się plecami do drzwi.

Nie mogła poskładać w głowie tego, co przed chwilą zobaczyła, ale wiedziała, że chce utrzymać to w tajemnicy. Pamiętała opowieści o dziwnych, sekretnie palonych opiatach, których opary były jak okowy dla woli człowieka i zniewalały umysł. A jeżeli kłopoty ojca popchnęły go w kierunku opium, co wtedy? Przecież nie mogła go zdradzić. Dostyc już ma skandali i niepochlebnych spojrzeń.

– Ja... ja poszłam powiedzieć o chłopcu złapanym we wnyki – powiedziała pospiesznie Faith.

– Co on na to?

Faith zawahała się przez chwilę. Jedynym bezpiecznym rozwiązaniem było przyznać się, że została wyproszona z pokoju i nie dostała żadnej odpowiedzi. Poza tym była to prawda.

– Powinniśmy posłać po lekarza – usłyszała słowa, które same wymknęły się z jej ust.

Myrtle pospiesznie ruszyła do kuchni, żeby wydać polecenie pani Vellet, a na jej ładnej, zaokrąglonej twarzy widać było wyraźną ulgę.

Faith była oszołomiona własną bezczelnością. Jej kłamstwo na pewno wyjdzie na jaw. Pospiesznie poszukiwała jakiejś drogi wyjścia, ale nawet osoba tak doświadczona w wyplątywaniu się z niezręcznych sytuacji jak ona nie potrafiła wymyślić wyjaśnienia ani pretekstu. Nie umiała sobie wyobrazić, że staje przed ojcem i mówi mu, że w jego imieniu dała wydumane polecenie.

Ojciec musi zrozumieć – mówiła sobie. Gdybym postąpiła inaczej, ktoś mógłby odkryć, co robi, albo oskarżyć go o to, że pozwolił chłopcu się wykrwawić. Chronię go.

Jednocześnie pomyślała, że od teraz dzieli wraz z ojcem część jego tajemnic i sekretów, co wypełniło ją od wewnątrz maleńkim blaskiem.

Kilka minut później Faith wyrzała przez okno i zobaczyła wuja Milesa, służącego i panią Vellet pomagających wejść do domu jakiejś niewysokiej

postaci. Kiedy zbliżyli się na tyle, żeby oświetliło ich światło padające z okna, Faith zobaczyła twarz chłopca, który miał mniej więcej czternaście lat. Był straszliwie blady, policzki miał mokre od łez, a twarz – zmarszczoną z bólu. Materiał byle jak okręcony wokół kostki był poplamiony czymś ciemnym. Widok tego chłopca sprawił, że w sercu Faith zrodziło się jakieś zwierzęce współczucie.

Nie pozwolono jej wejść do kuchni. Siedziała w jadalni i słyszała przez ścianę, jak chłopiec płacze z bólu, słyszała też paniczną rozmowę toczącą się wewnątrz.

– ...Nie, trzymaj równo temblak!

– Pani Vellet... Wszystko jest we krwi. Krew kapie mi między palcami!

Zjawił się służący Prythe z tymczasowymi bandażami. Kiedy otworzył drzwi kuchenne, Faith zobaczyła przez mgnienie oka ranego chłopca leżącego na dywaniku przed kominkiem. Jeanne przyciskała zakrwawioną szmatę do jego kostki. Chłopak przeklinał przez zaciśnięte zęby, oczy miał zamknięte.

– Nie pozwolę na takie wulgaryzmy w mojej kuchni – powiedziała pani Vellet, kiedy zamykały się drzwi. – Co byś zrobił, gdybyś wykrwawił się teraz na śmierć i diabły zaciągnęły cię do piekła za te parszywe słowa?

Nie minęła godzina, kiedy pojawił się powóz doktora Jacklersa. Ukłonił się pani Sunderly i Faith, ale zamiast zwykłego uśmiechu na twarzy miał profesjonalnie zmarszczone czoło.

– Jak się czuje chłopiec? – spytał bez wstępów. – Mówicie, że jego stan jest poważny? No, mam nadzieję. Zostawiłem na stole kufel cydru z przyprawami i nie wybaczyłbym sobie, gdyby się zmarnował na byle skaleczenie. – Poprosił o laudanum, żeby złagodzić ból pacjenta, i kubek gorącej herbaty dla siebie, żeby rozgrzać się po podróży. – Nie lubię pracować drętwyymi palcami, a najlepiej człowieka rozgrzewa coś od wewnątrz.



Atmosfera w domu trochę się uspokoiła po przyjeździe lekarza. Jacklers wyłonił się z kuchni po godzinie, ręce miał umyte, a torbę lekarską starannie spakowaną.

– Jak się czuje to biedne dziecko? – zapytała łagodnie Myrtle.

– No cóż, zęby wnyków na szczęście przeszły obok kości, ale zrobiły dwie dziury w mięśniach łydki. Przemyłem rany i w miarę możliwości oczyściłem je z rdzy i brudu, a następnie zdezynfekowałem fenolem. – Doktor zdał sobie chyba sprawę, że Myrtle blednie, słysząc jego słowa, i zmienił temat. – Jest obandażowany i opatrzony, więc mogę go zabrać do domu – znam rodzinę Parrisów.

Po chwili Faith przypomniała sobie, skąd zna to nazwisko. Mężczyzna, którego spotkała w lesie i od którego uciekła, to Tom Parris, jak mówiła pani Vellet. Ranny chłopiec mógł być jego synem. Może cała rodzina lubiła zbierać przegrzebki.

Kiedy przyniesiono płaszcz lekarza, rozejrzał się i zmarszczył czoło – wydawał się lekko urażony. Faith zastanawiała się, czy przypuszczał, że jej ojciec wyjdzie, żeby się z nim przywitać.

– Z całego serca panu dziękuję, doktorze, że przyjechał pan do nas o takiej porze! – Myrtle obdarzyła go czarującym uśmiechem i wyciągnęła dłoń. Uraza doktora Jacklersa wyparowała jak rosa w porannym słońcu.

Znacznie później, kiedy wszyscy domownicy położyli się spać, Faith cicho wstała z łóżka i włożyła szlafrok. Bezgłośnie zeszła na dół i zajrzała do biblioteki przez dziurkę od klucza. Nie zobaczyła więcej niż półkę na książki i fragment podłogi, ale wewnątrz wciąż paliło się światło. Przycisnęła ucho do drzwi i usłyszała ciche skrobanie pióra o papier, od czasu do czasu jakieś pomruki i niemal niesłyszalne szuranie, które mogło być odgłosem przesuwania krzesła.

Faith poczuła falę ulgi. Wyobrażała sobie ojca leżącego na podłodze bez sił

i bez ruchu lub walczącego o oddech. Teraz obrazy te wyparowały i ujrzała oczami wyobraźni, jak siedzi przy biurku – żywy, w pełni sił umysłowych i zajęty pisaniem.

Objęła palcami gałkę u drzwi i już chciała ją przekręcić, ale się zawahała. Metal palił ją w dłoń. Nie mogła zapomnieć dziwacznie błędzącego wzroku ojca, szeptów chorobliwej atmosfery pokoju i jadowitości jego słów. Postanowiła więc po cichu wejść na górę, po czym wślizgnęła się do chłodnego łóżka.

Kiedy w końcu zasnęła, nawet sen nie przyniósł spokoju jej umysłowi. Śniła o tym, że przedziera się przez chłodny ogród pełen skutych mrozem drzew. W samym środku ogrodu natknęła się na olbrzymią kamienną głowę jej ojca, która wystawała nad ziemię, jak gdyby zakopano go po szyję. Oczy miał z barwionego na żółto szkła, a w ich głębi przesuwały się ciemne kształty, zasłaniając i osłabiając ich blask. Jego twarz była zarośnięta mchem, ale kiedy próbowała go zrywać, razem z mchem odrywały się również kawałki kamienia.

## ROZDZIAŁ 7

# Pełzający przymrozek

Umysł Faith był czujny, nawet kiedy spała. Pierwsze poranne odgłosy domu wyrwały ją ze snu i była na wpół obudzona. Słyszała gdzieś z daleka trzaśnięcie drzwi, chluśnięcie wody i odgłos klocków drewna staczających się ze stosu.

Owinęła się płaszczem i zeszła po cichu na dół. Zobaczyła, jak Jeanne podchodzi do biblioteki z zastawą do herbaty.

– W porządku, Jeanne – powiedziała Faith, próbując naśladować pewność matki. – Ja zaniosę tacę.

Jeanne spojrzała ze zdziwieniem na Faith, a później na drzwi. Faith widziała, jak ciekawość starszej dziewczyny wysuwa się na zewnątrz niczym kocie pazury.

– Tak, panienko.

Kiedy Jeanne odeszła, Faith podniosła tacę i wślizgnęła się do biblioteki, w której było niemal zupełnie ciemno. W pomieszczeniu wisiał ten sam chłodny zapach, ale teraz można było wyczuć w nim skisłą nieświeżość, przypominającą woń zgniłych pomarańczy. Faith postawiła tacę i pospiesznie podeszła do okna, żeby wpuścić tu trochę świeżego powietrza. Jeżeli to zapach opiatów, nie chciała, żeby ktokolwiek inny go poczuł. Światło słoneczne wsączało się do środka. Wielebny wciąż siedział na fotelu w tym samym ubraniu co poprzedniego wieczoru. Jego ciało pochyliło się do przodu

na blat biurka i Faith poczuła dreszcz paniki. Po chwili jednak zdała sobie sprawę, że słyszy oddech.

Na biurku leżały stosy otwartych książek i zapisanych skrawków papieru. Przybornik do pisania wielebnego i kufer podróżny były otwarte, a ich pilnie strzeżona zawartość – rozproszona po krzesłach, a nawet na podłodze. Na skraju półki na książki wypaliła się świeca i teraz widniała w tym miejscu poczerniała, wypalona blizna, a ku podłodze opadały woskowe stalaktyty.

Widzieć ojca śpiącego wydawało się niemal bluźnierstwem. Nawet we śnie na jego twarzy malowała się surowość kościelnych marmurów jakiegoś starożytnego sanktuarium. Był z kamienia, który nie poddaje się obróbce, a jego osady były w nim głęboko wyryte. Tam, gdzie on był, trzeba było stąpać ostrożnie i szeptać.

– Ojcze?

Wielebny zadrżał, a później powoli podniósł głowę.

Jego oczy były jak zwykle szare, ale spojrzenie miał odległe, jakby zamglone. Mgły podnosiły się jednak z niewiarygodną prędkością i po chwili jego wzrok był ostry jak szpada.

– Co ty robisz w tym pokoju?

Faith zamarła. Chwilę wcześniej miała wrażenie, że go chroni. Teraz sama myśl o tym wydała jej się dziecinna i wręcz arogancka.

– Jeanne przyniosła ojcu poranną herbatę. Ja pomyślałam... Pomyślałam, że ojciec nie chciałby, żeby wchodziła. Wydawało mi się... wczoraj wieczór, że ojciec jest trochę chory...

– Dałem wyraźne polecenie, żeby nikt tu nie wchodził! – Ojciec zamrugał powiekami i spojrzał jakby na wskroś Faith, marszcząc brwi, jak gdyby dziewczyna była słabej jakości teleskopem. Jego oczy w końcu wróciły do swojego zwykłego koloru szarości krzemienia. – Ja... nie jestem chory. Pomyliłaś się. – Wzrok mu się jeszcze wyostrzył. – Mówiłaś o tym komuś?

– Nie – Faith energicznie pokręciła głową.

– Czy ktoś jeszcze tutaj był?

– Chyba nie... – Głos Faith przygasał. Wzrok ojca zatrzymał się na czymś, a ona poszła za jego spojrzeniem i zobaczyła świeżą podpałkę przy kominku i wiaderko z węglem. Większość kominków zapalano o piątej rano. Widocznie któryś ze służących wszedł, żeby rozpałcić w kominku, znalazł śpiącego wielebnego i wyszedł, zostawiając to, co trzeba, by w kominku zapalić później, kiedy będzie na to czas.

Wielebny rozejrzył się po rozrzuconych wszędzie papierach, był wyraźnie zaniepokojony.

– Czy te papiery były rozrzucone, kiedy tutaj weszłaś? – spytał.

Faith skinęła głową i wielebny zaczął je zbierać, po czym wrzucał je do skrzynki na korespondencję. Na kilku stronach Faith zobaczyła pobieżne szkice atramentem, zatrzymała się, żeby na nie popatrzeć.

– Co to wszystko znaczy? – mrucał pod nosem. – Zasluguję na odpowiedź. Oddałem wszystko, co najcenniejsze, za odpowiedź! Jak można się zorientować w tym absurdzie?

Faith zaczęła mu pospiesznie pomagać. Szkice były dziwaczne i trudno je było rozróżnić. Jakieś zwierzę podobne do szczura opierało się łapkami o złamany, owalny kształt. Bestia przypominająca smoka unosiła głowę. Na wpół ludzka twarz o niskim czole patrzyła z kartki papieru z wrogością i nieufnością. Faith zobaczyła niewiele więcej, zanim ojciec wyrwał jej rysunki z rąk.

– Nie dotykaj ich! – rzucił nagle.

– Próbowałam tylko pomóc. – Desperacja Faith wygrała z ostrożnością. – Ja chcę tylko pomóc! Ojcze, niech ojciec mi powie, co się stało! Obiecuję, że nikomu nie powiem!

Ojciec patrzył na nią przez kilka sekund ze zdziwieniem, a później ujrzała

w jego wzroku zniecierpliwienie.

– Nic się nie stało, Faith. Przynieś mi herbatę i zostaw mnie, żebym mógł w spokoju pracować.

Odrzucenie bolało, tak jak zawsze. Nie miała na tyle grubej skóry, żeby było inaczej.

Faith zjadła w pokoju dziecięcym śniadanie składające się ze słabej, zimnej herbaty i jajek ugotowanych tak bardzo na miękko, że prawie płynęły. Była zaabsorbowana i półprzytomna po ciężkiej nocy i dopiero pod koniec posiłku zauważyła, że Howard ukradkiem znów przełożył w dłoniach widelec i nóż.

Kiedy Faith zeszła na dół, odważyła się wejść do jadalni i zajrzeć przez drzwi. Zobaczyła tam ojca pijącego herbatę z matką i wujem. Siedzieli nad resztkami śniadania. Ojciec był jak zwykle opanowany. Ręce mu nie drżały, kiedy przewracał strony gazety.

– A, jesteś, Faith. – Myrtle zobaczyła ją w drzwiach i gestem poprosiła do środka. – Musisz pojechać dzisiaj ze mną do miasta. Trzeba kupić ci nowe skórzane rękawiczki, bo tamte zgubiłaś, chociaż nie wiem, jak można być tak nieuważną!

Faith zaczerwieniła się i wymamrotała jakieś usprawiedliwienie.

– Bądź gotowa do drogi, gdy tylko się ubierzesz. – Myrtle rzuciła na męża nieco zaniepokojone spojrzenie. – Mój drogi... Jeżeli zobaczysz się dzisiaj z doktorem Jacklersem na miejscu wykopalisk, czy rozliczyłbyś się z nim?

– Z doktorem Jacklersem? – Wielebny przez chwilę przyglądał się żonie, jak gdyby była niezrozumiałym zawijaszem, który widzi pod mikroskopem. – Z czego się rozliczyć?

Faith zrobiło się ciężko na duszy i nagle zaczęła żałować, że nie przyznała się ojcu do wszystkiego już rano. Teraz było za późno. Za chwilę odkryją jej straszliwą bezczelność i to, że zdecydowała w imieniu pastora.

– Chodzi o honorarium za opatrzenie tego młodego chłopaka, który wczoraj

w nocy złapał się we wnyki. – Głos Myrtle zadrżał.

– Co takiego? – Wielebny zerwał się na równe nogi i rzucił płomienne spojrzenie w kierunku ogrodu.

– Powiedziałaś... że mamy posłać po lekarza. – Myrtle niepewnie marszczyła czoło, a jej wzrok padł na córkę.

Faith głośno przełknęła ślinę i popatrzyła ojcu prosto w oczy. Wyraz jego twarzy był trudny do odczytania, jakby zamglony. Gdzieś w środku wciąż przewalały się resztki burzy. Widziała, że jego myśli w cichości ducha zmierzają ku jakiejś konkluzji, ale nie potrafiła powiedzieć, co to będzie.

Powoli usiadł i rozprostował pomiętą gazetę.

– Kiedy posłałem po lekarza – zaczął chłodnym tonem – zakładałem, że rodzina chłopca poniesie koszty opatrunku. Nie widzę powodu, dla którego osoby naruszające czyjeś prawo powinny nas tak okradać, ale... Rzeczywiście zobaczę się z doktorem Jacklersem i wyrównam honorarium. Porozmawiam również z sędzią miejskim i upewnię się, że ta sprawa nie pozostanie poza granicami prawa.

Faith przysłuchiwała się tej rozmowie zszokowana, ale jednocześnie z poczuciem ulgi. Jakimś cudem burza przeszła obok. Jej ojciec stanął murem za jej wersją historii. Teraz Faith czuła, że dzielą nie tylko jeden sekret – że uczestniczą w swoistej zмовie. Nie do końca rozumiała, dlaczego i jak to się stało.

– A które to były wnyki? – spytał wielebny po chwili refleksji.

– Między drzewami, tuż za wieżą – odparł wuj Miles. – Erasmusie, mam nadzieję, że przesuniesz te wnyki, bo są na samym skraju stromego zbocza, które prowadzi na dno kotliny. Ktoś, kto by w nie wpadł, mógłby fatalnie upaść i skrzyć kark. A... wiesz, że nie do końca jest to zgodne z prawem.

Wielebny w milczeniu i ponuro kiwał głową, zatopiony w myślach, ale Faith nie była pewna, czy rady wuja Milesa do niego dotarły. Zastanawiała

się, czy w ogóle usłyszał cokolwiek oprócz słowa „wieża”.

Jeden z dżentelmenów z kręgu pana Lambenta uprzejmie zaproponował, że odda do dyspozycji Myrtle woźnicę i powóz na całe rano, żeby mogła „rozejrzeć się po mieście”. Kiedy pojazd się zjawił i okazało się, że to dwukółka, na twarzy Myrtle pojawiło się zdziwienie i lekka pogarda, ale już po chwili z powrotem królował na niej uśmiech. Myrtle usiadła obok woźnicy, a Faith musiała przycupnąć na wąskim siedzisku z tyłu i patrzyła, jak droga powoli rozwija się pod jej stopami.

Kiedy dwukółka wiozła Faith i jej matkę do miasta drogą wzdłuż wybrzeża, dziewczyna wciąż próbowała zrozumieć zachowanie ojca. Wiatr smagał ją po twarzy, aż Faith musiała trzymać rondo czepka, na niebie zaś układały się wzory z błękitów i szarości. Maleńkie kropelki i odpryski wody łaskotały policzki Faith i połyskiwały na jej rzęsach.

Małe portowe miasteczko stanowiło przyjemniejszy widok w świetle zamglonego słońca niż w dniu, kiedy rodzina Sunderly przybyła na wyspę. Część domów pomalowano na biało, pozostałe miały kolor żółtej ochry i żywych błękitów. Światło słoneczne odbijało się od sztyldów karczm i dzwonu wiszącego na maleńkim głównym skwerze miasteczka. Wszystko pachniało morzem.

Myrtle kazała woźnicy czekać na skwerze, po czym wdzięcznie zeszła z kozła, za nią podążyła Faith. Dzisiaj pelerynka, sukienka i czepki Myrtle były w niebieskim kolorze, ożywiając barwę jej oczu.

Na jednym z ładniejszych budynków tuż ponad wystawą sklepową widniały ryciny przedstawiające eleganckie czepki i rękawiczki. Sklep w środku był maleńki, ale jak spod igły. Na wiklinowych głowach manekinów widniało pięć lub sześć stylowych i eleganckich czepek. Wzdłuż marmurowej lady z dumą poukładano rękawiczki w różnych stylach, niektóre z guzikami na nadgarstku, inne krótkie i praktyczne, na co dzień.



Ekspedientka była niewysoką kobietą z dość dużym nosem i trudno skrywanym poczuciem własnej wartości. Uważnie słuchała, kiedy Myrtle wybierała styl rękawiczek, później znikła na zapleczu, żeby poszukać czegoś, co Faith będzie mogła przymierzyć. Kiedy jednak wróciła, w jej sposobie bycia dała się odczuć dziwna sztywność.

– Pani wybaczy, madame, ale chyba nie mamy akurat nic w rozmiarze pani córki.

– Nic? – Myrtle uniosła brwi. – To absurd! Moja córka nie przymierzyła choćby jednej pary rękawiczek.

– Madame, bardzo żałuję – powiedziała bez wahania ekspedientka – ale niestety nie mogę pani pomóc.

Kiedy Faith i Myrtle wychodziły na ulicę, dziewczynie wydawało się, że z tyłu sklepu słyszy jakieś entuzjastyczne szepty.

– Dziwaczne – rzuciła Myrtle, nie pochylając się nad tym głębiej. – Zastanawiam się, jak... O, popatrz, Faith. To dwie panie, które poznałyśmy wczoraj wieczorem.

I rzeczywiście, czarnowłosa panna Hunter szła energicznym krokiem po drugiej stronie ulicy tuż obok starszej kobiety o przyprószonych siwizną, kasztanowych włosach. Myrtle skierowała ku nim swój czarujący uśmiech i lekko dygnęła.

Wzrok panny Hunter spoczął na nich, a później ześlizgnął się jak kropla wody po wosku. Odwróciła się i rzuciła jakąś uwagę swojej współtowarzyszce, po czym obie kobiety ruszyły dalej, w ogóle nie zwracając uwagi na Myrtle i Faith.

– Nie widziały nas – powiedziała Myrtle lekko drżącym głosem. Wyglądała jak przerażone dziecko.

Faith poczuła kamień w żołądku. To już nie był lęk; to był najgłębszy strach przed nieuniknionym. Zostały zignorowane. W ten sposób traktowano ludzi

niegodnych spojrzenia i rozmowy. Wczoraj zaakceptowano je jako część „towarzystwa” na wyspie Vane. Coś musiało się zmienić, bo panna Hunter wiedziała, że zupełnie bezkarnie może je zignorować.

– Mamo... Możemy wrócić do domu? – Faith powiodła wzrokiem po ludziach na ulicy, zauważyła parę ukradkowych spojrzeń, ale ani jednej przyjaznej twarzy.

– Nie! – Myrtle naciągnęła głębiej czepek. – Skoro pokonałyśmy tę straszną drogę wzdłuż morza, mam zamiar zobaczyć, co tu się w ogóle dzieje w tym małym, zapyziałym miasteczku.

Modystka nagle zamknęła sklep, kiedy się zbliżały. Kobieta w ciastkarni była na tyle Francuzką, by nie móc zrozumieć Myrtle, lecz nie miała problemu ze zrozumieniem kogokolwiek innego. Mała aptekarka była tak zajęta, że nie zauważyła, iż czekają na obsługę.

– Proszę, mamo, możemy jechać do domu? – błagała Faith cichym głosem. Dziewczyna czuła na sobie dziesiątki szyderczych spojrzeń, które padały na nią jak niewidzialny grad.

– Faith, musisz zawsze tak jęczeć? – syknęła Myrtle, która była teraz różowa na twarzy.

W tym momencie Faith niemal znenawidziła matkę. Nie chodziło tylko o to, że Myrtle upierała się, żeby nie wycofywać się w obliczu poniżenia – chodziło o absolutną nieuczciwość jej odpowiedzi. Faith całe życie przeżywała protesty i skargi i była gorzko świadoma wszystkich tych uczuć, które towarzyszyły jej na co dzień. Oskarżenie o to, że jęczy, było tak niesprawiedliwe, że przez chwilę czuła, jakby nic nie ważyła i nagle zrobiła krok poza krawędź świata.

W miarę jak szły dalej, oczy Myrtle coraz bardziej jaśniały.

– Pójdziemy do kościoła – stwierdziła. – Mówiłam panu Clayowi, że być może przyjdziemy i wybierzemy sobie ławkę.

Dwukółka powiozła je w górę zbocza i wysiadły przed niewielkim kościółkiem. Okazało się, że jest pusty i Myrtle ruszyła w kierunku plebanii – niewielkiego, pochylego budynku, który powoli przytłaczany był przez ciężar pleniącego się wiciokrzewu.

W największym oknie wystawiono zbiór małych fotografii – niektóre były retuszowane kolorem. Budynek podejrzanie przypominał sklep. Faith zastanawiała się, czy Clay nie wykorzystuje swojego hobby, żeby trochę dorobić na boku.

Kiedy się zbliżyły, sam wikary otworzył im drzwi. Wydawał się niezwykle zdziwiony ich widokiem.

– Ja... Pani Sunderly... – Clay spojrział przez ramię, jak gdyby szukał wsparcia. – Czy zechciałybyście... Aaa... Wejść do środka? – Faith nie mogła nie zauważyć, że Clay wygląda na zakłopotanego. – Aaa... To mój syn, Paul.

Przed ojca wysunął się młodzieniec w wieku około czternastu lat i grzecznie zdjął z głowy czapkę. Oczywiście, był to chłopak, którego Faith zauważyła na terenie wykopalisk. Ciemnowłosy i szczupły, jak ojciec, miał gumowate usta, które mogłyby w niesprzyjających okolicznościach przybrać wyraz wściekłości lub nadąsania.

– Bardzo proszę, usiądźcie – powiedział Clay. – Eee... W czym mogę paniom pomóc?

– Przyjechałam, żeby zapytać o wynajęcie ławki w kościele – zadeklarowała Myrtle. – Ale... Szczerze mówiąc, panie Clay, jestem tu również dlatego, iż mam nadzieję zobaczyć wreszcie jakąś przyjazną twarz. –

W jej ogromnych niebieskich oczach było coś chwytającego za serce. – Dziś rano w mieście zostałyśmy źle potraktowane, a ja... Może to bardzo głupie z mojej strony, ale nie wiem... Niech pan będzie ze mną uczciwy, panie Clay. Czy zrobiłam coś strasznego, że wszyscy są poobrażani?

Faith wcisnęła paznokcie w skórę dłoni. Przed chwilą Myrtle była uparta

jak osioł, a teraz, w towarzystwie dżentelmena, stała się nagle drżąca, małą sarenką.

– O, pani Sunderly... Niech pani nawet nie dopuszcza takiej myśli!

Clay był już roztopiony. Dżentelmeni zawsze się roztopiają.

– Czy to z powodu tej strasznej historii z tym biednym chłopcem, który zranił się na naszym terenie? – spytała Myrtle.

– To... nie pomogło, pani Sunderly. Mój syn Paul mówił mi jednak, że młody chłopak ma się znacznie lepiej, niż się tego spodziewano.

– Może uda się uratować stopę – powiedział Paul bezceremonialnie. Jego szeroko osadzone, brązowe oczy pozostały poważne. Był mniej więcej w tym samym wieku co ranny chłopiec i Faith zastanawiała się, czy są kolegami.

– Jednak największy problem... – Clay zamilkł, po czym spojrzał niepewnie na Faith.

Myrtle zrozumiała jego wahanie i szybko zwróciła się do córki.

– Faith... Może chciałabyś obejrzeć fotografie pana Claya?

– No tak, na pewno! – Clay ucieszył się, słysząc tę sugestię. – Paul cię oprowadzi.

Faith pozwoliła się zaprowadzić na drugą stronę pomieszczenia sztywno uprzejmemu Paulowi. Na półkach nad kominkiem stały obramowane, pozowane zdjęcia – większość wielkości dłoni.

– Tu, na fotografii, jest taka sztuczka. – Paul pokazał obraz dwóch mężczyzn na wprost siebie, przy czym jeden siedział, grając na wiolonczeli, a drugi stał z uniesioną batutą, ubrany jak dyrygent. Kiedy Faith spojrzała raz jeszcze, zobaczyła, że mężczyźni są identyczni.

– Ten sam mężczyzna jest tu sfotografowany dwa razy. Nie widać nawet szwu w miejscu, gdzie obrazy zostały połączone.

Kolejne zdjęcie przykuło wzrok Faith. Z przodu stał mały chłopczyk, mniej więcej dwuletni, lecz za nim wyrastała ludzka postać w ciemnej szacie, tak że

była niemal niewidoczna na ciemnym tle.

– Niekiedy małe dzieci kręcą się albo płaczą, jeśli siedzą same, pozując do zdjęcia, a to sprawia, że portret jest nieostry. – Pokazał palcem na ciemny kształt. – Więc sadzamy za dzieckiem matkę, żeby je pocieszała, ale ukrywamy ją pod ciemnym materiałem.

Faith rzuciła spojrzenie na drugą część pokoju i zobaczyła, jak Clay wręcza Myrtle gazetę i wskazuje na konkretny tytuł. Myrtle nie mogła oderwać oczu od druku. Gazeta drżała w jej dłoniach.

„Intelligencer”. Faith już wcześniej zgadła, co musiało spowodować tak radykalną zmianę. Skandal otaczający jej ojca przybył na wyspę Vane drogą formalną.

– Popatrz do środka. – Jej myśli przerwał głos Paula. Pokazywał gestem niewielkie drewniane pudełko, a w środku lornetkę. Faith rozpoznała je natychmiast – był to stereoskop, sprytne urządzenie, które każdemu oku pokazywało nieco inną fotografię, dzięki czemu widok wydawał się trójwymiarowy. Odruchowo uniosła ją do oczu i zajrzała.

Kiedy obraz się zmaterializował, poczuła głęboki szok, jak gdyby ktoś uderzył ją w klatkę piersiową. Była to scena morderstwa w alejce, napastnik wymachiwał nożem nad unurzonym w krwi ciałem kobiety. Widać było długą ranę od splotu słonecznego po podbrzusze.

Faith powoli opuściła urządzenie. Była rozdygotana. Dotychczas obrazy stereoskopowe, które widziała, przedstawiały egzotyczne krajobrazy czy wydumane postaci wróżek, napełniających słodkimi snami głowy śpiących dzieci. Ten makabryczny obraz nie był czymś, co powinno się pokazywać „damom”.

Paul popatrzył jej w oczy trochę zbyt chłodno i nie odwracał spojrzenia. Rzeczywiście był wściekły, Faith była tego pewna, wściekły na całą rodzinę z powodu ran odniesionych przez przyjaciela. Postanowił więc dać upust

swoim odczuciom i przerazić kogoś, kogo najłatwiej przerazić – zwyczajną, porządną, nieśmiałą córkę Sunderlych. To była lekkomyślna, głupia złośliwość i wiedział, że będzie miał z tego powodu kłopoty. W jego oczach dostrzegła wyzwanie.

Nagle Faith też poczuła wściekłość – była zła na wyspę Vane, na głupotę zastawienia wnyków, na swoją matkę, na afronty, kręcenie nosem, szepty, sekrety i kłamstwa. Najbardziej zaś rozwścieczało ją to, że wiedziała, iż jeśli zaprze jej dech ze zdziwienia albo wypadnie obrażona z pokoju, albo namiesza, żeby Paul miał kłopoty, to w ten czy inny sposób chłopak wygra. Udowodni, że miał rację, że rzeczywiście jest nudną, porządną i nieśmiałą córką rodziny Sunderly i niczym więcej.

A zatem nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Zamiast tego się uśmiechnęła.

– Kiedyś pomagałam ojcu przy wypychaniu iguany – powiedziała cicho. – Musieliśmy zrobić właśnie takie nacięcie, zanim wyjęliśmy jej wnętrzności. – Kolejne sekundy były niebezpieczne i przepastne. Słysząc było cichy brzęk łamanych reguł.

Trudno było powiedzieć, czy Paul jest zdumiony jej reakcją. Pewne jest, że milczał przez parę dobrych chwil.

– Ja jestem przyzwyczajony do radzenia sobie z czymś trochę większym niż jaszczurka – powiedział w końcu. Przeszedł do kolejnej półki, a Faith podążyła za nim.

Jej wzrok przykuła jedna z kartek. Widniały na niej dwie fotografie, obie ukazywały tę samą ładną, młodą dziewczynę ze starannie zaczesanymi włosami. Na jednej dziewczyna miała zamknięte oczy, a podpis pod zdjęciem brzmiał: „Śpij głęboko”. Kolejna była podpisana: „Oczy szeroko otwarte”.

– Mój ojciec domalowuje oczy – powiedział Paul. – Jeśli rodzina chce, żeby wyglądali naturalnie.

Dopiero po sekundzie czy dwóch Faith zrozumiała, na co patrzy.

Dziewczynka ze zdjęcia była martwa i została sfotografowana na pamiątkę. Kochający krewni ułożyli ją starannie, tak by wyglądało na to, że po prostu odpoczywa.

Pozostałe zdjęcia należały do tej samej serii. Faith wiedziała już, czego szukać. Wiele z nich to portrety rodzinne, na których jeden z członków rodziny siedział bardziej niepewnie albo trzeba było go podeprzeć poduszkami, wsunąć krzesło pod plecy lub podać ramię.

Takich zdjęć nie robiono żadnemu ze zmarłych braci Faith. Pamiętano o nich dzięki innym pamiątkom, takim jak butelki na mleko, których nie wyrzucano, lub kosmyki włosów wszyte w kawałki materiału. Już jednak widziała kiedyś tego typu zdjęcie, przedstawiające kobietę, która na pozór spała spokojnie z książką na kolanach.

– Pomagam ich ustawiać – powiedział Paul. – Trzeba wybrać odpowiedni moment, kiedy nie są zbyt sztywni. – Wyraz jego twarzy był nienaturalnie uprzejmy. Twoja kolej, mówiły jego oczy.

– A jak ustawiałaś tego? – Faith wskazała na małe zdjęcie chłopczyka siedzącego samotnie, niepodpieranego przez nic i nikogo w pokoju z zabawkami, w rączce miał ołowianego żołnierzyka.

– To zdjęcie jest inne – zawahał się Paul. – Mój ojciec sfotografował tego małego chłopca... A później bardzo ostrożnie wyciął głowę, po czym wkleił ją na stare zdjęcie, na którym jestem ja. Zrobił mi swego czasu mnóstwo zdjęć, żeby w razie potrzeby móc zamieniać je na portrety martwych klientów.

– A masz egzemplarze oryginalnych zdjęć? – spytała Faith.

– Oczywiście, że nie. – Paul wzruszył ramionami. – Po co marnować papier albuminowy, jeżeli to nie dla klienta?

– A jak się czujesz – szepnęła Faith – kiedy wracasz do wspomnień, a na twoim miejscu jest ktoś martwy? Ja miałabym wrażenie, że znikam. Zastanawiałabym się, czy mój ojciec w ogóle chce mnie zapamiętać. Nie masz

nigdy koszmarów nocnych, że budzisz się i okazuje się, że nic z ciebie nie zostało, tylko jakiś nieboszczyk, który siedzi i ma na sobie cudzą twarz?

Zobaczyła, że Paul się wzdrygnął. Dotknęła bolesnego miejsca i ta świadomość bardzo ją uradowała.



## ROZDZIAŁ 8

# Plama na charakterze

Myrtle i Faith w milczeniu jechały z powrotem do Zatoki Byka. Kiedy wysiadały z dwukółki, obie zauważyły samotną postać stojącą tuż przy narożniku domu i chowającą się przed wiatrem. To był wuj Miles. Czoło miał zmarszczone, dłonią osłaniał fajkę. Przywołał je energicznym machnięciem ręki.

– Milesie! – krzyknęła Myrtle, kiedy do niego podchodziła. – Myślałam, że będziesz na wykopaliskach! Czy mój mąż wyjechał bez ciebie?

– Nie, co gorsza, już tam byliśmy. – Wuj Miles mówił przyciszonym głosem. – Pomyślałem, że powinienem cię złapać, zanim wejdiesz do domu. Była straszliwa awantura i teraz wszyscy chodzimy na paluszkach. – Uniósł znacząco brwi. – Pewne osoby wróciły z wykopalisk w okropnym humorze i niech nam niebiosy pomogą, jeśli ośmielimy się nawet pomyśleć zbyt głośno.

Faith poczuła, że sztywnieją jej kark i ramiona. Kiedy ojciec wpadał w ponury nastrój, trzeba było ścielić mu ścieżkę różami. Nie był człowiekiem gwałtownym, ale jeżeli podjął jakąś decyzję w momencie chłodnej wściekłości, trzymał się jej raz na zawsze.

Myrtle zrobiła krok naprzód i chwyciła brata pod ramię.

– Przejdźmy się trochę po okolicy, Milesie – mruknęła.

Faith poszła za wujem i matką na łąki, trzymała się na tyle blisko, żeby móc coś usłyszeć, i na tyle daleko, by mogli zakładać, że nie słyszy ani słowa.

– Myrtle, moja siostrzyczko – powiedział w końcu wuj Miles. – Uważam, że większość ludzi powiedziałyby, że jestem człowiekiem cierpliwym. Ale dzisiaj naprawdę moja cierpliwość została wystawiona na próbę. Na iście piekielną próbę.

– Co się stało na terenie wykopalisk? Dlaczego tak wcześnie wróciliście?

– Myrtle mówiła to spokojnym tonem, jak gdyby już zgadywała, jaka jest odpowiedź.

– Rano nie przyjechał po nas żaden powóz. W końcu musieliśmy zapłacić jakiemuś człowiekowi, żeby nas podwiózł swoim. A kiedy przyjechaliśmy, nie dopuszczono nas do pracy! Po wszystkich listach deklarujących, że muszą mieć u boku wielkiego wielebnego Erasmusa Sunderly’ego, wyprosili nas ze swoich drogocennych wykopalisk! Co gorsza, na ścieżce stanęli ich robotnicy i brygadzysta Crock. Lambent nawet nie wyszedł, żeby z nami porozmawiać.

– Czy to mogło być jakieś nieporozumienie? – spytała Myrtle, lecz w jej głosie nie było nadziei.

– No cóż, próbowałem to zasugerować, ale wielebny nie chciał słuchać. Na wykopaliskach dano mu list, a kiedy go przeczytał, trudno było z nim dyskutować. Upierał się, że pójdzie do Paints, wyrąbie dziurę w ich drzwiach, a później zostawi wiadomość tak jednoznaczną, że nie zdziwiłbym się, gdyby Lambent napuścił na niego prawnika za zniesławienie. Myrtle, wiesz, że zawsze robię, co w mojej mocy, ale kiedy próbuję uspokoić sytuację i nie dolewam oliwy do ognia, twój mąż wyrywa mi tę oliwę z rąk i rozlewa ją na moście, żeby go za sobą spalić.

Faith w milczeniu szła za nimi, potwornie wściekła na to, jak potraktowano jej ojca. Jednego dnia był gościem honorowym, wszyscy mu się kłaniali w pas i prawili komplementy. A następnego dnia wyrywano mu dywan spod nóg.

– Na wyspie są egzemplarze „Intelligencera” – mruknęła Myrtle.

– To wszystko wyjaśnia. – Wuj Miles westchnął głęboko. – A jednak

oceniać kogoś bez wysłuchania jego wersji... – Pokręcił głową. – Lepiej powiedz Erasmusowi o „Intelligencerze”, bo teraz wbił sobie do głowy, że historia wyszła na jaw z winy służących, którzy węszyli i plotkowali. Ilu ludzi o tym usłyszało?

– Wszyscy. – Głos Myrtle lekko zadrżał. – Dzisiaj rano w mieście wszyscy odwracali się do nas plecami.

– W Kent byłoby sto razy gorzej – odparował wuj Miles, próbując bronić ich decyzji. – Choć twój mąż oczywiście nie widzi tego w ten sposób. Zrobiłem, co mogłem, żeby pomóc swojej rodzinie uciec od złego losu, Myrtle, ale jeśli usłyszałabyś ton głosu Erasmusa, pomyślałabyś, że to ja zwabiłem was na tę wyspę z jakimś złośliwym zamiarem.

– On wcale tak nie uważa – odparła pośpiesznie Myrtle.

– Erasmus nigdy nie mówi czegoś, czego nie ma na myśli – powiedział wuj Miles. Było słyhać, że rzeczywiście jest poirytowany. W przeciwieństwie do siostry nie był skłonny poddawać się depresji i napadom złego humoru. Przez większość czasu jego dobroduszość była czymś w rodzaju miękkiej poduszki i obraźliwe słowa po prostu się od niej odbijały. Jednak gdy cierń utkwiał już w jego skórze, zostawał tam na zawsze.

– Musimy wyjechać z wyspy Vane, Milesie. – Myrtle poprawiła biały szalik, żeby ochronić gardło. – Jechać jeszcze dalej, choćby do Europy. Muszę cię poprosić, żebyś i ty go w tym utwierdzał.

– Nie gniewaj się, Myrtle, ale teraz mam wrażenie, że twój mąż powinien mnie przeprosić za to, co zrobił – odparł sztywno jej brat. – A ja założyłbym się o dziesięć gwinei, że wcale nie ma takiego zamiaru. Dopóki tego nie zrobi... – Wuj Miles westchnął ciężko i uniósł ramiona, a później znów je opuścił, jakby pozwalając na to, by spadł z nich ciężar odpowiedzialności.

Nawet bez ostrzeżenia wuja Faith wiedziałyby, że gdy tylko przekroczą próg domu, zacznie się zbierać na burzę. Ludzie o spokojnym charakterze często

mają dobre wyczucie pogody, którego brakuje hałaśliwym. Wiedzą, kiedy zmieni się wiatr, i drżą z chłodu, czując niewypowiedziany żal.

Tym razem to pani Vellet, a nie Jeanne, przyszła odebrać ich czepki i pelerynki.

– Pani Sunderly, czy mogłabym prosić panią na słówko? – Głos gospodyni był przyciszony, ale dobitny. – Niech pani mi wybaczy, ale to bardzo ważna sprawa.

Myrtle westchnęła ciężko i przygładziła włosy.

– Dobrze, ale najpierw niech pani każe przynieść nam do salonu herbatę. Jestem w stanie znieść wiele, ale bez herbatki będzie trudno.

Chociaż widać było, że wymaga to od niej wiele wysiłku, pani Vellet powstrzymała język do momentu, w którym Faith i Myrtle siedziały w salonie, a między nimi stała zastawa do herbaty. Wtedy w końcu Myrtle skinęła głową.

– Madame, Jeanne Bisette to dobra dziewczyna. Porządna, ciężko pracuje. Czasami robi głupstwa i bywa lekkomyślna tak jak wszystkie dziewczyny w jej wieku, ale służy w tym domu, odkąd skończyła trzynaście lat, i nigdy nikt nie powiedział złego słowa o jej uczciwości. Madame, dziewczyna przyznaje, że ta gazeta była jej własnością, ale to nie jest żadna zbrodnia...

– Pani Vellet! – przerwała Myrtle, a jej oczy robiły się coraz większe. – O czym, na Boga, pani mówi? Czy Jeanne skarży się na to, jak ją traktujemy?

Pani Vellet wzięła głęboki oddech, założyła ręce na piersi i z wyraźnym trudem próbowała się uspokoić.

– Madame... Pani mąż jest przekonany, że ktoś przeszukiwał jego dokumenty. Na jednym z listów jest maleńka smuga... – Poruszyła niecierpliwie głową. – Dla mnie to wygląda tak, jak gdyby na list spadła kropla wody, ale wielebny jest absolutnie przekonany, że tę wodę rozmazał mokry palec.

Faith poczuła nagle falę gorąca. Miała nadzieję, że nikt nie odkryje jej

tajemnicy. Ale nie, ojciec to zauważył. Była pewna, że jest czerwona jak piwonia.

– Upierał się, żeby wszyscy służący pokazali dłonie. Jeanne myła akurat ręce pod pompą za domem, więc na nią padło podejrzenie.

Pierwsza fala paniki odpłynęła. Serce Faith zwolniło na tyle, żeby mogła jasno pomyśleć i zrozumieć, co mówi gospodyni. Jej samej nikt nie podejrzewał. Ojciec znalazł dowody zbrodni, ale nie połączył ich z nią.

– No i co, miała atrament na rękach? – spytała Myrtle.

– Tak, proszę pani, ale to nie był atrament z pióra. To był tusz z gazety. – Pani Vellet spuściła oczy i zaczęła niespokojnie wiercić się na fotelu. – Kiedy dziewczynę o to spytano, sięgnęła do kieszeni i od razu podała gazetę. Mówi, że znalazła ją w mieście. Wie, że powinna ją była zostawić tam, gdzie leżała, ale była ciekawa i miała nadzieję przeczytać ją po pracy.

Nastąpiła chwila wyrazistej ciszy, podczas której pani Vellet nie wspomniała, dlaczego Jeanne była ciekawa, co znajdzie w gazecie, a Myrtle nie zapytała. Faith nie miała problemu z czytaniem między wierszami ani ze zgadnięciem, jaka to była gazeta.

– Kto teraz ma tę gazetę? – spytała Myrtle.

– Pani mąż ją skonfiskował – odparła gospodyni.

– Będę pamiętała o tym, że ma pani dobre zdanie o Jeanne – powiedziała Myrtle nieco zmęczonym tonem – ale uważam, że sama powinnam z nią porozmawiać i zdecydować, co trzeba zrobić. Proszę ją do mnie przysłać, gdy tylko będzie można ją oderwać od pracy.

– Pracy? Madame, pani mąż ją zwolnił! Dziewczyna pakuje rzeczy, powiedziano jej, że musi opuścić ten dom jutro rano.

Tylko Faith, która znała matkę bardzo dobrze, zobaczyła, że Myrtle sztywnieje i próbuje nie zareagować. Prowadzenie domu i zarządzanie służbą należało do jej obowiązków. Wielebny spodziewał się, że żona będzie

wykonywała jego życzenia, ale nigdy przedtem tak bezwzględnie nie wkroczył na jej terytorium.

Faith czuła, że drżą jej ręce. Wina, która powinna ją obciążyć, przytłoczyła kogoś innego. Nieuważnie postawiła filiżankę na spodeczku i gorąca herbata wylała się na jej nadgarstek i sukienkę.

– O... Faith. – W głosie Myrtle słychać było zniecierpliwienie i zdenerwowanie. – Ty głupia, niezdarna dziewczyno. Idź się przebrać, a później... Idź, poczytaj katechizm.

Faith zeszła na kolację w świeżo wypranej niebieskiej sukience. Czystość ubrania sprawiła, że dziewczyna poczuła się jeszcze gorzej, niczym list napisany trującym atramentem w czyściutkiej, świeżej kopercie.

Sama myśl o tym, że powie ojcu prawdę, napełniała ją bezbrzeżną paniką. Jeżeli ojciec wykluczy ją ze swojego życia, słońce zrobi się czarne, a jej marzenia obrócą się w pył. Potrzebowała tej odrobiny nadziei na to, że kiedyś zdobędzie jego szacunek, uwagę i miłość. Nie mogła znieść myśli o tym, że straci je na zawsze.

Jeanne może znaleźć sobie inne miejsce – mruczał zdesperowany głos w jej głowie. A ja nie mogę znaleźć innego ojca.

Od razu stało się jasne, że kolacja odbędzie się w grobowej atmosferze. Wuj Miles zgodził się wrócić do domu, ale poprosił, żeby przyniesiono mu posiłek do pokoju.

Ojciec Faith spóźnił się na kolację, wszedł do jadalni na sztywnych nogach, miał stalowe spojrzenie i milczał. Nie był jednak bardziej spóźniony niż sama kolacja. Rodzina siedziała przy stole przez pół godziny, zanim pojawiło się pierwsze danie.

Przyniosła je przerażona młoda dziewczyna, której Faith nigdy przedtem nie widziała. Nowa miała strach w oczach, zadanie niemal ją oślepiło. Wylewała zupę na obrus za każdym razem, kiedy próbowała nalać ją chochlą na talerz.

Kiedy rękawem zepchnęła łyżkę Myrtle ze stołu, przestraszyła się tak bardzo, że przewróciła dzbanek ze śmietaną. Wielebny musiał gwałtownie odsunąć krzesło, żeby uciec przed nadpływającą falą.

– To nie do przyjęcia! – mówił niezbyt głośno, ale tak lodowatym tonem, że jego słowa przecinały inne dźwięki jak stalowe ostrze. – Czy to dziecko to miejscowy imbecyl, a może ktoś przywlókł tu osła na tylnych nogach i zawiązał mu fartuch?

W oczach dziewczyny były łzy, kiedy próbowała zetrzeć śmietaną ze stołu fartuchem.

– Wystarczy. Tylko pogarszasz sprawę. – W głosie Myrtle było nieco łagodnego zniecierpliwienia. – Idź zmienić fartuch i każ pani Vellet przynieść nowy obrus. – Dziewczyna skorzystała z szansy i uciekła z pokoju.

– Jest beznadziejna – stwierdziła Myrtle lekkim, kruchym tonem – ale nic lepszego nie mogliśmy znaleźć w tak krótkim czasie. Zastanawiam się... – Zwiesiła głos i Faith zobaczyła, że jej schludny koronkowy kołnierz unosi się nieco w górę i opada, jak gdyby matka przełykała ślinę. – Zastanawiam się, czy nie warto byłoby zatrzymać Jeanne troszkę dłużej tylko po to, by oszczędzić sobie takich prób.

– Odchodzi rano – stwierdził wielebny tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– A jednak szkoda... Szkoda, mój drogi, że nie dałeś mi szansy porozmawiać z dziewczyną. Może załatwiłabym to na swój sposób...

Ojciec Faith nagle trzasnął nożem i widelcem, rzucając je na stół obok talerza, i utkwiał rozwścieczony wzrok w żonie.

– Być może tak bym zrobił, gdybym dostrzegł jakiś dowód twoich umiejętności i kompetencji w radzeniu sobie z tą sprawą! Wydawało mi się, że dorastasz do zadania zarządzania domem, ale widzę teraz, że obdarzyłem cię zbyt wielkim kredytem zaufania. Dom powinien być dla mężczyzny miejscem, w którym może czuć się bezpieczny, gdzie może być panem sytuacji i o nic nie

musi walczyć. Czy proszę o zbyt wiele? Zamiast tego zimne ochłapy na kolację podają mi jacyś niedomyci służący, którzy są niezdarni, wszystko rozlewają, trzaskają drzwiami i nie okazują mi najmniejszego szacunku. Jestem nękanie i poniżany w miejscu, w którym moje życzenie powinno być prawem.

Niebieskie oczy Myrtle zrobiły się wielkie, a później spuściła wzrok. Jej twarz powoli oblał rumieniec, a nóż, który trzymała w ręce, lekko drżał.

– Ja... Jest mi bardzo przykro, kochanie – mruknęła niemal niedosłyszalnie.

– Wiem niestety, że kobieta ma pewne ograniczenia – mówił dalej z goryczą wielebny. – Niemniej jednak słyszę, że innym żonom udaje się utrzymywać służbę w jako takim porządku i nie pozwalać na to, żeby ich dom zamieniał się w upokarzającą ruinę. – Wstał nagle, rzucił serwetkę na stół i wyszedł z jadalni.

Faith była rozdarta wewnątrz, tak jak zawsze, kiedy ojciec zwracał się do matki w ten sposób. Chciała być po stronie ojca i bolało ją, że współczucie ciągnie ją do matki. Niemal fizycznie odczuwała obecność czekających po drugiej stronie drzwi ludzi, którzy cieszyli się poniżeniem Myrtle. Jej matka niewątpliwie też zdawała sobie z tego sprawę.

Myrtle udała się do swojego pokoju, skarżąc się na migrenę. Ślady krwawej jatki na stole w jadalni zlikwidowano, a talerze odniesiono do pomywalni.

Wychodząc z jadalni, Faith usłyszała ciche łkanie. Wydawało jej się, że dochodzi od strony schodów dla służby tuż obok kuchni. Wyjrzała za róg i kątem oka zobaczyła Jeanne skuloną u stóp schodów, łkającą histerycznie. Młoda posługaczka wyglądała na oszołomioną. Napuchnięte od płaczu były nie tylko jej oczy, lecz nawet usta.

Faith schowała się za róg. To jednak nie wystarczyło. Jeanne Bisette w jej oczach nie była już ładną, pewną siebie młódką pogardliwie patrzącą na świat. Teraz widziała tylko nieco starszą od siebie dziewczynę, która wyglądała jak spoliczkowane dziecko. Może wcale nie tak łatwo było znaleźć



nową pracę. Może Jeanne nie miała dokąd iść.

## ROZDZIAŁ 9

# Wyznania

Nie mogę. To niemożliwe.

A jednak Faith znalazła się tu z własnej woli, stała przed drzwiami biblioteki z jedną ręką uniesioną w górę, gotowa, by zastukać.

Było jej niedobrze, kręciło jej się w głowie, szukała desperacko powodu, żeby uciec. Faith próbowała sobie wyobrazić, że spogląda na nią Bóg, że chce, żeby poszła szlachetną ścieżką. A jednak w jej wyobraźni Bóg miał twarz ojca. Nawet teraz ta głupia część jej mózgu czuła, że jeżeli ojciec się nie dowie, co zrobiła, Bóg też nie będzie miał o tym pojęcia i wtedy będzie to naprawdę ciężki grzech.

Faith zastukała. Już nie było odwrotu.

Drzwi otworzyły się z impetem i ukazał się w nich jej ojciec. Kiedy zobaczył Faith, wyraz irytacji na jego twarzy nieco osłabł. Widocznie spodziewał się kogoś innego.

– Faith. Coś się stało?

– Tato... Muszę z tatą porozmawiać. – Wypowiedziała to szybko, tak by nie stracić raz jeszcze odwagi.

Jej ojciec patrzył na nią przez sekundę, po czym kiwnął głową, pozwalając jej na rozmowę.

– Dobrze – powiedział i przepuścił córkę w drzwiach, a potem zamknął je za nią. – Siadaj, Faith.

Usiadła niepewna, czy łagodny głos jej ojca powinien ją uspokajać, czy wręcz przeciwnie – wpędzić w nerwowość.

– Chyba wiem, o czym chcesz rozmawiać. – Ojciec usadowił się za biurkiem. Faith poczuła, że sporo złości już z niego wyparowało. Teraz wydawał się po prostu poważny i zmęczony. – Wciąż niepokoisz się o moje zdrowie, prawda? Boisz się, że jestem na ciebie zły, bo weszłaś do mojego gabinetu bez zaproszenia. – Spojrzenie, które jej rzucił, wcale nie było niemiłe.

Faith przełknęła ślinę i nic nie powiedziała. To rzeczywiście ją niepokoiło, ale nie to przecież było najważniejsze.

– Przede wszystkim nie musisz się niepokoić o moje zdrowie – mówił dalej jej ojciec. – Jak już mówiłem, myliłaś się. Nie byłem wczoraj wieczorem chory, po prostu zmęczony i zbyt zaabsorbowany pracą, by poświęcić ci dostatecznie dużo uwagi. A jeżeli chodzi o wtargnięcie do mojego gabinetu... – Złożył dłonie i popatrzył na córkę z powagą. – Postąpiłaś źle i będę bardzo rozczarowany, jeśli jeszcze kiedykolwiek tak zrobisz. A jednak jestem skłonny uwierzyć, że nie chciałaś okazać mi braku szacunku ani nie miałaś złych intencji. Pominę milczeniem ten incydent, Faith. Więcej o tym nie będziemy rozmawiać.

Skinął głową i widać było, że czeka, aż Faith wyjdzie z pokoju. Mimo to tkwiła na krześle, czując się coraz bardziej głupio.

– Masz mi jeszcze coś do powiedzenia? – Już wziął do ręki pióro i otworzył notes, co wyraźnie oznaczało, że powinna wyjść.

– Ojczy... – Obraz przed oczami Faith podskakiwał w górę z każdym uderzeniem serca. – Ja... Ja... Ja zrobiłam plamę na tym liście.

Pióro zostało odłożone. Książka została zamknięta.

– Coś ty powiedziała? – Już nie patrzył na nią tak sympatycznym wzrokiem.

– To nie Jeanne. To ja... To ja zrobiłam. – Faith nie miała pojęcia, czy

w ogóle słychać jej głos.

Ojciec przyglądał się jej przez kilka długich sekund.

– Ten list był w mojej skrzyni od momentu, kiedy wyjechaliśmy z Kentu. – Pastor wstał z fotela. – Czy chcesz powiedzieć, że specjalnie otworzyłaś moją skrzynię?

– Bardzo mi przykro – zaczęła znów Faith.

– Miałaś czelność grzebać w moich papierach? Czytałaś list? Co jeszcze przeczytałaś?

– Tylko list! – zarzekała się Faith. – Ja... Tylko rzuciłam okiem na inne dokumenty. Przepraszam, nie powinnam była, ale nie wiedziałam, co mam robić! – Frustracja dodała siły jej głosowi. – Wiedziałam, że jest jakiś straszny powód, dla którego wyjeżdżamy z Kentu, ale nikt nie chciał mi powiedzieć, o co chodzi! Ja tylko chciałam wiedzieć!

– Co? Próbujesz usprawiedliwić swoje zachowanie? – Jej ojciec trząśł się teraz z gniewu. – Nie! Ani słowa. Milcz i słuchaj. Najwyraźniej znów muszę cię osądzić. Myślałem, że jesteś posłuszną córką, że masz uczciwe serce i wiesz, co jesteś winna starszym i lepszym od siebie. Nie sądziłem, że jesteś zdolna do takiego łgarstwa i oszukańczego zachowania. Widać z tego, że pozwolono na to, by twój charakter niebezpiecznie zszedł na manowce. Uczciwość jest godna pochwały u mężczyzny, ale u kobiety jest niezbędna, jeśli ma ona zostać kimś wartościowym. Posłuchaj, Faith. Dziewczyna nie może być dzielna czy mądra ani posiadać umiejętności, jakie posiada chłopiec. Jeżeli nie ma dobrego charakteru, jest nikim, rozumiesz?

Faith poczuła, jakby otrzymała cios w głowę. W głębi jej serca tliła się iskierka, maleńka nadzieja na wyrozumiałość. Nawet teraz, kiedy przyglądała się jej marnym resztkom, wiedziała, że musi błagać o wybaczenie. A mimo to nie mogła się na to zdobyć.

– Ale ja jestem mądra – nie powiedziała tego głośno, ale słowa

wybrzmiały wystarczająco wyraźnie. I usłyszała, że wychodzą z jej własnych ust.

– Co ty powiedziałaś?

Siedem lat przeżykanych myśli nie dało się teraz uciszyć.

– Jestem mądra! Zawsze byłam mądra! Wiesz, że tak jest! Sama nauczyłam się greki! Wszyscy mówią o Howardzie, jaki to on będzie bystry, ale ja w jego wieku czytałam już *Wędrowkę pielgrzyma* i *Historię Anglii dla dzieci*, uczyłam się łacińskich nazw roślin w ogrodzie! Howard nie potrafi wysiedzieć na tyle długo, żeby przeczytać bajeczkę!

– Jak śmiesz! – przerwał jej ojciec, stając przed nią. – Jak śmiesz podnosić na mnie głos! Jak śmiesz mówić o sobie w ten bezczelny i arogancki sposób! Gdzie się nauczyłaś tej uderzającej próżności? Czy to jest moja nagroda za to, że pozwalałem ci wchodzić do mojej biblioteki? Postradałaś rozum czy tylko poczucie wdzięczności? Czy uważasz, że jesteś właścicielką ubrań, które nosisz, dachu nad głową i pożywienia, które przed tobą stawiają? Nie. Nie jesteś. Każde dziecko zaczyna życie jako dłużnik swoich rodziców, którzy je ubierają, karmią i dają mu dom. Syn może pewnego dnia spłacić ten dług, stając się kimś w świecie i pomnażając fortunę rodziny. A jako córce nigdy ci się to nie uda. Nigdy nie będziesz służyła z honorem w wojsku, nigdy nie wyróżnisz się w nauce ani nie wyrobisz sobie nazwiska w Kościele czy parlamencie, nie będziesz mogła się utrzymać z pracy jako specjalista. Będziesz zawsze tylko ciężarem, będziesz sięgać do mojego portfela. Nawet jeżeli wyjdiesz za mąż, twój posag uczyni uszczerbek w majątku rodziny. Z takim lekceważeniem mówisz o Howardzie, ale jeżeli nie wyjdiesz za mąż, któregoś dnia będziesz musiała oddać się na łaskę i niełaskę jego dobrego serca albo znajdziesz się bez dachu nad głową.

Faith trudno było znaleźć słowa. Czuła, że nie może złapać tchu. Gorące łzy toczyły się po jej policzkach. Oczami wyobraźni widziała plażę zalaną

słońcem, na której znalazła skamielinę – swoją pierwszą skamielinę. Słońce zniknęło za ciemnym woalem chmur, jej ojca nie było, a mała dziewczynka chodziła sama, potykając się, w rączce miała odłamany kawałek skały.

– Córka, aby zrekompensować zaciągnięty dług – powiedział wielebny już ciszej – może trzymać się ścieżki obowiązków, wdzięczności i pokory. Chyba mogę tego oczekiwać jako ojciec, prawda?

Unosząc rękę do twarzy, aby uciszyć łkanie, Faith skinęła głową. Znienawidziła się za to, że kiwa głową. Ale światło na plaży gasło.

Jej poczucie własnej wartości zderzyło się właśnie czołowo z miłością, a takie zderzenia kończą się zawsze w jeden sposób. Miłość nie walczy uczciwie. W tym momencie jej duma, głęboka świadomość, że ma rację, a nawet poczucie tego, kim jest, nic nie znaczyły, bo stanęła twarzą w twarz z perspektywą tego, że nie będzie kochana.

Ojciec Faith wrócił do swojego biurka i odwrócił się do niej plecami, nerwowo rozrzucając papiery. Wykorzystała ten moment, aby drżącą ręką wyciągnąć chusteczkę i wytrzeć twarz. Miała wrażenie, że ktoś jej wyrwał wnętrze. Wszystkie te uczucia i myśli, które tłumiła przez lata, nagle wyrwały się na wolność... I zostały stłamszone z apokaliptyczną bezwzględnością. Nie wiedziała już, co czuje.

Z trudem dostrzegła, że jej ojciec przestał mieszać w dokumentach. Wziął do ręki kartkę papieru i przyglądał się jej uważnie.

Minęło kilka sekund, a później wielebny wyciągnął krzesło zza biurka i przesunął je w kierunku Faith. Usiadł na nim tak, że dzieliło ich tylko kilkanaście centymetrów. Wciąż nie wiedział, jak zareagować na jej łzy.

– Faith. – W jego głosie nie było już zimnej energii. – Naprawdę jest ci przykro, że tak się zachowałeś, prawda?

Faith znów skinęła głową.

– Ale to z głupoty czy to naprawdę dlatego, że się o mnie niepokoiłeś

i chciałaś mi pomóc?

– Tak! – udało jej się wydusić z zaciśniętego gardła.

– Wciąż chcesz pomagać swojemu ojcu?

– Oczywiście! – Teraz Faith poczuła w żołądku coś zupełnie odmiennego.

Jakby trwalszy element. Niewielką nadzieję.

– To dobrze. – Wielebny podał Faith kartkę, którą trzymał w ręce. Zdała sobie sprawę, że jest to mapa wyspy Vane. – Howard powiedział, że widzieliście z plaży jaskinie morskie. Chciałbym, żebyś wskazała mi je na mapie.

Zdumiona Faith przyglądała się postrzępionej atramentowej linii oznaczającej zarys wyspy, a później wskazała miejsca, w których, jak jej się wydawało, dostrzegła ciemne otwory jaskiń.

– Wspomniał o małej łódeczce na plaży. Myślisz, że można nią wypłynąć na morze?

– Tak, chyba tak. – Faith próbowała sobie przypomnieć szczegóły. – Wyglądała na świeżo malowaną i nie miała żadnych dziur.

Wielebny zmarszczył brwi, a później podjął chyba jakąś decyzję.

– Faith, idź po swoją pelerynę, ale tak, żeby nikt cię nie widział. Musisz mi w coś pomóc, ale nikt, naprawdę nikt nie może się o tym dowiedzieć.

## ROZDZIAŁ 10

# Jaskinia morska

Kiedy Faith wymykała się z domu tylnym wyjściem, już w pelerynce, ojciec czekał na nią na zewnątrz ubrany w solidny płaszcz, na szyi miał szalik, a na głowie czapkę z miękkiego materiału z nausznikami.

– Weź to – szepnął, podając jej latarnię owiniętą grubym płótnem. – Świeć delikatnie, ale tak, żeby światło nie padało w kierunku domu.

Latarnia była ciężka i pachniała wielorybim łojem. Ojciec zawrócił i poprowadził ich drogą w kierunku wieży.

Noc była chłodna i bezgwiezdna, na zachodzie widać było tylko kilka purpurowych pasemek, wspomnienie po zachodzącym słońcu. Obok nich przefrunął nietoperz, szybki jak uderzenie serca.

Faith szła przez trawę ostrożnie, bojąc się nastąpić na wnyki ukryte w wysokich zaroślach, ze strachu łaskotały ją łydki. Ojciec spojrział na nią niecierpliwie przez ramię i gestem nakazał, żeby się pospieszyła.

– Muszę być z powrotem w domu przed północą – szepnął szorstko, kiedy się z nim zrównała. – Proszę, nie wlecz się.

W ciemności wieża wydawała się większa i bardziej ponura, przypominała więzienie. Ojciec otworzył drzwi i zniknął w ciemności.

Kiedy wyszedł, w ramionach trzymał przedmiot owinięty w płótno – widać było, że jest wyjątkowo ciężki. Przedmiot stuknął o drewno, kiedy pastor stawiał go na taczce stojącej przy wejściu. Raz jeszcze nos Faith wypełnił



dziwny, chłodny zapach.

Wielebny chwycił za rączki taczki.

– Oświełaj drogę przede mną, żebym widział, gdzie są kamienie – szepnął, wskazując na ścieżkę wiodącą w kierunku morza.

Kiedy zaczęli schodzić ku plaży, ścieżka zrobiła się poszarpana i pełna wybojów, i znacznie trudniej było im iść. Za każdym razem, kiedy koło taczki podskakiwało na kamieniu, pod płótnem słycać było szelest opadających liści, a ojciec brał krótki oddech przez zęby.

Wiatr na plaży był zimniejszy i bardziej gwałtowny. Morze było czarne, z wyjątkiem kipieli przy brzegu i szram białej piany na wodzie. Klif wydawał się wyższy niż za dnia, wyglądał, jakby ktoś odgryzł ogromny kawał nieba.

Nagle wiatr spotęźniał i z jednej z niewidocznych szczelin w klifie dobiegło chropowate wycie podobne do ludzkiego głosu. Ojciec Faith zamarł i odwrócił głowę w kierunku źródła dźwięku. Opuścił taczkę i wsunął rękę do kieszeni, nasłuchując. W końcu się rozluźnił.

Ruszyli w dalszą drogę. Faith od czasu do czasu spoglądała na jego kieszeń, która była bardziej niż zwykle wybrzuszona, i wydawało jej się, że kołysze się w niej coś ciężkiego. Do tej właśnie kieszeni ojciec zawsze wsuwał kieszonkowy pistolet, kiedy wychodził zbierać okazy fauny. Był to pistolet jednostrzałowy o grubej, krótkiej lufie, ale strzelał na tyle skutecznie, że ubijał rysia z trzech metrów.

Niesienie zawiniętej w płótno latarni oznaczało tajemnicę. Zabranie ze sobą pistoletu oznaczało niebezpieczeństwo. Czego ojciec się bał? Faith rozejrzała się wokół siebie i w wyobraźni zaludniła szczyt klifu ludźmi, którzy patrzą w dół i poruszają się za każdym razem, gdy zmieniał się kształt linii drzew. Kamyczki przewracane przez dochodzącą do brzegu falę stawały się odgłosem stóp.

Jej ojciec nie bez trudu przepchnął taczkę przez plażę do małego hangaru na

łodzie. Później pochylił się nad łódką wiosłową i przyglądał się jej w świetle latarni, postukując w drewno. Po chwili skinął głową.

Chwycił linę cumowniczą i zaczął ciągnąć łódź w kierunku linii wody. Łódź poruszała się niechętnie i powoli.

– Idź z tyłu i pchaj – nakazał Faith, podnosząc głos, żeby przebić się przez wycie wiatru.

Serce Faith zaczęło bić mocniej, kiedy potwierdziły się jej najgorsze podejrzenia. Jej ojciec rzeczywiście chciał w środku nocy wypłynąć na morze.

Pełna głębokich obaw Faith wgramoliła się do hangaru. Zdjęła rękawiczki i włożyła je do kieszeni, a później zacisnęła dłonie na śliskiej burcie i zaczęła pchać łódź tak mocno, jak potrafiła. Parła pochylona do przodu, słysząc, jak dziób zgrzyta, wcinając się w otoczaki na kamienistej plaży. Kiedy ojciec krzyknął, żeby się zatrzymała, bolały ją ramiona, a zimna woda moczyła jej buty. Faith poczuła, że łódź poruszyła się i dryfuje pod jej dłońmi, kiedy nagle uniosła ją woda.

Jej ojciec z widocznym wysiłkiem uniósł drogocenną donicę z rośliną. Faith próbowała utrzymać łódź nieruchomo, podczas gdy ojciec stawiał donicę tuż przy rufie.

– Ojczy – ośmieliła się zapytać Faith. – Jak zobaczysz mielizny? – Unikanie wnyków w wysokiej trawie to jedno, ale żeglowanie tak, by nie wpaść w ciemności na podwodne skały, to zupełnie inna rzecz. Pamiętała ostrzeżenia matki o prądach i plotki o rozbitych wrakach.

– Będiesz siedziała na dziobie z latarnią. Przyglądaj się wodzie, a ja będę wiosłował. Gdy zobaczysz skały, ostrzeżesz mnie.

Faith wyjrzała na poruszającą się czarną masę oceanu. Za każdym razem, kiedy pojawiła się piana po fali, wyobrażała sobie, że woda uderza o ukryte skały. Mimo to zebrała spódnicę i wgramoliła się do łodzi, podczas gdy ojciec przytrzymał burtę, żeby się nie chwiała. Ojciec jej potrzebował niezależnie

od czyhających na nich niebezpieczeństw – stawia im czoła razem.

Jej ciężar znów osadził łódź na kamykach, ale ojciec raz jeszcze wypchnął ją na wodę, później zrobił parę kroków za rufą i wspiął się do środka.

– Weź to. – Pastor podał Faith mapę. – Musisz poprowadzić nas do jaskiń.  
– Usadowił się plecami do Faith i wziął w ręce wiosła.

Dziewczyna okręciła się na ławeczce, żeby móc usiąść bokiem i widzieć zarówno to, co znajduje się przed dziobem, jak i z tyłu. Mapa łopotała jej w dłoniach, grożąc, że za chwilę wyfrunie. Rozłożyła ją na kolanach i spłaszczyła, przygniatając latarnią, a ojciec zaczął wiosłować.

Na początku każda fala próbowała zepchnąć ich z powrotem na plażę. Ojciec Faith wiosłował wściekle, a biała piana gotowała się wokół burt. Kiedy łódź w końcu wypłynęła na głębsze wody, charakter fal się zmienił. Teraz łódka kołysała się w tył i w przód, jak gdyby była zabawką szukających rozrywki bestii.

Odległe przylądki i cypłe były jak wykrojone z czerni. Nie było nadziei na dojrzenie głębszej ciemności otworów jaskiń. Faith próbowała przypomnieć sobie, jak to wszystko wyglądało w ciągu dnia, klify i przesmyki, postrzępione cypłe, rozsypane chmury lecących w oddali morskich ptaków.

Fale robiły się coraz większe, przetaczały się pod dnem łodzi złowieszczo i bezlitośnie. Za każdym razem, kiedy łódź się przechylała, każdy mięsień ciała Faith szykował się na to, że wywróci się do góry dnem, a ona wpadnie do lodowato zimnej wody. Nigdy nie nauczono jej pływać, ale zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że w takiej sytuacji w zasadzie nie ma to znaczenia. Gdyby wypadła za burtę, warstwy halek i spódnic mogłyby przez kilka sekund utrzymywać ją na powierzchni, ale później nasiąkłyby morską wodą i stałyby się jak kamień u nogi, ciągnąc ją w kierunku dna.

Kiedy łódź wierzgała jak koń, a łopaty wiosła popychały ją naprzód, Faith miała dziwne uczucie, że po jej lewej stronie czarny klif wyrastał wyżej, niż

powinien, a plaża za nim przesuwa się w prawo. Za każdym razem, kiedy ojciec przestawał na chwilę wiosłować, łopaty wiosła ciągnęły za sobą małe fale po powierzchni wody.

– Tu jest prąd! – Faith wpatrywała się w bezkształtne linie klifu, próbując się zorientować, gdzie są. – Prąd spycha nas w lewo – ciągnie nas w lewo!

W kierunku klifu – nie chciała tego powiedzieć. W kierunku skał.

Jej ojciec milczał, lecz zaczął napierać na wiosła z większym wigorem. Z każdym pociągnięciem wiosła dziób łodzi kierował się w prawo, by po chwili znów zacząć dryfować w lewo.

Faith była tak zahipnotyzowana tym zjawiskiem, że niemal nie zauważyła rozbryzgów piany dziesięć metrów przed nimi. Woda wytrysnęła w górę strzeliście, jakby nagle wykwił przed nimi biały kwiat. Dopiero kiedy piana opadła, Faith zobaczyła, że spływa ona po jakimś wystającym kształcie, który przez sekundę zarysował się na białym...

– Skała! – krzyknęła, unosząc latarnię, żeby lepiej widzieć. – Skała tuż przed nami!

– Jak daleko?

Faith otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale światło latarni uchwyciło znacznie bliższy ślad bieli. W dolinie między dwiema falami ukazał się czarny, postrzępiony kształt.

– Trzy metry! – Faith przytrzymała się burty, a później wzięła głęboki oddech, widząc kolejną wystającą skałę, która ukazała się jak czubek zęba jeszcze bliżej. Fale wokół nich wirowały i łamały się. – Skały są wszędzie dookoła!

Spod dna łodzi wydobył się dźwięk ocierania się o coś, jak gdyby wielki, tępy szpon przesuwał się wzdłuż desek. Próbuąc odczytać to, co mówią jej wiry na powierzchni, Faith pochyliła się nad burtą i włożyła rękę do lodowato zimnej wody, a później odepchnęła się od skorupiaków oblepiających szorstką

skąłę. Popchnęła tak mocno, jak potrafiła, niemal straciła równowagę, po czym opadła z powrotem na ławeczkę łodzi ze zmoczonym rękawem i bólem palców. Latarnia w drugiej ręce kołysała się i klekotała, płomień kurczył się do błękitnego ognika, po czym znów wyrastał wysoko.

Faith słyszała za sobą chlupotanie wody, kakofonię dźwięków wydawanych przez drewno i metal, ojca łapiącego oddech podczas walki z wiosłami. Spod dna łodzi nie dobywały się już jednak odgłosy ocierania się o coś twardego, nie dostrzegła ani strużki wody, ani bijącej z dna fontanny oznaczającej dziurę. Mokre kosmyki włosów Faith biły ją w policzki, a sól kłuła w oczy. Klif niepostrzeżenie robił się coraz większy i większy, wycinając z pola widzenia coraz potężniejszy fragment nieba. U jego podstawy szalały fale, rozbijały się o skałę, rozbłyskiwały bielą.

Faith uświadomiła sobie, że słyszy głośnie, rytmiczne uderzenia i syk, uderzenie fali i syk. Fala w zderzeniu z klifem niemal w całości rozbiła się w strugi piany, ale jej część zdawała się znikać w skale. Faith usłyszała pusty ryk, a po pewnym czasie woda wróciła, wzburzona i lśniąca. Dopiero po chwili dziewczyna zrozumiała, co widzi.

– Ojczy, tam jest jaskinia!

W miarę jak łódź zbliżała się do skał, ryk robił się coraz głośniejszy i bardziej niesamowity. Wkrótce Faith dostrzegła zarys wejścia do jaskini, głęboką ciemność otwierającą się jak ziewnięcie kota.

Fale już chwyciły ich w swoje objęcia, ruchy wiosł traciły na znaczeniu, łódź znajdowała się pośrodku gotującej się, białej kipieli. Piana kłuła Faith w oczy. W końcu jedna z fal popchnęła bezbronnych ku wejściu do jaskini. Niebo zgasło jak lampa, pozostało im jedynie lśnienie płomienia latarni. Ryk wody wracał dudniącym echem.

Podbrzusze łodzi wdarło się w błyszczące od wody zbocze, jęknęło i zamarło. Słychać było rozchlapującą się wodę i postukiwanie kamyczków.

Faith widziała, że nieco dalej dno jaskini się podnosi. Kolejne komory drżały w matowym, odbarwionym świetle latarni.

Za plecami Faith wielebny wstał i wypuścił wiosła z dłoni.

– Nie ruszaj się z miejsca! – powiedział ostro, kiedy Faith przesunęła się na ławeczce. – Twój ciężar utrzyma łódź na brzegu. – Wziął z jej ręki latarnię, wygramolił się na kamienie i brnął przez sięgającą kostek wodę w kierunku dziobu. Chwycił linę cumowniczą i wspiął się na kamienną półkę, gdzie przywiązał linę do ciężkiego filaru skalnego.

Następna fala nadeszła z przerażającą prędkością, łódź podniosła się i znów opadła na kamienie. Wielebny wrócił, ostrożnie uniósł wielką donicę, po czym postawił ją na zewnątrz.

– Czekaj tutaj. – Jej ojciec zniknął w gardzieli jaskini, niosąc donicę czule i ostrożnie niczym ranne dziecko. Światło oddalało się razem z nim, pozostawiając Faith w ciemności.

Jaskinia pachniała morzem, ale nie był to radosny zapach plaży. Śmierdziało, jak gdyby morze było czymś potwornie starym i przesyconym złem. To morze lizało burty wraków, pozostawiając nagie, drewniane kości wręg w mrocznej głębi. Zamieszkujące je syreny miały zieloną skórę i oczy ośmiornic, długie, haczykowate palce, a ich oddech cuchnął starymi rybami.

W końcu ojciec Faith wrócił, niosąc teraz tylko latarnię. Odwiązał linę cumowniczą i bez słowa wskoczył do łodzi. Kiedy nadeszła następna fala, z całej siły odepchnął się wiosłami od dna. Na jej grzbiecie wypłynęli z jaskini, niebo powróciło na swoje miejsce, wściekle jasne po ciemności groty. Walka, w której próbowali uwolnić się od wejścia do niej, nie była łatwa, ale wielebny wiosłował i wiosłował bez ustanku, aż Faith zobaczyła, że klif zaczyna się oddalać, a fale nie są już tak burzliwe.

Droga powrotna była długa i trudna. Faith nie widziała już, skąd wyruszyli, ale na szczęście pamiętała topolę wyrastającą ze szczytu urwiska. Próbowała

wypatrzeć ten samotny zadziór na tle nieba, aby móc nawigować łodzią w jego kierunku.

Jej oczom ukazał się brzeg okolony białą pianą, a chwilę później dno łodzi otarło się o piasek. Ojciec i córka wyszli z łodzi i pociągnęli ją z powrotem na suchy ląd. Faith stwierdziła, że nogi ledwo ją niosą, a ręce były zbyt zmarznięte, żeby dobrze chwycić burtę. Oboje na chwilę oparli się o łódź, żeby odzyskać siły, z ich ust wydobywały się kłęby pary, które ulatywały w zimne powietrze nocy.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Faith – powiedział w końcu wielebny. – Dobra dziewczyna.

I nagle Faith przestało być zimno.

Szli z powrotem w kierunku domu, Faith pchała przed sobą taczkę. Szła niepewnie, ale jakimś dziwnym trafem znajdowała suchy grunt pod butami. Razem z ojcem patrzyli w twarz niebezpieczeństwa i razem udało im się przeżyć. Faith została poddana egzaminowi i doskonale go zdała.

Zostawili taczkę przy szklarni. Kiedy podchodzili do domu, ojciec zatrzymał się i wyjął zegarek kieszonkowy, aby jeszcze raz spojrzeć na cyferblat przy świetle latarni.

– Jest prawie północ – mruknął. – Ja już nie mam czasu. Faith, idź prosto do łóżka.

– Ojciec nie wchodzi do środka? – Niepokoje Faith znów ożyły jak psy pilnujące domu. – Coś się stało? Czy mam iść z ojcem?

– Nie! – odparł ostro. – Nie, to nie będzie potrzebne. – Nastąpiła długa chwila milczenia. – Faith – zaczął już cichszym głosem. – Nikt nie może się dowiedzieć o tym, że dzisiaj w nocy wychodziłem z domu. Posłuchaj mnie, jeśli kiedykolwiek ktoś cię zapyta, musisz mu powiedzieć, że siedzieliśmy razem w moim gabinecie, siedzieliśmy do pierwszej w nocy. Rozumiesz?

Faith skinęła głową, chociaż to kiwnięcie było na wpół kłamstwem. Tak

naprawdę nie rozumiała.

– Nie idę daleko i wkrótce wracam. – Jej ojciec zawahał się. – Faith, masz mokre buty?

– Tak – wyznała Faith, poruszona jego troską. Spacer z plaży był wyjątkowo nieprzyjemny, bo cały czas chlupotało jej w butach.

– Postaraj się, żeby rano były suche, w przeciwnym razie służący to zauważą i zaczną plotkować. Nikt nie może podejrzewać, co zrobiliśmy i gdzie byliśmy. Musisz tak zrobić, żeby nie było żadnych śladów, żadnych dowodów.

Zrobił krok, oddalając się od domu, a potem zawahał się. Spojrzał przez ramię na Faith, ale latarnia była owinięta w płótno i nie można było odczytać wyrazu jego twarzy.

– Pokaż mi, jaka jesteś mądra, Faith.

Mądra. To jedno małe słowo ogrzewało Faith, kiedy po cichutku wchodziła zewnętrznymi schodami do swojego prywatnego ogrodu na dachu. Wślizgnęła się do pokoju i szybko zdjęła z siebie pelerynę, sukienkę i halki.

Pokaż mi, jaka jesteś mądra. To musiało oznaczać, że ojciec pozwalał jej na bycie mądrą – przyznawał, iż może być mądra.

Dowiedzie mu, że tak jest. Nikt jej nie złapie na kłamstwie, nie zdradzi jego tajemnicy.

Faith zdjęła osłonę z kominka, suchymi gałązkami i papierem obudziła śpiące węgielki, a później udało jej się zapalić świeczkę na półce nad kominkiem. Przy tym słabym świetle zbadła stan swoich ubrań. Peleryna była pokryta cierniami i poplamiona brudnym błotem. Obszycia sukni i halki nasiąknęły morską wodą, nie lepiej było z pończochami. Także buty – mimo swych trzycentymetrowych obcasów – były przemoczone i istniało niebezpieczeństwo, że mokra skóra skurczy się i popęka.

Jednak nie pierwszy raz Faith ukrywała dowody swych tajnych wypraw.



Przebrała się w koszulę nocną, a później wymknęła z pokoju na dół, niosąc poniszczone rzeczy pod pachą.

Tak jak przewidywała, pomywalnia była ciemna i pusta. Po cichutku napełniła zlew wodą i wrzuciła do niego skrawki mydła, krochmal i garść soli, żeby nie puściła farba. Następnie bardzo ostrożnie zmoczyła pończochy, a potem mokre obszycia oraz dół sukienki i halek. Nerwy miała napięte jak postronki i kurczyła się na każde stuknięcie okiennic o ścianę.

Kiedy jej ubrania przestały wreszcie pachnieć morzem, wyjęła je, ukradła garnuszek z otrębami ze spiżarni i po cichutku weszła na górę. Świeżo wyprane ubrania zawiesiła na osłonie kominka, żeby wyschły. Przy pomocy haczyka rozpięła maleńkie guziczki na butach. Następnie napełniła je otrębami, które – jak wiedziała – wysączą z nich wilgoć, zapięła je ciasno, tak żeby trzymały kształt, i postawiła przy kominku.

W pokoju wciąż było zimno, więc Faith wsunęła się do łóżka. Żałowała, że nie może zadzwonić i poprosić o termofor, miała nadzieję, że nie złapie przeziębienia. Owinęła się kocem, usiadła oparta o poduszkę i zaczęła wyczesywać brud z peleryny. Suchy zapach grzejących się przy ogniu otrębów uspokajał ją. Jej myśli były z każdą chwilą coraz cieplejsze.

Ojciec Faith wezwał ją, ponieważ była mu potrzebna. Czuła się tak, jakby drzwi między nimi, które były długo zamknięte, znów się uchyliły.

On nie może mnie teraz odepchnąć – coś szeptało jej w głowie. Nie tym razem. Wiem za dużo.

Nagle szczotka zadrżała w dłoni dziewczyny. Od chwili gdy wyruszyli na nocną przygodę, czuła dziwny ucisk w brzuchu, coś, co nie dawało jej spokoju. Była to myśl, którą usilnie odpychała – a mimo to krążyła wokół niej jak wśród wnyków w trawie.

Jej ojciec, jej ukochany, uwielbiany ojciec był w szoku, kiedy dowiedział się, jak go oszukała. A jednak kazał jej przedzierać się przez noc u swojego

boku, nieść przykrytą płótnem latarnię i nikomu o tym nie mówić. Niemal rozdarł ją na strzępy za to, że ukrywała dowody swoich tajnych uczynków... A teraz Faith robi to samo, lecz tym razem na jego polecenie.

Ojciec. Ponury święty od uczciwości. Ostre światło osądów. Poprosił ją, żeby skłamała, by ochronić swoje tajemnice.

A teraz jeszcze wyszedł gdzieś w ciemność z pistoletem w kieszeni i poprosił ją, żeby mu dała alibi.

## ROZDZIAŁ 11

# Podkowa

Głośne stukanie do drzwi wyrwało Faith ze snu.

Leżała w łóżku kilka sekund, jeszcze opleciona senną pajęczyną. Śniło jej się, że jest w sądzie i stoi przy postumencie dla świadków, który wypełnia się wodą morską. Sędzia był na nią zły, że nie chce podać nazwiska swojego współnika. Miał twarz jej ojca.

– Fa-a-aith! – To niezaprzeczalnie był głos Howarda, rozdrażniony i niezadowolony. – Nie potrafię zapiąć kołnierzyka!

Jeżeli Howard nie spał, to na pewno już czas na śniadanie. Faith zasnęła.

Wyskoczyła z łóżka, próbując uporządkować myśli. Zdjęła sukienkę i halki z osłony kominka. Były teraz suche, może nie idealnie suche, ale z pewnością mniej mokre niż w nocy. Faith szybko zamiotła wszystkie ślady błota.

Otworzyła okno i okiennice i okazało się, że świat otulony jest woalem mgły. Wyrzuciła otręby z butów na kamienie w ogrodzie. Z zadowoleniem stwierdziła, że wróble i gołębie zlatują się, żeby pomóc jej w pozbyciu się dowodów rzeczowych.

– Fa-a-aith!

Faith otworzyła drzwi i do środka wpadł Howard, tekturowy kołnierzyk miał założony tył na przód.

– Boli! – szarpał za kołnierzyk. – Ja chcę do Skordle!

Faith uspokoiła Howarda, wyprostowała mu marynarkę i kołnierz,

a później śpiewała mu, ubierając się i zaplatając włosy. Kiedy pani Vellet przyniosła im śniadanie, oboje siedzieli w pokoju dzieciennym, lekko tylko potargani.

Chłopiec był krańcowo znudzony i strasznie chciał, żeby została, poczytała mu albo się z nim pobawiła. Minęła jeszcze godzina, zanim mogła w końcu się wymknąć.

Na dole było cicho i spokojnie. Ani śladu rodziców, tylko wuj Miles czytał coś w bawialni.

– Dzień dobry. – Wuj mrugnął do niej znad książki.

– Gdzie są wszyscy, wuju Milesie? – spytała Faith.

– Twoja matka upiera się, że ma migrenę, i zjadła śniadanie w swoim pokoju. Ojciec jeszcze nie wstał, a nikt się nie spieszy, żeby walić pięścią w jego drzwi.

– Jest prawdopodobnie zmęczony. – Faith unikała wzroku wuja, kiedy siadała obok. – To moja wina. Zagadywałam go do późna w nocy i poszliśmy spać dopiero o pierwszej.

– Tak późno? Coś się stało?

– Nie – rzuciła Faith pospiesznie, czując, że czerwieni się jak piwonia. – Ja... Po prostu niepokoję się konfirmacją.

– Dobry Boże, to o to chodziło? – Wyglądało na to, że wuj jest nieco przerażony. – Cóż, pochwały godna święta postawa. Ja nie wiem, czy potrafiłbym się niepokoić konfirmacją przez dłużej niż dziesięć minut, nie mówiąc już o martwieniu się konfirmacją aż do pierwszej nad ranem.

Stało się. Słowa zostały wypowiedziane. Faith dała ojcu alibi. Wiedziała, że brzmi przekonująco. Wiedziała, że powinna być zadowolona i dumna z faktu, że jej głos brzmi naturalnie, a nawet jest trochę zawstydzona. Zamiast tego czuła tylko zamieszanie w głowie i ciężar winy.

Co ona nawyrabiała? Posłusznie otworzyła drzwi i weszła w ciemność, nie

wiedząc, czy po drugiej stronie będzie podłoga.

Spełniasz obowiązki wobec ojca – powiedziała sobie. Nie może być w tym nic złego. Musisz mu zaufać. To tak jak z Abrahamem. Pan Bóg kazał mu zabić syna, więc Abraham poszedł po nóż. Zachował się właściwie, chociaż z boku wyglądało to zupełnie inaczej. Zaufał, uznając, że Bóg wie lepiej.

Ale – szepnął inny głos w głowie – może nie powinien był. Tak czy inaczej, ojciec nie jest Bogiem.

Faith zgrzytała zębami i próbowała znaleźć jakieś rozwiązanie. Zamiast tego w jej głowie pojawiła się cwaniacka myśl, przerażająca i ekscytująca zarazem.

*Potrafię zmusić ojca, żeby powiedział prawdę.*

*Musi. Wiem za dużo. Musi mnie wtajemniczyć w swoje sprawy, teraz będę jego współniczką – musi mi powiedzieć o roślinie, o skandalu, dokąd poszedł wczoraj wieczorem.*

– Na pewno? – spytał wuj Miles.

Faith obudziła się z letargu i zdała sobie sprawę, że wuj Miles wcale nie mówi do niej. Tuż obok jego krzesła stała pani Vellet i dyskretnie się pochylała, szepcząc mu coś do ucha.

– Tak jest, proszę pana. – Głos gospodyni był taktownie cichy, ale Faith rozróżniała poszczególne słowa. – Wszystkie inne buty były przed drzwiami dzisiaj rano, ale nie jego. Więc popatrzyłam na wieszaki – jego płaszcz i kapelusza też nie ma.

Faith poczuła, że krew zamiera jej w żyłach.

– To dziwaczne. – Wuj Miles zmarszczył czoło i wstał. – Może powinniśmy spróbować jeszcze raz zastukać do jego drzwi.

Faith wstała, ale nie poszła za wujem na górę. Tylko ona wiedziała, że jej ojciec wyszedł w środku nocy. A teraz wyglądało na to, że nie wrócił.

W głowie dziewczyny pojawiło się mnóstwo strasznych obrazów, jak ze

stereoskopu Paula Claya. Wyobraziła sobie ojca krwawiącego we własnych wnykach lub rannego, zbyt słabego, żeby wołać o pomoc.

Faith nie mogła czekać, podczas gdy pozostali na próżno przeszukiwali dom. Szybko podeszła do drzwi frontowych i wymknęła się na zewnątrz.

Mgła wszystko spłaszczyła i odarła świat z kolorów. Drzewa były dziwnymi kształtami, jak ułożone z serwetek, oplecione dymem. Budynki stały się wyłącznie niewyraźnymi zarysami w kolorze szarej pierzyny.

Faith ostrożnie przeszła przez miejsca, w których poustawiano wnyki, ale nie znalazła nikogo leżącego w ich zębatach szczękach. Puste były także szklarnia i wieża. Dotarła nawet do kotliny i zaczęła nawoływać pomiędzy wyglądającymi jak duchy drzewami. Nikt nie odpowiadał. Nie było ani śladu ojca na drodze, która znikwała, wspinając się w gęstą mgłę.

Tylko dźwięki były dziwacznie prawdziwe w tym świecie zjaw. Faith słyszała swój własny oddech i postukiwanie kamyczków pod stopami, kiedy przestępując z nogi na nogę, schodziła ostrożnie na plażę. Na rozwidleniu ścieżki przeszła obok taczki leżącej na boku, jedna z rączek była uniesiona, jak gdyby pozdrawiając ją w konspiracyjnym geście.

Nierówna ścieżka zamieniła się w końcu w plażę pełną kamyczków, a każdy krok szurał, jakby robiła dziurę w żwirze. W nocy klify były atramentowo czarne i masywne. Dzisiaj rano były szare jak papier. Mogłaby rzucić w nie kamieniem i rozedrzeć na pół.

Wpatrywała się w plażę, mając nadzieję, że zobaczy zarys sylwetki ojca. Koniec plaży wtapiał się w mgłę i Faith z niemałym zdziwieniem zdała sobie sprawę, że nie widzi maleńkiej łodzi wiosłowej.

Zaczęła biec, trzymając w rękach uniesioną spódnicę. Nie. Nie! Łódź musiała tam przecież być! Nie mógł wypłynąć w morze drugi raz! To byłoby szaleństwo, bez Faith trzymającej latarnię! Ta myśl zawładnęła jej wyobraźnią. Była straszna, ale mogła być prawdziwa.

Faith zachwiała się i niemal skrzyła nogę w kostce... A później zwolniła. Spokojnie i niewinnie mgła zaczęła się rozrzedzać i w końcu jej oczom ukazał się biały kształt jak z gazy i dobrze znany zarys dziobu.

Łódź była na swoim miejscu. Mgła oszukała jej oczy.

Faith uniosła obie dłonie do ust i nie wiedziała, czy chce jej się płakać, czy wymiotować z ulgi. Zawróciła i ruszyła w kierunku domu.

I wtedy właśnie to zobaczyła.

W połowie wysokości najbliższego klifu zobaczyła czarny kształt owinięty wokół wystającego drzewa. Z daleka wyglądał jak podkowa, której końce kierują się w dół, co oznacza, że opuściło ją szczęście.

To była sylwetka, nic więcej, ale Faith wiedziała, co to jest. Ludzkie oczy mają dar rozróżniania sylwetki drugiego człowieka. Wiedziała, wiedziała z okrutną jasnością, że patrzy na dwie wiszące luźno nogi, dwoje zwisających ramion i zakrzywiony kształt pleców.

Był to człowiek jakby udrapowany wokół drzewa. Zimne powietrze było jak nóż na gardle Faith, kiedy biegła z powrotem do domu.

Dziesięć minut później Faith i Myrtle siedziały na szeszlunku w salonie, a herbata stygła w filiżankach. Wuj Miles i służący Prythe pospiesznie ruszyli w kierunku plaży, zaopatrzeni w mocną linę.

Myrtle była owinięta w niezliczone koszule nocne, na których udrapowała sięgający podłogi szal z żółtego jedwabiu. Faith siedziała, kurczowo trzymając w rękach spodeczek, a w myślach negocjowała z wolno upływającymi sekundami.

Niech to będzie ktoś inny, a jeżeli to on, niech będzie żywy – płakała Faith. Niech będzie bezpieczny, wtedy możesz zabrać moją lewą stopę – zegar bezdusznie odliczał sekundę za sekundą i wciąż nie było żadnych wiadomości. Niech będzie bezpieczny – podniosła swoją ofertę – a możesz zabrać moją całą lewą nogę. Tik-tak. Niech będzie bezpieczny, a możesz zabrać obie nogi.

Zegar był nieporuszony.

Gdzieś otworzyły się drzwi i w holu słychać było przyciszone głosy. Następnie ktoś delikatnie zapukał – był to wujek.

Serce Faith waliło tak mocno, że czuła każde uderzenie. Wuj Miles uchwycił jej zdesperowane spojrzenie, a później sam szybko spuścił głowę.

– Myrtle – powiedział bardzo cicho. – Mogę z tobą chwilę porozmawiać?  
I w tej sekundzie Faith już wiedziała.

Była bardzo świadoma samej siebie, czuła, jak jej płuca napełniają się powietrzem i opróżniają. Czuła miejsce, w którym porcelanowy spodeczek dotyka jej palców, kształt zębów na suchym języku. Coś ciepłego toczyło się z jej oczu po policzkach. Nagle poczuła się gorąco, nieznośnie żywa.

Pokój wciąż tu był. Myrtle stała, zegar tykał, a białe, puste niebo zaglądało do środka przez okno. Ale niewidzialna fala już przeszła i teraz wszystko wyglądało na opuszczone i osamotnione. Faith przypatrywała się własnym dłoniom, które odstawiają filiżankę i spodeczek.

Myrtle stanęła w drzwiach obok wuja Milesa, który mamrotał jej coś do ucha. Jedną rękę trzymał tuż przy jej łokciu, gotów ją podeprzeć. Załamana, niczego nie próbowała ukrywać.

– Gdzie on jest?

– Położyliśmy go w bibliotece.

Myrtle odepchnęła brata i wybiegła z pokoju. Wuj Miles poszedł za nią i chyba nie zauważył, że Faith też podnosi się z sofy.

W bibliotece służący Prythe stał przy ścianie, trzymał w ręku czapkę i wyglądał na straszliwie zmieszanego. Dwa krzesła, na których jeszcze niedawno siedzieli Faith i ojciec, wciąż stały naprzeciwko siebie zatopione w niemej naradzie. Teraz przesunięto je nieco na bok, żeby zrobić miejsce.

Na podłodze rozłożono koc. Ktoś na nim leżał. Faith patrzyła i patrzyła, i nie mogła oderwać wzroku, ale jej mózg postanowił, że pojmie, kto to jest.



Dopiero kiedy zamrugała oczami, w jej umyśle, jak na kliszy fotograficznej, zapisał się obraz – maska ciemnej krwi, otwarte oczy i blade, nieruchome ręce. Tysiąc nadziei zgasło jak zdmuchnięte świece.

Faith stała w drzwiach, opierając się plecami o framugę. Czowała, że jej ramię trzęsie się i kurczy.

Można było lepiej pohandlować – powiedział głupi, bezsensowny głos gdzieś w jej głowie. Powinnaś była postawić na szalę wszystko – nogi i ręce – od samego początku.

## ROZDZIAŁ 12

# Czas staje

Myrtle wpatrywała się w ciało swojego męża rozłożone na kocu, spojrzenie miała jasne, ale bez wyrazu. Kolory zaczęły znikać z jej twarzy.

– Poślemy po lekarza – powiedział cicho wuj Miles. – Ale... Przykładaliśmy mu lusterko do ust i nie było śladu oddechu. Ukłuliśmy go szpilką i nie było żadnej reakcji. – Spojrzał ku drzwiom i przeraził się, zauważywszy Faith. Nic nie powiedział – było za późno, by ją oszczędzić.

Wydawało się, że Myrtle go nie słyszy. Odpłynęła od brata i Prythe'a, obaj napięli mięśnie, jak gdyby chcieli ją złapać, lecz ona zatrzymała się niedaleko Faith, na wprost wiszącego na ścianie lustro.

Jeden z jej blond loków wisiał przy policzku i drżał w przeciągu. Było w tym coś chwytającego za serce i Faith poczuła przyływ bolesnej czułości. Idąc za impulsem, wyciągnęła ręce, ale jej palce zatrzymały się na chłodnym jedwabiu żółtego szala. Nie była w stanie objąć matki. Gdyby to zrobiła, coś w jej duszy by pękło.

Myrtle ścisnęła krótko dłoń Faith, ale wciąż wpatrywała się w lustro, oczy miała rozgwieżdżone i nieobecne. Jej dłonie, już bez rękawiczek, powoli uniosły się i zaczęły delikatnie poprawiać włosy, odsuwając niesforne kosmyki na miejsce i przywracając rozbitym lokom właściwy kształt. Mocno potarła dłonią dolną wargę i przyglądała się, jak krew napływa do jej ust i nadaje im bardziej różowy odcień. Spuściła wzrok na orientalny szal i lekko

zmarszczyła brwi.

– Jestem zbyt blada na żółty kolor – mruknęła pod nosem. Te słowa wypowiedziała bardzo cicho, ale Faith była na tyle blisko, że je dosłyszała.

– Myrtle – ponaglał ją wuj Miles.

– Znaleźliście go w wąwozie – powiedziała Myrtle, nie odwracając się.

– Nie, siostrzyczko. Mówiłem ci, że był na plaży, w połowie klifu. Musiał spać z samej góry...

– Ile osób o tym wie? – spytała ostro Myrtle.

Wuj Miles wyglądał na bardzo zaskoczonego.

– Tylko nasza czwórka. My w tym pokoju – odparł po chwili zastanowienia.

– W takim razie znaleźliście go w wąwozie. – Myrtle odwróciła się i spojrzała bratu prosto w oczy. – Milesie... Sam mówiłeś, że to zbocze jest strome i każdy mógłby stamtąd spać i skrócić kark.

– No, ale...

– Milesie, proszę cię! – powiedziała z emfazą Myrtle. – Trzeba to tak załatwić. Pomyśl, jak by to wyglądało, gdyby spadł z klifu. Pomyśl, co by to oznaczało dla nas.

Te słowa uderzyły Faith niczym pałka. Jakie to ma znaczenie, że coś wygląda tak, a nie inaczej? Myrtle jednak zwracała się już do służącego.

– Prythe... Moja rodzina jest wam wdzięczna za to, co zrobiliście dziś rano dla mojego męża. Musicie pozwolić wyrazić nam tę wdzięczność. Jeżeli będziemy mogli liczyć na waszą dyskrecję w tej materii, obiecuję, że nie zawiedziecie się.

To powiedziawszy, ruszyła spokojnie naprzód i usiadła na piętach przy postaci leżącej na kocu. Faith przyglądała się, jak jej różowe, zadbane dłonie odpinają marynarkę i wślizgują się do wewnętrznej kieszeni, wyciągając notes ojca i portfel. Myrtle wstała i odwróciła się do Prythe'a, po czym wcisnęła mu

w dłoń monetę.

– Dziękuję wam, Prythe. Czy możemy na was liczyć?

Prythe wpatrywał się w suwerena na swojej dłoni i nagle zbladł.

– Proszę pani. – Wyglądał na zszokowanego, ale oczy mu zalśniły, kiedy spojrzał na monetę. – Potrafię trzymać język za zębami, ale... Jeśli zapyta mnie konstabl, nie będę chciał go wprowadzać w błąd. I jeżeli każą mi przysięgać na Biblię, nie będę mógł kłamać. – Z wahaniem i wyraźną niechęcią wyciągnął rękę z monetą w stronę Myrtle.

– Nie prosiłabym uczciwego człowieka o nic takiego – powiedziała Myrtle, nie robiąc najmniejszego ruchu, żeby odebrać pieniądze. – Nie ma potrzeby ani wzywania konstabli, ani przysięgania na Biblię. Ja proszę tylko o wasze milczenie.

– Dobrze, proszę pani – szepnął Prythe.

Do uszu Faith dobiegł ledwie słyszalny dźwięk podeszwy ocierającej się o płyty chodnikowe.

– Ktoś jest na zewnątrz – powiedziała odruchowo.

Wuj Miles uchylił drzwi i zajrzał do holu.

– Czy ktoś nas podsłuchiwał? – spytała Myrtle.

– Nie jestem pewien – odparł jej brat. – Widziałem kogoś przechodzącego w kierunku schodów dla służby. To chyba Jeanne.

– Jeanne. – Myrtle ostrożnie, jakby nieobecna, dotykała palcami banknotów w portfelu. – Ktoś musi tej dziewczynie powiedzieć, że mimo wszystko postanowiliśmy ją zatrzymać.

Wuj Miles oddalił się, żeby porozmawiać z Jeanne i innymi służącymi, a Prythe pojechał po doktora Jacklersa.

Myrtle rozejrzała się po pokoju, pospiesznie podeszła do biurka męża i zaczęła szybko przeglądać papiery. Faith poczuła, że robi jej się niedobrze na widok ślicznych, różowych palców matki, bezceremonialnie grzebiących

w szkicach i notatkach, których ojciec tak płomiennie bronił.

– O co chodzi? – spytała Faith, walcząc z chęcią wyrwania papierów z ręki matki. – Co próbujesz znaleźć?

– Tu może być list – powiedziała Myrtle, nie podnosząc wzroku. – Taki... list prywatny, którego nie powinien widzieć nikt obcy.

– Ja poszukam – powiedziała Faith przez zęby. Przełknęła ślinę i zmusiła się do spokoju. – Zostaw to mnie.

Myrtle zawahała się.

– Dzięki temu będę mogła się przebrać – mruknęła pod nosem. – Bardzo dobrze. Ale pospiesz się! Nie mamy za dużo czasu.

Faith skinęła głową.

– Dobra dziewczyna – powiedziała w przelocie Myrtle i kiedy wybiegała z pokoju, poklepała córkę po policzku. Faith wzdrygnęła się, czując jej dotyk. Te słowa paliły.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za Myrtle, Faith podeszła do biurka i ułożyła luźne papiery w stos, po czym pospiesznie przeszukała szuflady, szkatułkę z przyborami do pisania i kufer stojący w rogu pokoju. Między stronami książek było kilka kopert, więc te również zabrała.

Wszystko inne jest stracone, ale ona wciąż może ochronić tajemnice ojca. Ręce Faith drżały, kiedy widziała zdania napisane jego ręką w swoich dłoniach. Czuła, że płoną jej policzki. Ale pomagała mu w jedyny sposób, w jaki potrafiła. Będzie mogła ukryć te papiery tam, gdzie nikt inny ich nie znajdzie.

Zawinąwszy stos papierów w osłonę siedziska jednego z krzesel, Faith wymknęła się z biblioteki.

Kiedy ostrożnie szła korytarzem, a później po schodach, usłyszała dźwięki rozmowy z kuchni, gdzie zgromadzili się chyba wszyscy służący. Głosy były przyciszone i nieco rozhisteryzowane, ale zarazem podniecone, ciekawskie.

Sądząc po zapachu, wszyscy „wzmacniali się” gorącym cydrem.

Zawahała się przed drzwiami do pokoju ojca, ale w końcu nacisnęła klamkę i weszła. Ten pokój będzie wkrótce przeszukiwany, więc najlepiej, jeśli zrobi to sama jako pierwsza. Ciemność pachniała kurzem, który zebrał się na książkach, lakierem do mebli i tytoniem. Wieczorowa marynarka świeciła ciemno z wieszaka.

Faith chwyciła kilka listów i oprawioną w skórę księgę z notatkami ze stolika nocnego, po czym wydobyła dwa notesy z kieszeni marynarki. Później, niewiele myśląc, przesunęła ręką pod łóżkiem. Jej palce natknęły się na coś twardego i wyjęła stamtąd cienką, oprawną w skórę książkę.

Dodawszy to wszystko do reszty swoich znalezisk, po cichutku przemknęła do swojego pokoju, który oświetlało tylko blade światło dnia.

Kiedy Faith zdjęła płótno z klatki węża, ten zwinął się ze strachu, a po chwili ciekawie podniósł głowę, otworzywszy pyszczek i wysunąwszy różowy języczek. Uspokoila zwierzę powolnymi ruchami, a później pozwoliła mu się wślizgnąć na ramię.

Faith wyciągnęła wszystkie szmaty, które służyły wężowi za gniazdo. Podzieliła dokumenty i papiery na dwa stosy i ułożyła je na podłodze klatki, a następnie przykryła szmatami tak, żeby nie było ich widać.

– Strzeż ich – szepnęła do węża i wpuściła go z powrotem do klatki.

Kiedy Faith wróciła do biblioteki, Myrtle już tam była.

– Gdzie się podziewałaś? – spytała Myrtle bez zbędnych wstępów, ale nie czekała na odpowiedź. – Zostań tu ze mną. Za chwilę przyjedzie doktor.

Myrtle miała na sobie niebieską suknię z przesadnie skromnym, wysokim kołnierzem i perłowymi guzikami, ale kilka z nich było niezapiętych i odsłaniało jej białe gardło. Włosy miała wyszczotkowane do złotego połysku i starannie ułożone, ale jeden dziewczęcy loczek zwisał luźno przy skroni. Była wciąż blada, ale puder sprawiał, że ta bladość była równomierna i do

przyjęcia. Wyglądała, jakby była w nieładzie, przygnębiona, bezbronna i bardzo ładna.

W pokoju silnie pachniało czymś na spirytusie. Faith spojrzała na biurko ojca i ujrzała szklaną karafkę do sherry, która zazwyczaj stała w jadalni. Na dnie sporej szklanki zobaczyła niewielką ilość napoju. Czy to tu wcześniej stało? Faith nie zauważyła ani karafki, ani kieliszka, ale być może zbytnio się spieszyła.

Myrtle zeszywniała i uniosła dłoń, nakazując córce spokój.

– To doktor Jacklers! Słyszę jego powóz.

Myrtle wyjęła ze swojej torebki sole trzeźwiące w buteleczce z rżniętego szkła. Uniosła ją do nosa, a chwilę później skrzywiła się i wzięła głęboki oddech. Kiedy zrobiła to po raz drugi, miała mokre oczy. Zostawiła buteleczkę i parokrotnie zamrugała powiekami. Kiedy doktor Jacklers wszedł do pokoju, po policzkach Myrtle ciekły obfite łzy.

Doktor Jacklers przyglądał się pacjentowi przez dłuższą chwilę. Myrtle kręciła się niedaleko, wykręcając dłonie i odpowiadając na jego pytania, podczas gdy srebrne łzy wciąż hipnotycznie ściekały po jej policzkach.

Faith siedziała niedaleko i czuła, że w głowie wiruje jej tysiąc myśli. Jej ojciec na plaży, jej ojciec w wąwozie. Dlaczego jej matka tak bardzo upierała się, żeby kłamać?

– Strasznie mi przykro, pani Sunderly – powiedział w końcu lekarz. – Nie mogę dać pani żadnej nadziei. Pani mąż skreślił kark...

Z gardła Myrtle wydobył się cichy, bezbronny odgłos, coś między westchnieniem a łkaniem. Odwróciła się i pochyliła głowę nad chusteczką.

– Żałuję, że w ogóle tu przyjechaliśmy! – powiedziała nieco stłumionym głosem. – Ci wszyscy obcy ludzie, którzy kręcili się tu nocami... Mąż był przekonany, że chcą ukraść jego rzadkie okazy botaniczne. A więc pozakładał wnyki i za każdym razem, kiedy słyszał jakieś odgłosy, biegł do tego

okropnego wąwozu. Chyba spadł w ciemności i uderzył o coś głową...

– Pani męża znaleziono w wąwozie? – Doktor uniósł brwi. – Madame, muszę wyznać, że zdziwiło mnie to, zważywszy na naturę jego obrażeń. Nie chcę pani obciążać takimi szczegółami.

– Proszę. – Myrtle odwróciła się w jego stronę, dzielnie zacisnąwszy usta.  
– Niech mnie pan nie oszczędza. Muszę wiedzieć.

– Cóż... Wydaje mi się, że dwa żebra są połamane, co sugeruje dłuższy upadek niż ten, który mógłby się zdarzyć w wąwozie. Rana na jego czole jest głęboka, ale jest i duży guz z tyłu głowy. Wygląda mi to na obrażenia powstałe po dłuższym staczaniu się i okręcaniu. Pani Sunderly... Nie wiem, jak delikatnie o to zapytać – ale czy to możliwe, że znaleziono go gdzie indziej i że pani przyjaciele wprowadzili panią w błąd, aby zaoszczędzić jej emocji?

– Mój mąż nie żyje – powiedziała cicho Myrtle. – Jakichże to emocji można mi jeszcze oszczędzić?

Faith czuła, że rumieńce wracają jej na twarz. Mogłaby zmieść kłamstwo matki tak jak zmiata się pajęczynę. Ale ile innych sieci nieprawdy zniszczyłaby tym jednym gestem? Poza tym jej ostatni eksperyment z prawdomównością spalił na panewce.

– No cóż – powiedział doktor pod nosem. – Może rzeczywiście spadł z wysoka. Jeżeli potknął się i runął z dużą siłą... – Westchnął ciężko. – Niech pani wybaczy pytanie, ale czy wczoraj pani mąż wydawał się czymś specjalnie przejęty? Był nieswój?

Myrtle zeszywniała. Twarz jej pobladła, a w oczach można było odczytać ból.

– Doktorze Jacklers – powiedziała łamiącym się głosem. – Cóż, na Boga, próbuje pan powiedzieć?

Faith doskonale wiedziała, co doktor próbował powiedzieć. Zdała sobie nagle sprawę, jak to musiało wyglądać z jego perspektywy. Skompromitowany



człowiek, który wymyka się z domu nocą, a później rzuca się wprost w objęcia śmierci, uciekając przed strasznym skandalem...

– Niech pani wybaczy moją niezręczność. – Lekarz wyglądał na upokorzonego, jakby stracił twarz. – Ja po prostu próbuję zrozumieć...

– Być może – powiedziała Myrtle z godnością – jest to sprawa, którą powinniśmy omówić w cztery oczy. – Zwróciła się do córki. – Faith, proszę, idź do pani Vellet... I każ jej zatrzymać zegary.

Faith zrozumiała sugestię i wyszła z pokoju, stukając o podłogę i udając, że odchodzi. Później nachyliła się i przyłożyła ucho do dziurki od klucza.

– ...całą karafkę przed pójściem spać? – spytał doktor Jacklers. – Czy często się to zdarzało?

– Ostatnio niestety tak. – Westchnienie. – Nie pierwszy raz upadł. Pierwszy raz jednak nie byliśmy w stanie tego ukryć.

Faith poczuła, że nie może oddychać z oburzenia. Jak jej matka śmie to mówić? Jak śmie malować obraz wielebnego jako niezdarnego pijaka, który potyka się o własne nogi? Później Faith przypomniała sobie ojca siedzącego apatycznie, bezwładnego, z żółtymi oczami. Jego pokój był wypełniony egzotycznym, lepkiem aromatem. A jeżeli jej ojciec rzeczywiście miał więcej sekretów?

– Doktorze Jacklers, nie wiem, co robić. – Głos Myrtle był teraz niski i bliski łez. – Jestem tak przyzwyczajona do ukrywania... zwyczajów mojego męża... i chciałabym móc wciąż je ukrywać, by chronić jego pamięć. Ale teraz mnie pan przestraszył. Czy pan naprawdę uważa, że mój mąż „rzucił się naprzód z dużą siłą”? Czy wszyscy inni też będą tak myśleć?

– Pani Sunderly... – Doktor przerwał nagle i wciągnął powietrze przez nos. Zapanowała krótka chwila ciszy.

Faith oderwała ucho od dziurki od klucza i zajrzała do środka. Myrtle stała bardzo blisko lekarza. Jej ręce bez rękawiczek oplatały jego dłonie

w dziwnym, szokującym geście bliskości. Twarz doktora była czerwona jak róża.

– Ja mam dzieci – powiedziała Myrtle. – Jestem zdesperowana. Niech pan powie, co mam robić.

– Ja... – Lekarz odkaszlnął i spuścił wzrok. – Ma pani moje słowo, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby... oszczędzić pani oraz pani rodzinie kłopotów. Obiecuję. Te rany... Cóż, można różne rzeczy różnie zinterpretować. Proszę, niech pani się nie zadręcza, pani Sunderly.

Faith zauważyła, że nie podjął żadnego wysiłku, by wyrwać rękę z jej dłoni.

Odeszła od dziurki od klucza, czując, że pali ją twarz. Nie mogła już dłużej tego znieść, widzieć ani słyszeć. Jej ciało powoli opanowywało uczucie rosnącego gniewu, jak zbliżająca się burza, jak błyskawica, która nie może rozbłysnąć.

Zeszła na paluszkach do holu i podeszła do stojącego zegara, którego wahadło monotonnie tykało przy każdym poruszeniu. Szydło z niej, udając, że czas wciąż upływa, że świat wciąż się kręci.

Szklane drzwiczki zegara były chłodne pod jej dłonią. Wahadło zwolniło pod dotykiem. Wskazówki zegara zadrżały pod jej palcami, więc przytrzymała je mocno, aż tykanie zegara ustało. Uspokoila się, wyobrażając sobie, że ziemia przestaje się kręcić i dryfuje swobodnie przez pustkę.

Faith stała tam przez dłuższy czas, przytrzymując nieruchome już wskazówki. Czuła się jak morderczyni czasu.

## ROZDZIAŁ 13

# Fałszywy obraz

Był to teraz dom martwych. Wszystkie zasłony zaciągnięto, każde lustro spowijała ciemna materia przypominająca powieki.

Powietrze było ciężkie, tak ciężkie, że Faith wydawało się, że cały dom zapadnie się pod ziemię pod jego ciężarem. Głosy były przyciszone, delikatne niczym szum skrzydeł ćmy. Kroki były ukradkowe.

A jednak mimo to przez całe popołudnie zjeżdżali się ludzie, żeby ich odwiedzić, przychodzili piechotą i przyjeżdżali konno do pogardzanego domostwa Sunderly. Bo w domu była śmierć, a śmierć to biznes.

Na podwórko wjechał wóz pełen bukietów ciętych kwiatów. Wpadł mężczyzna wynajmujący powozy i konie, żeby pochwalić się małym, czarnym powozikiem i ciągnącą go parą karych koni. Panią Vellet posłano do miasta, wróciła z krawcową i skrzyniami pełnymi ciemnych materiałów.

Pogrzeb będzie następnego dnia. Tak postanowiła Myrtle.

– Ale to bardzo szybko, prawda? – zaprotestował wuj Miles. – Dziewczyno, za kilka dni jest statek na kontynent. Jeśli trzymalibyśmy ciało w lodzie, moglibyśmy zabrać je z powrotem do Kentu i pochować Erasmusa w rodzinnym grobowcu.

– Nie. – Myrtle była niewzruszona. – Pochowamy go tu, na wyspie Vane, i to tak szybko, jak to możliwe. – Odmawiała wszelkich dyskusji.

Ten pośpiech wydawał się nieco nieprzyzwoity, ale to była kolejna z całego

ciągu nieprzyzwoitości. Faith stwierdziła, że nie jest w stanie znosić żyjących. Ma dość bezczelnej ciekawości służących, komunałów wuja Milesa i wzruszania ramionami. Pytania Howarda rozdzierały ją na strzępy. A przede wszystkim miała dość swojej matki.

Ktoś musiał wziąć na siebie obowiązek czuwania przy zwłokach. Faith bardzo chętnie zgłosiła się na ochotnika.

Wielebnego umyto, ubrano w najlepsze ubranie i położono na łóżku na górze. Ktoś mógłby sobie wyobrazić, że odszedł właśnie tam, w otoczeniu kochającej rodziny i z Biblią w dłoni. To było kłamstwo, ale pocieszające. W pokoju paliły się teraz świece zapachowe, wszędzie stały wazy pełne kwiatów. Sprawiały, że pokój wydawał się uświęcony, choć Faith wiedziała, że kwiaty i świece są tam tylko po to, żeby zamaskować ślad nieprzyjemnych zapachów.

Faith nie była po raz pierwszy sama przy nieboszczyku. Patrzyła, jak odchodzi pięciu jej młodszych braci, czuła w swoich rękach ich pełne ufności małe dłonie. A później, wypełniając swoją część obowiązków, za każdym razem uczestniczyła w czuwaniu przy zmarłych. Robiło się tak na wszelki wypadek, gdyby miało się okazać, że martwy wcale nie jest martwy. Dobrze wiedzieć takie rzeczy, zanim się kogoś pochowa.

Nie będzie jednak żadnego ruchu. Wiedziała to i czuła przez skórę. Wiedziała to, bo w pokoju panowała dojmująca cisza. To cisza właściwa umarłym.

Na stole przy łóżku stała wielka czarna Biblia. Faith wielokrotnie przeglądała daty urodzin, śmierci i ślubów, zapisane na pustych stronach z tyłu. Byli tam jej bracia, były tam również daty ich śmierci. A teraz do wszystkich tych nazwisk i imion dołączy Erasmus Sunderly, kolejne małe, ludzkie życie stłamszone między wielkimi stronami Biblii.

W migotliwym świetle świec jej ojciec nie wyglądał już przynajmniej na bezradnego, tak jak wtedy w bibliotece. Można by pomyśleć, że jego twarz

jest wyrzeźbiona z marmuru, niezmienna i niezniszczalna. Leżał tu na własnym ołtarzu.

Faith za nic nie chciała zostawić tej ciszy i spokoju. Nie chciała go opuścić. Sama nie wiedziała, co czuje. Jej emocje były tak przejmujące i dziwne, iż wydawało się, że istnieją poza nią, jak ogromne chmury toczące się i zderzające nad jej głową. A ona mogła tylko się im przyglądać.

Samobójstwo. Ciężki, śmiertelny grzech.

– Nie wierzę w to – powiedziała mu. – Wiem, że nigdy byś tego nie zrobił.

Ale czy mogła być jeszcze czegokolwiek pewna? Ile tajemnic miał jej ojciec? A jeżeli znów zażywał te tajemnicze opiaty i rzucił się głową w dół w napadzie narkotycznej melancholii?

Faith była zbyt zmęczona, żeby myśleć, i zbyt zmęczona, żeby nie myśleć. Cały czas w jej głowie rodziły się myśli o tym, co wie i czego nie wie – spadały w kawałkach, każda osobno, zanim mogła je pozbierać i złożyć w całość.

Zrozumiała teraz, dlaczego jej matka kłamała na temat tego, gdzie znaleziono ciało. Skręcony kark w wąwozie wyglądał na wypadek, na nieostrożnie postawiony krok w ciemności. W końcu kto chciałby się rzucać do niewielkiego, zalesionego wąwozu, jeżeli tuż obok był nadmorski klif?

A przecież on nie potrzebował tego klifu. Miał pistolet.

Faith przycisnęła pięści do skroni.

Miał pistolet.

Przypomniała sobie jego nerwowe, instynktowne sięgnięcie po broń, kiedy byli na plaży. Spodziewał się jakiegoś niebezpieczeństwa. A teraz był martwy.

Dlaczego tak się upierał, że musi wrócić do domu przed północą? I dlaczego z taką desperacją próbował ukryć tę tajemniczą roślinę?

Przypominała sobie poszczególne etapy ich sekretnej podróży z rośliną na taczce i nagle coś zaczęło ją dręczyć. Coś było nie tak. Raz jeszcze jak przez

mgłę widziała taczkę, która rano leżała przewrócona na bok na rozwidleniu ścieżek...

*Ale... nie powinno jej tam być. Ojciec i ja zostawiliśmy taczkę przy szklarni.*

Mglista niepewność zaczęła się rozwiewać, pozostawiając w głowie Faith wyraźne podejrzenie.

Mgła zaczęła się podnosić, a Faith raz jeszcze wyszła na dwór, rekonstruując swój poranny spacer. I rzeczywiście, na rozwidleniu leżała taczka.

To może nic nie znaczyć. Może Prythe wstał wcześniej i ją przeniósł.

Ale szła dalej, tym razem ścieżką prowadzącą na szczyt klifu. Była to trudna wspinaczka, droga miejscami była skalista. Wszystko wskazywało na to, że rozdwałała się, tworząc obok siebie potok, który pokazywał się w czasie jesiennych ulew.

Faith doszła na zarośnięty trawą szczyt i poczuła, że jej pelerynę podwiewa morska bryza. Spojrzała w dół i zobaczyła płytkie fale ciągnące za sobą grzywy piany. Tuż pod nią, w połowie klifu, wyrastało drzewo z czarną korą, które powstrzymało jej ojca – drżało, jakby chciało ją do siebie przywabić.

Tutaj ścieżka była błotnista, wydeptana w trawie. Faith pochyliła się, żeby się lepiej przyjrzeć. Niedaleko od szczytu zobaczyła charakterystyczny ślad w błocie. Może to patyk albo krawędź buta, ale ślad był na tyle szeroki, że równie dobrze mogło go zostawić koło taczki.

Kiedy Faith weszła do salonu, wuj Miles spojrzał na nią znad swojej książki i jego zmarszczone czoło nieco się rozchmurzyło.

– Jak sobie radzisz, Faith?

Faith nie mogła powiedzieć niczego dobrego ani pocieszającego.

– Wuju Milesie... Czy mogę wuja o coś zapytać? Wuj powiedział, że kiedy mój... mój ojciec został odprawiony z miejsca wykopalisk, ktoś dał mu list.

– Aha. – Wuj Miles smutno uniósł brwi i zamknął książkę. – Tak, i to go strasznie rozzłościło. Chyba nigdy się nie dowiemy, kto jest jego autorem.

– List nie był podpisany? – Faith nie mogła opanować ciekawości.

– Na pewno. Twój ojciec dopytywał się, kto go napisał. Nagle wszyscy stali się jego wrogami i nie chciał dać się przekonać, że jest inaczej. Ben Crock znalazł ten list w swoich codziennych dokumentach i przekazał go, ale powiedział, że nie wie nic na jego temat.

– A co było w liście?

– Twój ojciec nie pozwolił nikomu go przeczytać. – Wuj Miles pokręcił głową. – W drodze do domu upierał się, że ktoś go śledził albo go zdradził, albo czytał jego dokumenty. A kiedy dotarliśmy do domu... Rzucił list do kominka.

– O, jesteś, Faith! – Myrtle siedziała z krawcową w bawialni. – Jest tu taka czarna sukienka, która mogłaby ci pasować, jeśli ją rozpruć i dopasować do twojego rozmiaru.

Faith spojrzała na czarną sukienkę wiszącą na oparciu krzesła. Była wytarta na kołnierzu i poprzecierana na łokciach. To kreacja, która już nieraz przeżywała żalobę.

– Mamo. Czy mogę z tobą porozmawiać?

– Oczywiście – powiedziała Myrtle nieobecny tonem, nie podnosząc głowy znad magazynu z ilustracjami eleganckich kobiet w pełnych sukniach z krepy. Postukała palcem w jedną z rycin i podała album krawcowej. – Może być ta, ale modnie skrojona. Nie jestem w stanie tak po prostu wyrzucić mojej półkrynoliny. Czy jest pani pewna, że nie możemy popracować z błyszczącym jedwabiem? Czy to wszystko musi być takie lekkie i nudne?

Rzeczywiście było w krepie coś przywodzącego na myśl śmierć. Masa delikatnych nitek, szorstka i drażniąca w dotyku. Miało się wrażenie, że wprost zasysa światło.

Krawcowa zapewniła ją, że nic na to nie można poradzić, co Myrtle przyjęła z niechęcią.

– Wszystko jest takie drogie – mruknęła pod nosem. – Ale musimy postępować przyzwoicie. Pani Vellet, na pewno ktoś na Vane ma do sprzedania starą krepe.

– Popytam, madame. Ale ludzie nie lubią trzymać jej w domu po okresie żałoby. Mówią, że to przynosi pecha. Poza tym, madame, krepa nie jest tak wytrzymała. Łatwo się haczy, a później brzydko wygląda, rozpada się przy praniu albo kiedy przemoczy ją deszcz.

– Mamo, proszę, możemy pomówić w cztery oczy? – Faith nie potrafiła opanować zniecierpliwienia.

– Tak, Faith, tak. Gdy tylko krawcowa weźmie z ciebie miarę.

Faith musiała stać z zaciśniętymi zębami, czekać, aż krawcowa skończy drapować na niej bombazyne, paramatę i czarne wstążki, po czym weźmie z niej dziesiątki miar. Była zmuszona do słuchania, jak jej matka wybiera, spiera się i handryczy, miota między upartą ekstrawagancją i dziwacznym skąpstwem. Tak, z pewnością potrzebuje parasolki z czarnego szyfonu. Ale nie, biżuteria z czarnego szkła doskonale zastąpi gagaty. Tak, na pewno będzie potrzebowała czepka z dodatkowymi wstążkami. Ale nie, rodzina nie musi mieć całego kompletu czarnych ubrań, część można po prostu ufarbować.

W końcu krawcowa wyszła.

– O co chodzi, Faith? – Myrtle spojrzała na nią w przelocie. – Jesteś blada. Każę pani Vellet przynieść ci rosółu.

– Chcę z mamą porozmawiać o ojcu... O klifie...

Wyraz twarzy Myrtle, która jeszcze przed chwilą była zaniepokojona i nieobecna, zmienił się w jednej chwili. Matka podeszła do drzwi, otworzyła je i znów zamknęła.

– Ani słowa więcej – powiedziała cicho i zdecydowanie.



– Ale...

– Nie rozmawiaj o klifie. Ani ze mną, ani z nikim innym.

– Na szczycie znalazłam ślad – upierała się Faith. – Uważam, że stało się tam coś strasznego...

– To nie ma znaczenia! – wybuchła Myrtle. Zamknęła oczy i wypuściła powietrze z płuc, po czym mówiła dalej cichym tonem, który z trudem kontrolowała: – Wiem, że ciężko ci to zrozumieć, ale teraz ma znaczenie tylko to, jak rzeczy wyglądają z zewnątrz. Mamy naszą opowieść. I ona jest prawdą.

Faith miała wrażenie, jakby ktoś ją dusił, czuła frustrację i obrzydzenie. Dlaczego w ogóle próbowała rozmawiać z matką? Dlaczego spodziewała się, że będzie ją to cokolwiek obchodzić?

Cóż więcej mogła dodać? Pistolet, pośpiech ojca, który chciał wrócić do domu przed północą, desperacka próba ukrycia tajemniczej rośliny... Nie mogła nikomu tego zdradzić, nie łamiąc słowa danego ojcu i nie zdradzając jego zaufania.

Kiedy Faith wychodziła z pokoju, spojrzała przez ramię i zobaczyła, jak Myrtle przymierza ozdobę z czarnej wstążki. W tym momencie nienawidziła swojej matki.

Po południu zjawił się Clay z aparatem fotograficznym, trójnogiem i skrzynką z buteleczkami pełnymi chemikaliów. Tuż za nim szedł jego syn Paul, z trudem radząc sobie z niesionymi podnóżkami. Miała to być pamiątkowa fotografia rodzinna. Ukochany ojciec w sercu rodziny. Zdjęcie, które będzie się pokazywać znajomym i krewnym, kartka, którą będzie się wysyłać przyjaciołom.

Faith przypomniała sobie, jak Paul Clay pokazywał jej fotografie pośmiertne i przyglądał się jej reakcji. Teraz nie odważył się spojrzeć jej w oczy, a ona nie szukała jego wzroku.

Wielebnego Erasmusa Sunderly'ego zniesiono na dół do salonu,

wyprostowano mu marynarkę i artystycznie zaczesano włosy, tak by przykrywały ranę na skroni. Tak długo był w samym centrum wydarzeń i cały dom kręcił się tylko wokół niego. Faith czuła się fizycznie chora, widząc, jak go przenoszą i ustawiają jak lalkę na popołudniowej herbatce. Teraz wielebny siedział upozowany na swoim wielkim fotelu, jedna ręka spoczywała na otwartej Biblii.

Myrtle siedziała potulnie u jego boku na tapicerowanym skórą krześle. Wdowią suknię wciąż dopasowywano do jej rozmiaru, ale ubrała się w głębokie granaty, na ramionach miała zaś czarny szal. Była bardzo ładną żałobniczką, a Faith nie mogła znieść jej opanowania. Howard był pochylony u ich stóp, w rękach miał lwa-zabawkę, który zajmował jego uwagę. Faith widziała tylko pochyloną głowę brata i bezbronny łuk skulonych pleców. Drewniane szczęki lwa klekotały raz po raz.

Faith stała tuż za fotelem ojca. Delikatnie uniosła dłoń, aby położyć ją na jego rękawie. Dotyk ten przyniósł jej nieco otuchy.

– Czy mogłaby pani zrobić krok w tył, panienko? – Paul Clay był tuż za nią, trzymając maleńki postument na solidnej podstawie, na którego szczycie było coś wyglądającego jak szczyt.

Faith niechętnie zrobiła krok wstecz, tracąc kontakt z ojcem. Poczwała, jak Paul przesuwa na bok jej warkocz, a później delikatnie mocuje zacisk postumentu po obu stronach jej szyi.

Oczy ją szczypały, nienawidziła Paula Claya, nienawidziła tego płaskiego, chłodno uprzejmego głosu. Sięgnęła za głowę, znalazła jego rękę i uszczypnęła go tak silnie, jak potrafiła. Chciała, żeby zakrzyknął, chciała, żeby narobił jej wstydu, ale nic z tego. Kiedy go puściła, Paul wrócił do ojca, a z jego twarzy nie dawało się nic wyczytać.

– Postument pomoże pani utrzymać pozycję – wyjaśnił Clay.

Stój dokładnie tutaj i nie ruszaj się, bo inaczej zepsujesz zdjęcie. Mów

tylko to i nic innego, bo inaczej zepsujesz naszą opowieść.

Rodzina Sunderly stała nieruchomo, wpatrując się w czarne oko aparatu fotograficznego. Faith myślała o syczących chemikaliach, obrazie samej siebie, który wypala się na szklanym negatywie, nie do zdarcia, nieśmiertelnym. Zastanawiała się, czy będzie miała puste oczy, czy będzie widać myśli, które kręcą się wokół jej głowy jak nietoperze.

– Już – powiedział Clay czule, jakby witał na świecie nowo narodzone dziecko. – Gotowe.

Kiedy utrwalił negatyw, Myrtle poprosiła go na drugą stronę pokoju i szeptała z nim o czymś przy kominku. Faith próbowała nie podsłuchiwać, ale trudno było nie słyszeć.

– ...Nie mam tu żadnych przyjaciół. Nie wiem, co zrobię, jeśli nie będę mogła liczyć na pana pomoc. – Oczy Myrtle przypominały szeroko otwarte oczy dziecka. – Jeśli jest pan na tyle zdolny, by na zdjęciu domalowywać oczy, tak by wyglądały na żywe i otwarte, na pewno może pan to zdjęcie zmienić i w inny sposób. Rana na jego skroni jest trochę zbyt widoczna. Może pan ją ukryć i zamalować?

A zatem fotografia przedstawiająca kłamstwo o szczęśliwej rodzinie będzie miała na sobie kolejne warstwy nieprawdy.

Faith nie mogła tego znieść. Po cichu wyszła z pokoju. W holu było przyjemnie, chłodniej i ciemniej. I była tu sama.

A później otworzyły się drzwi za jej plecami, odwróciła się i okazało się, że tuż za nią stanął Paul Clay. Nic nie mówiąc, przyglądał jej się tym samym chłodnym wzrokiem, jego twarz przypominała maskę.

– Bolało, kiedy cię uszczypnęłam? – spytała. Coś było nie tak z jej płucami. Nabierając do nich powietrza, czuła mrowienie i ukłucie tysięcy igieł. – Powiedz mi, że bolało!

Wziął oddech, a później wstrzymał go przez sekundę, zanim się odezwał.

– To powinno być dobre zdjęcie – powiedział w końcu. – Pełne godności. Nie wszyscy z naszych klientów... To znaczy, on jest dobrym...

– Dobrym czym? – Faith czuła, że jej krew jest gęsta jak magma. – Czy to dobry trup?

– Czemu się na mnie wyżywasz? – odparował Paul, po raz pierwszy podnosząc głos. – To nie ja jestem winien, że tak wygląda.

– Nie? Ale ktoś na pewno.

Kiedy Faith wypluła z siebie te słowa, poczuła, że łatwiej i szybciej jej się oddycha.

Już nie wierzyła, że jej ojciec spadł z klifu zatruty opium. Wyobrażała sobie jakąś ciemną postać, która z trudem wspina się po ścieżce, pchając pełną taczkę, po czym zatrzymuje się na szczycie klifu i zrzuca z niego ciężki pakunek. Spadające ciało odbija się okrutnie od skalistego zbocza i osiada na drzewie. A później ta sama postać wymyka się, zostawiwszy taczkę na rozwidleniu ścieżek.

– Wszyscy go nienawidziliście. Wszyscy na tej zapyziałej, głupiej, beznadziejnej wyspie. I jeden z was go zabił. – Odwróciła się i pobiegła na górę, bo śmierć byłaby lepsza niż to, żeby Paul Clay zobaczył, jak płacze.

To nie był wypadek. Nie samobójstwo. To było morderstwo.

## Pogrzeb

Dzień pogrzebu ciążył zmęczoną, zdrętwiałą szarością. Ubrani na czarno ludzie przedsiębiorcy pogrzebowego mruczeli coś pod nosem, manewrując trumną na schodach. Ich buty zostawiły ślady błota na dywanie. Otwarto drzwi frontowe i wyniesiono trumnę „nogami do przodu”. Faith słyszała kiedyś, że to po to, by zmarli nie spoglądali do domu i nie pociągnęli za sobą kogoś z żywych.

Szkoda, że nie może tego zrobić, pomyślała. Później czekała ich podróż zimnym powozem. Rodzina Sunderly wysiadła przed kościołem i przedefilowała w kierunku świątyni, Howard i wuj Miles szli za trumną jako „mężczyźni rodziny”. „Niemi” podążali obok nich, trzymając długie tyczki owinięte krepą, jak złowieszcze siatki na motyle.

Kiedy rodzina w końcu weszła do kościoła, oczy Faith dopiero po chwili przyzwyczyły się do ciemności.

Myślała, że świątynia będzie pusta, że będzie tylko kapłan, a suknię i wszystkie stroje Myrtle przygotowywano na przedstawienie bez udziału publiczności. Bardzo się myliła.

Niemal w każdej ławce siedzieli ludzie, wszyscy odwracali się, żeby popatrzeć, jak rodzina Sunderly wchodzi do świątyni. Większość z nich to byli zupełnie obcy ludzie. Ławki z przodu kościoła świeciły jednak pustkami. Doktor Jacklers siedział na końcu jednej z nich i wyglądał na bardzo

zakłopotanego. Szanowane rodziny, wielcy i dobrzy ludzie z wyspy Vane, nie pojawili się na mszy.

Kiedy szli przez kościół, Faith czuła na sobie ciekawskie spojrzenia zebranych. Myrtle zadarła brodę i sunęła do przodu, wyglądała jak ciemna królowa, światło świec odbijało się od jej biżuterii z czarnego szkła, pod ciężką woalką widać było przebląsy złotych włosów. Szepty ustawały, kiedy skraj jej czarnej sukni omiatał pamiątkowe tablice wmurowane w marmur podłogi. Faith przez chwilę czuła niechętny podziw dla buntowniczej postawy matki. Dla kobiet uczestnictwo w ceremonii pogrzebowej było i tak aktem odwagi, a Myrtle upierała się, że „nie będzie się chować”.

Rodzina Sunderly usadowiła się w przeznaczonych dla nich ławce, a Faith żałowała, że otaczające ją drewniane ściany nie mają dwóch metrów. Kiedy przechodzili na przód kościoła, jej uszu dobiegły zgryźliwe komentarze.

– Co to znaczy, że „ten pysk znowu gryzie”? – Faith nie mogła się powstrzymać i spytała po cichu.

– To znaczy – mruknęła Myrtle spod welonu – że w kościele jest kilka zazdrosnych, starych czarownic. I że wybrałam odpowiednią suknię.

– Mówiłem ci, że to błąd organizować pogrzeb w niedzielę – mruknął wuj Miles. – Wszyscy mają wolne. Wszyscy mają czas, żeby przyjść i komentować.

Clay wyglądał tak krucho w sutannie, jego niewielka postać gubiła się w cieniu ogromnej ambony. Głos miał poważny i zarliwy, ale słaby, jak gdyby zmęczony walką z cieniami, które zwieszały się z kopulastego sufitu.

– Nic bowiem nie przynieśliśmy na ten świat; nic też nie możemy z niego wynieść. Dał Pan i zabrał Pan. Niech będzie imię Pańskie błogosławione.

Szelest stron w książkach do nabożeństwa. Znany psalm zaśpiewany do nieznannej melodii. A później Clay mówił, mówił i mówił o upadku, powstaniu, śnie i odkupieniu. Jego słowa toczyły się jak pozbawione życia

kamyczki na niekończącej się plaży, a Faith chciała, żeby było już po wszystkim, po wszystkim, po wszystkim. Chciała, żeby jej ojciec był bezpieczny pod gradami ziemi, z dala od tego chłodu, nieprzyjaznej ciemności i szeptów, które syczą jak daleki pożar buszu.

W końcu głos wikarego zatrzymał się i rozległy się odgłosy szurania nogami i przesuwania ławek. Myrtle dźgnęła Faith pod zebro, dzięki czemu ta z ogromną ulgą zdała sobie sprawę, że nabożeństwo dobiegło końca. Wstała z całą resztą rodziny, żeby pójść za trumną do grobu.

Przed nimi nagle coś się zakotłowało. Zamiast czekać, aż wyjdą, i pójść za nimi, zgromadzeni w kościele wylewali się z ławek i wychodzili tłumnie ze świątyni.

Wreszcie rodzinie Sunderly udało się wyjść na światło dzienne i Faith zobaczyła, że przed kościołem jest mnóstwo ludzi – siedzieli, stali, kucali, wszyscy patrzyli na zbliżającą się trumnę.

Przez chwilę Faith nie mogła dostrzec grobu. Później zobaczyła mężczyznę z łopata, na którego czole malował się wyraz niepewności. U jego stóp otwierał się długi, czarny otwór w ziemi, ale stało w nim czterech lub pięciu ludzi, ledwo co widziała ich głowy, łokcie mieli oparte na skraju wykopu. Inni tłoczyli się przed grobem, ramiona mieli założone na piersiach, ludzka bariera głębokości trzech rzędów.

– Cóż to, na Boga, znaczy? – wykrzyknął Clay.

– Nie mogą go tu pochować – powiedział któryś z mężczyzn ze środka grupy. Był wysoki i mocno zbudowany, miał ciemne włosy i wojowniczy wyraz twarzy. Faith rozpoznała go natychmiast. To był Tom Parris, który przypadkiem nastraszył ją w lesie niedaleko Zatoki Byka. Tom Parris, którego syn złapał się we wnyki nastawione przez wielebneho.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Tom? – Wikary był niepomiernie zdziwiony. – Dlaczegoż by nie?

– To poświęcona ziemia – odparł szorstko Tom. – Żadnych samobójstw. Ten Sunderly rzucił się ze skały. Nie obchodzi nas, że ktoś mówi inaczej. Wiemy, gdzie go znaleziono.

Tylko Faith zauważyła spojrzenie Toma rzucone w kierunku stojących przed nim ludzi. Poszła za jego wzrokiem i dostrzegła Jeanne Bissette – pokojówkę, potulną i skromną w swojej najlepszej niedzielnej sukience, z czarną opaską na ramieniu, ale z dziką satysfakcją w oczach.

Powiedziała im, gdzie znaleźli ojca. Rozpowiedziała po całej wyspie.

– Jeżeli chcą go pochować – mówił niezrażony Tom – dwie mile stąd jest skrzyżowanie dróg. Możemy im nawet dać zaostrzony osinowy kołek, żeby duch nie wstał z trumny. Ale nie tutaj. Nie tu, gdzie leżą nasi najbliżsi.

– Ale to jest okrutne. Okrutne! – Myrtle drżała z emocji, jej opanowanie nagle wyparowało. Faith z trudem rozpoznawała głos matki.

Rozległy się inne podniesione głosy. Wuj Miles i wikary przepychali się przez tłum i Faith zobaczyła, jak dyskutują z Tomem, który mianował się przedstawicielem zgromadzonych. Po jakimś czasie zobaczyła, że wuj Miles odwraca się i wzrusza ramionami w sposób, który znała aż za dobrze. „Próbowałem” – chciał powiedzieć. Howard pisnął cicho i Faith zdała sobie sprawę, że za mocno zaciska dłoń na jego rączce.

Clay wrócił do Myrtle i Faith.

– Nigdy nie widziałem tych ludzi tak zawziętych! – powiedział. – Ale mogę państwu przyrzec, że nikt nie będzie dźgał pani męża osinowym kołkiem ani chował go na skrzyżowaniu dróg!

– O, dziękuję. Dziękuję! – krzyknęła Myrtle.

– Nie, to stare prawo zostało zniesione jeszcze za czasów mojego dziadka – mówił dalej wikary, marszcząc brwi. – Ale mają rację, mówiąc, że samobójca nie może być pochowany na poświęconej ziemi. Bardzo mi przykro, pani Sunderly, ale zakwestionowano wersję śmierci wielebnego, a ja



będę musiał całą sprawę oddać w ręce sędziego magistrackiego, pana Lambenta.

– Nie możemy go pochować? – Chłodna kropla deszczu spadła na policzek Myrtle.

– Proszę się nie martwić – odparł pospiesznie Clay. – Jestem przekonany, że to jakieś nieporozumienie i wszystko będzie można łatwo ustalić.

– A jeśli nie? – spytała Myrtle.

– No cóż... Wtedy... Jest tu niedaleko taka łąka, gdzie chowa się niemowlęta urodzone poza małżeństwem. Niepoświęcona, ale widać z niej wieżę kościelną.

– Nie! – wybuchła Faith. Jej ojciec na zawsze wyrzucony poza nawias społeczeństwa, w godzinę śmierci i odcięty od Kościoła...

– Nie, tylko nie to! – potwierdziła Myrtle, a przez ciężką woalkę widać było płomienny blask w jej oczach. – To musi być poświęcona ziemia. – Ściszyła głos. – Ci ludzie... Przecież nie mogą tu stać cały dzień. Nie możemy poczekać i pochować mojego męża, kiedy już sobie pójdą?

– Pani Sunderly – powiedział smutnym tonem wikary. – Obiecałem dochodzenie. Jeżeli złamię dane słowo... No cóż, możemy go tu pochować, ale boję się, że długo by tu nie pozostał.

Wuj Miles został w kościele z pastorem, przed wrotami stał karawan. Chciał porozmawiać z protestującymi i zobaczyć, czy „zdrowy rozsądek i pieniądze coś pomogą”. Nie spodziewał się jednak zbyt wiele. Trumnę usunięto do krypty kościelnej – na jakiś czas.

– Musimy załatwić tę sprawę dzisiaj! – powtarzała Myrtle, kiedy powóz jechał na północ drogą wzdłuż wybrzeża. – Śniadanie po pogrzebie, powóz i karawan, wynajęci żałobnicy – to wszystko jest załatwione na dzisiaj. Nie stać nas na... – Głos jej się załamał.

– Dlaczego nie możemy pojechać z powrotem do domu, do Kentu,

i pochować tam ojca? – spytała Faith.

– Uważasz, że ludzie nie będą tam zadawać tych samych pytań? – odparowała Myrtle. – Nagła śmierć po wybuchu skandalu? Znajdą się inni lekarze, którzy go zbadają i mogą nie być tak... rozsądni jak doktor Jacklers. Nie, zanim wrócimy na ląd, twój ojciec musi być porządnie pochowany, ze świadectwem lekarskim stwierdzającym, że zmarł w wyniku wypadku, tak żeby nikt nie mógł się z nim spierać. Pogrzeb musi się odbyć tutaj, i to dzisiaj!

Kiedy powóz zajechał przed dom, wydawało się, że Myrtle podjęła jakąś decyzję. Zawołała panią Vellet i przekazała jej opiekę nad Howardem. Później stuknęła ostro w dach powozu.

– Woźnica. Niech pan nas zabierze do sądu magistrackiego!

Woźnica zaoponował. Wynajęto go na pogrzeb, a nie „na telepanie się Bóg wie gdzie”. Myrtle bez emocji wręczyła mu monetę, co zakończyło spór.

Faith czuła coraz większy dyskomfort. Wdowy w żałobie nie powinny bywać w towarzystwie. Wybuchłby kolejny skandal, gdyby kogokolwiek odwiedziły albo gdyby widziano je publicznie. Ale cóż innego można było zrobić?

– Oni muszą zrozumieć – oznajmiła matka, jakby odpowiadając na niewypowiedzianą myśl Faith. – Muszą zrozumieć, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Tak, pomyślała Faith. Muszą.

Z dużym niepokojem patrzyła na wijącą się drogę do miasteczka, omiataną podmuchami wiatru. Mały, czarny powóz wspinał się w górę przy akompaniamencie serenady wyszczekiwanej przez psy.

Faith i Myrtle wysiadły, lecz woźnica wcale nie miał zamiaru na nie czekać. Jeszcze jedna moneta przekonała go, żeby na chwilę się zatrzymał, ale jasno stwierdził, że nie ma ochoty „tracić niedzieli”.

Wyglądał na przerażonego. Faith zgadywała, że zaniepokoił go tłum ludzi

przed kościołem. Może nie chciał być widziany jako ostatni na pokładzie tonącego okrętu.

Matka i córka wspięły się po schodach i zastukały do drzwi wielką kołatką. Znajomy służący, który ledwo co łapał powietrze, otworzył im drzwi. Wyglądał na zaskoczonego, kiedy je zobaczył.

– Musimy pilnie porozmawiać z panem Lambentem – wyjaśniła Myrtle. – Zarówno jako z przyjacielem, jak i sędzią magistrackim.

Służący przeproszał stokrotnie. Pana Lambenta nie ma w urzędzie i nie wróci przez kilka godzin, u siebie w domu jest jednak pani Lambent. Czy pani i panna Sunderly zechciałyby poczekać w holu, podczas gdy on dowie się, czy pani Lambent przyjmuje gości?

Hol był mały i pachniał długim nieużywaniem. Myrtle chodziła od ściany do ściany, jej długa, czarna spódnica świstała, zamiatając podłogę, a Faith zacisnęła ręce mocno aż do bólu, próbując powstrzymać potok myśli.

– Lepsze to niż nic – mruknęła Myrtle pod nosem. – Jeśli możemy ją przekonać, być może uda się przekonać i jej męża.

Tutaj zegarów nie zatrzymano. Pomalowany na różowo olbrzymi czasomierz pokazywał im bardzo wyraźnie upływ czasu. Kwadrans. Pół godziny. Trzy kwadransy.

Kiedy minęła już niemal godzina, służący przyniósł im świeżo zapieczętowany list na srebrnym platerze, po czym wyszedł. Faith czytała Myrtle przez ramię.

*Droga Pani Sunderly,*

*Musi mi Pani wybaczyć, że tak wiele czasu zajęła mi odpowiedź, ale kiedy usłyszałam, że czekają Pani w holu, nie mogłam wprost w to uwierzyć. Choć rozumiem, że w Londynie pewne rzeczy robi się inaczej, nie wiedziałam, że utracono tam poczucie przyzwoitości i dobrego smaku.*

*Zdradzę Pani, że byłam zdziwiona Pani decyzją, by zorganizować pogrzeb w niedzielę. Może to dobre dla parobków i dziewczyn fabrycznych, ale trudno wybaczyć*

*ogólnie szanowanej rodzinie nieposzanowanie szabatu takim uczynkiem.*

*Ta wizyta to sprawa zupełnie inna. Kiedy pochowałam pierwszego męża, wycofałam się w żałobę jak pustelniczka do swojej celi. Przez pierwszy rok nikt mnie nie mógł przekonać, bym skalala pamięć mojego męża, pokazując się publicznie. Wolałabym już pójść razem z nim do grobu.*

*A zatem z wielkim żalem stwierdzam, że nie mogłabym w zgodzie ze swoim sumieniem przyjąć Pani u siebie.*

*Pozostaję z uszanowaniem,*

*Agatha Lambent*

Myrtle stała, patrząc przez chwilę na list. Jej ramiona podnosiły się i opadały, jakby miała problemy z oddychaniem, po czym bez słowa wyszła z holu. Stary służący pospiesznie otworzył drzwi, a Faith i Myrtle znów znalazły się na podwórku.

Faith czuła się fizycznie chora ze złości, smutku i przerażenia. Celowo kazano im czekać, a później odprawiono w najbardziej okrutny sposób.

– To jadowita, okrutna hipokrytka! – Myrtle gotowała się z wściekłości. – Jak śmie nas pouczać! To ci dopiero inwalidka! Poczulałam zapach jej „lekarstwa”, a zapach dżinu poznam z drugiego końca pokoju!

Przed budynkiem nie było ani śladu po powozie – nie było go ani w stajniach, ani na ulicy. Woźnica dotrzymał słowa i odjechał.

– Nie mogę znieść myśli, że trzeba będzie błagać tę kobietę o użyczenie powozu! – westchnęła Myrtle. Nie było jednak innej rady, wróciła więc, żeby jeszcze raz zastukać do drzwi.

Nikt nie otwierał.

Pukały i pukały, ale nie było żadnej reakcji.

Kiedy Faith podniosła wzrok na okno na pierwszym piętrze, zobaczyła twarz między zasłonami. Wydawało jej się, że należy ona do panny Hunter.

– Jak daleko jest do domu? – spytała w końcu Myrtle.

– Cztery mile – powiedziała Faith, przypominając sobie mapę.

– W takim razie będziemy musiały iść szybko – powiedziała Myrtle

zduszonym głosem – jeśli chcemy zdążyć przed deszczem.

Nie udało im się. Deszcz zaskoczył je w połowie drogi. Najpierw drażnił się z nimi pojedynczymi kroplami, które zostawiały małe ślady na ich ubraniach. Później z kropel zrobił się lekki deszczyk, następnie przeszedł w ulewę, która szumiała w uszach i od której wzbierało powietrze. Droga pod ich stopami zamieniła się w błoto, które gotowało się i pieniało niczym lawa.

Maleńka szyfonowa parasolka Myrtle nie dawała sobie rady z deszczem. Już po chwili wykrzywiła się, nie wytrzymała naporu wody, która płynęła strużkami po rączce. Czepki miały całkowicie przemoczone, zwieszały się pod ciężarem wody. Faith nie chciała współczuć matce, ale trudno było nie czuć żalu, kiedy widziała piękną żałobną suknię Myrtle potarganą przez wiatr i deszcz. Czarną spódnicę i pończochy pokrywała gruba warstwa błota. Co gorsza, krepa jej sukienki zaczęła się rozłazić, a klej, który utrzymywał włókna jedwabiu, zaczął się rozpuszczać.

Kiedy, potykając się, szły błotnistą drogą, Myrtle zaczęła płakać. Nie był to płacz sztuczny, nie były to łzy wywoływane solami trzeźwiącymi, ale płacz małego dziecka, rozrywające płuca potężne szlochanie. Matka i córka zatrzymały się pod drzewem, żeby osłonić się przed deszczem, ale to było na nic. Myrtle płakała i płakała, a za każdym razem, kiedy łkała, Faith odczuwała to jak cios w serce.

– Jesteśmy prawie w domu – powiedziała tonem, którym zwróciłyby się do Howarda. – Prawie doszliśmy. Nie jest tak źle.

Wybiegła prosto w ulewę, szukając jakiegoś domku czy chaty, czegokolwiek, gdzie mogłyby się schować. Wydawało jej się, że na samym środku pola dostrzega jakąś postać, i głośno zawołała, lecz po chwili zdała sobie sprawę, że to strach na wróble.

Myrtle z trudem podniosła głowę, kiedy dziewczyna wróciła z płaszczem stracha na wróble. Faith okryła nim ramiona matki, przykrywając najgorsze

dziury w rozpadającej się sukni.

Droga do domu była długa, a kiedy dotarły na próg, obie dygotały z zimna. Pani Vellet wyglądała na przerażoną, natychmiast posłała po gorącą wodę, żeby przygotować kąpiel. Gdzieś zza rogu Faith usłyszała jednak cichy, zduszony chichot. Czyżby Jeanne?

Nawet kiedy Faith znalazła się sama, nie była w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym chichocie, słyszała tylko ten śmiech, ten pisk zadowolonej z siebie wesołości. Uderzył w nią jak ostry nóż.

Faith stała w swoim pokoju przemoczona do suchej nitki i zastanawiała się, gdzie podziały się wszystkie łzy. Wylała ich trochę wcześniej; później przypomniawszy sobie – gorące i bezradne. Teraz czuła się tak, jakby ktoś wydarł z niej cały płacz szorstką szmatą.

Myślała o tym śmiechu. O śmiejącej się Jeanne. Później przypomniawszy sobie stereoskopowy obraz zamordowanej kobiety i wyobraziła ją sobie z twarzą służącej.

Wyobraziła sobie kościół płonący wraz ze wszystkimi zgromadzonymi tam ludźmi. Widziała siebie stojącą na zewnątrz z płonąca pochodnią, przyglądającą się zamkniętym drzwiom do kościoła, które podskakują i próbują wyrwać się z framug.

W pokoju Faith było wysokie lustro przyzwoicie okryte krepą.

Kiedy w domu jest śmierć, lustra są głodne – powiedziała jej kiedyś niania. Jeśli ich nie przykryjemy, wessą biedną duszę zmarłego i już jej nie wypuszczą. A kiedy ktoś żywy spojrzy w lustro, czasami może dojrzeć w nim umarłego, który spogląda na niego z drugiej strony.

W domu śmierci wszystko może czyhać na ciebie w lustrze. Czekać na twoją duszę.

Wyciągnęła rękę i dotknęła krepę, czując jej szorstkość. Ściągnęła ją jednym ruchem.

W pokoju było przytłumione światło, a lustro mogło być framugą drzwi o połączonych brzegach. Po drugiej stronie portalu Faith zobaczyła młodą wiedźmę o oczach błyszczących jak gwiazdy. Jej rozpuszczone włosy wiły się wężowo na jej ramionach. Policzki błyszczały od kropel deszczu. Jej prosta sukienka z wysokim kołnierzem miała kolor głodnej czerni.

Czy to Faith, ta dobra dziewczyna?

Dziewczyna w lustrze była zdolna do wszystkiego. I wcale nie była dobra – wystarczyło na nią spojrzeć.

*Nie jestem dobrym człowiekiem. Coś w głowie Faith wyzwoliło się, biło czarnymi skrzydłami, wlatując pod niebo. Nikt dobry nie mógłby czuć tego, co ja czuję. Jestem przewrotna, wściekła i pełna żalu. Nic mnie nie zbawi.*

Nie czuła się już bezradna ani zawstydzona. Była jak pełzający wąż.

## Kłamstwa i drzewo

– Ciii...

Małeńki wąż wzdrygnął się, kiedy otworzyła jego klatkę. Zwinął się jeszcze ciaśniej, uspokoił się, kiedy poczuł w powietrzu zapach Faith. Byli jak brat i siostra. Wślizgnął się na jej ramię, leniwie piękny, wyglądał jak atrament rozpuszczony w wodzie. Łuski węża podobne do suchego jedwabiu i miękkiej skóry były chłodne jak listopadowy wieczór. Jego mały języczek poruszał się w górę i w dół, łaskocząc ją po policzku.

Faith włożyła rękę pod posłanie węża. Palce zacisnęły się na dokumentach ojca. Nie czuła się winna świętokradztwa, wręcz przeciwnie, ogarnęło ją podniecenie.

*Tylko ja ci pozostałam, ojcze. Jestem twoją jedyną szansą na sprawiedliwość i zemstę. Musisz udzielić mi kilku odpowiedzi.*

Zesztywniała, słysząc pospieszne kroki za drzwiami i delikatne echo wody przelewającej się w metalowym naczyniu. Ale to tylko służąca, która przynosiła wodę do kąpieli dla matki. Jej nie będą przeszkadzać.

Faith wyrzuciła z głowy wszystkie myśli o domu, jak wytrząsa się monetę z kieszeni płaszcza. Nikt nie będzie zdziwiony, że odpoczywa w swoim pokoju. Ludzie spokojni i cisi często tak robią. Po przeżyciach tego dnia wszyscy będą myśleć, że po prostu chce się położyć. Wyczerpanie było naturalną reakcją damy.



Na razie mogą sobie myśleć, co chcą, byle tylko jej nie przeszkadzali.

Przesunęła skrzynię podróżną pod drzwi, aby nikt jej nie zaskoczył. Zdjęła mokre ubrania. Później dorzuciła do kominka i usiadła w fotelu z dokumentami pod ręką tak blisko, że ciepło bijące od ognia paliło skórę jej policzków i dłoni. Widziała parę unoszącą się ze spódnicy. Poczwała się jak salamandra albo mityczny potwór. Jej schnące włosy przypominały macki.

W pełgającym świetle kominka zaczęła badać papiery ojca.

Była ich ogromna ilość. Wiele z nich to listy od naukowców pełne wymyślnych komplementów, inteligentnych dowcipów i niewinnych żartów po grecku, wspomnień i opisów naukowych dokonań. Były tam zaproszenia na wykłady, debaty o wieku przedpotopowych zębów lub o najlepszym sposobie przechowywania kości. Niektóre dokumenty wyglądały na rachunki, księgi bankowe lub kwity. Były tam nawet podniszczone i poplamione kartki papieru z herbami królewskimi, wykaligrafowane starannie po angielsku i francusku. Faith zdała sobie sprawę, że musiały to być paszporty i podróżne wizy.

Mijały godziny, ubranie Faith coraz bardziej wysychało, a ona przeglądała delikatne szkice trujących roślin i tropikalnych ptaków, mapy wykopalisk i czytała drobiazgowo zapiski ojca. Później przyszła pora na rysunki nabazgrane ołówkiem i piórkiem, które widziała już wcześniej. Raz jeszcze uderzyło ją to, jak różnią się od innych rycin, jak bardzo są prymitywne i rozgorączkowane.

Jej palce spoczęły wreszcie na oprawnej w skórę księdze, którą znalazła pod poduszką. Zostawiła ją na sam koniec, bo wyglądała jak dziennik lub księga prywatnych zapisków. Nie mogła pozwolić mu już na żadne tajemnice.

Otworzyła pamiętnik i zaczęła czytać słowa zapisane precyzyjnym, eleganckim charakterem pisma jej ojca.

*Studium domniemanych zalet drzewa mendacity*

*Pierwszy raz usłyszałem o tak zwanym drzewie mendacity, kiedy byłem w Chinach*

w roku 1860. Moja wizyta okazała się źle rozplanowana w czasie i kiedy podróżowałem w okolicach Yunnanu, usłyszałem plotki o niedawnych utarczkach między siłami brytyjskimi i chińskimi. Niepewny tego, gdzie mogę spotkać się z wrogim przyjęciem, poszukałem schronienia w wiosce nad rzeką i czekałem na dalszy rozwój wypadków.

Tam przypadkiem zapoznałem się z panem Hectorem Winterbourne'em, przyrodnikiem jak i ja. Był weteranem wielu wykopalisk i właścicielem fantastycznej kolekcji, miłośnikiem różnego rodzaju dziwactw i wynaturzeń. Zadowolony z okazji do rozmowy z człowiekiem wykształconym i moim ziomkiem, spędziłem na konwersacji z nim większą część wieczoru.

Z olbrzymią swadą mówił o swojej ostatniej obsesji – o roślinie, na którą się natknął, a właściwie o opowieści o niej w dziwacznej legendzie trzy lata wcześniej. Drzewo to miało przypominać pnącze, ale dawać owoce podobne do cytrusowych, i posiadać nadzwyczajne właściwości. Roślina doskonale sobie radzi w ciemności i lubi przytłumione światło, a owoce wydaje tylko wtedy, kiedy karmi się ją kłamstwami. To ostatnie odrzuciłem jako po prostu fantastyczne i byłem zdumiony, kiedy mój współtowarzysz nie podzielał mego sceptycyzmu. Kiedy spytałem go, jak można „karmić” roślinę kłamstwami, powiedział, że trzeba szepnąć drzewu coś fałszywego, a następnie rozgłosić to wszem wobec. Im kłamstwo jest ważniejsze i im większa liczba ludzi postanowi w nie uwierzyć, tym większe będą owoce.

Jeśli ktoś taki owoc zje, otrzyma wiedzę najbardziej tajemną, dotyczącą kwestii bliskich jego sercu.

Faith była zaskoczona. Czy to jakaś bajka? Dlaczego jej tak racjonalny ojciec napisał coś takiego? Jednocześnie myślami była przy okrytej płótnem roślinie w donicy, którą pastor za wszelką cenę chciał ukryć.

Kiedy wykazałem mu absurdalność takiej idei, Winterbourne pokazał mi kawałek wysuszonej skórki podobnej do skórki limonki i zapewniał mnie, że dwa lata wcześniej kupił owoc mendacity za sporą cenę i skonsumował go. Nie chciał zdradzić, jakież to „sekret” stał się jego udziałem, ale zapewniał mnie ponuro, że nie była to sprawa, którą można zlekceważyć.

Powiedział, że kupił ten owoc od Holendra nazwiskiem Kikkert, który mieszkał w Indiach i zajmował się sprzedażą informacji. Winterbourne wierzył, że Kikkert „karmił” drzewo, podając fałszywe informacje niektórym kupującym, dzięki czemu mógł sprzedawać owoce innym lub poznawać sekrety warte wysokiej ceny. Była to gra bardzo niebezpieczna i Kikkert uciekł z miasta, zanim Winterbourne zdołał się dowiedzieć czegoś więcej.

*Winterbourne był przekonany, że prześledził ruchy Holendra aż do Persji, ale tam stracił go z oczu. Zupełnym przypadkiem znów trafił na jego ślad. Winterbourne przyjechał do Chin, aby asystować przy wykopaliskach, ale tuż przed odjazdem usłyszał doniesienia o nagłej, podejrzanej śmierci starego Holendra, którego opis pasował do Kikkerta. Teraz Winterbourne płynie w górę rzeki, żeby to zbadać i sprawdzić, czy uda mu się znaleźć jakiś ślad legendarnej rośliny.*

*Tamtej nocy kładłem się spać głęboko przekonany, że Kikkert to szarlatan i że mojemu nowemu znajomemu brakuje piątej klepki. Niemniej jednak, kiedy próbowałem zasnąć, okazało się, że myśl o tej roślinie zawładnęła moją wyobraźnią. Jego powaga, już po fakcie, zrobiła na mnie duże wrażenie. Dla wszystkich tych, którzy są głodni wiedzy, kuszący musi być pomysł, iż można za jednym zamachem posiłkować wiedzę o niezwykłych sekretach.*

*Wstałem następnego dnia rano i znów chciałem porozmawiać z Winterbourne'em, ale okazało się, że wynajął łódź i ruszył w górę rzeki razem ze swoją żoną. Kiedy usłyszałem o zwycięstwie Brytyjczyków, postanowiłem porzucić moje wcześniejsze plany i podążyć za Winterbourne'em, by dowiedzieć się czegoś więcej o jego tajemniczej roślinie.*

*Kiedy w końcu dotarłem do miasta, o którym mi wspomiano, zacząłem rozpytywać i okazało się, że...*

Faith aż podskoczyła, słysząc głośnie uderzenie w drzwi, które spowodowało, że jej skrzynia podróżna podskoczyła.

– Faith! – To był głos Howarda, rozdrażniony i zachrypnięty. – Faith!

– Howard... Ja śpię! – Faith rozejrzała się wokół i zobaczyła dokumenty rozłożone na swoich kolanach. – Jestem chora! Położyłam się!

– Wszedłem nogą na grób! – usłyszała żalosny płacz. – Mam całą nogę w błocie. Mogę wejść?

Głos Howarda chwycił Faith za serce. Chłopiec nie chciał być sam. Wiedziała, że tak jest. Jego świat skończył się, tak jak i jej, i nie rozumiał, dlaczego z różnych ciemnych miejsc straszą go wytwory własnego umysłu. Ale kiedy Faith pomyślała o tym, że ma otworzyć drzwi, ogarnęło ją przerażenie. Na zewnątrz była czarna dziura wypełniona jego lękami, jego niezrozumieniem świata i jego nieszczęściem, a jeżeli ona w nią wpadnie, polecą głęboko w dół i nie będzie już Faith, która potrafi rozwiązywać zagadki albo odróżniać dobro

od zła. Straci ten dziwny, szalony ogień, który w niej buzuje, a który teraz jest jej tak bardzo potrzebny.

– Nie przejmuj się nogą! – odrzyknęła najspokojniejszym głosem, na jaki było ją stać. – Po prostu... bądź dobrym chłopcem... i przepiszesz kilka nowych słów do zeszytu. – Tylko to jej przychodziło do głowy – udawać, że jest to po prostu kolejna niedziela. – Jeśli będziesz dobry i spokojny i przepiszesz kilkanaście linijek, rano wszystko będzie lepiej. Aha – i pisz prawą ręką, Howardzie!

Usłyszała delikatne szuranie oddalających się kroków. Chwilę później słychać było cichy dźwięk ostrożnie zamykanych drzwi do pokoju dziecięcego. Poczowała ból w piersi, choć wydawało jej się, że nie ma już w niej miejsca na żadne poczucie winy.

Znów zapanowała cisza. Faith otworzyła dziennik i odnalazła miejsce, w którym skończyła czytać.

*...Winterbourne'owie wynajęli pokoje w podrzędnej gospodzie. Kiedy tam pojechałem, w zajeździe panował bałagan. Okazało się, że Hectora Winterbourne'a przyłapano na plądrowaniu domu człowieka, który ponoć został zamordowany, i aresztowano go pod zarzutem brania udziału w morderstwie.*

*Przekonałem miejscowe władze, żeby pozwolono mi odwiedzić Winterbourne'a, i znalazłem go w opłakanym stanie. Tak jak wielu więźniów w tych szkodliwych dla zdrowia celach zaraził się malarią, która w tej części kraju nie jest niczym niezwykłym. Przyrzekłem mu, że zrobię wszystko, żeby odzyskał wolność, a on zwierzył mi się ze swoich ostatnich podejrzeń dotyczących lokalizacji drzewa mendacity, błagając mnie, żebym je odnalazł, jeśli on nie będzie mógł.*

*Nie potrafiłem mu pomóc. Gorączka zabiła go w celi na długo przed tym, zanim udało mi się załatwić jego zwolnienie. Zgodnie jednak z jego instrukcjami znalazłem małą kamienną chatkę w bambusowym lesie kilka mil od domu Kikkerta. W jej mrocznych zakamarkach odnalazłem suchą roślinę podobną do winorośli, która zrzuciła już większość liści.*

*Wydostałem okaz spomiędzy tych mrocznych murów i była to niemal katastrofa, zarówno dla mnie, jak i dla rośliny. Pamiętałem uwagi Winterbourne'a na temat tego, że drzewo woli ciemność, ale nie spodziewałem się, z jaką gwałtownością zareaguje na*

*światło dzienne. Tylko dzięki temu, że pospiesznie okryłem je płaszczem, udało mi się uniknąć nieszczęścia. Już nigdy nie będę tak nieostrożny.*

*Roślina dochodziła do siebie przez jakiś czas po tym wydarzeniu. Dzięki dokładnym i ostrożnym eksperymentom okazało się, że najlepiej czuje się w ciemnym i wilgotnym powietrzu, podlewana słoną wodą. Nie jest zależna od promieni słonecznych, wręcz źle znosi wszelkie jasne światło, a zwłaszcza promienie słońca. Dbając o nią we właściwych warunkach, w końcu udało mi się przywrócić roślinę do zdrowia.*

Tu następowało kilka dokładnych rysunków przedstawiających roślinę na różnych etapach kuracji. Najpierw niewielki zwitek splątanej, wyglądającej na martwą winorośli, później szkice malutkich, spiralnych pączków, które stopniowo rozwijały się w smukłe, rozwidlające się liście.

*Mogę zadać sam sobie pytanie, dlaczego poświęciłem tak wiele czasu temu projektowi i zaniedbałem tyle innych. Być może od pierwszych chwil czułem nieodpartą potrzebę odkrycia czegoś cudownego.*

*Żyłem na tyle długo, że widziałem śmierć cudów. Tak jak wielu innych, poświęciłem życie badaniu niezwykłości i tajemnic stworzenia, by lepiej zrozumieć plany Stwórcy. Nasze odkrycia jednak przynosiły tylko wątpliwości i ciemność. Życie mija, upływa rok za rokiem i widzimy, jak lampa nieba pęka i odbiera człowiekowi jego uświęcone miejsce. Zostaliśmy zdetronizowani i rzućeni bestiom na pożarcie. Wyobrażaliśmy sobie, że jesteśmy królami mijających wieków. Teraz okazuje się, że cała nasza cywilizacja przypominała krótki pobyt w jasno oświetlonym pokoju dziecięcym, gdzie bawiliśmy się papierowymi koronami i drewnianymi berłami. Za tymi drzwiami są czarne, puste przestrzenie, w których od mileniów stają w szranki lewiatany. Jesteśmy mrugnięciem powieką, żartem pośród ogromu tragedii. Wszystkie te myśli były dla mnie niewypowiedzianą torturą.*

Faith nigdy, przenigdy nie słyszała słów tak pełnych rozpacz, wypowiedzianych przez ojca lub kogokolwiek innego. Niekiedy wyczuwała wielkie szczeliny wątpliwości, które otwierały się pod stopami naukowców. Nikt nigdy nie mówił o nich jednak tak otwarcie. Przechodzono obok nich obojętnie albo obchodzono wielkim łukiem, bez zbędnych wyjaśnień

i komentarzy.

*Tak to zacząłem eksperymenty z drzewem, które wymagały oczywiście wykorzystania fałszu. Nie miałem w zwyczaju kłamać, ale w tym wypadku wyszło mi to na dobre. Jako że wszyscy wiedzieli, iż oszukiwanie jest czymś przeciwnym mojej naturze, nie spodziewano się po mnie niczego takiego. Zacząłem od małego kłamstwa, które wyszeptalem roślinie, świadom absurdalności swego postępowania. Wymyśliłem sobie chorobę i przez większą część miesiąca udawałem, że kuleję.*

*Po raz pierwszy od kiedy ją zasadziłem, roślina wypuściła kwiaty – niewielkie, białe kwiaty przypominające te na drzewie cytrynowym. Płatki opadły i roślina wydała maleńki owoc, nieco mniejszy niż zwykła czereśnia, który szybko dojrzał, zmieniając kolor od zielonego do oliwkowego z pasemkami złota.*

*Postanowiłem zjeść go, podjąwszy wszelkie rozsądne środki ostrożności. Mięsz był zadziwiająco gorzki. Co do jego wpływu na mnie, muszę powiedzieć, że nigdy nie próbowałem opium i nie mogę porównywać tych doświadczeń, ale podejrzewam, że skutek musiał być dość podobny.*

*W stanie całkowitego oszołomienia okazało się, że jestem podróżnikiem w krainie swojego własnego ciała, moje żyły były czerwono-złote i gorące jak strumienie lawy, mój kręgosłup był łańcuchem górskim, a płuca – katakumbami. Podróżowałem aż do wzgórza mojego dużego palca u lewej nogi i tam odkryłem gotujące się jeziora koloru omdlewającej zieleni, na których widok zrobiło mi się niedobrze.*

*Zaledwie dwa miesiące po tej wizji zacząłem czuć ból i na tym właśnie palcu po raz pierwszy pojawiła się opuchlizna. Lekarz potwierdził, że to początek podagry – choroby, na którą cierpiałem od tamtego czasu. Moja wizja przekazała mi zatem prawdę, o której nikt wtedy nie wiedział, a już na pewno nie ja. Niemniej jednak nie była to szczególnie budująca prawda, przydatna do czegokolwiek lub imponująca.*

*Rozważywszy jednak całą sprawę, doznałem olśnienia. Kłamstwo, które wypowiedziałem, dotyczyło mojego własnego zdrowia, tak jak tajemnica, którą mi podarowano. Czy to możliwe, że kłamstwo i sekret były powiązane i że jeśli roślinę nakarmić jakimś kłamstwem, to wyda z siebie tajemnicę w dziwny sposób powiązaną z tym oszustwem?*

*Mój pierwszy eksperyment był próbą dowiedzenia się, czy drzewo rzeczywiście ma te dziwaczne cechy, o których mówił Winterbourne. Teraz, kiedy okazało się, że jest to możliwe, ośmieliłem się zadać sobie kolejne pytanie. Jaki sekret niewyobrażalny dla człowieka chciałbym tak naprawdę odkryć?*

*Odpowiedź była łatwa. Była jedna rzecz, którą chciałem – nie, którą musiałem wiedzieć.*

*Przez długi czas oddalałem się od wiary, gdy naukowe odkrycia uderzały mnie*

*boleśnie, fala po fali. Moje dawniejsze przekonania łamały się niczym deski przynieszone przez przyływ. Musiałem wiedzieć raz na zawsze, skąd pochodzi człowiek. Czy został stworzony na obraz i podobieństwo Boga i podarowano mu świat, czy też jest jakimś samooszukującym się prawnikiem rozgrymaszonej małpy? Gdybym poznał odpowiedź, minęłyby niepokoje i wątpliwości dręczące mój umysł. Musiałem zyskać pewność albo rzucić się w otchłań rozpacz.*

Faith zatrzymała się, wpatrując się w zapisaną stronicę. Była zszokowana, jak gdyby zobaczyła ojca, który rozpada się przed nią na kawałki. Wiara wielebnego zawsze wydawała się potężna i niezachwiana, silna jak skała. Ona z pewnością by nie zgadła, że miotają nim wątpliwości, które po cichu kopią korytarze do najgłębszego jądra tej skały. Równie dobrze mogłaby się dowiedzieć, że Pan Bóg przestał wierzyć w samego siebie.

*Postanowiłem, że wydrę tę wiedzę drzewu z gardła. Nie tylko po to, żeby uspokoić własny umysł, ale umysły tych wszystkich, którzy – jak ja – są poddawani torturom i nie mogą się nadziwić temu, co widzą.*

*Jeśli pragnąłem poznać sekret pochodzenia człowieka, moje kłamstwa muszą również być z tym związane. Aby zdobyć tak głęboką i ważną tajemnicę, musiałem rozgłaszać monumentalne brednie i robić to tak, żeby uwierzyło w nie możliwie wielu ludzi. Przed moimi oczami rozwinął się horyzont olbrzymiego projektu i już wiedziałem, co trzeba zrobić. Byłem ogólnie szanowany jako biolog, zwracano się do mnie o radę, ufano mi. Jeśli pokazywałbym skamieliny, nikt nie kwestionowałby ich autentyczności. Mógłbym fabrykować kolejne znaleziska i nikt by nie wątpił, że mówię prawdę.*

*W interesie prawdy będę kłamał. Oszukam świat, a później opublikuję wiedzę, która posłuży całej ludzkości, a być może zbawi jej duszę. Na jakiś czas zamęcę wodę, która w końcu sama się oczyści. Pożyczę z banku prawdy, ale dług spłacę z odsetkami.*

– Nie – szepnęła Faith. Nie. Nie. Nie.

Jednak kolejna strona i następne pełne były drobiazgowych szczegółów jego fałszerstw. Znalazła tam starannie narysowane szkice skamielin, zarówno przed zmianami, jak i po nich.

Największa ilustracja ukazywała jego najsłynniejsze znalezisko – Nefilim –

tak, jak wyglądało, zanim je złożył. Nie było tam ludzkiego ramienia ze skrzydłem, ale ledwo zauważalne ślady skamieniałych piór przyklejonych do kamiennego ramienia innego stworzenia z precyzją i artyzmem.

*Wybierz kłamstwo, w które inni będą chcieli wierzyć – napisano pod spodem. Będą się go trzymać, nawet jeżeli wykaże się im czarno na białym, że to fałsz. Jeśli ktokolwiek spróbuje pokazać im prawdę, będą go atakować i walczyć o swoje do upadłego.*

I on właśnie takie kłamstwo wybrał. Piękny dowód na prawdziwość biblijnej historii o Nefilim. Faith przypomniała sobie starszego mężczyznę w domu Lambentów, tak gorąco, gorliwie wierzącego w tę skamielinę. Nefilim był jak kawałek drewna unoszącego się na powierzchni okrutnego morza zwątpienia. Oczywiście ludzie musieli się go chwycić.

Skandal, krzyk niedowierzania, oskarżenia o fałszerstwo... To wszystko była prawda. Jej ojciec podrabiał skamieliny. Kłamał na temat swych znalezisk. Oszukiwał przyjaciół, współpracowników, rodzinę i cały świat.

Nic mniejszej wagi nie przekonałoby Faith. Nic mniej poważnego niż to wyznanie, spisane charakterystycznym, precyzyjnym charakterem pisma jej ojca. Nie czuła już ani szoku, ani zdziwienia, jedynie narastającą wokół niej ciemność. Delikatna, zagubiona część jej samej trzepotała się bezradnie w tej ciemności niczym gołąb pod sklepieniem sufitu. *Kim był ten człowiek? Kogo kochałam przez te wszystkie lata? Czyżbym znała go tak słabo?*

Ale przecież go kochała. Kochała go za mocno i za długo, by ta miłość mogła, ot tak, wyparować. Przykuła się jak łańcuchem do jego duszy i serca.

Faith objęła oprawny w skórę dziennik, przycisnęła go do piersi i zacisnęła mocno powieki. Wyobraziła sobie ojca walczącego mężnie o prawdę w niezbadanej dżungli, niebezpiecznej i wrogiej, odważnego, lecz bez wsparcia. Jakże musiała mu ciążyć samotność tej tajemnicy!

– Robiłeś to, żeby pomóc ludzkości – szepnęła Faith. – Nie rozumieli cię,



ale ja cię rozumiem. – Potrafiła mu wybaczyć, nawet jeśli nikt inny nie był w stanie tego uczynić. Dzięki temu jej ojciec stał się bardziej ludzki i był jej jeszcze bliższy.

Pospiesznie przerzucała kartki z rysunkami jego fałszywych skamielin, nie chcąc na nie patrzeć. Później następowały opisy jego wizji, niejasnych i trudnych do zrozumienia, co prawdopodobnie najbardziej go irytowało.

W pierwszej wizji zobaczył mroczną dżunglę, w której jakiś cień o okrutnym dziobie powoli szybował w dół. Odbłyśki światła tańczyły w jego gadzich oczach i niebiesko-szkarłatnych, pierzastych skrzydłach. W drugiej wizji zobaczył wyspy, które rodziły się jak nabrzmiewające pęcherze w garnku z owsianką, wyrastające na nich wulkany wypuszczały biały dym. W kolejnej ukazała mu się grupa niewysokich, nieogolonych mężczyzn odzianych w surowe skóry, która walczyła z podobnymi do ludzi stworami o grubych karkach, niskich czołach i nierealnie umięśnionych ramionach.

Ostatnia wizja była najbardziej szczegółowa.

*Byłem w moim klubie, kiedy ktoś umieścił mi w dłoniach O pochodzeniu gatunków. Próbowałem czytać tę książkę, ale słowa tańczyły mi przed oczami. Kiedy uniosłem rękę, by przetrzeć powiekę, palce poślaskotały mi twarz. Były pokryte futrem.*

*W srebrnej powierzchni tabakiery zobaczyłem swoje odbicie. Nad fularem wyrastała brązowa wilcza szczeka z długimi siekaczami i kłami. Pospiesznie podniosłem książkę, aby osłonić zniekształcenia. Wychynąłem znad okładki, żeby zobaczyć, czy ktoś zauważył moją transformację.*

*W klubie zapanował niewyobrażalny zamęt. Służący zwieszali się z kandelabrow, mieli twarze małp, gdakali i rechotali. Jeden z członków klubu szczyrzył zęby gryzonia, warcząc i walcząc z rywalem o twarz ropuchy o plater ostryg. Inny wymachiwał rękami, tłukąc talerze i połykając wszystko, co miał w zasięgu pelikaniego dzioba i wielkiego gardła przypominającego worek. Od porzuconego cygara zajęły się zasłony w oknach, ale nikt się nie kwapił, żeby ugasić pożar. Dym wywołał jeszcze więcej wrzasków, wycia, syczenia i zgrzytania.*

*Próbowałem zachować rozsądek i wyszedłem z pokoju. Szukałem starego człowieka, który prowadził ten klub i mieszkał na najwyższym piętrze. Na pewno wszystko wyjaśni i doprowadzi rzecz do porządku.*

*Kiedy wspinałem się na kolejne piętra, robiło się coraz gorzej. Na pierwszym z nich członkowie klubu zdarli z siebie marynarki, czołgali się i harcowali w samych koszulach. Przypominali zwierzęta, których nigdy przedtem nie widziałem. Niektórzy mieli łuski nad brwiami lub monstrualne siekacze. Na drugim piętrze członkowie klubu byli zupełnie nadzy, ślizgali się w kałużach rozlanego portu, a ich wąskie języki wysuwały się co rusz z jaszczurzych pysków.*

*Na trzecim piętrze znalazłem się przed drzwiami zdobionymi złoceniami i wiedziałem, że znajdę za nimi tego starego człowieka. Gdy sięgałem do klamki, ktoś wypowiedział moje imię. Tuż obok stała moja córka Faith.*

*Na jej widok poczułem przerażenie i oburzenie. W ogóle nie powinno jej być w klubie i nie chciałem, żeby zobaczyła moje kły i futro. Większe przerażenie ogarnęło mnie, kiedy zobaczyłem, że sama ulega przekleństwu tego miejsca. Młodzieńcza skóra jej twarzy zaczęła pękać, a pod spodem dostrzegłem łuski.*

*To zjawisko wynikało z faktu, że córka wtargnęła do mojej biblioteki i przerwała mi wizję. Uważam, że niemal mnie z niej wyrwała, ale kiedy rozsądek zaczął brać górę, byłem na tyle skoncentrowany, by ją stamtąd wygnąć.*

Faith głośno przełknęła ślinę. Teraz w końcu zrozumiała to ciche, dziwne okrucieństwo odpowiedzi jej ojca, kiedy wyrwała go z zamroczenia. Ale jakąż krzywdę mu zrobiła, przerywając wizję? Czy ograbiła ludzkość z wiecznej prawdy?

*Kiedy córka wyszła, otworzyłem ostatnie połączone drzwi.*

*Za nimi nie było pokoju. Uderzyła mnie straszna, pieniąca się katarakta. Pomieszczenie w jednej chwili wypełniło się wodą. Zaczęło mnie okręcać, a później wciągać w dół. Nie byłem już w budynku, lecz w bezkresnym, mrocznym morzu. Oddychałem wodą i byłem pewien, że będę tonął przez tysiąclecia coraz głębiej i głębiej w ciemności i nigdy nie utonę. Byłem sam, otaczały mnie maleńkie pyłki złota, które pływały, wirowały i polowały na siebie nawzajem.*

*I to właśnie była cała wizja. To była nagroda za wszystkie moje wysiłki, cierpienia i próby.*

*Wiązałem z nią ogromne nadzieje, a okazało się, że taki jest efekt sfabrykowania tak zwanych Nefilim z New Falton. Pozwoliłem tej wizji rosnąć i dojrzewać dłużej niż którejkolwiek innej. Czuję się uprawniony do tego, by oczekiwać, że uwiarygodni ona wszystkie moje poświęcenia. Płochy i niestały świat obracał się do mnie plecami, ale wierzyłem, że w końcu osiągnę cel.*

*Zamiast tego ostatni pokaz magicznej latarni przeppełnił mnie lękiem i zamieszał*

*w głowie. Nie jestem ślepy na interpretację, którą można przypisać tym obrazom – nieubłagane cofanie zegara, regresja człowieka w zwierzę, powrót do pierwotnego śluzu. To łatwe wyjaśnienie, ale jeśli je zaakceptuję, poddam się desperacji. Muszę szukać dalej. Moja misja nie może zakończyć się w ten sposób.*

*Po tym wszystkim, co zrobiłem, znalazłem się w ślepych zaułku z pustymi rękami. Muszę kazać drzewu urodzić kolejny owoc, ale nie wiem jak. Jakikolwiek kłamstwo bym wymyślił i jakkolwiek byłoby przewrotne, nikt mi nie uwierzy. Jeżeli nie będę w stanie uratować swej reputacji, okaże się, że wszystko, co zrobiłem, było na próżno.*

Następnie Faith naliczyła ponad dwadzieścia szkiców, rysunków i tabel z liczbami, ale nie mogła już przyjąć ani jednej informacji. Powoli zamknęła książkę.

Nic dziwnego, że tak bardzo chronił swoją roślinę i tak niechętnie o niej mówił. Nic dziwnego, że wyrwał papiery z dłoni Faith i stracił cierpliwość, kiedy przyznała się do tego, że otworzyła jego skrzynię.

Faith miała nadzieję, że w dzienniku znajdzie informacje, które pomogą jej oczyścić imię ojca. Ta nadzieja okazała się płonna. Nie, nikt nie może tego przeczytać! Jeżeli zawartość dziennika dotrze do publicznej wiadomości, będzie to dowód na to, że pastor był oszustem, a może zapamiętają go od początku do końca jako szaleńca.

Czy to było szaleństwo? Czy ta obsesja i kolejne wizje były wytworem chorego umysłu?

Być może. A być może Faith była teraz jedyną żyjącą osobą, która знаła miejsce ukrycia drzewa mendacity, potrafiącego otwierać niewypowiedziane sekrety i ujawniać niezliczone tajemnice.

Faith musiała się tego dowiedzieć, tak czy inaczej. Jeżeli drzewo mogło ujawniać sekrety, to być może potrafi odkryć tajemnicę śmierci jej ojca.

## ROZDZIAŁ 16

# Rozwścieczony duch

Około ósmej wieczorem gospodyni przyniosła do pokoju Faith tacę z kolacją. Dziewczyna podziękowała jej, powiedziała, że wcześniej położy się spać, i odmówiła termoforu. Dzięki temu miała przed sobą całą noc. Pospiesznie zjadła, a później raz jeszcze włożyła zniszczony pogrzebowy strój. Wszyscy już widzieli, że ubranie było mokre i zabłocone, więc prawdopodobnie nie zauważą, jeśli suknia i peleryna będą jeszcze bardziej mokre i jeszcze bardziej zabłocone. Zapaliła latarnię, ale skręciła bardzo nisko płomień i przykryła ją płótnem, tak jak przedtem zrobił to jej ojciec.

Wymknęła się do ogrodu na dachu, który wciąż lśnił od kropel deszczu. Niebo nad jej głową było ponuro szare. Kiedy przemykała się przez bramę i w dół po stopniach, słyszała w pomywalni naczyń dźwięki odkładanych talerzy i garnków oraz podniesione głosy. Poszła na ukos przez ogród, a później za budynkami gospodarczymi, by zminimalizować ryzyko, że ktoś ją zauważy.

Faith szła pospiesznie ścieżką w kierunku morza, mając nadzieję, że dobrze zapamiętała tabelę przyływów i odpływów. Kiedy dotarła na plażę, poczuła ulgę, widząc, że jest odpływ, a morze jest spokojne, tak jak przewidywała. Jeśli dobrze odczytała tabelę, odpływ potrwa jeszcze godzinę, a później wody zaczną znów przybywać. Przybierające wody będą spokojniejsze, prądy morskie zaś zostaną jej przyjaciółmi.

Miała wrażenie, że jest doskonale widoczna, więc omiotła spojrzeniem szczyty klifów, ale nie zauważyła nikogo, kto by ją obserwował. Na wpół wyschnięte kosmyki włosów uderzały ją po policzkach.

Trudno jej było ciągnąć samej łódź, ale w końcu udało jej się dopchnąć ją aż do wody. Wgramoliła się do środka i wiosłem odepchnęła się od brzegu.

Faith nigdy przedtem nie wiosłowała i już wkrótce okazało się, że jest to znacznie trudniejsze, niż przypuszczała. Najpierw próbowała wiosłować, patrząc przed siebie, żeby widzieć, dokąd płynie, pchając pióra wiosel przez wodę, zamiast je ciągnąć, ale myszkowały po wodzie i dzwoniły w dulkach. Szło jej znacznie lepiej, gdy wiosłowała odwrócona plecami do dziobu, tak jak ojciec. Mimo to bardzo szybko straciła oddech, bolały ją mięśnie i ramiona. Była zadowolona, że przed wyjściem z domu poluzowała gorset.

Za każdym razem, kiedy się odwracała na ławeczce, żeby spojrzeć przed siebie, wydawało jej się, że płynie wprost na otwarte morze lub ma na kursie kolizyjnym podwodną skałę. Na szczęście o zmroku znacznie łatwiej można je było zobaczyć.

W szarym świetle zmierzchu zobaczyła wejście do jaskini morskiej przypominające ciemny gotycki łuk. Jej otwarte ujście połykało falę po fali, a później wymiotowało pianą.

Z furią napierając na wiosła, podprowadziła łódź jak najbliżej jaskini. Silna fala zmiotła ją ku wejściu, a łódź tym razem wbiła się w zbocze z kamyków znacznie bliżej. Faith wygramoliła się przez burtę na śliską skałę, była na wpół głucha, wokół ryczały echa fal. Zacumowała łódź do tej samej kolumny co ostatnio. Uniosła latarnię, podciągnęła brzeg spódnicy i wyszła na skalistą platformę ciągnącą się za łodzią, a później przedostała się przez nierówny trójkątny otwór do większej jaskini znajdującej się z tyłu. Tu światło było przyćmione, sączyło się zaledwie z sąsiedniej komory. Pamiętając ostrzeżenie ojca o „gwałtownej reakcji” rośliny na światło, uważała, żeby

latarnia była cały czas przykryta, pozwalała tylko małemu promieniowi błąkać się wokół i oświetlać otoczenie.

Jaskinia miała łukowate sklepienie, wzdłuż którego biegły szczeliny i pasma niczym zakrzywione belkowanie kościelnego stropu. Tu i ówdzie widziała cieniste rozstępy i otwory prowadzące do innych jaskiń.

Z drugiej strony na wystającej ze skały półce dostrzegła otoczony płótnem kształt, doniczka z terakoty była ledwie widoczna pod materiałem.

Było coś dziwnego w echu wysoko sklepionej jaskini. Ryk nieodległego morza złagodniał i wirował tak, że miało się wrażenie, iż powietrze jest pełne westchnień. Faith nie mogła się opanować i raz po raz oglądała się przez ramię, myśląc, że tuż za jej plecami stoi ktoś, kto wydycha z płuc powietrze. Chłodny zapach był tutaj gorzki, czuła, że coś kłuje ją w oczy.

Faith powoli, ślizgając się, pokonywała drogę po wznoszącej się kamiennej podłodze. Kiedy stanęła przy skalistej półce, delikatnie pociągnęła płótno. Poczowała opór, ciągnięcie cierni, a później przykrywające roślinę płótno opadło, pokazując czarną plataninę kłaczy wylewającą się poza krawędź donicy, jak narysowany piórkiem cień na ciemnym tle.

Dziwaczne dźwięki w jaskini stały się głośniejsze, oddechy otaczały Faith ze wszystkich stron. Ostrożnie uniosła latarnię, oświetlając roślinę. Światło odbijało się i lśniło na wąskich, granatowo-czarnych liściach, długich cierniach i złotych perłach żywicy świecących na czarnych, wypukłych łodygach... A chwilę później liście wzdrygnęły się, zaczęły się marszczyć i kurczyć, sycząc wściekle niczym niepokojona czymś bestia.

Pospiesznie odsunęła promień latarni, tak że roślina stała się znów atramentowo czarnym, niewyraźnym wzgórkim. Nawet kiedy syczenie ustało, nie miała śmiałości raz jeszcze oświetlać drzewka. Zamiast tego wyciągnęła rękę i delikatnie przesunęła palcami po liściach, oglądając je dotykiem.

Ku jej uldze światło nie spowodowało wielu szkód. Liście były zimne

i nieco lepkie, na palcach zostawała jej gęsta jak miód wilgoć. Owoców nie znalazła.

Po jej plecach przeszła parada wyimaginowanych mrówek. Nie mogła nie rozpoznać kształtu liści, które rozwidlały się i zwięzały w dwa wąskie punkty. Widziała ich odzwierciedlenie drobniawo naszkicowane ręką ojca w jego dzienniku. To było drzewo mendacity, jego największy sekret, jego skarb i przyczyna jego upadku. Drzewo kłamstw. Teraz należało do niej, a wizja podróży, której nie udało mu się zakończyć, zaczęła się otwierać przed nią jak nowy horyzont.

Opuściła głowę, aż niemal dotknęła ustami liści. Zapach pod powiekami był gryzący, chłodny jak śnieg, zaczęły ją boleć skronie.

– Ojciec nie może już do ciebie przyjść – szepnęła. – Nie żyje i jest w krypcie kościelnej. Chciałam się dowiedzieć, kto go zamordował. Pomozesz mi?

Nie było odpowiedzi. Oczywiście, że nie było odpowiedzi.

– Chcesz kłamstwo? – spytała Faith, czując się tak, jakby dawała jakiś przysmak niebezpiecznemu zwierzęciu. Niemal spodziewała się, że się najeży jak głodny wilk.

„Wybierz kłamstwo, w które inni będą chcieli uwierzyć” – napisał jej ojciec.

Faith przypomniała sobie rozmowę na cmentarzu i sugestie Toma, żeby przebić ojca osinowym kołkiem, by nie dopuszczać do ludzi jego ducha. Pomyślała o przerażeniu Howarda, o zatrzymanych zegarach i lustrach zakrytych czarną materią.

– Mam dla ciebie kłamstwo. – Zamknęła oczy i zaczęła szeptać. – Duch mojego ojca błąka się po domu, szukając zemsty na tych, którzy go skrzywdzili.

Coś bardzo delikatnie połaskotało ją w twarz i Faith odsunęła się

i otworzyła oczy. Pośród błyszczących liści rośliny nie zauważyła jednak żadnego ruchu.

Kiedy powoli wycofywała się z największej komnaty jaskini, wydawało jej się, że towarzyszące jej dźwięki nabrały nowego odcienia. Niemalże słyszała delikatne echo swoich własnych słów rozkołysanych w powietrzu, rozpościerających się jak skrzydła ptaka.

Osinowy kołek wbity w serce na rozwidleniu dróg, żeby zmarły nie mógł odnaleźć drogi do domu...

Wchodząc ostrożnie do ciemnego budynku w poniszczonej czarnej sukni, Faith czuła się trochę jak powracająca zagubiona dusza. Zatrzymała się i przez chwilę nasłuchiwała, ale panowała cisza. Wszyscy poszli spać. Dom należał do niej.

Co powinna zrobić? Gdzie zacząć? Faith zmrużyła oczy, a później uśmiechnęła się w ciemności, kiedy przyszło natchnienie. Wślizgnęła się ostrożnie do kuchni, tam, gdzie na pewno widziała wcześniej... Tak.

Ostrożnie oświetlała wszystko latarnią i na wysokości swojej twarzy zobaczyła tablicę z dzwonekami. Było tam siedem dzwonek, a każdy z nich zwisał na końcu spiralnie zwiniętego metalowego drutu, który był przymocowany do siedmiu przewodów biegnących poziomo po ścianie. Każdy z dzwonek był inaczej opisany – główna sypialnia, druga sypialnia, trzecia sypialnia, salon, biblioteka, pokój dziecięcy, jadalnia. Pociągnięcie za dzwonek w każdym z tych pomieszczeń poruszało ukryty drut, który zygzakiem wił się przez piętra i ściany i powodował dzwonięcie konkretnego dzwoneka w kuchni.

Mrużąc oczy w półmroku, Faith zaczęła odplątywać druty głównej i trzeciej sypialni, a następnie zamieniła je miejscami. Wślizgnęła się do biblioteki i znalazła na biurku tabakierę ojca. Wzięła trochę tytoniu i sypnęła w płomień świecy. Przyglądała się, jak ciemnieje, syczy, gotuje się i uwalnia aromatyczną



chmurkę błękitnego dymu. Później, za pomocą noża do otwierania listów, rozdarła dziurę w krepie przykrywającej lustro, tak że widać było srebrny przeblysk w materii, półotwarte oko blasku.

I ostatni przystanek. Na paluszkach wspięła się na górę, przez chwilę nasłuchiwała, czy ktoś się nie przebudził, po czym wślizgnęła się do pokoju ojca i odkryła latarnię dopiero wtedy, kiedy dokładnie zamknęła drzwi.

Wciąż znajdowało się tam pełno wazonów ze zwiędłymi kwiatami. Na łóżku, gdzie przedtem leżały zwłoki, było długie wgłębienie, ale rzeczy ojca zostały zabrane i schowane do skrzyń. Na stoliku nocnym leżała zamknięta Biblia.

Umysł Faith gotował się od nagromadzenia wściekłych pomysłów, ale opanowała się. Za dużo naraz mogłoby ją zdradzić. Otworzyła Biblię i szybko przewracała strony, aż znalazła Piątą Księgę Mojżeszową 32,35.

*Pomsta do mnie należy, ja odpłacę. Do czasu, gdy zachwieje się noga ich. Bliski jest dzień klęski ich. Nie spieszą się ich przeznaczenia...*

Otworzyła Biblię na tej stronie i pod cytatem o zemście położyła płatek kwiatu.

Dzwonek przy łóżku ojca kończył się czerwonym sznurem z pomponem. Faith wspięła się na krzesło i brzytwą ojca przecięła sznur bardzo wysoko, tak że mógł się urwać przy byle pociągnięciu. Dopiero wtedy wyszła z pokoju.

Jeśli chcą ducha, będą go mieli.

## Strzelba na duchy

Faith zbudziła się ze snu, w którym wydawało jej się, że jest przysypana górami śmieci. Czuła się słabo i wszystko ją bolało. Leżała jakiś czas w łóżku, próbując sobie uzmysłować, dlaczego tak palą ją plecy, barki i ramiona.

Potem wszystko wróciło do niej pospiesznym, zimnym i ciemnym lotem. Strata, pogrzeb, dziennik, dotyk liści drzewa kłamstw na twarzy. Jej umysł zaczął spadać w chłodną przepaść, dopóki gniew i wściekłość nie rozwinęły skrzydeł i nie wyprostowały jego lotu.

Z trudem wyszła z łóżka. Ramiona miała ciężkie jak z ołowiu i wciśnięcie ich w rękawy zapasowego ubrania żalobnego było bolesnym procesem. Mięśnie, które nigdy nie były tak naprawdę używane, gorąco protestowały.

Włosy miała splątane wiatrem i solą. Zaatakowała je szczotka, a po pewnym czasie doprowadziła je nawet do stanu, w którym można było nazwać je gładkimi i lśniącymi.

Faith odsunęła nieco zasłonę i wyjrzała na zewnątrz. Następnym szary, niespokojny dzień. Wiatr grał w kominach i przypłaszczwał do ziemi błyszczące spirale traw, drzewa wyrzucały w górę gałęzie przypominające ramiona tonących marynarzy.

Musiała odszukać mordercę, miała przed sobą wyspę, którą trzeba było przestraszyć. Ludzie, którzy się boją, często robią błędy, a to był dobry dzień na bycie duchem.

Faith chwyciła niebieski sznur wiszący przy jej łóżku i pociągnęła go trzy razy, trzy długie razy.

Wyobraziła sobie służących na dole patrzących w przerażeniu na tablicę z dzwonekami, kiedy – choć to przecież niemożliwe – dzwonek pustej sypialni pana domu poruszył się i zadzwonił. Mijały minuty i nic się nie działo. Później usłyszała niepewne kroki kogoś wspinającego się po schodach dla służby i kroczącego przez półpiętro. Faith uklękła przy drzwiach do swojej sypialni i przycisnęła oko do dziurki od klucza.

Jeanne kręciła się przed pokojem wielebnego, oczy miała szeroko otwarte, nerwowo załamywała palce. Faith patrzyła, jak dziewczyna chwytła za klamkę i wchodzi do pokoju. Była prawie pewna, że usłyszała stłumione westchnienie.

Skrzypienie desek. Delikatne, ostrożne kroki w pokoju. Krótki pisk. Jeanne wypadła z pokoju na półpiętro kompletnie rozbita, czerwony sznur od dzwonka trzymała w ręce i biegiem zniknęła na schodach.

Faith uśmiechnęła się do siebie, kiedy pantofle dziewczyny stuknęły na schodach dla służby. Odgadła, że ktoś pociągnie za sznur w nawiedzonym pokoju, żeby zobaczyć, co się stanie. Gdyby go nie przecięła, zadzwoniłby dzwonek w jej pokoju i ktoś odgadłby prawdę.

Przycisnęła ucho do ściany i usłyszała stłumioną rozmowę gdzieś na schodach dla służby.

– Urwałaś go? – pytał z niedowierzaniem Prythe.

– Ja tylko delikatnie pociągnęłam! – słyhać było głos Jeanne, która próbowała się bronić, ale była wstrząśnięta. – Został mi w ręce! W tym pokoju panuje straszny bałagan...

Faith przesunęła dłonią po sznurze od dzwonka, czując jego szorstkość pod palcami, i kusił ją, żeby pociągnąć jeszcze raz. Nie, to będzie za dużo i za szybko. Jej ofiary musiały mieć czas, żeby się wszystkiemu dziwić

i zastanawiać, szeptać po kątach i opowiadać sobie nawzajem straszne historie.

Godzinę później, kiedy Jeanne przyniosła śniadanie na tacy do pokoju dziecięcego dla Faith i Howarda, wydawało się, że straciła zwykłe opanowanie. Kubki dzwięczały, kiedy stawiała tacę na stół, ledwo co spojrzała na Faith i wychodząc, ukłoniła się pospiesznie. Niezależnie od tego, co myślała o tym tajemniczym dzwonku, na pewno nie podejrzewała dobrze wychowanej, nieśmiałej córki pastora.

Faith z trudem skupiała się na śniadaniu, siedząc przy małym drewnianym stoliku z Howardem.

Co wie o mordercy? Niemal każdy mieszkaniec wyspy Vane mógł być tamtej nocy w Zatoce Byka. A jednak jej ojciec zachowywał się tak, jakby miał o północy wyznaczone spotkanie. To był ktoś, kogo chciał ujrzeć, choć nie bez pistoletu. Jeżeli czuł, że coś mu grozi, dlaczego w ogóle miałby się z nim spotykać? Tym bardziej w tajemnicy, w środku nocy?

I jeszcze zagadka pistoletu. Miał ze sobą broń, ale to z jakichś nieznanych przyczyn wcale go nie uratowało. Kiedy przyniesiono jego ciało, w kieszeni brakowało pistoletu.

– Nie w tej ręce, Howardzie – powiedziała odruchowo, widząc, że jej brat znów zamienił miejscami widelec i nóż.

– Nie! – krzyknął Howard w nagłym wybuchu buntu. Błyszczała mu buzia, z trudem łapał oddech, miał na twarzy wyraz rozszalałej niechęci. Faith widziała, że źle spał, i raz jeszcze poczuła, że ma na duszy bliznę, która była nie tylko śladem po poczuciu winy.

– Howardzie...

– Nie, nie, nie, nie! – Howard wrzeszczał jeszcze głośniej, odpychając talerz, tak że niemal zepchnął śniadanie Faith na jej kolana.

Próbowała zachować spokój, ale czuła, że niedługo sama wybuchnie.

Chłopiec za wszelką cenę chciał przyciągnąć jej uwagę i dziewczyna miała wrażenie, że jego małe, niezgrabne paznokcie rozdrapują jej duszę.

– Zachowuj się! – krzyknęła, tracąc kontrolę. – Albo włożę ci niebieską marynarkę!

Groźba była źle wymierzona. Howard otworzył buzię i zaczął płakać.

– Nienawiiidzę cię! – zaniósł się płaczem wśród urywanych słów.

Niebieska marynarka nie miała być zasadniczo narzędziem kary. Howard lubił wiedzieć, jak się rzeczy mają i jak się ten świat układa, musiał wiedzieć, co jest sprawiedliwe, a co nie. Niestety świat nie był sprawiedliwy i za każdym razem, kiedy zderzał się z tym faktem, całkowicie tracił nad sobą kontrolę. Jeżeli Faith nic nie zrobi, będzie wrzeszczał do upadłego.

Nie, świat nie jest sprawiedliwy. Faith zeskoczyła z krzesła i sztywnym krokiem przeszła przez pokój, szukając czegoś, co mogłaby kopnąć.

Kiedy się odwróciła i spojrzała na Howarda, chłopak wyglądał jak bardzo małe dziecko na swoim miniaturowym drewnianym krześle. To nie była jego wina. Miał niejeden powód do rozpacz.

Ustępując, Faith usiadła z szelestem czarnej spódnicy. Sięgnęła do pudła z zabawkami Howarda i wyjęła jego scenę teatralną.

Teatr miał kształt skrzyni, tektura i papier były przemyślnie pomalowane na czerwono, złoto i zielono, ozdobiono je grzebieniami, wirami i aniołami. Na przedniej ramie wymalowano zasłony i można było zobaczyć przez nie samą scenę, zwężającą się i zmniejszającą do maleńkiego horyzontu, na którym rysowało się błękitne niebo, wzgórze i zamek.

Faith wyciągnęła tło z krajobrazem. Były jeszcze trzy do wyboru, na jednym z nich widniał ten sam pejzaż, oświetlony światłem księżyca, następne tło pokazywało to, co działo się wewnątrz zamku, łącznie z obrazami na ścianach i kandelabrem, a ostatnie przedstawiało środek lasu. Udowadniając, że jest zaabsorbowana tym, co robi, Faith włożyła na miejsce tło z nocnym

krajobrazem.

Howard bardzo szybko przestał wrzeszczeć. Podeszedł i usiadł ciężko na podłodze tuż przy niej, krzyżując nogi. Zawsze fascynowały go „przedstawienia” Faith.

– Ja chcę kuglarza – powiedział. – I czarodzieja. I diabła.

Aktorami były małe, wycięte z papieru figurki przyklejone do maleńkich patyczków, dzięki czemu można je było przesuwac po scenie. Większość z nich stworzyła sama Faith.

Wokół sceny wycięto specjalne otwory. Faith mogła zza kulis wsuwać w nie figurki i przesuwac je z jednej strony sceny na drugą. Nie mogły się jednak poruszać naprzód ani do tyłu. To zawsze irytowało Howarda i w rezultacie niektóre patyczki marionetek były połamane.

Dzisiaj, jak zwykle, Howard chciał obejrzeć scenę walki.

– Kuglarz walczy z diabłem – zażądał, bijąc się dłońmi po kolanach.

Mały, żółtozielony klaun walczył z czerwonorogim diabłem, poruszając się tam i z powrotem. Dzisiaj Faith pozwoliła diabłu wygrać, było tam sporo ryku, a w ostatniej scenie diabeł przewrócił kuglarza na plecy, co oznaczało, iż ten „nie żyje”.

Jak zwykle sprowokowało to Howarda do śmiechu, a śmiech był tak dziki, że Faith pomyślała, iż ma coś wspólnego z przerażeniem.

– Czarodziej walczy z diabłem!

Diabeł walczył z czarodziejem, rycerzem i żeglarzem i zabijał jednego po drugim.

Howard śmiał się zbyt piskliwie i zbyt głośno. Oczy miał szeroko otwarte i trochę przestraszone, nie mógł oderwać wzroku od wykrzywionego diabła.

– Wszyscy wstają – jeszcze raz wstają – i zabijają diabła!

– Howardzie, oni nie żyją... – Faith zatrzymała się w pół słowa. Postawiła małe papierowe zwłoki z powrotem na nogi. Diabeł poddał się, wyjąc,

i położył na plecach. Zapanowała cisza.

– Ja chcę mędrca – powiedział Howard, jak zwykle po walce.

Mędrzec był Chińczykiem, miał trójkątny kapelusz i długie wąsy. Jego oczy zostały narysowane trochę nierówno – Faith wymyśliła go, kiedy była znacznie młodsza i znacznie mniej biegła w rysowaniu piórkiem, ale mędrzec był ulubieńcem Howarda.

Postawiła go na scenie.

– No proszę, oto młody panicz Howard! – powiedziała wysokim, zrzędlwym głosem małego staruszka.

Howard zaśmiał się i objął ramionami kolana. Był to ten sam zalękniony śmiech, który rozlegał się, gdy postacie „umierały”. Zgodnie z długą tradycją zabaw mędrzec był jedyną marionetką, która była na tyle mądra, że mogła widzieć, co się dzieje poza sceną, i zauważała przyglądającego się przedstawieniu Howarda.

– Masz dzisiaj do mnie jakieś pytanie? – pytała Faith głosem mędrca.

Howard zawahał się, oparł czubek języka na dolnej wardze i drapał paznokciem po podeszwie buta.

– Tak – powiedział bardzo cicho. – Czy diabeł nie żyje?

– Tak, jest bardzo nieżywy – zapewniał go mędrzec.

Przez większość swoich sześciu lat życia Howard traktował Faith jako źródło wiedzy, swoistą wyrocznię. Wierzył we wszystko, co mu powiedziała. Teraz jednak coś zaczęło się zmieniać. „Dziewczyny nie wiedzą nic o żeglowaniu” – powiedział kiedyś ni stąd, ni zowąd. „Dziewczyny nie wiedzą nic o Księżycu”. W jego słowach nie było nigdy złośliwości ani przekory – powtarzał po prostu jakąś mądrość, którą wyłuskał z rzeki rozmów dorosłych. Były rzeczy, których dziewczyny nie wiedziały, a przecież Faith była dziewczyną. Za każdym razem, kiedy mówił coś takiego, zszokowana Faith czuła, że jej wszechwiedza rozpada się jak kra na wodzie.

Howard jednak wciąż bez wstydu radził się mędrca. Przecież mędrzec nie jest dziewczyną i wie wszystko.

– Czy diabeł wróci w nocy? – Usta Howarda drżały. – Słyszałem go w ciemności. Poszedł do pokoju ojca. Słyszałem, jak zgrzyta zębami.

Faith wstrzymała na chwilę oddech, czując mrowienie na skórze. Myślała, że nikt nie zauważył tego, że chodziła po domu w środku nocy. Howard jednak usłyszał jej kroki. Usłyszał, jak przecina sznur dzwonka – dla niego był to dźwięk zgrzytania zębami.

Howard rozmawiał ze wszystkimi. W jego słowach nie było podstępny ani zdrady. Opowie o krokach, które usłyszał, o dźwięku zębów. Jak Faith może go uciszyć i nie dopuścić do tego, żeby mówił?

Chociaż z drugiej strony, może wcale nie należało go uciszać.

– A skąd wiedziałeś, że to diabeł? – spytał mędrzec. – Czy jego kroki były dziwne i rozbrzmiewały echem?

Howard pogrzebał w podeszwie buta i zmarszczył brwi. Później jego czoło się rozjaśniło i skinął głową.

– Robiło się chłodniej, kiedy przechodził? – Nie ustępował mędrzec.

Raz jeszcze Howard zawahał się, po czym się wstrząsnął i pokiwał głową. Wcale się nie wygłupiał i Faith wiedziała, że mówi poważnie. Uwierzył, że słyszał upiorne echo i zauważył dziwaczny chłód.

– No cóż, w takim razie prawdopodobnie to tylko duch! – stwierdził radośnie mędrzec.

Howard nie wyglądał na pocieszonego.

– Czy to dlatego... bo... ja wszedłem butem na grób?

– Nie, nie. Duch nie będzie szukał ciebie, paniczu Howardzie. Duchy nie nękają dobrego, małego chłopca, który zmawia modlitwy i przepisuje linijki prawą ręką. Duchy nawiedzają tylko złych ludzi. – Faith nie chciała go przerazić.



Howard zaczął gryźć kłykieć, aż palec zrobił mu się błyszczący od śliny. Wydawał się trochę spokojniejszy.

– Ale jeżeli... ja byłbym... zły i duch by wrócił – upierał się Howard – czy ja mógłbym go zastrzelić?

Przed oczami Faith stanął obraz ojca na plaży, podskakującego na widok cieni i sięgającego po ukrytą broń. Pistoletu nie było w kieszeni, kiedy przynieśli jego ciało. Może po prostu wypadł, kiedy spychali go z klifu... Ale jeżeli Faith znalazłaby go gdzie indziej, dałoby to jakąś wskazówkę, gdzie powalono jej ojca.

Kolejna myśl przebiegła przez głowę Faith. Zobaczyła pistolet ojca leżący wygodnie w jej dłoni, okładzina kolby z kości słoniowej była ciepła od jej uchwytu. Nie potrafiła wyobrazić sobie mordercy ojca – w jej umyśle wróg był ciemną otchłanią o ludzkich kształtach, która toczyła się po niebie burzową chmurą trzaskającą od złości. Faith pomyślała o mierzeniu pistoletem wprost w głowę tego ciemnego kształtu i pociągnięciu za spust...

– Tak, paniczku Howardzie – zaskrzeczała głosem mędrca. – Ale do tego potrzeba specjalnego karabinu na duchy, tak jak potrzebujesz specjalnej strzelby na słonie. – Mała figurka z papieru pochyliła się konspiracyjnie. – Może byś zapytał tę swoją leniwą siostrę, czy nie zabrałaby cię na spacer – może znajdziecie taki karabin?

Dziesięć minut później, kiedy Faith specjalnie prowadziła Howarda w nowym, ciemnym ubraniu na dwór, okazało się, że w całym domu panuje cisza. Wuj Miles wyszedł wcześniej, żeby odwiedzić Lambenta, a Myrtle wciąż siedziała w swoim pokoju, nie mogąc dojść do siebie.

– Do widzenia, pani Vellet – zawołał grzecznie Howard, kiedy Faith prowadziła go przez salon. – Idę na dwór znaleźć strzelbę, żeby zastrzelić ducha!

Pani Vellet, która podlewała kwiaty, wzdrygnęła się i rozlała wodę na

obrus. Klęcząca przy kominku Jeanne upuściła szufelkę, rozległ się metaliczny odgłos i podniosła się chmurka popiołu.

– Howardzie! – zaprotestowała Faith, spoglądając na gospodynię przepraszająco, jakby była zakłopotana. – Niech się pani nie gniewa, pani Vellet – dodała teatralnym szeptem. – Nie wiem, skąd przychodzą mu do głowy takie głupstwa.

– Ale przecież tu jest duch! – stwierdził Howard głosem jak dzwon. – Słyszałem, jak chodzi w nocy po domu.

– A może byśmy poszli na spacer? – przerwała mu szybko Faith, biorąc chłopca za rękę i wyprowadzając go przez drzwi frontowe. Udało jej się nie uśmiechnąć, kiedy za plecami usłyszała gorączkowe szepty.

Wiedziała, że jeżeli zależy nam, żeby ktoś w coś uwierzył, nie ma sensu wciskać mu tego do głowy na siłę. Znacznie lepiej podrzucić jakąś sugestię, przebłysk, smaczek, a później to odebrać. Im szybciej się biegnie, tym szybciej będą cię ścigać i tym łatwiej uwierzą w z trudem zdobytą informację, kiedy znajdzie się już w ich rękach.

– Chodźmy na dół i poszukajmy na plaży, dobrze?

Kiedy szli ścieżką, Faith rozglądała się, czy nie zobaczy gdzieś w wysokiej trawie przebłysku metalu lub kości słoniowej. Nie widziała jednak nic oprócz kołyszącej się trawy i purpurowych główek ostów, które kiwały do niej z każdym powiewem wiatru.

Na plaży Howard wdrapywał się na żwir i głazy, przekrzykiwał się z mewami. Nie był obrazem cierpienia i żalu po stracie, ale Faith wydawało się, że to rozumie. Przewalały się w nim uczucia, których nie rozumiał, wiedział tylko, że chce biegać i wrzeszczeć.

Faith szukała wśród głazów, najpierw wprost pod krzywym drzewem, na którym leżał jej ojciec, a później zaczęła zataczać coraz szersze kręgi, zaglądała do szczelin, przeczesywała palcami kamyczki. Pistolet nie mógł

odskoczyć zbyt daleko.

– Nie mogę go znaleźć! – zawołał Howard.

– Nie – powiedziała Faith, zastanawiając się nad czymś głęboko. – Tutaj chyba go nie ma.

Jeżeli ojciec nie zgubił pistoletu podczas upadku, to gdzie? Może tam, gdzie go zaatakowano? Prawdziwe miejsce zbrodni nie mogło być daleko. Transportowanie ciała, nawet przy pomocy taczki, musiało być trudne i męczące.

Poszli z powrotem w kierunku domu i Faith postanowiła zajrzeć do zalesionego jaru. Od czasu do czasu niepewną ciszę przerywał łopot skrzydeł ptaków albo wykrzykiwanie przez nie szklanych pytań w szare niebo. Paprocie delikatnie głaskały spódnicę dziewczyny. Po dziesięciu minutach poszukiwań Faith zrezygnowała. W poszyciu mogą się znajdować dziesiątki pistoletów, a ona nigdy ich nie odnajdzie.

Kiedy odchodzili, przypadkiem trafili na łąkę pokrytą grubym jak futro szmaragdowozielonym mchem. Howard był zafascynowany tym odkryciem i zaczął wbijać w mech obcas buta, śmiejąc się, kiedy zieleń rozpadała się na kawałki i jego oczom ukazywała się czarna ziemia.

– Faith, popatrz! – krzyknął, kiedy jego obcas miażdżył i oddzierał fragment zieleni. – Tup, tup!

Coś przyciągnęło wzrok Faith, wąski ciemny pasek na tle zieleni. Podeszła i pochyliła się, żeby mu się przyjrzeć.

– Faith! – krzyknął Howard. – Faith, popatrz! Popatrz na to!

Małe uderzenia jego obcasów spadały z impetem i skrzypiały, były coraz bliżej.

– Ty nie patrzysz, Faith! Faith!

Ciemny pasek nie był cieniem. Było to wgłębienie. Faith wyciągnęła rękę, a jej palec w rękawiczce podążył wzdłuż wąskiego rowka.

– Bum! – Mały obcas Howarda uderzył w ślad, całkowicie go niszcząc i niemal miażdżąc jej palce.

– Howard! – Faith skoczyła na równe nogi. Chłopiec uśmiechał się do niej radośnie i przez chwilę chciała uderzyć go w tę małą, dumną buzię.

Kiedy zobaczył wyraz jej twarzy, jego usta wykrzywiły się w podkówkę.

– Mówiłem do ciebie! – odparł. – Nie patrzyłaś, kiedy ci kazałem.

Faith odwróciła się, przygryzając mocno wargę i próbując się opanować. Szkoda już została zrobiona, na dodatek w niewinnej zabawie.

– Nic się nie stało – zmusiła się do wypowiedzenia tych słów. – To nie szkodzi.

Wyszli z jaru, Howard uderzał kijem w paprocie, a Faith walczyła z frustracją.

Ślad tam był, przecież go widziała! Wąska szczelina, na tyle jednak szeroka, że mogło ją odcisnąć koło taczki. A teraz zniknęła.

Matka Faith miała rację. Wielebny Erasmus Sunderly rzeczywiście dokonał żywota w jarze.

Kiedy wrócili do domu, Jeanne już na nich czekała, gotowa odebrać pelerynkę i czepek Faith i powiesić je na wieszaku.

– Faith, chcę poszukać ducha! – oznajmił Howard.

– O, paniczu Howardzie, panicz zmęczony panienkę Faith! – wykrzyknęła Jeanne. – Panienko, wygląda panienka na zmęczoną, jeszcze nie doszła panienka do sił. Może ja na chwilę zajmę się paniczem Howardem? – W jej uprzejmym tonie pobrzmiwała nuta nalegania. Jeanne troszkę wychodziła przed szereg i doskonale o tym wiedziała, ale była pewna siebie, niczym osoba o silnym charakterze, która staje twarzą w twarz z kimś słabszym.

Faith bez trudu odegrała swoją część. Wyglądała na zdezorientowaną i nieszczęśliwą, ale zbyt nieśmiała, by protestować, kiedy Jeanne odprowadzała Howarda.

– No, a teraz powiedz mi o tym swoim duchu! – usłyszała szept pokojówki, kiedy skręcała za róg.

Faith próbowała zapanować nad swoim wyrazem twarzy. Nakarmiła Howarda kłamstwami jak małego konia trojańskiego, a teraz ciągnięto go na kołach do obozu wroga.

Po pierwszej po południu na tył domu zajechał majster wraz ze swoim wozem z narzędziami. Faith miała wrażenie, że dobrze go znają zarówno Prythe, jak i Jeanne, która wyszła z nim porozmawiać.

Przycupnięta w swoim ogrodzie dachowym Faith przyglądała im się poprzez balustradę udrapowaną winoroślą, sama nie będąc widoczna.

– Nie przejmuj się starą Vellet – mówiła Jeanne. – Jeszcze długo nie wróci ze swojego popołudniowego spaceru. Codziennie to samo. Mówi, że idzie oglądać teren i sprawdzać, czy wszystko jest w porządku. Ja myślę, że ona idzie gdzieś w jakieś spokojne miejsce i pali fajkę. – Nastąpił wybuch śmiechu.

– A więc... Sznur od dzwonka po prostu pękł?

– Pani Vellet mówi, że na strychu mieszkają szczury i gryzą druty – powiedział Prythe. – Ale to było zbyt silne pociągnięcie jak na szczura. Kiedy ten szczur urośnie, będziemy go mogli zaprząć do wózka.

– To nie wszystko. – Jeanne rozgrzewała się tematem. – W domu wciąż czuć jego zapach, jakby dopiero co przeszedł koło ciebie. Zimno tu jak w grobie. A czasami niektóre przedmioty można znaleźć nie tam, gdzie ich miejsce, prawda?

– W szklarni brakuje dużej donicy, a przecież tam była – zgodził się Prythe.

Faith dowiadywała się czegoś interesującego o duchach. Były jak kule śnieżne – kiedy puści się je w ruch, ich legenda rośnie bez niczyjej pomocy.

– Mnie to w ogóle nie dziwi – Jeanne spojrzała niepewnie na górne okno domu. – On sam targnął się na swoje życie, biedactwo. Nic dziwnego, że nie

może znaleźć spokoju, mając na duszy grzech śmiertelny.

Majster powiedział coś jeszcze, a Faith wychwyciła tylko słowa: „W tym płaszczu ze stracha na wróble”. Dał Jeanne kuksańca pod żebra, a służąca zaśmiała się tak głośno, że musiała zakryć usta dłońmi.

Faith wycofała się do domu, gotując się od myśli o zemście. Na razie wszyscy służący byli na zewnątrz. Taka sposobność może nie trafić się drugi raz.

W bibliotece splądrowała skrzynki z wypchanymi zwierzętami i ptakami ojca.

Czarny sęp, błyszczący kruk i rozkrzyczana papuga – ułożyła je jedno obok drugiego na biurku tak, aby każdy, kto miałby tu wejść, natknął się na trzy rozwarte dzioby z czarnymi językami i sześcioro zimnych, szklanych oczu.

Większość zegarów znów uruchomiono. Przechodząc, zatrzymywała każdy z nich. Zmarły opuścił ten dom, ale nie udał się na miejsce spoczynku. Nikt nie ma prawa czuć się bezpiecznie ani pozwolić na to, żeby życie zaczęło się od nowa.

Na półce nad kominkiem w jadalni zostawiła wypchaną jaszczurkę wciśniętą za świecę i umoszczoną w skrawkach krepy.

Kiedy doszła do drzwi prowadzących na schody dla służby, zawahała się. Za każdym razem, kiedy przekraczała granicę, której nie wolno jej było przekraczać, nadchodził moment złamania pieczęci, jakim było przejście przez próg. Teraz jednak miała wrażenie, że chodzi o coś więcej. Wchodziła do świata zakazanego, do świata, którego istnienia nie dopuszczała do siebie.

Faith otworzyła drzwi. Znajdujące się za nimi schody były prostsze, węższe i bardziej strome niż te główne, a oświetlały je tylko małe okienka. Nie było poręczy. Weszła na górę możliwie szybko, wiedząc, że służący w każdej chwili mogą wrócić do domu.

Na szczycie schody otwierały się na długi, mroczny pokój z wysoką ścianą po prawej stronie i ukośnym sufitem po lewej. Poddasze najwyraźniej

podzielono na dwa pomieszczenia. Przez drzwi po prawej dziewczyna mogła zajrzeć do malutkiej sypialni, zawierającej niewielkie łóżko z czterema kolumnami, zielony dywan i podnieszczony kredens. Faith zgadywała, że musi to być pokój gospodyni.

Obok wejścia do najbliższego pokoju stało proste łóżko, pod którym leżały ciężkie buciory. Pośłanie musiało należeć do Prythe'a. Za nim wisiała gruba zasłona, odcinając jej widok reszty pomieszczenia, która służyła za tymczasową ścianę.

Ukryto za nią jeszcze jedno zwykłe łóżko, które mogło należeć tylko do Jeanne. W tej prostocie było coś zaskakującego. Faith podeszła do pośłania i zobaczyła kilka małych skarbów upchniętych w pudełku pod łóżkiem i rozrzuconych na wiszącej nad nim półeczce. Drewniany grzebień, grzybek do cerowania. Kilka zwitków wstążki i muślinowy worek z wyhaftowanymi na nim literami „JB”. Dotknęła worka i poczuła się jak złodziej, który nigdy nie dotykał jedwabiu czy satyny.

Faith była przygotowana na swoje okrucieństwo, nie spodziewała się jednak, że będzie się czuła podle.

Po chwili przypomniała sobie Jeanne uśmiechającą się złośliwie, gdy jej ojcu odmówiono grobu, i cieszącą się z poniżenia i niedoli Myrtle. Faith wyjęła z kieszeni przedmiot, który wyciągnęła z jednej ze skrzyń ojca. Był żółty jak papirus, gładki i chłodny. Klekotał jak druty do szydełkowania, gdy go odwracała.

Faith ostrożnie wsunęła kocią czaszkę do łóżka Jeanne, a później wygładziła koc. Kiedy szła schodami w dół, myślała o niej, patrzącej pustym wzrokiem w ciemność w maleńkiej jaskini z zasłon.

## ROZDZIAŁ 18

# Kłótnia rodzeństwa

Wuj Miles wrócił z biura sądu magistrackiego o trzeciej po południu, a Myrtle zgodziła się go przyjąć w swojej sypialni. Owinięta po szyję i oparta o poduszki, wciąż była woskowo biała, jedynie wokół oczu i nosa widać było zaczerwienienie. Czuła się jednak na tyle dobrze, żeby chronić się przed światem tarczą swoich zwykłych zachowań, i upierała się, żeby Faith była obecna przy rozmowie.

Kiedy wszedł wuj Miles, Myrtle wyprostowała się, opierając się o poduszki.

– No i? – spytała. – Rozmawiałeś z sędzią magistrackim? Co powiedział?

Wuj Miles obejrzał się przez ramię i bardzo starannie zamknął za sobą drzwi. Usiadł w fotelu i ciężko westchnął.

– Był bardzo sympatyczny. – Wuj Miles zmarszczył brwi, patrząc na swoje rękawiczki, a później je ściągnął. – Bardzo uprzejmy. I niestety nieprzejednany w kwestii dochodzenia. Jeżeli społeczność tego chce...

– Phi! – prychnęła Myrtle. – To on jest sędzią magistrackim! To jego wybór!

– Co znaczy dochodzenie? – spytała Faith, czując wzbierający lęk. – Co teraz będzie?

– Bardzo mi przykro – wyjaśniał wuj Miles. – Ale to oznacza, że twojego ojca nie można jeszcze pochować. Obawiam się, że nie możemy go nawet stąd



zabrać, żeby pochować go gdziekolwiek indziej, dopóki ta sprawa nie zostanie rozszdana. Będzie dochodzenie, a później... posiedzenie sądu magistrackiego. Taki mały proces, który ma ustalić przyczynę śmierci.

Faith była rozdarta. Z jednej strony chciała, żeby zbadano przyczynę śmierci ojca i pojmano mordercę. Z drugiej strony, chyba wszyscy na wyspie Vane byli przekonani o tym, że odebrał sobie życie. Kiedy będzie już jasne, że wielebnego znaleziono wiszącego na drzewie rosnącym na klifie, prawdopodobnie zostanie to uznane jako dowód na prawdziwość wersji o samobójstwie.

– A kiedy? – zapytała Faith. – Kiedy będzie ten proces? – Miała nadzieję, że znajdzie dość dowodów na morderstwo przed „przesłuchaniami”.

– Jeszcze nie ustalono daty, ale to może być lada dzień. – Wuj Miles wyglądał na wyjątkowo zakłopotanego. – Moje drogie, to są wszystko bardzo skomplikowane prawnicze procesy, nie ma sensu niepokoić was szczegółami...

– Proszę, wuju Milesie! – przerwała Faith. – Ja chcę znać szczegóły!

Wuj wyglądał na zdziwionego jej wybuchem, ale wzruszył ramionami, jakby się poddawał.

– Niekiedy, gdy śmierć jest nagła... I wszystko wygląda niezbyt naturalnie... Sędzia magistracki daje konstablowi parafialnemu pozwolenie na wezwanie koronera, który prowadzi śledztwo. Podczas dochodzenia koroner podejmuje decyzję o przyczynie zgonu przy pomocy ławy przysięgłych składającej się z dwudziestu trzech przedstawicieli miejscowej społeczności. W tym przypadku koronerem będzie doktor Jacklers.

– Więc doktor Jacklers będzie prowadził śledztwo i ostatecznie rozsądzi – powiedziała Myrtle, mrużąc oczy. – Wiesz, Milesie, uważam, że naprawdę jestem bardzo chora. Trzeba będzie posłać po lekarza, kiedy zacznę wyglądać nieco lepiej.

– Honorarium lekarza? Mało mamy wydatków? – Wuj Miles zmarszczył brwi i wypuścił powietrze z ust. – Nie, Myrtle, moja droga siostrze. Muszę zaprotestować. W tym tempie szybko wydasz wszystkie nasze pieniądze.

– Zaprotestować? – przerwała mu ostro Myrtle. – Nasze pieniądze? Pieniądze nie są twoje, Milesie. Żadne pieniądze, które wydamy, nie będą twoje. Nigdy nie były.

Wuj Miles zaczerwienił się i zmarszczył czoło.

– To przypomniało mi o jeszcze jednej rzeczy, którą chciałbym omówić – powiedział.

Zapadła chwila ciężkiego milczenia. Wuj Miles spojrzał przelotnie na Faith, a po chwili to samo zrobiła Myrtle.

– Faith – powiedziała Myrtle – czy mogłabyś... – Zawiesiła głos i machnęła ręką.

– Pójdę poczytać katechizm – powiedziała szybko Faith i grzecznie wyszła z pokoju.

Podśluchiwanie pod drzwiami na półpiętrze zawsze niesie ze sobą pewne niebezpieczeństwo. Ktoś może otworzyć drzwi i wyjść na zewnątrz. Ktoś może zejść z którejś z dwóch pozostałych klatek schodowych i odkryć ciekawskiego. Trudno było jednocześnie skupiać się na dźwiękach dobiegających zza drzwi i nasłuchiwać zbliżających się kroków.

Od czasu do czasu było jednak warto. Faith przygryzła wargi i delikatnie przystawiła ucho do dziurki od klucza.

– Myrtle – mówił wuj Miles – musisz się zastanowić nad swoim położeniem. Wiem, że cały czas to robisz, i wiem, jak jesteś uważna w kwestii wyglądu i pozorów, że mężnie stawiasz czoło rzeczywistości, ale to za mało. Szydło wyszło już z worka. Co chcesz powiedzieć podczas dochodzenia, jeśli wezwą cię na świadka?

– Powiem im dokładnie to, co powiedziałam wcześniej – odparła Myrtle

twardo. – Mój drogi mąż zginął na skutek bardzo tragicznego wypadku.

– Rozumiesz, co może się stać, jeśli prawda wyjdzie na jaw? – Wuj Miles odchrząknął. – Jeśli zdarzy się najgorsze, zrobię dla ciebie, co będę mógł... Ale teraz musisz posłuchać mojej rady.

– A co ty radzisz, Milesie? – spytała podejrzliwie Myrtle.

– Musisz mi przekazać wszystkie pieniądze, które jeszcze masz, i wszystko, co posiadał Erasmus. Będziemy udawać, że zawsze należały do mnie albo że mi je dałaś.

– Nie rozumiem! – Głos Myrtle był lodowaty. – A więc to w tę stronę zmierza nasza rozmowa!

Faith była wściekła, a zarazem zdumiona. O jakim „niebezpieczeństwie” mówi wuj? Dlaczego żąda wszystkiego, co należało do jej ojca?

– To jest jedyne sensowne podejście! – W głosie wuja słychać było zmęczenie, ale mówił życzliwym tonem. – Musisz to zrozumieć! Wiem, że doktor Jacklers cię podziwia, ale nie może nie zważać na dowody. Prythe nie będzie kłamał pod przysięgą – już nam to zapowiedział.

– Nie – powiedziała Myrtle powoli. – Ale ty mógłbyś.

– Przepraszam?

– Ty mógłbyś złożyć zeznania. Mógłbyś powiedzieć, że znalazłeś Erasmusa w jarze.

– Żądasz ode mnie krzywoprzysięstwa?

– Wiesz, jak wysoka jest stawka.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Nie, Myrtle – powiedział w końcu wuj Miles. – Jeżeli nie jesteś skłonna zrobić tego, o co cię proszę... Ja nie będę w stanie zmusić się do spełnienia twojej prośby. – Westchnął obrażony, jakby tracił cierpliwość. – Cóż... Przynajmniej pozwól mi się zaopiekować eksponatami twojego męża, żeby nie niszczały z zaniedbania. Chciałem również przejrzeć jego papiery, ale nie

mogłem ich nigdzie znaleźć.

Mięśnie Faith stężały i poczuła, że zaciskają się jej szczęki. Nie! Nie pozwoli wujowi przejąć ani drzewa kłamstw, ani bezcennego węża! Także dziennika wizji i szkiców nikt nie może nigdy zobaczyć. Bolała ją sama myśl o tym, że będzie musiała oddać którekolwiek z dokumentów pastora. Były jak dzin w butelce, zawierały wszystkie myśli ojca, jego głos i tajemnice, były jej własnością. Ona była ich strażniczką.

– Milesie – głos Myrtle był ostry jak brzytwa. – Dlaczego tak nagle zaczęły interesować cię dokumenty i eksponaty Erasmusa? Nigdy nie znosiłeś odpowiedzialności, zawsze dostawałeś wysypki na samą myśl o niej. Od kiedy stałeś się takim entuzjastą grzebania się w dokumentach i nietrzymających moczu wombatów?

– No cóż... Flora i fauna wymagają odpowiedniego traktowania, a w dokumentach mogą być ważne sprawy wymagające natychmiastowego działania! Długi. Środki trwałe. Akty własności. Obligacje. Wskazówki, a nawet... testament.

– Czyżbyś od śniadania zmienił się w dyrektora zoo i prawnika? – spytała Myrtle.

– Myrtle, to dziecinada! – Głos wuja Milesa stał się zaskakująco podekscytowany. – Ty i ja dobrze wiemy, że nie uda ci się zorientować w dokumentach Erasmusa! Musisz pozwolić mi je przejrzeć!

– A gdzie ty byłeś cały dzień? – W głosie Myrtle znów pojawił się cień podejrzliwości. – Na pewno nie straciłeś sześciu godzin na to, żeby wysłuchać, jak sędzia magistracki odmawia twojej prośbie. Z kim jeszcze rozmawiałeś? Co usłyszałeś? Milesie, ja cię dobrze znam.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Myrtle, ty... nie myślisz logicznie. – Głos wuja Milesa był teraz spokojniejszy, ale wydawało się, że zachowanie tego spokoju wymaga od

niego mnóstwo wysiłku. – To... moja wina. Nie powinienem był podejmować tych tematów, kiedy twoje nerwy są napięte jak postronki.

– Wybacz, ale nie życzę sobie, żebyś tak do mnie mówił! – rzuciła Myrtle. – Nie jestem nerwowa, Milesie! Nie jestem zmęczona ani podenerwowana! I nie poddam się, jeszcze nie! Zostanę na Vane i będę walczyć do dnia, w którym Erasmus zostanie przyzwoicie pochowany.

– Ale jak? – spytał wuj Miles mniej przyjaznym tonem. – Jak to zrobisz? Ile pieniędzy zostało ci na Vane? Kiedy należy wypłacić pensje służącym, zapłacić za wynajem domu? Jak długo jeszcze będzie nas stać na zamawianie u rzeźnika i piekarza?

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Tak myślałem. – Krzesło wuja Milesa zaskrzypiało, kiedy wstawał. – Przemyśl to, Myrtle, i przekaż mi to, co zostało po Erasmusie. Wiem, że w końcu pójdziesz po rozum do głowy. Ale nie czekaj zbyt długo.

Faith usłyszała szuranie krzesła wuja Milesa i odeszła od drzwi, a później schowała się w swoim pokoju.

Przez chwilę żałowała, że słyszała tę rozmowę. Nie rozumiała jej do końca, ale wszystko to brzmiało dość złowieszczo, jak kłótnia między konspiratorami. Zaczęła kopać i dokopała się do kolejnego złoża tajemnic.

Faith ledwo co zdążyła wrócić do pokoju, kiedy poproszono ją o przyjście do sypialni matki.

– Faith, zamknij za sobą drzwi i usiądź. Powiedz mi... czy papiery twojego ojca są bezpieczne?

To pytanie zadziwiło Faith. Nie brzmiało: „Czy ukryłaś papiery? ”, ale „Czy ukryłaś je dobrze?”.

Zaczęła pospiesznie rozważać możliwe opcje. Mogłaby zaprzeczyć, że wie cokolwiek o dokumentach, ale Myrtle zdawała sobie sprawę, że zniknęły po tym, jak Faith była z nimi sam na sam. Gdyby dokładnie przeszukano jej pokój,

z łatwością odnaleziono by papiery.

– Tak – powiedziała. – Wydawało mi się to najlepszym...

– Tak, rzeczywiście. – Myrtle przerwała jej w pół słowa. – Dobra dziewczyna. Przyniesiesz mi je?

Nie. Nigdy.

– Ja... – Faith walczyła o to, żeby utrzymać normalny wyraz twarzy, a przez głowę przebiegało jej tysiąc myśli. – Mogę je mamie przynieść... Ale sporo z nich jest po grecku albo napisane szyfrem, który ojciec stosował w swoich notatkach. Ja mogę je przetłumaczyć, ale to nie jest łatwe...

– O, bogowie! Po grecku? – Myrtle jęknęła cicho i nieszczęśliwa wzruszyła ramionami. – W takim razie są bezużyteczne. Będziesz musiała je przeczytać, a później powiesz mi, co odkryłaś. Niech nikt się nie dowie, że je masz. Twój wuj pewnie będzie o nie wypytywał. Nic mu nie mów bez mojego pozwolenia.

– A co on chce z nimi zrobić? – spytała Faith zadowolona, że ma szansę zadać jakieś pytanie.

– Nie wiem – odparła Myrtle – znam jednak swojego brata. Ma znakomite cechy, ale na swój kochany, delikatny sposób zawsze szuka możliwości zdobycia czegoś jak najniższym kosztem.

Faith przez chwilę zastanawiała się, próbując połączyć ten opis z jej radosnym, łagodnym wujem. Po ostatnim podsłuchiwaniu przez dziurkę od klucza przyszło jej to nieco łatwiej.

– Czy widziałaś dokumenty, które mają jakąś wartość? – spytała Myrtle bez wstępów. – Jakąś akredytywę, testament, papiery dłużne albo coś w tym guście?

– Nie. – Faith przyglądała się swojej matce, zastanawiając się nad łatwością, z jaką przychodzi jej bycie tak konkretną.

– Jeżeli twój wuj jest tym zainteresowany, musi tam być coś wartościowego. – Matka chciwie przygryzła wargę.

Kiedy Faith wyszła z pokoju, Myrtle obracała pierścionki na palcach i przyglądała się w zadumie ilustracjom modnych kreacji leżącym na kołdrze. Faith zastanawiała się, co by się stało, gdyby Myrtle przejęła dokumenty, i czy sprzedałaby komuś drzewo kłamstw, żeby kupić jeszcze więcej sukni.

Nagle do umysłu Faith wdarła się trująca myśl. Żona musi prosić męża o pieniądze na utrzymanie domu, ale wdowa może zrobić ze spadkiem, co jej się podoba. Śmierć wielebnego sprawiła, że Myrtle po raz pierwszy w życiu ma realną kontrolę nad pieniędzmi.

Leżąc tej nocy w łóżku, Faith próbowała złożyć wszystkie elementy układanki. Ma tak mało czasu! Lada dzień może być dochodzenie, a kiedy skończą się pieniądze, rodzina Sunderly będzie musiała opuścić wyspę Vane. Faith chciała poprowadzić subtelne śledztwo, które pozwoli owocowi drzewa kłamstw rosnąć i dojrzewać przez całe tygodnie. Teraz nie będzie już czasu na długofalowe plany ani na powolne i bezpieczne strategie.

Krótki, ostry wrzask gdzieś nad jej głową wytrącił ją z tych rozważań. Dopiero po chwili przypomniała sobie o kociej czaszce w łóżku Jeanne. Nad jej głową zaskrzypiały deski podłogowe, ktoś zaczął histerycznie krzyczeć, później doszły jej uszu inne, ledwo słyszalne głosy, trochę niższe, cichsze i uspokajające.

Faith nie czuła ani tryumfu, ani winy. Nikt nie towarzyszył jej w tej ciemności, a czas uciekał. Pomyślała o drzewie kłamstw w ryczącej od fal jaskini i, co dziwne, poczuła się nieco mniej samotna.

Kiedy noc ukołysała ją do snu, wyobraziła sobie swoje oszustwo, które rozszerza się i rozprzestrzenia cicho niczym ciemnozielony dym, wypełnia powietrze wokół domu, jak mgiełka, spływa z ust tych, którzy szepczą, zastanawiają się i lękają. Wyobraziła sobie, że to kłamstwo wsiąka jak mgła w czekające liście, ścieka jak żywica po wykrzywionych, cienkich gałęziach i wciska się w mały, biały grot zalążka owocu.

## ROZDZIAŁ 19

# Wizyty dżentelmenów

Doktora Jacklersa zaproszono na dwunastą. Przyjechał o dziesiątej i w domu zaczęło się zamieszanie.

Kiedy pani Vellet zjawiała się, żeby oznajmić jego przybycie, Myrtle była w saloniku, a krawcowa dopiero co poprzypinała szpilkami jej nowo skrojoną suknię, żeby sprawdzić, jak pasuje. Była, krótko mówiąc, niegotowa, by grać rolę zbolącej inwalidki.

– Ze wszystkich ludzi, których nie mogę obrazić, właśnie on! – Myrtle była wzburzona ponad miarę. – Powiedzcie doktorowi, że się ubieram i że niedługo do niego zejdę. Posadźcie go w bibliotece. Tam są czaszki, to mu się spodoba. Zaproponujcie mu herbatę.

– Bardzo panią przepraszam – odpowiedziała powoli i ostrożnie pani Vellet. – Ale mówi, że przyjechał tutaj oficjalnie. Prosi o pozwolenie na rozejrzenie się wokół domu.

Myrtle zbladła i przez chwilę przygryzała wargę.

– Nie możemy mu tego odmówić – powiedziała niechętnie. – Niech pani powie Prythe’owi, żeby był do jego dyspozycji.

– A co mam zrobić z młodym paniczem Clayem? – spytała słodko pani Vellet.

– Z paniczem Clayem? – Myrtle otworzyła szeroko oczy. – On też tutaj jest?

– Tak, proszę pani. Przyjechał w tym samym czasie powozem doktora.



Przywiózł zdjęcia i... kilka dużych bukietów kwiatów, proszę pani.

– Kwiaty – prychnęła Myrtle. Na jej różowej, ślicznej twarzączce mieszały się wyraz satysfakcji, irytacji i chłodnej kalkulacji. – Clayów też nie możemy obrazić – mruknęła. – Niech pani ugości panicza Claya w oranżerii – i zaproponuje mu słodkie bułeczki albo ciasto.

Faith słuchała jednym uchem. Doktor Jacklers był w domu i badał śmierć wielebnego. To może być jedyna szansa, żeby z nim porozmawiać i przekonać go, że ojca zamordowano.

Rozmowa z doktorem Jacklersem będzie oczywiście aktem zdrady. Faith spróbuje zniszczyć historię, której trzyma się rodzina. Myrtle będzie wściekła. A może bardziej niż wściekła.

Rozumiesz, co może się stać, jeśli prawda wyjdzie na jaw – powiedział wcześniej wuj Miles.

Faith tego nie rozumiała, ale przypomniawszy sobie jego słowa, poczuła nagle wyrzuty sumienia. Może powiedzenie prawdy rzeczywiście spowodzi kłopoty na rodzinę? Ale jak mogłaby przepuścić taką okazję? Była to winna ojcu i musi przynajmniej spróbować.

Faith znalazła doktora na terenie posiadłości, szedł w kierunku ścieżki prowadzącej na klif.

– Niech mi pani wybaczy, że wpada pani na mnie tak nagle, panno Sunderly... Ja niestety jestem tu służbowo. – Wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza złożony dokument, otworzył go i pokazał czerwoną woskową pieczęć.

*...Jako sędzia magistracki hrabstwa Vane żądam, aby doktor Noah Jacklers stawił się w charakterze koronera w dochodzeniu dotyczącym wielebnego Erasmusa Sunderly'ego...*

Pod spodem widniał podpis Lambenta. Był wielki, chaotyczny i zapętlony, tak jak jego autor.

– Panienska rozumie znaczenie słowa „koroner”? – spytał doktor Jacklers i uśmiechnął się, kiedy Faith skinęła głową. – To dobrze. Dobrze. Cóż, zazwyczaj koroner wezwałby eksperta do spraw medycyny, ale jako że ja jestem jedynym specjalistą medycznym na wyspie, muszę zawezwać sam siebie. – Zaśmiał się krótko.

Faith pomyślała, że bycie doktorem Jacklersem, głuchym na uczucia innych ludzi, które traktuje w dobrych intencjach, musi być bardzo przyjemne.

– Widzi więc pani, że muszę się rozejrzeć po terenie.

– Proszę mi pozwolić pójść ze sobą! – powiedziała szybko Faith. – Chcę z panem porozmawiać. Jest coś, o czym musi pan wiedzieć.

Doktor był zdziwiony i zmarszczył brwi, ale za chwilę potakująco skinął głową.

Odchodzili coraz dalej od domu, a Faith bała się, że Myrtle zauważy ich z okna i zawoła ją z powrotem.

Nie umknęło jej uwadze, że doktor był dość elegancko ubrany. Miał na sobie kamizelkę z niebieskiego aksamitu przetykanego złotą nicią, jego wąsy były starannie przystrzyżone i nawoskowane, a w fularze lśniła złota spinka. Jego sposób bycia cechowała osobliwa gorliwość, która według Faith kłóciła się z okolicznościami.

Przypomniała sobie matkę stojącą tuż obok doktora i chwytającą jego dłoń i poczuła, że coś nagle skręciło się jej w żołądku, jak gdyby ktoś jednym ruchem odrywał głowę kurze. Być może byłoby jej go trochę żal, gdyby nie fakt, że jej ojciec wciąż leżał w krypcie kościelnej. Umizgi przed zakończeniem żałoby były w złym guście. Rozpoczynanie zalotów, gdy zmarły mąż nie znalazł się jeszcze pod ziemią, było obrzydliwe.

– Co panienska chciała powiedzieć? – spytał doktor.

– Spacerowałam wczoraj nad urwiskiem. – Faith chwyciła wątek. – Panie doktorze, tam jest takie miejsce, w którym mech jest zdarty.

– Aha, rozumiem. – Doktor spojrział na nią, a w jego wzroku była cierpliwość i okraszona smutkiem radość. – Na pewno tak jest. Jaka z pani lojalna młoda kobieta!

Po chwili Faith zdała sobie sprawę, co on ma na myśli, i zaczerwieniła się jak piwonia.

– Nie, naprawdę, tam jest takie miejsce i to nie ja je zrobiłam! Bardzo proszę! Chcę panu to pokazać.

Doktor jednak spojrział na nią smutno, lecz życzliwie i szedł dalej w kierunku ścieżki prowadzącej na klif. Kiedy się z nim zrównała, stał na samej krawędzi klifu, patrząc w dół niczym przysadzisty jastrząb oceniający nachylenie skały.

– To drzewo w połowie klifu – rozłupane, widać białe drewno – mruknął. – To świeże złamanie.

– Sir, czy widział pan te ślady od koła? – Faith wskazała na odcisk koła taczki, teraz niestety rozmiękczony deszczem.

Doktor Jacklers spojrział przelotnie na ślad.

– O, tak, to jest odcisk buta. Pewnie są tu tego setki, bo wszyscy chodzą tędy tam i z powrotem.

To był cios, ale Faith postanowiła nie dać się zniechęcić.

– Niech mi pan powie, doktorze Jacklers, czy ktoś mógłby przeżyć taki upadek, gdyby wpadł na to drzewo i zatrzymał się na nim?

– No, chyba... tak. Chociaż miałby szczęście, jeśli by wyszedł z tego bez połamanych kości.

– W takim razie... Jeżeli ojciec skoczył, dlaczego zrobił to akurat nad drzewem? – Faith podeszła do samej krawędzi dwa metry na lewo od miejsca, gdzie stał doktor. – Ja skoczyłabym tutaj.

– Panno Sunderly, jest pani za blisko skraju klifu!

– Tutaj jest czysty spadek aż do samych skał – powiedziała Faith. – Nic by

mnie nie zatrzymało, gdybym spadała.

Nagle zerwał się wiatr i doktor skoczył do Faith, chwytając ją za ramię. Wzdrygnęła się i na chwilę straciła równowagę, a głodna, szara pustka, rozwartą jak pysk ryczącego stwora, była coraz bliżej, kiedy się ku niej pochylała. Na szczęście jej ślizgające się na skale buty znalazły solidne oparcie. Cofnęła się o krok. Nie była pewna, czy uchwyt doktora ją przytrzymał, czy wytrącił z równowagi.

Faith nie czuła lęku, ale w oczach doktora było go aż nadto. Miały kolor mielonej kawy i były zaczerwienione w kącikach od czytania. Wzdrygnął się, jakby ktoś zaświecił mu prosto w twarz jasnym światłem. I przez chwilę, tylko przez chwilę, zdawało jej się, że widzi w niej kogoś, kim jest naprawdę.

Później zamrugał powiekami i puścił jej nadgarstek. Widziała, jak jego myśli opadają na swoje miejsce niczym zasłona.

– No i właśnie dlatego trzeba być tutaj bardzo uważnym – powiedział z werwą, ale nie tak, jakby chciał ją zbesztać. – Osobę tak delikatną jak pani mógłby porwać wiatr, no i co by wtedy było?

*Jestem z krwi i kości, nie jestem wrózką. Krwawiłabym, tak jak i ty.*

– Widzę – mówił dalej doktor tonem, który miał być zapewne sympatyczny – że nie chce pani uwierzyć, iż pani ojciec skończył ze sobą.

– Trudno mi w to uwierzyć – odparła Faith. – A na pewno nie mogę przyjąć do wiadomości, że zrobiliby to tak niezgrabnie.

– Więc jakie ma pani wyjaśnienie?

– Mówił pan o guzach na głowie mojego ojca. Czy mogło być tak, że ktoś uderzył go od tyłu, a później on upadł do przodu?

– Aha. Więc o to tu chodzi? – Doktor westchnął ciężko i uśmiechnął się do niej. – Panno Sunderly, wie pani, kto jest najgorszym wrogiem koronera? Powieści. Jest pani czytelniczką powieści, prawda? Znam to rozmarzone, niepewne spojrzenie.

Przez krótką chwilę Faith zastanawiała się, czy śledztwo doktora by na tym zyskało, gdyby on sam doświadczył upadku z klifu.

– Doskonale rozumiem ich atrakcyjność – mówił dalej doktor pobłażliwym tonem. – Po co się mierzyć z nudną rzeczywistością, kiedy można mieć porwania, morderstwa, sekrety rodzinne i całą masę tajnych przeżyć, prawda? A potem wy, młode damy, przychodzicie do koronera z głową pełną fantazji i wymysłów, dzikich podejrzeń, które urosły do monstrualnych rozmiarów.

– Dziwię się, jak one wszystkie mieszczą się w naszych małych kobiecych czaszkach – odparła Faith cierpko. Zobaczyła, że doktor blednie, ale brnęła dalej, nie spuszczając z tonu. – Nienawidzono tu ojca od samego początku. W dniu, kiedy umarł, taki list...

– Niech pani posłucha, moja droga. Nie ma na tej wyspie mężczyzny, kobiety czy dziecka, którego nie znałbym od lat. Oczywiście mamy swoją „klasę przestępczą”... Ale nie morderców. Proszę mi wierzyć. Odkryłbym to po kącie nachylenia czoła. – Doktor zdecydowanie odwrócił się od klifu. – Niech panienka się uspokoi, trzeba zapomnieć o tych wybujałych fantazjach. Czy udało mi się panią uspokoić?

– Widzę, jak to jest. – Tylko tyle mógł usłyszeć w odpowiedzi.

– Nikomu nie będę wspominał o tych pani wyobrażeniach – stwierdził łaskawie. – Zachęcam panią, żeby postępowała tak samo.

*Widzę, jak to jest. Nie będę miała żadnej pomocy ze strony wymiaru sprawiedliwości. Jeżeli chcę, żeby morderca został znaleziony, będę musiała zrobić to sama.*

Już w domu przywitano doktora i zaproszono go do pomieszczenia, w którym siedziała Myrtle. Faith cicho wspięła się na górę, drząc z wściekłości. Przy drzwiach znalazła dyskretnie zakorkowany słoik, który, jak się okazało, zawierał zdechłą mysz. Najwyraźniej pani Vellet chętnie dostarczała nieżywe gryzonie na żądanie, ale wolała unikać dyskusji na ten temat.

Faith zaniosiła go do swojego pokoju. Czowała, że napięcie w żołądku maleje, kiedy przyglądała się, jak wąż płynnie wyslizguje się z klatki, jakby ktoś wylewał oliwę na talerz. Jego szczęki otworzyły się łagodnie i zamknęły na futrzastej kulce, najpierw na głowie. Mysz zniknęła wewnątrz lakierowanego ciała węża i Faith poczuła, jak ten wślizguje jej się po ramieniu, aby owinać się wokół szyi.

W tej samej chwili usłyszała jakiś dźwięk na półpiętrze. Ktoś ostrożnie i po cichu naciskał klamkę. Sama robiła to jakiś czas temu, więc rozpoznała wzorzec cichych trzasków. To były drzwi do pokoju jej ojca.

Faith wypadła z sypialni i zatrzymała się na półpiętrze. Wąż zamarł, zaniepokojony nagłym ruchem.

W drzwiach do pokoju wielebnego stał Paul Clay.

– Co ty tu robisz? – spytała Faith.

Paul patrzył na nią przerażony, jego wzrok zatrzymał się na wężu okręconym wokół szyi Faith.

– To był zakład... – zaczął, wychodząc z powrotem na półpiętro.

– Ty złodzieju! – syknęła Faith. – Co ukradłeś?

– Nic! – Spojrzał na nożyczki trzymane w dłoni. – Po prostu chciałem wziąć... kosmyk włosów. Założyłem się, że go przyniosę. Ale nie chciałem na siłę otwierać trumny, a później doktor Jacklers zabrał ją jako koroner. Myślałem, że może znajdę pukiel włosów w jego pokoju...

– Jak śmiesz! – Faith była tak wściekła, że nie zdziwiłaby się, gdyby nagle na plecach wyrosły jej wielkie, czarne skrzydła. Pukiel włosów był najbardziej osobistym prezentem i pamiątką. Nikt oprócz najbliższych sercu nie mógł posiadać takiego skarbu, a już na pewno nie jakiś łobuz, który zakrada się po cichu z nożyczkami. – On nie żyje i nie ma grobu. Czy to ci nie wystarczy? Czy naprawdę musicie go jeszcze pokroić na kawałki?

Paul wzdrygnął się i spanikowany spojrzał w kierunku schodów. Faith

zdała sobie sprawę, że słyszy kogoś wchodzącego na górę. Gdy spotka ich tu ktoś trzeci, Paul zostanie nakryty – intruz w pokojach rodziny. Jeden mały wrzask przypieczętuje jego los.

Faith jednak nie wrzasnęła. Zamiast tego chwyciła Paula za rękaw i pociągnęła go pospiesznie przez półpiętro. Zdziwiony Paul zatrzymał powietrze w płucach, kiedy zdał sobie sprawę, że są w jej pokoju, ale ona nie dała mu czasu do namysłu i poprowadziła go do ogrodu na dachu.

Szybko usiadła na małym drewnianym stołeczku.

– Siadaj – syknęła – bo cię zobaczą z dołu.

Paul posłuchał i usadowił się po drugiej stronie ogródka, patrząc na nią z niedowierzaniem.

Co ona zrobiła? Faith była sam na sam z obcym mężczyzną. Nie był to ani lekarz, ani krewny, ani bliski znajomy rodziny. Mówiono jej raz po raz, czym dla kobiety jest reputacja. Reputacja to bańka mydlana, która może pęknąć, jeśli kobieta znajdzie się zbyt blisko mężczyzny. Na półpiętrze była czarnym filarem mocy i wściekłości. Tutaj poczuła się nagle niezwykle krucha.

Zdała sobie sprawę, że z całej siły przyciska plecy do barierki, jak gdyby mogła jeszcze ocalić swoją reputację, jeśli utrzyma maksymalny możliwy dystans. W oczach Paula zobaczyła tę samą narastającą panikę. Rozpłaszczył się na przeciwległej ścianie.

– Po co to zrobiłaś? – szepnął.

– A dlaczego mi pozwoliłeś? – odparowała.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Żadne z nich nie miało odpowiedzi.

Faith była boleśnie świadoma obcości Paula, jak gdyby byli wojownikami z rywalizujących plemion, którzy spotkali się gdzieś wysoko w górach.

A jednak była tu, gdzie jest.

– Kto się z tobą założył? – spytała w końcu Faith, a w jej głosie było słychać lekki przestach.

– Znajomy – powiedział Paul niezobowiązującym tonem, ale Faith widziała wszystko na wskroś. – Ludzie, którzy mówią, że duch twojego ojca jest obecny i chodzi pośród nas.

– Kto? – spytała Faith. – Kto tak mówi?

– Wszyscy, na całej wyspie.

Na całej wyspie. Fałsz rozpowszechniony przez Faith podróżował szybciej, niż mogłaby sobie zamarzyć.

– Wiedzieli, że pomagałem przesuwać jego ciało do zdjęcia – mówił dalej Paul – ale założyli się, że nie potrafię wrócić i znów go dotknąć, gdy jego duch wisi w powietrzu i patrzy na wszystko. Włosy miały być dowodem.

– A czego miały dowieść kwiaty? – spytała Faith, przypominając sobie porzucone bukiety w oranżerii.

Paul przez chwilę wpatrywał się w swoje zaciśnięte pięści i Faith miała wrażenie, że jest zakłopotany.

– Posłał je mój ojciec – powiedział. – Pomyślał, że będą wam potrzebne, żeby... odświeżyć dom.

Trzeba przyznać, że brzmiało to całkiem rozsądnie. Niemniej jednak Clay posyłał kwiaty kobiecie, która niedawno została wdową, a różowe i żółte pęki nie wyglądały szczególnie żałobnie. Zastanawiała się, czy żona Claya nie jest aby zazdrosna.

– Nie widziałam twojej matki na pogrzebie – powiedziała, podążając za swoją myślą.

– Przestała na nie przychodzić po swoim własnym – odparł.

Faith nie potrafiła powiedzieć mu niczego miłego ani obojętnego. Wszystko brzmiałoby fałszywie i źle. Oboje byli już ponad to. Milczała.

– A co tu robi doktor? – spytał w końcu Paul.

– Jest koronerem. Przyjechał prowadzić dochodzenie w sprawie śmierci mojego ojca.



Paul pozwolił sobie na pełne zainteresowania spojrzenie.

– Czy mówiłaś mu to, co próbowałaś powiedzieć mnie? Mówiłaś mu, że uważasz, że ktoś go zamordował?

– Masz na myśli moje fantazje i wymysły? – odparła Faith. – Moja rozbuchana wyobraźnia, której źródłem jest czytanie zbyt wielu powieści?

– Więc powiedziałaś mu! – Paul zrobił wielkie oczy i Faith nie była pewna, czy jest pod wrażeniem, czy nie może w to uwierzyć. – Naprawdę w to wierzysz.

– A ty nie – powiedziała Faith gorzko.

– Nikt go nie lubił, ale też nikt nie chciał go zabijać. – Paul zmrużył oczy. – O mało co nie okaleczyłby mojego przyjaciela na całe życie. Zachowywał się z taką wyższością, a potem okazało się, że jest oszustem i hipokrytą. Ale za to się nie zabija.

Faith zazgrzytała zębami, słysząc taki opis swojego ojca, ale wciąż kipiała ze złości, przypominając sobie, dlaczego doktor nie chciał jej wysłuchać. Nie potrafiła zachować tego dla samej siebie. W mówieniu o tym była niebezpieczna radość, nawet w mówieniu z wrogiem. Faith zdała sobie sprawę, do jakiego stopnia wpadła w pułapkę własnego umysłu. Pułapkę tego domu. Pułapkę rodziny Sunderly.

– No cóż, ktoś go z jakiegoś powodu zamordował – odparowała. – Tego dnia rano, kiedy umarł, ktoś wręczył mu niepodpisany list. Strasznie się zdenerwował. Nie chciał o tym rozmawiać. Spalił go. Później wyszedł w środku nocy. Myślę, że wyszedł się z kimś spotkać. Myślę, że ten list go do tego zmusił. I nie możemy znaleźć jego pistoletu. Nie zastrzelił się, więc jeżeli wziął go ze sobą, wychodząc, to na pewno do obrony.

– Jeśli ktoś go zaatakował, dlaczego nie strzelał? – spytał Paul. Patrzył na nią tym samym chłodnym, kalkulującym, bezwzględny spojrzeniem, co wcześniej.

– Nie wiem – odparła niechętnie Faith. – Ale miał ranę i z przodu, i z tyłu głowy. Uważam, że ktoś go uderzył.

– Czy ktoś słyszał w nocy powóz albo przejeżdżającego konia? – spytał Paul w zamyśleniu.

– Nie. – Faith przypomniała sobie tę noc. – Wiał bardzo silny wiatr i nic nie było słychać.

– Ktoś mógłby się zatrzymać kawałek dalej, a później iść piechotą. Albo przy płynąć łodzią, albo w ogóle przyjść pieszo. – Zmrużył oczy. – Ten dom jest na kompletnym odludziu. Ktokolwiek tu przyszedł, na pewno zajęło mu to przynajmniej godzinę lub dwie. Chyba że już był tutaj, w tym domu.

Faith powoli pokiwała głową, przyswajając sobie jego słowa. Największym szokiem było jednak to, że słuchała kogoś, kto odpowiadał jej tak, jakby jej myśli nie były absurdalne. Przez chwilę żałowała, że nie znosi Paula Claya.

Jej następne słowa zaskoczyły ją samą.

– Chcę, żebyś mi pomógł – powiedziała.

– Pomóc ci? – Paul zaśmiał się. – A dlaczego miałbym ci pomagać?

– Nie możemy wyjechać z wyspy, dopóki nie pochowają ojca – oświadczyła chłodno Faith. – Twój ojciec wysyła mojej matce kwiaty. Im dłużej zostaniemy, tym bardziej się do siebie zbliżą. Czy chcesz, żebym została twoją siostrą?

Paul spoglądał na nią tak, jakby chciał ją zasztyletować, przez chwilę myślała, że zerwie się na równe nogi i wyjdzie.

– Wolałbym, żeby mnie żywcem odarli ze skóry – powiedział.

– Więc pomóż mi znaleźć zabójcę mojego ojca – powiedziała Faith. – Już nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Znasz tę wyspę. Możesz porozmawiać z ludźmi. Możesz się dowiedzieć, czy ktoś wychodził tamtej nocy. Możesz chodzić, gdzie ci się żywnie podoba...

– Ja muszę się uczyć! – zaproponował Paul. – Mam pracę, pomagam ojcu.

– Nikt cię nie zamyka na cztery spusty w pokoju z katechizmem w ręce ani nie spodziewa się, że będziesz codziennie składał raport z każdej minuty swojego życia – nie ustępowała Faith. – Możesz pójść na spacer albo rozmawiać z ludźmi na ulicy. To nie to samo.

Szalenie trudno było odczytać spojrzenie Paula. Faith doszła do wniosku, że Paul jest jak obiektyw aparatu jego ojca. Rzadko mrugał i bezlitośnie wyciągał każdy szczegół.

– A co ja z tego będę miał? – spytał po długiej przerwie.

Faith zawahała się, a później powoli wyjęła pudełeczko. Wewnątrz leżał zwinięty lok charakterystycznych kasztanowych włosów pastora, odcięty podczas czuwania przy zmarłym. Bolało ją to, że musi go teraz wyciągać i niepokoić zmarłego ojca, ale potrzebowała sprzymierzeńca.

– Co twoi „koledzy” powiedzą, jeżeli wrócisz bez włosów mojego ojca? – spytała. – Będą się z ciebie nabijać? Nazwą cię tchórzem?

Paul poczerwieniał na twarzy i Faith wiedziała, że trafiła w sedno. Ostrożnie wyciągnęła odcięty fragment włosów i podzieliła go na pół. Połowę włożyła z powrotem do pudełeczka. Drugą połowę trzymała między palcem wskazującym a kciukiem.

– Chodź i weź sobie – powiedziała.

Paul patrzył na włosy, a później na Faith i widać było, że jest rozdarty. Wciąż rozciągała się między nimi uświęcona odległość, której nie wolno było zmniejszyć. Później wstał i pochylił się nerwowo, żeby nikt go nie dostrzegł. Ten ruch zaniepokoił węża, który cicho zasyczał. Paul wzdrygnął się i cofnął o krok, a ten widok napełnił Faith tą samą dziką złością, którą czuła podczas ich pierwszej rozmowy.

– Jeśli tak bardzo lubisz się zakładać, Paulu Clay – powiedziała – to chodź. Wyzywam cię.

Paul wydawał się zahipnotyzowany powolnym pełzaniem hebanowo-złotego ciała węża.

– Nie bój się tak – szepnęła Faith. – Te węże nie gryzą. – Widziała, że ręka Paula zadrżała, jak gdyby zastanawiał się, czy jej nie wyciągnąć. – To są węże dusiciele – powiedziała przyjaźnie i zobaczyła z satysfakcją, jak chłopak kurczy się w sobie. – Nie odważyłbyś się, prawda?

Ruszył powoli do przodu, a chwilę później skoczył i wyrwał włosy spomiędzy jej palców. Faith tymczasem chwyciła go za rękaw i mocno przytrzymała.

– Jeśli komukolwiek zdradzisz sekrety, które ci dzisiaj przekazałam – szeptała złowrogo – ja rozpowiem wszystkim, że za bardzo się bałeś, żeby samodzielnie odciąć pukiel włosów. Mam w pudełku drugą połowę i wiem, z której części głowy pochodzi, a ty nie.

Wąż ześlizgiwał się z jej nadgarstka, a jego głowa szybowała w kierunku ręki Paula. Chłopak wyrwał się i wycofał parę kroków, pocierając dłonie, widać było, że jest zalekniiony i wściekły.

– A ty lubisz wyzwania? – odwdzieczył się pięknym za nadobne. – W chacie obserwacyjnej na drodze nad morzem co poniedziałek wieczór jest szczurowisko. Znajdź mnie tam i wtedy będziemy mogli porozmawiać o twoim bezcennym morderstwie.

Faith słyszała o tak zwanym sporcie. Do dziury ze szczurami wpuszcza się teriery i każe im się zabijać gryzonie tak szybko, jak się da. Paul wiedział, że nie wypada jej przyjść i uczestniczyć w tego rodzaju wydarzeniu. Znow podnosił stawkę.

– W takim razie co, widzimy się tam? – spytał z lekkim uśmiechem. – No, tak sądziłem.

Podmuch wiatru poruszył liśćmi i oboje podskoczyli.

– Powinienem już iść – powiedział Paul ciszej i mniej zaczepnie. Skinął

głową w kierunku terenu wokół domu. – Czysto?

Faith odwróciła się, żeby spojrzeć przez sieć liści i drewnianych kratki. Nikogo nie było w zasięgu wzroku. Spojrzała na niego i skinęła głową.

Ostrożnie podszedł do furtki zarośniętej winoroślą i zgrabnie nad nią przeskoczył, po czym zniknął jej z oczu. Słyszała delikatny odgłos stóp, kiedy schodził po schodach.

Faith siedziała i słuchała. Nikt nie krzyknął z przerażenia. Nie odkryto go. Ich nie odkryto.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że właśnie odbyła tajną rozmowę sam na sam z młodym człowiekiem. Paul był mniej więcej w jej wieku, ale oboje nie byli już dziećmi, co oznaczało, że znajdowali się o krok od skandalu. Faith czuła się, jakby była poparzona, chora, brudna. Miała wrażenie, że swędzi ją skóra. Bała się, że jeżeli spojrzy w lustro, zobaczy coś zepsutego i używanego.

Po co zrobiła to wszystko? Czy było w Paulu Clayu coś, co kazało jej robić i mówić rzeczy szalone i dzikie?

Jednocześnie czuła się boleśnie rozbudzona, jak gdyby ktoś zdjął z jej ramion ogromny ciężar. Dwa razy na oślep rzuciła kośćmi, ale być może znalazła sojusznika. Nie przyjaciela, ale lepsze to niż nic. Faith wciąż przypominała sobie Paula, który płynnie przeskakiwał nad furtką. Sprawiał wrażenie, jakby była to najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Jakby latał. Zastanawiała się, jakie to uczucie.

Dopiero później przyszło jej do głowy, że Paul bardzo szybko uwierzył jej, że na dworze nikogo nie ma. W końcu mogła go posłać prosto w czyjeś ramiona, a później uciec do pokoju i udawać, że nic nie wie o tym, że myszkował po domu. Dziwne, ale w ogóle nie przyszło jej to do głowy.

## Uśmiech w lesie

Paul Clay nie był przyjacielem. Dał jednak Faith okazję, by mogła przynajmniej przelotnie spojrzeć na resztę wyspy i dowiedzieć się jednej ważnej rzeczy. Jej kłamstwo się rozprzestrzeniło.

Wszyscy na wyspie Vane mówili o duchu wielebnego. Czy to wystarczy? Czy owoc może zacząć rosnąć i dojrzewać na drzewie kłamstw? Faith musiała koniecznie jeszcze raz popłynąć do morskiej jaskini. Musiała zobaczyć drzewo, żeby się przekonać, czy nie traci czasu.

Tym razem odpowiednio się przygotowuje.

Zamykając się w pokoju pod pretekstem złego samopoczucia, Faith wróciła do notatek ojca, żeby dokładniej im się przyjrzeć. Kiedy przypomniła sobie pierwsze zetknięcie z rośliną, poczuła się trochę zawstydzona. Podeszła do niej jak do ołtarza i szeptała jak do kogoś, komu może zaufać. Jej działania były szokująco odległe od metod naukowych.

A w końcu jest naukowcem – powtarzała sobie. Naukowcy nie poddają się przesądom i lękom. Naukowcy zadają pytania i odpowiadają na nie, wykorzystując obserwacje i logiczne myślenie.

Roślina nie miała uszu. Skąd mogła wiedzieć, że słyszy kłamstwo? Nie miała mózgu. Skąd mogła znać sekrety świata? Pochodziła z egzotycznych klimatów, więc jak mogła rozumieć poprawną angielszczyznę? I jak to możliwe, że tajemnica może być zawarta w owocu, i jak to możliwe, że tę

wiedzę można zjeść?

Jeżeli jej ojciec mylił się co do drzewa kłamstw, ona musiała to wiedzieć. Jeżeli miał słuszość, wtedy trzeba znaleźć odpowiedzi na tak postawione pytania, bo „magia” to nie odpowiedź, to jedynie wymówka, by uniknąć szukania rzeczywistego rozwiązania.

*Wielką zagadką jest fakt, że roślina żyje, rośnie i oczyszcza powietrze bez błogosławionego promieniowania słońca. Energię musi pobierać z innego źródła, aby mogły zachodzić konieczne procesy chemiczne.*

*Ciepło absorbowane z powietrza? Mało prawdopodobne, bo wydaje się, że roślina doskonale sobie radzi w chłodnym i wilgotnym środowisku. A może pożera owady, tak jak rosiczki? Jeżeli roślina zamieszkuje pieczary, to silny, chłodny zapach może przekonywać zagubione stworzenia, że niedaleko znajduje się wyjście. Nie zaobserwowałem takiego żarłocznego zachowania, chociaż to, na co poluje drzewo kłamstw, może być małe, niewidoczne dla oczu i niesione prądami powietrza. Czy może je przechwytywać sok przypominający żywicę?*

Faith przypomniała sobie kleistą, wilgotną substancję, która pokryła jej palce, kiedy dotknęła rośliny, i nagle poczuła nieprzewartą chęć umycia rąk.

*Nowa teoria – roślina może żyć w symbiozie. Pozostaje w stanie uśpienia, dopóki nie nawiąże kontaktu psychicznego z inteligentnym przedstawicielem innego gatunku, po czym potrafi utrzymywać się przy życiu dzięki przepływowi niewidzialnej energii podobnej do tej, którą opisuje się obecnie w teoriach magnetyzmu zwierzęcego. Czy kłamstwa mogłyby przekazywać środki odżywcze poprzez fale fluidu magnetycznego?*

*Czy zjedzenie owocu mogłoby tę więź wzmocnić i zapoczątkować kryzys oraz wywołać niczym niepoahamowane wizje?*

Faith przypomniała sobie piąte przez dziesiąte, że czytała o „magnetyzmie zwierzęcym” w jednej z książek w bibliotece ojca. Była to dziwna teoria

mówiąca, że wszyscy i wszystko są połączeni pewnego rodzaju niewidzialną zupą duchową, w której są prądy, biegnące tam i z powrotem poprzez każde zwierzę i osobę, a także pomiędzy nimi. Jeżeli ten przepływ zostanie zablokowany, człowiek może zachorować. Jeżeli nauczy się go kanalizować i kierunkować, może wpływać na inne byty, niekiedy je uzdrawiać. Jeżeli wszystkie blokady uległyby zniszczeniu, człowiek wszedłby w trans zwany „kryzysem”, w którym podobno można czasami przejrzeć na wskroś przez ciała stałe. Faith nigdy nie słyszała o roślinach generujących „magnetyzm zwierzęcy”, ale przecież to drzewo nie jest zwyczajną rośliną.

*Może na próżno sięgam po racjonalne wyjaśnienia. Zastanawiałem się, czy drzewo może pochodzić z najwcześniejszych dni istnienia świata – wówczas jego matowe liście, bezużyteczne kwiaty i owoce bez nasion byłyby pamiątkami po utraconym raj.*

Te ostatnie słowa sprawiły, że Faith poczuła się trochę niekomfortowo. Wskazywały na to, co niewyjaśnialne, i przypominały o szepczącej jaskini. Czowała dręczący strach na myśl o tym, że most wiedzy może się pod nią załamać, a wtedy pozostanie jej tylko rzucenie się w ciemność tajemniczych wód...

Postanowiła jednak nie poddawać się przesądom. Będzie nią powodować umysł, a nie lęki.

Faith na paluszkach przeszła do pokoju ojca, wierząc, że teraz najprawdopodobniej nikt nie będzie jej przeszkadzał w tym „nawiedzonym” pomieszczeniu. Znalazła tam skrzynię zawierającą zestaw do badań w terenie. Był w niej mały mosiężny mikroskop, szklane pojemniki z korkami, służące jako pułapki na insekty, metalowe pudełeczko lub *vasculum* na eksponaty botaniczne, buteleczki z różnymi kwasami do badań skał, mały chyłomierz kompasowy, goniometr i suwmiarka. W kolejnej skrzynce był pusty schowek na pistolet, śrut ołowiany, woreczek miedzianych nabojów, klucz



demontażowy i mały pojemnik na proch. Udało jej się również wydobyć krótką metalową linijkę, poobijany, stary zegarek kieszonkowy i składany nóż.

Odpływ był godzinę później niż dwa dni wcześniej. Postanowiła pójść na kompromis między światłem i przypływem, wyruszając nieco później niż ostatnio, ale nie pełną godzinę później, tak by nie musiała wracać w całkowitej ciemności.

Zmierzchało już, kiedy cichcem wydostała się z domu w swoim zniszczonym stroju pogrzebowym, przemknęła się między zabudowaniami i ruszyła pospiesznie ścieżką w kierunku plaży.

Prąd był silniejszy niż podczas ostatniej przeprawy, ale na razie pomagał jej żeglować. Jej bolące mięśnie były niepomniernie wdzięczne temu zjawisku, kiedy napierała na wiosła.

Dziwne walenie fal o skałę było teraz dźwiękiem, na który czekała, tak jak głębokie szczekanie obłaskawionego psa stróżującego. Tym razem fala, która poniosła jej łódź ku otworowi jaskini, kazała Faith poczuć radość zamiast lęku.

Zacumowała łódź i wróciła do pieczary drzewa życia, uważając, żeby nie poobijać latarni ani skrzyni z przyborami naukowymi. Fakt, że suknia była porozdzierana na ramionach, sprawiał, że łatwiej jej było ruszać rękami i wspinać się po skale.

Zanim weszła do pieczary, zatrzymała się, żeby owinąć latarnię szalem. Zbyt dużo światła może wyrządzić roślinie krzywdę, ale ojcu udało się ją naszkicować, więc drzewo na pewno zniesie nieco blasku. Latarnia teraz dawała stłumioną poświatę na tyle, by oświetlać drogę.

Kiedy Faith weszła do pieczary, wydawało jej się, że słyszy westchnienie powitania, jakieś potwierdzenie, że roślina ją poznaje. Z trudem dostrzegła zarys drzewa – plamę ciemności, która wydawała się znacznie większa niż ostatnio.

– Wróciłam – szepnęła Faith, a później ugryzła się w język. Znowu przemawia do egzemplarza botanicznego.

Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, nie mogła się już oszukiwać. To wcale nie była gra cieni. Drzewo naprawdę urosło.

Wyciągnęła rękę i poczuła, że jeżące się, podobne do pnączy macki wypływały teraz poza donicę. Podążała za nimi dotykiem, czując, że rozbiegają się po kamiennej półce, a potem opuszczają się poza jej krawędź w kierunku dna jaskini. Pnącza były grube i zdrewniałe, jakby rosły już jakiś czas.

– To jest niemożliwe – szepnęła Faith. Nigdy nie widziała, żeby roślina rosła tak szybko, tym bardziej bez słońca. – To... To jest wbrew wszelkim prawom.

Jej słowa wydały się absurdalne nawet jej samej. Czy spodziewała się, że roślina przeprosi ją i zacznie się zachowywać zgodnie ze zdrowym rozsądkiem?

Dziewczyna przełknęła ślinę i wyjęła składany scyzoryk ojca.

– Przykro mi – szepnęła – ale jestem tu, by cię zbadać.

Otoczona przez kakofonię ryczących i wzdychających fal, które szumiały jej w uszach, Faith zaczęła badać roślinę. Światła było zbyt mało, żeby dokonać pomiarów przy pomocy linijki i suwmiarki, ale udało jej się odrysować żyłki na liściach. Wycięła fragmenty kory i pobrała próbki rozwidlonych liści i ich grzbietów, a później zdrapała łezkę spływającej żywicy – każdy okaz włożyła do osobnego słoiczka. To zadanie działało jej na nerwy, a Faith czuła się, jakby piłowała pazury smoka. Przesunęła nawet kompas wokół drzewa, mrużąc oczy, żeby zobaczyć, czy odkryje jakieś pole magnetyczne.

Cały czas gładziła palcami liście, szukając kwiatu, pączka, czegokolwiek. Na szkicach jej ojca kwiaty były białe, miała więc nadzieję, że ujrzy je w ciemności. Wpatrywała się w roślinę ze wszystkich stron, najpierw powoli,

metodycznie, a później z coraz większą desperacją.

Nie było nic. Być może w ogóle nic się nie pojawi. Może samo drzewo kłamstw jest jednym wielkim kłamstwem.

Czuła się wystrychnięta na dudka. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo była pewna, że roślina jej nie zdradzi, że zechce jej pomóc.

Później, kiedy jeszcze raz zdesperowana uderzyła otwartą dłoń w liście, coś małego i okrągłego wypadło z ich macek. Odbiło się od brzegu donicy, wylądowało na spódnicy Faith, a później potoczyło się w dół.

Faith pisnęła spanikowana. W ostatniej chwili udało jej się schwycić to coś między dwa kłykcie. Długo wypuszczała powietrze z płuc. Jeżeli to coś, odbijając się, uciekłoby w ciemność, prawdopodobnie już nigdy by tego nie znalazła. Drzewo jednak jej nie zawiodło. Małeńki owoc miał półtora centymetra długości i był otoczony kremowymi, jakby papierowymi strzępkami, wyglądającymi jak wysuszone fragmenty kwiatu. Był idealnie okrągły, a pod palcami czuło się jego skórę z ledwo dostrzegalnymi bladymi liniami na ciemnej powierzchni.

Faith miała nadzieję, że jest dojrzały. Nie mogłaby go przykleić z powrotem do drzewa.

Zawahała się. Kusilo ją, żeby zabrać owoc z powrotem do pokoju, dzięki czemu mogłaby go zjeść we względnie bezpiecznych warunkach. W Zatoce Byka jednak ryzykowałyby, że ją odkryją, na wpół przytomną i z zaczerwienionymi oczami. Tu przynajmniej miała trochę prywatności.

Podjęła decyzję. Zje owoc tu i teraz, w jaskini.

Trzeba było zrobić wszystko jak należy i metodycznie, zaobserwować nawet własne reakcje.

Faith znalazła „siedzisko” u wejścia do jaskini, gdzie zacumowana była łódź. Tutaj mogła usiąść, oparta plecami o kamienny filar, tam gdzie stalaktyt i stalagmit stopiły się w jedno. Usunęła materiał przykrywający latarnię, żeby

dać sobie więcej światła. Małe, ręczne lustro oparła o półkę skalną, tak żeby widzieć odbicie własnej twarzy. Za pomocą poobijanego zegarka zmierzyła swój puls. Był przyspieszony i zdała sobie sprawę, że się boi.

Usiadła i przywiązała się do kamiennego filara liną cumowniczą z łodzi. Nie знаła węzłów żeglarskich, ale miała nadzieję, że to pomoże na tyle, by nie powędrowała gdzieś w morze w lunatycznym śnie.

Faith odnotowała czas, który pokazywał zegarek. Położyła notes i przybory do pisania na kamiennej półce w zasięgu ręki. Później wzięła nóż i bardzo ostrożnie przecięła owoc drzewa kłamstw na połowę.

Rozległ się zapach tak intensywny, że zmrużyła powieki. Oczy bolały ją i szczypały, ale uniosła owoc wyżej, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Wnętrze składało się z dziesiątków małych komórek wypełnionych sokiem, jak w cytrynie, ale miało kolor głębokiej, intensywnej czerwieni.

Struzka soku popłynęła po dłoni Faith na nadgarstek, a ona instynktownie uniosła go do ust i zlizwała sok. Smak był przenikliwie gorzki, jak zapach z kompostu, jak smak zgniłych orzechów włoskich. Język jej zdrętwiał. Poczła mrowienie rozchodzące się po wargach.

Faith nie dała sobie czasu na zwątpienie. Kciukiem wyłuskała czerwone wnętrze owocu ze skórki. Oderwało się, ciągnąc za sobą puchowe, białe nici, pajęczą sieć. Przygotowała się psychicznie na najgorsze i wepchnęła czerwoną miążgę do ust.

Poczła smak gorzkiego lodu, gardło jej stężało. Tylko dzięki temu, że przykryła usta obiema dłońmi, udało jej się nie zakrztusić i nie wypluć miąższu. Przez chwilę lepka, kwaśna moc owocu uczepiła się podstawy jej języka. Faith przełknęła z trudem, otrząsając się z grymasem na twarzy.

Zrobione. Zjadła owoc. Już za późno na odwrót. Niemal natychmiast opadły ją lęki.

Czuła oślizgłą miążgę owocu, która powoli wędrowała w jej gardle,

a chwilę później mrowienie i drętwienie zaczęło się rozprzestrzeniać po klatce piersiowej. Faith brała jeden pospieszny oddech za drugim, a każdy następny był trudniejszy niż poprzedni. Czuła się tak, jakby ktoś po cichu zaciskał sznurki jej gorsetu, odcinając ją od powietrza.

W uszach usłyszała dźwięk, który z trudem rozpoznała jako bicie swojego serca. Bum, bum, bum, jakby ktoś trzepał dywan. Język i gardło miała wysuszone na wiór. Kolory przed jej oczami pogłębiły się, pociemniały i zaczęły się poruszać. Naszła ją myśl, że świat jest jak arras, a ona przygląda się, jak ten arras zjadają czarne żuki.

Była w tunelu, biegła coraz szybciej w ciemność, podczas gdy wielkie, czarne koła obracały się i szumiały po obu stronach jej głowy, a świat kołysał się i trząsał, zgodnie z uderzeniami jej serca.

Walczyła, walczyła z ciemnością i uderzeniami bębna, uczuciem bezradności, spadaniem, a cała walka była jednym wielkim lękiem. Walczyła, żeby utrzymać kontrolę, światło i rozum, krzyczała histerycznie w swoim wnętrzu, czując, że wszystkie te rzeczy odrywają się od niej po kolei, jak płatki kwiatu...

...Już ich nie było, nie było więcej paniki. Tylko głębokie i ciche toczenie się lęku duszy, jak niesłyszalny grzmot błyskawicy, zbyt dziwny i silny, żeby mogła go naprawdę poczuć.

Faith szła o północy przez las. Drzewa były absolutnie białe i rosły wysoko ponad jej głową, znikwały w granatowej ciemności. Nie było wiatru, a jednak śnieżnobiałe liście drżały i szeptały.

Uniosła dłoń, żeby odsunąć od siebie nisko wiszące liście, i poczuła, że opuszkami palców dotyka papieru. Drzewa były płaskie i blade. Poszarpane i nierówne paprocie głąskały z kolei jej dłoń, tnąc ją jak krawędzią papieru, chytrze, okrutnie.

Nie była sama.

Obok niej szła jakaś postać, dobrze jej znana. Słyszała szelest liści pod ciężkimi butami. Później ktoś wypuścił powietrze przez nos i rozpoznała ten odgłos.

– Wuj Miles – powiedziała głośno. – Wuju Milesie, dlaczego tu jesteśmy?

– Tak jest najlepiej dla wszystkich – usłyszała odpowiedź. – Najlepiej.

Jego głos brzmiał dziwacznie. Był powolny i brzęczący, jak gdyby wuj mówił przez sen.

– Ja znam to miejsce! – Faith czuła, że rzeczywiście wie, gdzie jest, ale to uczucie przynosiło niepewność, niepokój. – My tu nie pasujemy! Dlaczego nas tu sprowadziłeś? – Kątem oka widziała śliwkowy materiał płaszcza wuja. Światło księżyca padało nierówno, jego powierzchnia była widoczna jedynie przez mgnienie oka, księżyc znikał, by po chwili znów się pojawić.

– Oni mi obiecali... – mruknął wuj Miles.

– Kto? Co wujowi obiecali? – Faith odwróciła twarz w jego stronę i okazało się, że ledwo co go widzi. Był płaski, idealnie płaski, z boku widziała tylko cieniutką krawędź papieru.

– Członkowie Akademii Królewskiej śmieją się ze mnie – jęczała płaska postać. – Słyszę ich. W klubach. Stary Miles – jego nazwisko nigdy nie jest wspomniane w artykułach naukowych, nigdy nie prowadzi wykładów, nigdy nie nazwał żadnych gatunków. Chodzi za swoim szwagrem jak pies. Musiałem go tu sprowadzić. Poprosili mnie. Oni...

– Co wuj opowiada? – Pełna obaw Faith chwyciła wuja za ramię i obróciła go tak, żeby spojrzeć mu w twarz.

Jego oczy były plamkami tuszu, jego usta – rozmazanym uśmiechem. Złamany księżyc odbijał się od jego niezdarnych rąk przypominających kiełbaski i od byle jak namalowanych spirali tworzących wzór na jego kamizelce. Od stóp do głów był dziecięcym rysunkiem, na którym nierówne plamy jego oczu zwężały się, a on sam musiał pochylać się w przód, by

spojrzeć jej w twarz.

– Oni chcieli Erasmusa – powiedziały pofalowane, atramentowe usta. – Oni chcieli tylko Erasmusa...

– Kto? Kogo wuj ma na myśli? – Faith chwyciła wuja za ramię i ku jej przerażeniu zgniotła je w dłoni. Puściła i zrobiła krok do tyłu, ale jej wuj zaczął syczeć, jego długie, papierowe ramiona sięgały w jej kierunku – jedno z nich było zdeformowane i powyginane.

– Powiedz mi! – Faith zamachnęła się mocno z wściekłości, która wyrastała z przerażenia. Jej cios trafił go w ramię i rozdarł je od barku. Wielka, papierowa głowa rzuciła się na nią, a ona znów uderzyła, robiąc dziurę w oku i w policzku.

– Zawsze Erasmus – syczał. – Więc go do nich przywiozłem.

I był taki straszny, tak zdeformowany, kołysał się przed nią, że Faith uderzała raz po raz, drąc, rozdzierając na strzępy i rozrywając. Fragmenty wuja Milesa unosiły się w powietrzu jak płatki śniegu i serpentyny. W końcu zostało tylko coś, co było papierowymi ustami, trzepoczącymi się jak motyl, wciąż rodzącymi płaczliwe, niezborne słowa. Chwyciła te usta w palce, z okrucieństwem ścisnęła je, szczypiąc i rozprostowując tak mocno, że lada chwila by się podarły.

– Coś ty najlepszego zrobił? – zapytała.

– Obiecali, że będę mógł wziąć udział w wykopaliskach – skomlały usta. – Moje nazwisko pojawi się w ich artykule. W końcu uznanie. Ale tylko wtedy, jeśli będę mógł przekonać Erasmusa, żeby też przyjechał. On już im odmówił. Trudno go było przekonać... Ale później wybuchł ten skandal. Zobaczyłem swoją szansę. Moją szansą jest wyspa Vane.

– Wykorzystałeś nas! – wykrzyknęła Faith. – Sprowadziłeś nas tutaj, myśląc tylko o sobie! Chciałeś po prostu dołączyć do ekipy wykopalisk! Dlaczego kazałeś sprowadzić ojca? Po co?

Ale za mocno ciągnęła jego skrzywione usta i w końcu się podarły.

Faith rozglądała się desperacko wokół i zobaczyła w pewnej odległości kolejną znajomą postać. Ten widok napełnił ją smutkiem, przelewającym się przez duszę, gorącym, ale nie potrafiła sobie wtedy przypomnieć, dlaczego tak się dzieje.

– Ojczy! – zawołała i pobiegła przez papierowy las, goniąc znikający kształt.

Postać odsuwała się od niej tak szybko, że nie można jej było dogonić. Wydawała się szybować w powietrzu, chociaż Faith miała dziwaczne uczucie, że jej nogi stoją w miejscu.

– Ojczy, poczekaj na mnie! Coś jest nie tak! Nie powinniśmy tu być!

Pomyślała przez chwilę, że może zwolni. Myślała, że się odwróci. Nic z tych rzeczy. Zamiast tego w liściach ponad jej głową zapanowało jakieś poruszenie, rozpierzchły się, a później ujrzała ogromny cień ręki sięgający w dół, w kierunku lasu.

Faith krzyknęła ostrzegawczo. Dźwięk jej głosu wędrował coraz dalej i dalej, nawet wtedy, kiedy nie miała już oddechu i siły, żeby go z siebie wydawać. Głowa jej ojca została zmiażdżona między ogromnym palcem wskazującym a kciukiem. Przez chwilę go widziała, potykającego się, jego twarz była zniekształcona nie do poznania. Później dłoń zacisnęła się wokół niego w pięść i pociągnęła go w górę, poza zasięg jej wzroku.

– Nie! – Faith skoczyła naprzód. – Oddaj go!

A kiedy usłyszała dźwięki rozdzierania, dobiegające gdzieś z góry, krzyczała: „Zabiję cię! Zabiję cię! Zabiję cię!”.

Nastąpiła przerwa. Faith widziała głowę w górze, widziała olbrzymi, czarny kształt w koronach drzew, sylwetkę odcinającą się na tle rozgwieżdżonego nieba. Ponad nią szeleściły liście, gałęzie uderzały o siebie i trzeszczały. Suche, białe liście spadały na jej twarz wystawioną ku niebu.



Dłoń znów się opuszczała.

I właśnie wtedy Faith poczuła potworny lęk. Spojrzała w dół i po raz pierwszy tak naprawdę zobaczyła swoje ciało, byle jak naszkicowany kontur sukienki, podkreślony czarnymi bohomazami. Była papierowa. Bez trudu można ją było podrzeć. Zrobiła potworny błąd.

Rzuciła się na ziemię i wiała pod białymi paprociami, marszcząc twarz, kiedy poczuła, że się gniecie i lekko naddziera. Leżała tam cicho, cichuteńko, podczas gdy wielka dłoń próbowała namacać coś na ślepo, przeczesując las. Szukając źródła wykrzyczanej groźby. Szukając jej.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Faith miała wrażenie, że jej serce bije coraz wolniej, ale zwalniając, bije głośniejsze, posyła swe wibracje przez podłoże. Bładość drzew drżała i gasła, zbliżały się cienie. Później gdzieś nad jej głową księżyc zadrżał i zgasł, i zapadła ciemność.

## Samozapłon

Ryk i syk. Ryk i syk. Faith nie wiedziała, gdzie jest, wiedziała tylko, że jest zimno i przenika ją lepki ból. Czuła go w nogach, rękach i karku.

Otworzyła szparki oczu, a później zamruwała, widząc przed sobą skałę pełną cieni. Po kilku mrugnięciach blade, rozmyte kształty okazały się stalagmitami, a ciemne, niejasne pasy – wrotami do innych pieczar. Faith wciąż leżała skulona przy filarze, lina wcinała jej się w pas.

Dziewczyna drżała. Wszystko ją bolało. Usta miała wysuszone – na języku czuła smak wapna i żółci. Nawet oczy były suche, powieki dziwacznie ocierały się o gałki oczne, gdy mrugała. A jednak przeżyła.

Jej sen wciąż był cieniem gdzieś na krawędzi umysłu. Mrugała oczami, a jej zamglone myśli próbowały oddzielić rzeczywistość od resztek fantastycznych marzeń.

Faith przypomniała sobie, jak rozdzierała wuja Milesa na kawałki... Ale przecież to się nie wydarzyło. Zdawszy sobie z tego sprawę, poczuła niewypowiedzianą ulgę. Nie była już w papierowym lesie, nie szukała jej ogromna dłoń. Nie widziała, jak umiera jej ojciec. Potem przypomniała sobie, że naprawdę już go nie ma, i poczuła olbrzymi napór straty.

Przycisnęła pięści do skroni, próbując wycisnąć myśli ze zdrętwiałego mózgu. Olbrzymia, gigantyczna dłoń sięgająca w dół w lesie białym jak kość... Było w tej wizji coś dobrze znanego. Dziwaczne poczucie – przecież

obraz ten powinien być bezpieczny, komiczny, pocieszający...

– Teatr Howarda – szepnęła, gdy nagle zdała sobie z tego sprawę. – Byłam w lesie z teatru Howarda.

Latarnia Faith się wypaliła, ale dziewczyna wciąż dość dobrze widziała wszystko dookoła. Przez wejście do jaskini od strony morza wdzierało się do środka blade światło. Namacała zegarek kieszonkowy. Ku swojemu przerażeniu stwierdziła, że jest piąta rano.

Musi natychmiast ruszać! Jeżeli nie wróci, zaczną jej szukać i zadawać tysiące pytań, na które nie ma dobrych odpowiedzi. Później przypomniała sobie drzewo. Nie może stąd odejść, zanim nie nakarmi go kolejnym kłamstwem.

Zdrętwiałymi, trzęsącymi się rękami udało jej się rozwiązać węzeł na linie. Kiedy wstała na równe nogi, jaskinia zatańczyła przez chwilę przed jej oczami. Przytrzymała się ściany, a później krok za krokiem poszła ku wejściu do większej pieczary i spojrzała w ciemność. Z trudem dostrzegła atramentowy zarys drzewa.

Co mogła mu powiedzieć? W swojej wizji nie zidentyfikowała mordercy ojca. Czego więc tak naprawdę się dowiedziała?

Do tej pory zakładała, że mordercą musi być ktoś, komu jej ojciec założył za skórę od momentu przyjazdu – sfrustrowany zbieracz przegrzebków, znajomy albo krewny chłopaka, który dał się złapać we wnyki, lub ktoś rozeźlony tym, jak potraktował Jeanne. W wizji jednak zobaczyła prawdę – ktoś planował zabicie jej ojca na długo przed tym, zanim rodzina Sunderly zjawiała się na wyspie. Niezależnie od tego, kto to był, udało mu się przekonać wuja Milesa, żeby sprowadził tu swojego szwagra, prosto w pułapkę. Zagrano na ambicji wuja, a on bez trudu połknął przynętę.

Jeżeli to prawda, pewna jest tylko jedna rzecz. Mordercą musi być ktoś, kto bierze udział w wykopaliskach. Któż inny mógłby przekupić wuja Milesa

ofertą zaproszenia? Może incydent ze źle funkcjonującym mechanizmem kosza wcale nie był przypadkowy. Kto mógł w końcu zgadnąć, że to Faith i Howard pierwsi zjadą w dół, a nie ich otoczony szacunkiem ojciec?

Było trzech zaangażowanych przyrodników, którzy brali udział w wykopaliskach – Lambent, Clay i doktor Jacklers.

Faith przez dłuższą chwilę rozważała kandydaturę każdego z nich. Lambent wydawał się zbyt porywczy i nieopanowany, by być dobrym kandydatem na zabójcę z zimną krwią. Później przypomniała sobie, z jaką precyzją ułożył eksponaty w pokoju z ciekawostkami i kuriozami, nienagannie wykaligrafowane naklejki to ewidentny dowód na to, że jest dobrze zorganizowany. Było więc coś, czego nie chciał pokazać światu. Jego wygłupy mogą być tylko pochwą, w której nosił niebezpieczny sztylet.

Doktor Jacklers wydawał się uczciwy do granic nietaktowności, ale była w tym też ogromna doza goryczy. Był człowiekiem, który zbiera i kolekcjonuje pretensje – tak podejrzewała – a później je hołubi. A jeżeli to on jest mordercą, nie mógł zagrać lepszej roli niż rola koronera i eksperta do spraw medycznych, badającego podejrzaną okoliczność.

Clay zawsze wydawał się łagodny, miły i nieco zbity z tropu. Nie, nie zawsze. Faith przypomniała sobie wybuch pasji, kiedy tak gorączkowo mówił o Biblii, katastrofach i początkach ziemi. Jak by zareagował, gdyby dowiedział się, że wielebny oszukuje świat na wielką skalę? Żarliwość jest jak gaz, najbardziej niebezpieczna, gdy jej nie widać. Jedna przypadkowa iskra mogłaby ją rozpalić w każdej sekundzie.

Żaden z nich nie miał oczywistego powodu, żeby zamordować ojca. Jednak oszustwa wielebnego i jego manipulacja drzewem mogły mu przysporzyć wielu wrogów. Jedno z jego kłamstw mogło komuś poważnie zaszkodzić. Biolodzy, którzy gwarantowali autentyczność jego skamielin, wyjdą teraz na idiotów, a ich reputacja będzie w strzępach. Może w jednej ze swoich wizji

ujrzał czyjś niebezpieczny sekret, co sprawiło, że taka osoba mogła szukać sposobu, by go uciszyć.

Musiała się dowiedzieć czegoś więcej o tych trzech ludziach. Drzewo może jej w tym pomóc, jeżeli będzie potrafiła wymyślić właściwe kłamstwo. Kłamstwo o prowadzących wykopaliska. Kłamstwo, w które będą chcieli uwierzyć mieszkańcy wyspy. Przyszły jej do głowy stare opowieści o złocie przemytników.

Faith pochyliła się w kierunku czekających cieni.

– Wykopaliska tak naprawdę nie są prowadzone dlatego, żeby odkrywać stare, zakurzone kości – szepnęła. – Prowadzący je kłamią jak najęci. Szukają skarbu przemytników i chcą go zatrzymać dla siebie.

W jaskini odbijał się echem ryk fali, która wdarła się od strony morza, jak gdyby drzewo wciągnęło w siebie słowa Faith jednym oddechem.

Przypływ nadszedł, kiedy była nieprzytomna, a gdy znalazła łódź, okazało się, że ta jest już na wodzie i niecierpliwie ciągnie za linę cumowniczą. Gdy Faith niepewnie wiosłowała, by wydostać się z jaskini, światło poranka wdarło się prosto w zakamarki jej mózgu, każąc jej mrugać oczami i marszczyć powieki.

Kiedy znów otworzyła oczy, okazało się, że się pali.

Drobna iskierka na jej rękawie zaskrzyła się głodnym ogniem, kiedy dotknęło jej słońce, a później znikła. Materiał pod nią się zapalił, a małeńki ogień zaczął wgryzać się w rękaw jak mole. Nitki materiału robiły się czerwone od ognia.

Faith patrzyła na to zjawisko z głupim wyrazem twarzy, dopóki ból w ramieniu nie przekonał jej rozspanego mózgu, że płomień jest rzeczywisty. Puściła wiosła, nabrała wody w dłoń i lunęła na płomienie. W tym samym momencie zdała sobie sprawę, że dymią cztery kolejne miejsca na jej ubraniu, czerwienią się jak węgielki w kominku, jedno na gorsecie, a trzy na spódnicy.

Przez chwilę Faith potrafiła myśleć tylko o tym, że to samozapłon. Słyszała takie historie. Mężczyźni i kobiety ni stąd, ni zowąd nagle zapalali się od wewnątrz i w ciągu paru sekund zamieniali się w popiół, niekiedy ich ubrania pozostawały w ogóle nienaruszone.

W panice chlapała wodą na twarz, spódnicę, rękawy i gorset. Polewała się wodą, nawet kiedy płonące fragmenty materiału były już tylko wypalonymi dziurami. Dopiero gdy upewniła się, że już się więcej nie zapala, serce przestało jej bić jak młotem. Nie mogła zrozumieć, co się stało, faktem jest jednak, że się skończyło.

Trudno jej było wiosłować z powrotem na brzeg i Faith musiała parę razy przechylać się nad burtą, żeby zwymiotować. Kiedy przemykała się przez teren wokół domu, świt już dawno wstał. Oświetlona słońcem zieleń trawników paliła ją w oczy, kiedy ciężko, krok za krokiem, szła w kierunku domu, próbując trzymać się możliwie daleko od ludzkich spojrzeń. Wyczerpana, na wpół ślepa, oszołomiona i ochlapana wodą morską z trudem wdrapała się po schodach, przez ogród na dachu, żeby w końcu znaleźć się w błogosławionej, przyjaznej ciemności swojego pokoju.

Opadła na fotel i piła wodę prosto z dzbanka, otrząsając się po każdym łyku. Później uchyliła okiennice i odsunęła odrobinę zasłony, żeby wpuścić nieco światła, by móc rozwiązać buty i wstążki gorsetu. Ledwo co zdjęła z siebie żałobne ubranie i włożyła koszulę nocną, kiedy delikatne stukanie do drzwi zerwało ją na równe nogi.

– Chwileczkę! – Cały pokój był zaśmiecony obciążającymi dowodami nocnego wyjścia. Kiedy Faith pospiesznie zbierała rozrzucone ubranie, przypadkiem kopnęła w zestaw do badań terenowych ojca, który leżał otwarty na podłodze. Wskoczył z niego jeden z małych słoiczków z próbkami i potoczył się wprost w cienki promień słońca.

W środku było kilka liści ściętych z drzewa. Kiedy dotknęły ich promienie

porannego słońca, poczerniały, skurczyły się, a później wybuchły oślepiająco białym płomieniem. Usłyszała odgłos małej eksplozji. Szkło słoika poczerniało, a później gwałtownie pękło.

– Panno Sunderly? – ponury, aksamitny ton głosu pani Vellet był zabarwiony troską. – Nic się nie stało?

– Nie! – zawołała Faith, bezskutecznie próbując podnieść gorący słoik, który natychmiast rozprysł się na dwa kawałki. Kopnęła je pod toaletkę i desperackim gestem otworzyła okno, chcąc przewietrzyć pokój i pozbyć się zabarwionego nutą wapna dymu, który gryzł w oczy. – Ja... ja zaraz będę!

Kiedy Faith już ukryła dowody, otworzyła drzwi, bojąc się myśleć o tym, ile usłyszano zza nich trzaskania, rozbijania i obijania się.

– Przepraszam, że panią niepokoję, panno Sunderly. – Pani Vellet była sztywna jak zwykle, ale na jej czole widniała maleńka, niezwykła jak dla niej zmarszczka. Dziewczyna zastanawiała się, dlaczego gospodyni wstała tak wcześnie i dlaczego musiała przyjść osobiście pod drzwi Faith. Chwila milczenia wydłużała się. – Pomyślałam, że zapytam, czy chce pani śniadanie o zwykłej porze, czy też planuje pani wstać nieco później. Jeżeli pani... niezbyt dobrze spała.

Faith gapiała się na gospodynię, próbując rozszyfrować znaczenie zmarszczek na jej twarzy. Pani Vellet coś wiedziała. Coś usłyszała. Może nawet coś zobaczyła. Dopóki Faith nie będzie wiedziała co, nie będzie mogła ułożyć odpowiedniego kłamstwa ani wymyślić wymówki. Wiedziała, że sama musi wyglądać dziwnie – rozczochrana i z podkrążonymi oczami.

– Dziękuję bardzo – odparła Faith delikatnie. – Wolałabym, jeśli można, zjeść śniadanie później. – Nie mogła się oprzeć perspektywie przespania się.

– Bardzo dobrze, panienko. – Mijały sekundy, a gospodyni wciąż stała na progu. – Panno Sunderly – zaczęła raz jeszcze i ku zdumieniu Faith z powagą ściszyła głos. – Proszę mi wybaczyć, że się wtrącam... Pani ojciec nie

chciałby pani na to wszystko narażać.

Faith poczuła, że sztywnieją jej mięśnie twarzy, a żołądek skręca się w węzeł.

– Jeśli musi pani tam chodzić nocą – mówiła pani Vellet – w holu jest płaszcz i nie zmarznie pani. Ale do kościoła idzie się długo i jest chłodno po drodze, a czuwanie przy zwłokach kończy się, kiedy zmarły opuszcza progi domu. Pani ojciec panią kochał. Jeśli pani umrze na grypę, to nie będzie dobre podziękowanie za opiekę, którą panią otoczył, i za wychowanie.

Faith dopiero po chwili rozplątała znaczenie słów pani Vellet. Gospodyni nie wiedziała, gdzie Faith była, ale widziała i słyszała na tyle dużo, żeby móc stwierdzić, że gdzieś wychodziła. Doszła do wniosku, że Faith prowadzi swoje własne czuwanie przy zwłokach, chodzi do kościoła, żeby posiedzieć przy trumnie ojca, jak pies na grobie swojego pana.

Czując niewypowiedzianą ulgę, Faith spuściła wzrok, tak by z jej oczu nie można było nic wyczytać, i skinęła głową. Spod rzęs widziała, że gospodyni dygnęła oficjalnie i wycofała się. Faith zamknęła drzwi, a później – oczy.

Było bardzo blisko i niemalże ją odkryli. Nawet teraz pani Vellet mogłaby donieść, że Faith wymyka się nocą, ale chyba tego nie zrobi. Nie, gdyby miała taki plan, poszłaby prosto do Myrtle, a nie szukałaby Faith, żeby porozmawiać z nią w cztery oczy.

To mogła być życzliwość. Faith czuła w tej myśli pustkę. Kiedyś potrzebowała takiej życzliwości, ale jej nie dostała. Teraz było za późno i nie wiedziała, co z nią zrobić.

Po przebudzeniu Faith stwierdziła z przerażeniem, że spała aż do popołudnia. Kiedy zataczając się na nogach z niewyspania, wyłoniła się ze swojego pokoju, jej niepokój się ulotnił, zdała sobie bowiem sprawę z czegoś gorszego. Nikt za nią nie tęsknił.

Myrtle była zajęta przymierzaniem nowej woalki i szala. Oba te dodatki



były dopiero co dostarczonymi „gestami sympatii i współczucia” – pierwszy od doktora Jacklersa, a drugi – od Claya. Widać było, że rywalizacja nabiera tempa. Faith skrzywiła się w duchu, patrząc na szal z paramatty całkiem niezłej jakości. Musiał zrobić dużą dziurę w budżecie słabo opłacanego wikarego. Dziewczyna złapała się na myśli, że zastanawia się, co sądzi o tym Paul, po czym wzdrygnęła się, przypominając sobie ich dziwną konfrontację i jego niemożliwy do wygrania zakład.

Jak się okazało, Clay dostarczył również pierwszą odbitkę fotografii rodzinnej. Ręka Faith drżała, trzymając mały tekturowy kwadracik. Na zdjęciu był wielebny Erasmus Sunderly, odpoczywający w pełnej godności pozie na fotelu, a Faith – krok za nim. Wyglądał przerażająco nieskazitelnie, a jego domalowane oczy były chłodne i pełne pytań.

– Czy mogę zatrzymać tę odbitkę? – Faith instynktownie przyciągnęła ją bliżej do piersi. – Proszę!

Myrtle westchnęła.

– No, niech ci będzie.

Faith musiała znaleźć sposób na przeniknięcie na miejsce wykopalisk, jeżeli chce rozsiać swoje nowe kłamstwo i kontynuować dochodzenie. Teraz była uwięziona w Zatoce Byka, a prowadzący wykopaliska byli irytująco niedostępni.

Ale nie wuj Miles.

Po kolacji Faith znalazła go w bibliotece, czytającego egzemplarz „Prehistoric Times”. Zdziwiła się nieprzyjemnie, gdy zastała go siedzącego w fotelu, w którym do niedawna przesiadywał jej ojciec.

Siedział tam, okrągłutki przyjaciel świata, pykał z fajki i grzał się przy kominku. Wuj Miles zawsze był gdzieś w tle, jak kot zwinięty w kłębek na parapecie okna, jego obecność była ciepła i niegroźna.

Wuj Miles, który sprowadził całą rodzinę na wyspę Vane z egoistycznych

pobudek i wydał ojca w ręce mordercy. Faith trudno było zapomnieć tę wizję i to, jak jego groteskowa twarz rozdarła się pod jej palcami.

– Dobry wieczór – powiedziała i udało jej się zachować naturalny tembr głosu.

– O, jesteś, Faith. – Wuj Miles złożył gazetę, a później przyjrzał się jej z poważnym uśmiechem. – Jak to miło ujrzeć trzeźwo myślącą, rozsądną osobę!

– A co, wszyscy inni są pijani i się wygłupiają? – Faith usadowiła się na skraju krzesła.

– Tak jakby. – Wuj Miles westchnął zniecierpliwiony. – Wszyscy się upili tymi duchami! A to są bardzo wygodne duchy. Kiedy coś się zepsuje, pęknie albo zniszczy, to wina duchów. Kiedy czegoś brakuje, obwiniamy duchy.

Faith, reżyserka teatru marionetek miejscowego ducha, bez słowa założyła ręce na piersi.

– Ilu rzeczy brakuje? – spytała, zastanawiając się, ile jej własnych „pożyczek” zauważono.

– Niestety sporo – Wuj Miles zaczął jej podawać długą listę przedmiotów, które poznikały. Niektóre z nich, faktycznie przedmioty, które pożyczyła Faith, takie jak instrumenty do badań w terenie ojca, czy jego zapasowy zegarek. Niemniej jednak w domu brakowało też kilku roślin, dwóch jedwabnych fularów, tabakiery i innych drobiazgów. Widać z tego jasno, że Faith nie była jedyną osobą, która korzystała z zamieszania, by przywłaszczyć sobie wymarzone skarby. – Potrzebny nam jest dokładny spis przedmiotów należących do twojego ojca.

Faith nic nie powiedziała, ale cała się najeżyła. Tworzenie dokładnego spisu prawdopodobnie będzie wymagało gruntownego przeszukania domu.

Wuj Miles stukał palcami w gazetę.

– Faith, jesteś... Cóż, jesteś już dużą dziewczyną. Czy mogę z tobą

porozmawiać jak z dorosłą pannicą?

Faith skinęła głową. To dziwne, ale jego ostatnie słowa sprawiły, że poczuła się jak małe dziecko, a nie „dorosła pannica”.

– No cóż, wygląda na to, że potrzebuję twojej pomocy. Twoja matka... niedobrze się czuje, nie jest sobą...

– Jest przemęczona? – zasugerowała Faith, robiąc pokerową minę.

– No właśnie. Jest jeszcze parę ważnych rzeczy, które poszły nie tak, Faith. Jestem pewien, że chcesz pomóc mamie. Czy masz jakieś pomysły, gdzie mogła schować prywatne dokumenty ojca?

– Nie – odpowiedziała Faith z wahaniem, robiąc minę niewiniątka – ale chyba mogłabym ich poszukać. – Przyglądała się wujowi zafascynowana. Jakże on pięknie kalkulował! Dlaczego nie zauważyła wcześniej tego rysu jego charakteru? Ale ona też nie pozostawała mu dłużna i uznała, że nadszedł moment, żeby zadać mu parę pytań, skoro on chce zrobić z niej sprzymierzeńca. – Czy uważa wuj, że ojciec mógł zabrać z sobą dokumenty, kiedy poszedł dawać wykład w miejscowym towarzystwie przyrodniczym? – spytała. – Może powinniśmy spytać kogoś z wykopalisk? Ktoś może coś wiedzieć.

– Nie, ja... Cóż, prawdę mówiąc, już z nimi rozmawiałem. – Wuj Miles odkaszlnął i wyglądał na nieco zawstydzonego. – Kilka razy wracałem na teren wykopalisk. Myślałem... że zbuduję mosty i nawiążę kontakty z moimi braćmi naukowcami, że uspokoję parę gorących głów... Wiesz, oni nie są tacy straszni.

– Sprowadzili ojca zza morza, a później się od niego odwrócili. – Każde słowo, które wypowiadała, było ostrożnie dobierane, ale Faith nie mogła powstrzymać prawdziwych emocji, które brzmiały w jej głosie.

Wuj Miles wyglądał na zaniepokojonego tą falą uczuć. Faith szybko spuściła wzrok.

– Wiem – powiedziała już normalnym tonem. – Rozumiem, dlaczego to zrobili. Wiem o tych plotkach i o artykule w gazecie.

– Przykro mi, że musiałaś o tym od kogoś usłyszeć. – Wuj Miles westchnął ciężko. – Spróbuj na to spojrzeć z punktu widzenia tych dżentelmenów! Jeżeli wciąż utrzymywaliby kontakty z twoim ojcem mimo tego skandalu, podałyby to w wątpliwość wszystkie ich znaleźiska! Nikt nie brałby tych odkryć poważnie!

– Tak – przyznała Faith. – Rozumiem. To byłoby straszne. – Udało jej się powiedzieć to bez sarkazmu. – Tak czy inaczej, to nie wuja wina, wuju Milesie. Wuj chciał tylko nam pomóc. – Spod spuszczonej rzęsy widziała, że napięte ramiona wuja nieco się rozluźniły. – A czyj to w ogóle był pomysł, żeby zaprosić tu ojca? To pewnie pan Lambent.

– Nikt tego nie pamięta. – Wuj Miles mówił łagodnie, ale ostrożnie. – Wydaje mi się, że ten ktoś zasugerował to któregoś wieczoru przy kolacji, a wszyscy przyklasnęli. Teraz oczywiście nikt nie chce przyznać, że to jego pomysł.

Kto był na tej kolacji? Faith nie mogła zadać tego pytania. Zabrzmiałoby dziwnie, a wuj Miles prawdopodobnie nie umiałby znaleźć na nie odpowiedzi.

– Chyba ma wuj rację. – Faith opuściła ramiona. – Musimy budować mosty. A może ja w czymś pomogę? Kiedy wuj następnym razem pojedzie na wykopaliska, czy wuj zabierze mnie ze sobą?

– Na wykopaliska? – wuj Miles był zdziwiony tym pomysłem. – No cóż, ja nie mam nic przeciwko temu, ale... Musielibyśmy spytać o pozwolenie dżentelmenów, którzy je prowadzą. Widzisz, nazwisko Sunderly mogłoby być problemem... Ja nie wiem, czy mama by się zgodziła...

Niełatwo było patrzeć na wuja Milesa teraz, gdy Faith rozumiała go lepiej. Niemal widziała myśli, które wiją się gdzieś za tym łagodnym czołem, jak robaki w ciemności. Mierzył ją wzrokiem, zastanawiając się, czy jej obecność może zagrozić z trudem wywalczonemu dostępowi do wykopalisk.

Morderca wykorzystał ambicję wuja Milesa, ale jego siostrzenica również może to zrobić. A co lepsze, do Faith powoli dotarło, że prowadzący wykopaliska nie są zjednoczeni. Pod pogodną powierzchnią czaiła się rywalizacja, nieufność i niechęć – to szczeliny czekające na ostrze dłuta, które ona tam wciśnie.

– Wuju – powiedziała – jeżeli wuj zobaczy doktora Jacklersa, czy mógłby wuj przekazać mu list ode mnie? Ja... Chciałabym mu podziękować za to, że próbował pomóc ojcu.

– List? Oczywiście. Nie ma w tym nic złego.

Faith udało się nie wzdrygnąć, kiedy wuj poklepał ją po dłoni. Przypomniała sobie jego papierowy grymas i palce ją zaswędziały.

## ROZDZIAŁ 22

# Ostrze dłuta w szczelinie

*Drogi Doktorze Jacklers,*

*Przepraszam, że byłam taka głupia i niepokoiłam Pana moimi wymysłami. Dziękuję, że Pan mnie uspokoił. Jeśli będzie Pan u nas znów, chciałabym bardzo przeprosić Pana osobiście.*

Faith zmrużyła oczy i dodała postscriptum.

*PS Może przy tej okazji zechciałby pan zmierzyć moją czaszkę. Bardzo chciałabym przysłużyć się Nauce.*

List został dostarczony nazajutrz rano i doktor Jacklers zjawił się jeszcze tego samego dnia. Godzinę spędził z Myrtle, a później z radością dał się zaprosić Faith na herbatę w salonie.

– Panno Sunderly, cóż za wyśmienita myśl! – Uradowane spojrzenie doktora błędziło po szczycie czaszki Faith, prawdopodobnie oceniając jej wielkość. – To zawsze wielka radość, zmierzyć głowę we właściwy sposób! Tak niewielu ludzi odważa się na pomiary moimi instrumentami! A w pani przypadku, panno Sunderly, to rzecz specjalna. Mówią, że geniusz dziedziczy się w rodzinie, a pani ojciec miał wyjątkowy umysł.

Faith zauważyła, że przyniósł ze sobą kilka skrzynek i pudełek z grubymi,

mocnymi paskami. Spodziewała się miarki, jakiegoś centymetra, a wzmianka o „instrumentach” trochę ją zaniepokoiła.

– Nie ma powodu do obaw – mówił doktor lekkim tonem, kiedy sięgnął do jednego z pudeł i zaczął wyciągać dziwaczne urządzenia. – To tylko instrumenty pomiarowe, to nie będzie bolało. Daję na to słowo. Mam bardzo niewiele okazji, żeby ich używać!

Pierwszym z nich była błyszcząca suwmiarka, której kleszcze były na tyle duże, że mogły objąć melon. Drugim narzędziem była czteroboczna drewniana rama z regulowanymi śrubami, zaprojektowana tak, by można ją było założyć na głowę.

Kiedy doktor wyjmował je z pudła, Faith zobaczyła w środku kątem oka niewielki obrazek. Przedstawiał on głowę i ramiona ciemnowłosej, ładnej kobiety w bladożółtej sukience. Co ciekawe, ktoś chyba napisał coś atramentem na obrazie, zaznaczając „cechy porównawcze” czaszki, kąt twarzy i tak dalej.

– Ona wygląda jak panna Hunter – powiedziała Faith, niewiele się zastanawiając.

– To nikt ważny – odparł natychmiast doktor kwaśnym tonem. – To stary obraz nieznannej kobiety. Chociaż... tak jak panna Hunter, ma dość krótką czaszkę. Istnieje wiele cech, które można odnaleźć u ludzi z krótkimi czaszkami. Niewdzięczność. Płytkość. Nieumiejętność zrozumienia, co jest dla nich najlepsze.

Słowa skierowane do obcej kobiety na obrazie zawierały zaskakująco dużo jadu. Po raz pierwszy Faith zaczęła podejrzewać, że panna Hunter mogła niewdziecznie, płytko i zupełnie błędnie odmówić zostania panią Jacklers.

– Gdzie mam usiąść? – spytała Faith, która jak najszybciej chciała zmienić temat.

– Co takiego? A, to nieważne, jeżeli tylko plecy nie będą za wysoko.

Faith usadowiła się na drewnianym krześle i chwilę później poczuła ucisk suwmiarki, jedna z jej metalowych odnóg oparła się o tył głowy, a druga naciskała u podstawy czoła, tuż nad nosem.

– Dolichocefaliczna czaszka, jak u pani ojca – mruknął doktor, odzyskując nieco dobry humor.

Te słowa nie zaskoczyły Faith. Przeszło jej już przez myśl, że kiedy doktor wykonywał obowiązki koronera, prawdopodobnie skorzystał z okazji, żeby zmierzyć głowę ojca. Zazgrzytała zębami, ale starała się nie dać niczego po sobie poznać. Wielgachna suwmiarka została odłożona i nad głową Faith znalazła się drewniana rama, tak że jej poprzeczna beleczka usadowiła się na szczycie czaszki dziewczyny. Urządzenie miało cztery pionowe opadające ramiona i doktor Jacklers regulował śruby, dopóki ramiona nie zostały dociśnięte do przodu, boków i tyłu głowy.

– Moja mama była bardzo zadowolona z woalki – powiedziała nieśmiało. – I ze ślicznego szala!

– Z szala? – Doktor przerwał na chwilę. – Nie było żadnego szala.

– O! – Faith zamrugała powiekami. – Bardzo przepraszam! Teraz sobie przypominam. Ten szal był od pana Claya.

– Pan Clay podarował pani mamie szal? – pytał doktor podejrzliwym i oburżonym tonem.

Faith wiedziała, że w ten sposób może zrobić z tych dwóch mężczyzn zagorzałych wrogów, ale nie stać jej było na sentymentalizm. Poza tym każdy mężczyzna, który ugania się za świeżo upieczoną wdową, zasługuje na wszystko, co najgorsze.

– Tak – powiedziała łamiącym się głosem. – Dostarczono go wczoraj.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Ten pomiar jest chyba zbyt duży – w końcu mruknął doktor. – Czy mięśnie pani twarzy są tak ściśnięte? Proszę spróbować nie marszczyć czoła. – Znów



docisnął śruby, aż Faith straciła pewność, czy mierzy jej głowę, czy próbuje ją doprowadzić do odpowiednich rozmiarów.

– To troszkę za mocno ściska, doktorze Jacklers – powiedziała Faith głośno, kiedy zaczęła ją boleć głowa. Zastanawiała się, czy nie podjęła zbyt nieprzemyślanej decyzji, oddając w jego ręce swoją czaszkę. Był w końcu jednym z jej podejrzanym.

– Próbuję uzyskać wiarygodny odczyt – warknął doktor niezbyt przyjemnym tonem. – Oczywiście najlepszym sposobem na ocenę pojemności pani czaszki byłoby wypełnienie jej nasionami, ale za to na pewno by mi pani nie podziękowała!

Kiedy zaczęła się zastanawiać, czy po tym wszystkim jej głowa nie zrobi się prostokątna, śruby zostały poluzowane, a rama – uniesiona. Kiedy Faith ostrożnie badała dłonią czoło i skronie, doktor Jacklers wypisywał ciągi liczb w notesie. Spoglądając przez stół, Faith widziała, że kolumny miały takie nagłówki jak „kąt twarzowy”, „indeks czaszkowy”, „szerokość”, „obwód” oraz „długość”.

– Jak mi poszło? – spytała.

– Pani głowa jest większa, niż się spodziewałem – przyznał doktor. – Niewątpliwie dar pani zmarłego ojca. – Raz jeszcze zmarszczył czoło, patrząc na liczby, i Faith zobaczyła, że niektóre z nich zaokrągła.

– Doktorze Jacklers, czy mogę poprosić pana o radę? – Sięgnęła po swój szkicownik i otworzyła go tak, żeby doktor mógł go obejrzeć strona po stronie. – Chciałam panu podziękować, panu i innym dzentelmenom, za to, jak się nami opiekujecie. Wiem, że rysownik pana Lambenta złamał rękę w nadgarstku. Uważa pan, że nadałabym się w jego miejsce?

Doktor przyglądał się, kiedy Faith odwracała stronę po stronie, pokazując mu szkice ptaków i martwe natury z porożami jeleni, a później wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać. Na kolejnej stronie widać było przekrój wzgórza

poprzecinanego liniami warstw oraz napisami: „połamane średniowieczne naczynia i wazony”, „fragment ściany rzymskiej”, „ziemia gliniasta” i „kości hipopotama pigmeja i tura”.

– Czy to rysunek części wykopalisk?

– Tak. Ojciec nauczył mnie, jak je rysować. – To było kłamstwo. Faith widziała już takie diagramy, ale niewiele z nich rozumiała. Starannie przekopiowała ten obraz dziś rano z jednej z książek ojca. – Czy to się przyda?

Widziała, że doktor jest skuszony. Później jednak spojrzał na nią, a ona zobaczyła siebie jego oczami – młodą dziewczynę wśród gruzu i kości. Zaczął kręcić głową.

– Nie chciałabym sprawiać kłopotu – oznajmiła szybko Faith. Zamknęła książeczkę. – Wiem, że ma pan pana Claya, który będzie robił zdjęcia i prawdopodobnie potrzebuje pieniędzy. Czułabym się okropnie, kradnąc jego zapłatę i utrudniając mu życie.

W oczach doktora Jacklersa zapaliła się maleńka iskierka złośliwości. Faith z łatwością mogła odgadnąć jego myśli. Jeżeli Faith będzie robić szkice, to na wykopaliskach nie będzie potrzeba aż tylu fotografii Claya. Straci na znaczeniu i będzie miał mniej pieniędzy na kupowanie prezentów dla ślicznych wdówek.

– Panno Sunderly, niech pani się tym nie przejmuję. To wspaniały pomysł! Jest pani pewna, że pani matka da sobie radę bez pani?

– Chyba tak – odparła Faith. – Prawdę mówiąc, pętam się pod nogami wszystkim dookoła. Uważa pan, że pan Lambent i pan Clay nie będą mieć nic przeciwko temu? – Teraz jej rolą było wątpić, wahać się i dać się w końcu przekonać.

– Niech pani zostawi to mnie – powiedział ponuro doktor.

Czekając na werdykt prowadzących wykopaliska, Faith zajęła się badaniami naukowymi w swoim pokoju.

Mając w pamięci przedziwny samozapłon i to, co stało się ze słoiczkiem na próbki, Faith postanowiła wykonać kilka ostrożnych eksperymentów, tym razem z dzbankiem wody pod ręką.

Najpierw położyła małe kawałek liścia drzewa kłamstw na czubku noża i przesunęła go w kierunku wąskiego promienia światła słonecznego. Fragment drzewa natychmiast się zapalił, a wybuch białego płomienia zniszczył go w jednej sekundzie. Delikatna chmurka szarego pyłu opadła powoli na podłogę. To samo się stało, gdy powtórzyła eksperyment z cierniami, kroplami żywicy i kawałkami kory.

W takim razie to prawda. Kawałki drzewa kłamstw płoną w kontakcie ze światłem słonecznym. Do jej ubrania musiały przyczepić się małe fragmenty liści, które zapaliły się, kiedy była już poza jaskinią.

Kiedy parę razy się poparzyła i nieco opaliła parapet, wiedziała trochę więcej. Jasne światło świec i latarni sprawiało, że liście zwijały się i kurczyły. Bezpośrednie światło słoneczne powodowało natychmiastowy zapłon. Z kolei światło padające pośrednio nie miało chyba takiego efektu, o ile było przyćmione i dość rozproszone. Światło latarni, zasłonięte dostateczną liczbą warstw gazy, również wydawało się niegroźne.

– Ojciec miał rację – mruknęła Faith. – Drzewo może rozwijać się tylko tam, gdzie słońce nigdy nie dochodzi. Ale dlaczego się pali? To chyba sprawa łatwopalnych substancji chemicznych. Może dlatego tak silnie pachnie. Ale dlaczego drzewo pozwala sobie na to, by z taką łatwością zajmować się ogniem?

Czy buchanie płomieniem może być jakąś zaletą? Jak takie drzewo mogło w ogóle wyewoluować?

– Może to mechanizm obronny – myślała głośno. Wyobraziła sobie roślinożerne zwierzęta, które wędrują po pieczarach i obgryzają liście z drzewa. Kiedy wyłaniają się na światło dzienne z pyskami lepki od

żywicy, słońce natychmiast wywołuje silne oparzenia. Nauczyłyby się unikać tego chłodnego jak lód zapachu.

– To jednak żadna odpowiedź – mruzczała pod nosem, notując swoje myśli.  
– Łatwopalne oleje to magazyn energii. Ale gdzie drzewo ją znajduje?

Jej ojciec teoretyzował, że drzewo żywi się „łącznością psychiczną” z „inteligentnym przedstawicielem innego gatunku”. Jej pióro zatrzymało się nad kartką papieru. Jeżeli drzewo kłamstw było w tym momencie z kimkolwiek „połączone”, to mogła to być tylko ona. Ale Faith nie miała poczucia, że rosnące drzewo coś z niej wysysa. Kiedy patrzyła na swoje notatki, poczuła się ożywiona i pełna energii.

Jeżeli będzie mogła zrozumieć, jak funkcjonuje ta roślina, być może będzie mogła zgłębić wiedzę o świetle słonecznym, o królestwie roślin lub nawet o ludzkiej duszy. Jej lęk przed rośliną ustępował głodnej ciekawości.

Tuż przed kolacją przyniesiono list od doktora Jacklersa, w którym pytał Myrtle, czy mogłaby oddać im panienkę Faith pod opiekę na kilka dni, gdyż potrzebują jej pomocy przy szkicowaniu.

Chyba tylko sugestia Faith, że ta skoczy w dół szybu, spotkałaby się z gorszym przyjęciem. Posyłanie młodej dziewczyny na miejsce wykopalisk pełnych pracujących mężczyzn żadną miarą nie było odpowiednie. Odrywanie córki od łona rodziny tuż po czuwaniu przy zmarłym było czymś rzadko spotykanym. A spodziewanie się, że będzie asystować przy wykopaliskach po tym, jak jej ojcu okazano tak straszliwe lekceważenie, było naprawdę dziwaczne.

Prosił jednak o to doktor Jacklers, więc Myrtle podczas kolacji głośno się nad wszystkim zastanawiała.

– Będzie z tobą wuj Miles, więc nie jest to całkowicie nieprzyzwoite – zgodziła się. – A może to zaproszenie jest czymś w rodzaju przeprosin za to, jak potraktowano naszą rodzinę. Faith, Lambertowie okazali nam niezwykle

brak szacunku, ale proszę, bądź dla nich miła na tyle, na ile potrafisz. Jeżeli będzie można ich przekonać, żeby zachowali się rozsądnie, wtedy wszyscy zapomną o tym śmiesznym dochodzeniu.

Jeanne podawała posiłek jak somnambulik. Pod oczami miała ciemne cienie i zapominała, co robi, zamierając z chochelką do zupy w powietrzu. Każdą serwetkę podnosiła ostrożnie i lękliwie, jak gdyby spodziewała się, że czają się pod nią jakieś potworności. W pewnym momencie w kuchni zadzwonił dzwonek na służbę, a ona o mało nie wyskoczyła ze skóry.

*Wykopaliska to nie miejsce, gdzie szuka się starych, zakurzonych kości. Organizatorzy rozsiewają kłamstwa. Szukają skarbu przemytników i chcą wszystko zatrzymać dla siebie.*

To było kłamstwo, które Faith chciała rozplenić w umysłach mieszkańców wyspy. Kiedy wróciła do pokoju, zabrała się do tworzenia pierwszego ziarna pod zasiew.

Pożyczyła wcześniej kartkę z papeterii pastora i jedno z jego piór. Zaczęła ostrożnie pisać, od czasu do czasu spoglądając na dziennik ojca, tak by możliwie wiernie skopiować jego charakter pisma.

*17 maja 1865 roku*

*Zyski z drugiej pieczary mają być podzielone następująco:*

*Pan A. Lambent 763*

*(plus dodatkowe 100 za to, że jest posiadaczem ziemi)*

*Wielebny T. Clay 763*

*Wielebny E. Sunderly 763*

*Wszystkie dalsze znaleziska mają być podzielone po równo.*

Przyglądała się swojemu dziełu z prawdziwą dumą. Wyglądało na to, że ktoś pisał to w pośpiechu, niestaranie, tak jak planowała. A jeszcze lepiej, że nie wszystko było do końca jasne. Nie wiadomo było, co oznaczają te liczby. Równie dobrze mogły to być funty, gwinee, dublony lub zęby mamuta.

Wszystko, co można wyczytać z tej notatki, to, że znaleziono duże ilości czegoś i podzielono je między trzech mężczyzn... I że w podziale nie uwzględniono doktora Jacklersa.

Faith uczyła się powoli, że można podsunąć ludziom tylko część kłamstwa i zdać się na ich wyobraźnię, która wypełni puste miejsca.

Przygryzała wargę, próbując podjąć decyzję, gdzie zostawić tę notatkę. Powinna zostać znaleziona, ale nie może to wyglądać tak, jakby ktoś celowo ją podrzucił. Po jej odkryciu powinno pozostać wrażenie, że to przypadek – i to bardzo kuszący.

Jej wzrok padł na szklaną wazę na drobiazgi stojącą na kominku. Oczywiście! Na półce każdego kominka stała taka waza, wypełniona papierem zrolowanym na kształt patyczków, tak by ludzie mogli sięgać po nie i odpalać ogień z kominka, aby zapalić fajki lub świece. Ostrożnie zrolowała kartkę papieru. Później wyprostowała kilka ostatnich centymetrów swojego dzieła, tak by można było dostrzec pierwszą linijkę tekstu.

Ostrożnie zeszła do biblioteki i wsadziła rolkę do mosiężnej wazy stojącej na kominku. Każdy, kto ją znajdzie, wyobrazi sobie, że leży tam od wielu dni i jej fragment dopiero co się rozprostował. Faith popatrzyła na nią, umiejscowioną pomiędzy innymi zwiłkami, i poczuła się jak artystka.

Kiedy po paru godzinach zajrzała do biblioteki, kartki już nie było.

## Infiltracja

Następnego dnia rano Faith znalazła się w powozie doktora Jacklersa, który przywiózł ją i wuja Milesa na teren wykopalisk. Dzisiaj akurat niebo było czyste, słońce świeciło jasno, ale Faith była kłębkim nerwów. Tak mocno ścisnęła szkicownik, że jego krawędź wpijała się w jej palce. Nie miała pojęcia, czy doktorowi udało się przekonać wszystkich do tego, by zaakceptowali jej obecność, czy też jest kością niezgody, którą będą sobie wyrywać rywalizujące psy.

– Może każemy woźnicy poczekać kilka minut, tak na wszelki wypadek – powiedział wuj Miles. Ewidentnie i jego myśli układały się bardzo podobnie.

Faith poczuła ulgę, kiedy pierwszą osobą, która do nich podeszła, był Ben Crock, a jeszcze większą – kiedy się okazało, że jej oczekiwał. Tak jak przedtem, miał maniery człowieka ostrożnego i uprzejmego. Nie wyrażał chęci wypraszania jej z terenu wykopalisk.

– Jestem pewien, że obecni tu panowie będą chcieli się z panią przywitać jak należy, panno Sunderly, ale teraz są zajęci ustawianiem się do fotografii.

Kiedy Faith szła za brygadzystą i wujem krętą ścieżką do jaru, cieszyła się w duchu, że nie odarła jednak Claya ze wszystkich zleceń fotograficznych.

W tunelu jej wzrok przyciągnęła połyskująca postać mająca na głowie coś w kształcie kopuły. Lambent był ubrany w przedziwny strój. Na głowie miał lśniący korkowy hełm. Na ramionach – marynarkę od lnianego białego

garnituru, ale zamiast białych spodni miał purpurowe tureckie pantalony, zebrane pod kolanami i wciśnięte w wysokie buty. Faith wydawało się również, że ma przy sobie tropikalną packę na muchy i raz po raz uderza pióropuszem włosia w wyimaginowane owady.

Dziewczyna nie była pewna, czy ubrał się tak specjalnie, czy też może przypadkiem sięgnął po różne elementy swojej kolekcji, które tak po prostu na nim wylądowały.

Trójnóg aparatu fotograficznego Claya ustawiono na wprost wejścia do tunelu. Udrapowany materiałem „namiot Beduinów” przeniesiono wraz z całym umeblowaniem i teraz stał nieco z boku od wejścia do tunelu. Na kanapie odpoczywała samotna postać w ciemnozielonej sukni.

Doktor Jacklers klęczał przed wejściem do tunelu i przesuwał się tam i z powrotem na kolanach zgodnie z instrukcjami Claya. Kiedy jednak zobaczył Faith i wuja Milesa, skoczył na równe nogi i podszedł, żeby się z nimi przywitać.

– Powinniśmy znaleźć państwu jakieś miejsce w cieniu... – Spojrzał przez ramię na „namiot”. – Lambent, a może byśmy posadzili pannę Sunderly obok twojej żony? Jeżeli jedna piękna kobieta dodaje uroku obrazowi, dlaczego by nie podwoić efektu?

Lambent zatrzymał się w pół kroku i wyglądało na to, że po raz pierwszy dostrzegł Faith. Uśmiech zszedł mu z ust, wyglądał na bardzo zakłopotanego. Faith zastanawiała się, czy w ogóle miał zamiar ją zauważyć.

– Tak – powiedział po pauzie, która była nieco zbyt długa. – Czemu by nie.

Jego zboląły ton powiedział Faith wszystko, co powinna wiedzieć. Wolno jej być na terenie wykopalisk, ale nie była tu mile widziana. Gdyby doktor rzucił taką sugestią pod jej nieobecność, Lambent prawdopodobnie udzieliłby diametralnie odmiennej odpowiedzi. Teraz jednak sędzia magistracki znalazł się w sytuacji, w której nie mógł odmówić, inaczej zachowałby się



niewybaczalnie.

Faith z głęboką obawą ruszyła w kierunku „namiotu”. Kiedy się zbliżała, zobaczyła, że rzeczywiście w cieniu siedzi Agatha Lambent, ubrana w zieloną suknię i czepiec, opatulona szalami i chustami niemal do zaduszenia. Na stoliku obok niej połyskiwała srebrna zastawa do herbaty i żałośnie wyglądająca waza z liliami, grożąca przewróceniem się przy każdym porywie wiatru.

– Dzień dobry, pani Lambent – mruknęła Faith, z trudem utrzymując uprzejmy ton. Bardzo dobrze pamiętała dzień pogrzebu.

Starsza kobieta nie spojrzała na nią, ale wciąż ogrzewała szklaneczkę przezroczystego płynu w lekko trzęsących się, odzianych w koronkowe rękawiczki dłoniach. Bryza przywiała w kierunku Faith zapach napoju pani Lambent, na tyle silny, że zakręciło jej się w nosie. Myrtle miała rację. „Medykamentem” pani Lambent rzeczywiście był mocny alkohol.

– Powinniśmy pokazać, że coś odkrywamy! – oświadczył Lambent, odzyskując spokój. – Gdzie jest róg tura? – Czterech dżentelmenów pospiesznie udało się do namiotów, debatując na ten temat.

Agatha Lambent poruszyła się i przesunęła do przodu, dzięki czemu częściowo wyłoniła się z cienia. Faith zdała sobie sprawę z tego, że starsza kobieta robi tak zapewne, aby dobrze było ją widać w kadrze. Dziewczyna także przesunęła się w podobny sposób, ale głośne kasznięcie pani Lambent zatrzymało ją w pół ruchu.

– Panno Sunderly – powiedziała pani Lambent cicho, ledwo poruszając ustami. – Jeżeli ma pani jakieś poczucie przyzwoitości, zostanie pani z twarzą w cieniu. Ta fotografia ma być *carte de visite*, ma krążyć pośród naszych znajomych, być może będzie nawet opublikowana. Pani nazwisko nie może znaleźć się w jej opisie. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby łączono rodzinę Sunderly z tym przedsięwzięciem.

Faith poczuła, że z małego kociołka gniewu, który gotował się gdzieś w jej duszy, zaczyna unosić się para.

– Wiem, że nie prosiła pani o to, żeby być na tym zdjęciu – zgodziła się Agatha Lambent. – To przez doktora Jacklersa i mojego męża znalazłyśmy się obie w tej zupełnie niemożliwej sytuacji. Za to, co zrobił mój mąż, przepraszam.

Faith drżała od stóp do głów. Nagle grzeczne milczenie przestało być możliwe.

– Jeśli chce się pani usprawiedliwić, pani Lambent, lub za coś przeprosić – powiedziała pod nosem – może pani przeprosić za to, że zamknęła pani przed nami drzwi w dniu pogrzebu mojego ojca i zmusiła moją matkę do chodzenia piechotą przez całe kilometry w ulewnym deszczu.

Agatha Lambent zmrużyła oczy i zeszywniała.

– Widzę, że maniery ma pani po matce – mruknęła chłodno.

– Pani nie ma prawa rozmawiać ze mną o manierach – odparła Faith równie lodowato. – Proszę się nie martwić, zostanę w cieniu. Nie mam chęci, by mnie z panią widziano, podobnie jak pani, która nie chce, by ktoś zobaczył ją ze mną.

Zanim zdołała powiedzieć cokolwiek więcej, wrócili mężczyźni. Clay ustawił się za aparatem fotograficznym, a doktor Jacklers i Lambent uklękli przed wejściem do tunelu. Lambent trzymał w ręku bezbarwny kręty róg, lepki od substancji konserwującej i lakieru. Obaj mężczyźni wpatrywali się w niego z podniosłą powagą, jakby to była pantomima.

– A gdzie ja mam stanąć? – zawołał wuj Miles. Zapanowała kłopotliwa cisza.

– Hm... – Doktor Jacklers odchrząknął. – Wie pan co, Cattistock, zrobi nam pan wielką przysługę, jeśli stanie pan tuż za paniami, za namiotem, i przytrzyma materiał, żeby nie łopotał na wietrze i nie zniszczył nam zdjęcia.

Wuj Miles przeszedł obok z kamiennym wyrazem twarzy, prawdopodobnie po to, by ustawić się za namiotem.

Clay manipulował aparatem fotograficznym, dopasowując i ustawiając „mieszek” tak, że jego front przesunął się do przodu.

– Proszę się nie ruszać! – powiedział i zdjął pokrywę z obiektywu.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Faith zgrzytnęła zębami. Powiedziała sobie, że jest zadowolona z tego, że siedzi w cieniu. Cieszyła się, że nie musi patrzeć wprost w ostre słońce.

Po jakimś czasie, a miała wrażenie, że minęło prawie pięć minut, Clay raz jeszcze przykrył obiektyw pokrywą.

– Dziękuję. Teraz można już bezpiecznie zmieniać pozycję!

– No, to zapraszam wszystkich do roboty! – zawołał Lambent, uderzając swoją packą w niewidzialne komary. Robotnicy przestali się przyglądać, a doktor Jacklers, wuj Miles i Lambent ruszyli spacerkiem do namiotów. Głowa i ramiona Claya znikły pod „kapturem” – czarną materią przymocowaną do tyłu aparatu. Dobiegało stamtąd delikatne postukiwanie buteleczek.

– Dziękuję, panno Sunderly – mruknęła Agatha Lambent, nie patrząc na nią.

Faith zacisnęła palce na wachlarzu i usłyszała, jak jego piórka z drewna sandałowego trzeszczą pod naporem jej dłoni. Nie chciała, żeby ta kobieta dziękowała jej za cokolwiek, a już na pewno nie tak szczerym, cichym głosem.

– Nie wiem, czy pani w to wierzy, czy nie – mówiła żona sędziego magistrackiego – ale jestem zazwyczaj bardzo miła. A jednak przede wszystkim jestem dobrą żoną mojego męża. Stara się o miejsce w parlamencie i trzeba chronić jego reputację za wszelką cenę.

– Więc może przestałby wkładać te pantalone – mruknęła Faith, wstając z miejsca.

– Żona nie zawsze może opanować impulsy męża – odparła pani Lambent

ponuro – ale zawsze musi starać się chronić go przed konsekwencjami.

Faith odeszła, nie patrząc na nią. Została obrażona, ale przynajmniej nikt nie wyrzucił jej z wykopalisk.

Wsunęła rękę do kieszeni i zacisnęła ją wokół małej, chłodnej monety. Przypomniało jej to, że zemsta jest możliwa nawet w obozie wroga.

Przybycie córki wielebnego Sunderly'ego nie umknęło uwadze wszystkich zebranych i Faith wyraźnie czuła ciężar ostrych, ciekawskich spojrzeń. Ulżyło jej, kiedy pojawił się obok niej Crock.

– Panno Sunderly, pomyślałem, że może zechce pani poczekać, aż ludzie pójdą na przerwę na obiad, zanim zacznie pani szkicować w tunelu. Do tego czasu, jeśli pani zechce, proszę o kilka szkiców naszych najlepszych znalezisk. Mogę wstawić tu dla pani krzesło. – Skinął głową w kierunku namiotu, gdzie Faith widziała wcześniej prehistoryczną igłę z kości.

– Tak, dziękuję panu, panie Crock! – Chociaż Faith czuła się tutaj jak nieproszony gość, sprawiło jej ulgę to, że traktują ją jako użytecznego członka ekipy, a nie jak laleczkę z lodu, którą trzeba trzymać w cieniu.

Towarzyszyła mu, gdy przenosił składane krzesło do namiotu, ustawiał je i odkurzał.

– Współczuję pani straty – dodał Crock cichym tonem.

Faith spojrzała na niego, czując się tak, jakby ktoś wyrwał jej dywan spod nóg. Była to zupełnie naturalna rzecz, którą mówi się w takich okolicznościach. Nikt wcześniej jednak tego nie powiedział.

– Dziękuję – odparła.

– A jak się trzyma rodzina? – spytał.

Faith pomyślała o ataku płaczu na drodze do domu, o splądrowanych szufladach, desperackim poszukiwaniu karabinu na ducha. Wszystkie uprzejme odpowiedzi wyschły jej na języku. Pokręciła w milczeniu głową.

– Rozumiem... To było pani potrzebne, żeby wyrwać się na jakiś czas

z domu – podsumował Crock. – A przychodząc tutaj, czuje się pani bliżej ojca. – Jego wzrok był bardzo szczerzy, a oczy – bardzo niebieskie. Miał spojrzenie człowieka, który przebywa dużo na dworze – stwierdziła Faith – oczy odbijające światło niezliczonych nieboskłonów.

Jego współczucie dotknęło dziewczynę do żywego, kiedy zaczęła myśleć o swoich różnych ukrytych i mało szlachetnych motywach. Zdała sobie jednocześnie sprawę, że Crock ma częściowo rację. Ten dziwny zapach kurzu, odłupywanej twardej ziemi i gotowanych końskich kopyt rzeczywiście sprawiał, że oddychała powietrzem należącym do świata jej ojca.

– Panie Crock, czy ktoś orzekł, dlaczego pękł łańcuch opuszczający kosz do szybu?

– Nie znaleźliśmy jeszcze pękniętego ogniwa – odparł brygadzysta, marszcząc czoło. – Musiało spaść na dno szybu i wpaść do jakiejś szczeliny. Kiedy je znajdziemy, będziemy mieć pewność, a tymczasem skróciliśmy liny asekuracyjne i opuszczamy ludzi jednego po drugim.

– Czy jakiś złodziej mógł się zakraść nocą i uszkodzić łańcuch? – spytała Faith.

– Tak, jeśli chodziłby na kocich łapach. – Crock skinął głową w kierunku pracowni robotników. – Mamy tu, na wykopaliskach, trzech kopaczy, którzy śpią w namiotach. Żal by mi było złodzieja, który przerwałby im sen.

Faith zżerała ciekawość w kwestii tego brakującego ogniwa. Może Crock miał rację i rzeczywiście spadło do jakiejś szczeliny. Zastanawiała się jednak, czy nie schowała go czyjaś tajemnicza ręka. Może wcale nie zardzewiało, może metal nie był zmęczony. Może ktoś je po prostu podpiłował.

Kiedy robotnicy zrobili przerwę na obiad, Faith wprowadzono do tunelu i podstawiono jej krzesło, sztalugi i mały, składany stolik. Żółte światło latarni oświetlało drewniane wsporniki tunelu i postrzępione ściany zbudowane z ziemi i skał.

Faith poczuła suchość w ustach. Aby uwiarygodnić swoją historię, musiała stworzyć coś, co przejdzie jako profesjonalny rysunek warstw skalnych. Ktoś powycinał rowki w ścianach kielnią, żeby lepiej widziała warstwy, ale z trudem dostrzegała różnice między nimi. Mogła mieć tylko nadzieję, że wszyscy obecni wiedzą jeszcze mniej o rysunkach przekrojów skalnych niż ona.

Na wypadek gdyby ktoś ją obserwował, zrobiła wielkie widowisko, trzymając ołówek na odległość wysuniętego ramienia i obliczając nachylenie warstw, a później robiąc pewną ręką kropki i krzyżyki na papierze.

W pewnym momencie zerwała się z siedzenia, zdawszy sobie sprawę, że Crock patrzy jej przez ramię na to, co narysowała, a oczy mu świecą w świetle latarni. Być może brygadzysta jest miły, ale zaraz zobaczy, że jej kropki i krzyżyki nie mają sensu. Zaryzykowała kilka lekkich linii, kopiując nachylenie rowków zrobionych kielnią.

Wtedy usłyszała szelest papieru. Na stoliku obok niej położono kilka kartek.

– Rysownik pana Lambenta wykonał wstępne szkice, zanim złamał nadgarstek – powiedział Crock. – Pomyślałem sobie, że może pani z nich użytek. – Odszedł, zanim Faith zdążyła mu podziękować.

Szkice były niedokończone, ale rysownikowi udało się uchwycić kształt wzgórza. A co ważniejsze, widniały na nich podpisy: „ziemia czarnych jaskiń”, „krzemień”, „łupki” i tak dalej.

Faith z wdzięcznością skorygowała swoje własne linie i oznaczyła warstwy, tak jak zrobił to przedtem rysownik. Swego czasu żałowała, że całej wyspy Vane nie może zalać szare, wzburzone morze. Teraz przyznawała sama przed sobą, że gdyby doszło do takiej katastrofy, Ben Crock zasłużyłby na miejsce w szalupie ratunkowej.

Wdzięczność Faith dla majstra nie była jednak na tyle duża, by chciała

zrewidować swoje plany. W końcu znalazła się tu po to, aby wzniecić iskrę konfliktu i zamieszania.

Robotnicy obserwowali ją dyskretnie. Zdała sobie sprawę, że są podzieleni na dwie grupy. Trzech mocno zbudowanych mężczyzn z irlandzkim akcentem zajmowało się kopaniem wewnątrz jaskini i wywożeniem z niej taczek pełnych gruzu. Dwóch miejscowych było pod ręką, by przynosić i przenosić całą resztę, zmiatać gruz spod nóg, pchać taczki na znajdującą się obok hałdę. Obie grupy nie mieszały się i nie kontaktowały ze sobą.

Interesowali ją tylko miejscowi. Jeżeli chce zarazić wyspę Vane swoim pomysłem, ziarno musi zostać zasiane najpierw w ich głowach.

Swoją szansę ujrzała wczesnym popołudniem, na chwilę przed tym, jak wuj Miles miał ją zabrać do domu. Dwóch mężczyzn stanęło z boku, żeby chwilę odpocząć i napić się przydziałowego piwa. Nikt nie pilnował ich taczek pełnych gruzu. Wyjęła monetę z kieszeni i wrzuciła ją pomiędzy połamane kawałki kamieni i skał. Była to stara, ośmiokątna moneta, zwana hiszpańskim srebrnym dolarem, którą ojciec przywiózł z którejś ze swoich podróży. Matowa czerń wokół jej krawędzi sprawiła, że moneta wyglądała wyjątkowo tajemniczo.

Jakiś czas później Faith zobaczyła, że robotnicy wracają do pracy. Jeden z nich nachylił się nad tawką, wpatrując się w coś intensywnie, a później dźgnął kolegę łokciem pod żebra. Obaj zaczęli szeptać między sobą i rozglądać się dookoła, a później jeden z nich wyjął coś szybko z taczki i pospiesznie wcisnął do kieszeni.

Następnego dnia Faith przyciągała mniej spojrzeń na terenie wykopalisk. Nie była do końca akceptowana, ale przestała być tak interesującym zjawiskiem. Jej szkice też się poprawiały dzięki temu, że do późna w nocy sprawdzała zawartość książek swojego ojca, więc wszyscy byli zadowoleni z tego, że można jej oddać część pracy.

To zaś dało jej szansę na poczynienie własnych obserwacji. Okazało się, że pod przykrywką szkicowania mogła ustawić składane krzesło i sztalugi, gdzie jej się podobało, i podsłuchiwać do woli, przyglądając się scenie spod półprzymkniętych rzęs.

Bardzo szybko mogłaby narysować swoim zgrabnym ołóweczkiem mapę maleńkich aliansów i tarć, które występowały na terenie wykopalisk.

Doktor Jacklers nigdy nie był szczęśliwszy. Miał w swojej pieczy maleńki namiot, w którym trzymano różne dokumenty z Towarzystwa Starożytności i jego bezcenny egzemplarz „*Reliquiae Aquitaniae*” – ostatnią i najbardziej ekscytującą książkę na temat znalezisk jaskiniowych. Biegał tam i z powrotem, żeby coś w niej sprawdzać, i robił się niezwykle poirytowany, jeśli ktokolwiek się do niej zbliżył. Faith zdziwiła się, że nie przykuł jej łańcuchem do stołu, tak jak kiedyś przykuwano Biblię.

Będąc w posiadaniu optymalnego narzędzia do polowań w jaskiniach, doktor niepodzielnie rządził w tunelu. Wbijał specjalne gwoździe w dno jaskini i rozpościerał między nimi napiętą „linię danych” – sznurki dzielące przestrzeń na kwadraty tak, żeby można było przekopywać jeden kwadrat naraz. Crock uprzejmie kiwał głową, godził się na wszelkie sugestie, a później zmieniał nieco polecenia doktora, przekazując je swoim ludziom.

Lambent chodził po wykopaliskach i angażował się we wszystko. Przyglądał się świeżo wykopanym przedmiotom i badał je, ekscytował się nimi, zawoził je do domu, wracał z książkami z biblioteki i wkładał eksponaty do niewłaściwych pudełek. Crock po cichu podążał za Lambentem, układając wszystko w należyтым porządku po jego odejściu.

Pomimo słabego zdrowia Agatha Lambent znów pojawiła się na terenie wykopalisk. Spędziła wizytę, siedząc, jak niepełnosprawna monarchini w swoim namiocie wzdymającym się od wiatru, co prawda rozglądała się wokół, lecz z dala, po królewsku. Często widziano Bena Crocka



zatrzymującego się przed jej tronem kanapowym i zapytującego ją o coś troskliwie z czapką w ręce. Może się bał, że bez regularnych przejawów uwagi królowa wyróci się na wietrze i połamie sobie kręgosłup.

Ku zdziwieniu Faith pojawiła się również panna Hunter. Nie interesowały jej wykopaliska, wystarczało jej picie herbaty z panią Lambent. Jej przybycie miało magiczny wpływ zarówno na doktora Jacklersa, jak i Lambenta. Ten pierwszy ruszył energicznym krokiem, żeby się schować w najdalszym kącie wykopalisk, i wpatrywał się zamyślonym wzrokiem w ząb mamuta. Ten drugi stracił wszelkie zainteresowanie odkryciami i przyłączył się do pijących herbatę w „namiocie Beduina”.

Tak jak podejrzewała Faith, Crock był klejem, który utrzymywał wszystko razem. Kontrolował tereny wykopalisk, rządził bez podnoszenia głosu i bez zwracania na siebie uwagi. Wydawało się, że ma oczy i uszy dookoła głowy i dziwaczną umiejętność wykrywania problemów, zanim jeszcze się wykłudy. Krótko mówiąc, Faith szybko doszła do wniosku, że jeżeli chciałaby szpiegować, kraść, oszukiwać lub robić coś równie nielegalnego, jej największym problemem będzie prawdopodobnie Crock.

Z drugiej strony, dwóch miejscowych zmieniło swój sposób bycia od dnia, kiedy znaleźli monetę. Wyglądali na bardziej uważnych i głodnych, często szeptali coś do siebie podekscytowani, kiedy nikt na nich nie patrzył. Kilka razy Faith zauważyła, że w tajemnicy przed resztą przeszukują gruz w taczce i pętają się w miejscach, w których zazwyczaj nie pracowali.

– Może w końcu coś w tym jest – słyszała jednego z nich, który nie zauważył, że Faith jest w namiocie. – Może stary Sunderly nie był zadowolony ze swojej części.

– A może pozostali chcieli więcej, a on wiedział za dużo – podsunął ten drugi. – W końcu doktorka wystawili do wiatru, prawda?

Faith rozboleła szczęką od powstrzymywania uśmiechu. Niezależnie od

tego, kto znalazł jej na wpół zrolowaną kartkę papieru, na pewno przeczytał ją i podzielił się swoim odkryciem. Jeżeli wiadomość dotarła do tych ludzi, to prawdopodobnie plotka rozeszła się już po całej wyspie. Jaj plan działał.

Mimo wszystko czuła prawdziwą przyjemność na myśl, że jej kłamstwo przechodzi przez Vane jak tsunami, wytrącając jej wrogów z równowagi i każąc im pierzchać na wszystkie strony. Była dumna z siebie i miała poczucie władzy. Jest w tym dobra... Coraz lepsza.

## ROZDZIAŁ 24

# Wstrząsy

W niedzielę nie pracowano oczywiście na terenie wykopalisk, nie było więc możliwości, żeby Faith tam pojechała. Myrtle uparła się, aby cała rodzina Sunderly, ubrana w najlepsze stroje w barwach czerni, zwarła szeregi i pojechała do kościoła.

Kiedy tam weszli, rozmowy wśród wiernych zamarły. Faith zrobiło się niedobrze. Zbyt silnie przypominało jej to dzień pogrzebu. Kiedy rodzina maszerowała przejściem między ławkami, szepty brzmiały nerwowo, ale nie zjadliwie. Kiedy dotarli wreszcie do swojej ławki z przodu kościoła, ci, którzy już tam siedzieli, wyszli bez słowa, próbując przejść, trzymając się jak najdalej od nich.

Clay, który wydawał się trochę zagubiony i nieprzekonujący podczas pogrzebu, teraz szedł energicznym krokiem w kierunku ambony. Kazanie dotyczyło zmarłych, szacunku dla nich i uprzejmości dla tych, którzy pozostali przy życiu. Kimże są ludzie, którzy szydzą ze zmarłych? Czy otwierają drzwi nieznanym i niewidzialnym mocom?

W połowie kazania w kościele rozległ się przytłumiony jęk, a później czyjeś pełne obaw i niepokojów krzyki.

– ...Zemdlała! – zawołał ktoś.

Faith, uwięziona w ławce z przodu kościoła, nie mogła się obejrzieć. Z dźwięków i rumoru gdzieś za plecami mogła się domyślić, że kogoś

wynoszą. Po chwili kazanie zostało podjęte na nowo.

Po mszy, kiedy rodzina Sunderly opuszczała teren przed kościołem, wyraźnie zaniepokojony Clay pospieszył za nimi, marszcząc czoło.

– Pani Sunderly, panie Cattistock – przykro mi to państwu oznajmić, ale obawiam się, że państwa służąca, Jeanne Bisette, źle się poczuła podczas mszy. Teraz dochodzi do siebie... Ale odmawia opuszczenia terenu kościoła.

– A dlaczegoż to? – spytała Myrtle.

– Obawiam się, że jej wyobraźnią zawładnęła dość groteskowa myśl. Będę próbował ją przekonać, że jest inaczej, ale ona uwierzyła, że jest przeklęta. Nawiedzona. Absolutnie odmawia opuszczenia poświęconej ziemi.

Myrtle, której twarz była niewidoczna pod woalką, przez chwilę milczała i wydawało się, że próbuje przyswoić sobie jego słowa.

– Słyszałam plotki – powiedziała cicho. – Jak szeroko się rozpowszechniły? Czy wszyscy nasi służący będą szukać pretekstu, żeby nas zostawić?

Clay otworzył usta, a później znów je zamknął. Wyglądał na zboląłego.

– Bardzo mi przykro, pani Sunderly. Obawiam się, że te opowieści zostały powszechnie uznane za fakt. Codziennie ludzie przyjeżdżają do parafii i pytają, dlaczego „nie zrobiłem czegoś z tym duchem”.

– A zatem... jeśli powiedziałyby im pan, że pochowanie mojego męża uspokoi ducha... – zasugerowała Myrtle.

– Niestety, decyzje dotyczące miejsca pochówku są już poza mną. Tu orzec musi prawo. – Clay wyglądał na zakłopotanego. – I... nie mogę z czystym sumieniem zachęcać ich do wiary w te bajki, które zbyt silnie się już zakorzeniły. Niektórzy mówią nawet, że widzieli ducha, który chodzi po klifie niedaleko pani domu. Zaledwie wczoraj na ołtarzu kościoła ktoś pozostawił spory datek i niepodpisaną notkę, w której prosił mnie o zamówienie modlitw za... niespokojnego ducha. A jeżeli chodzi o Jeanne Bisette, jej lęk wydaje

się całkiem szczerzy. Rzeczywiście dziewczyna jest chyba w niebezpiecznym stanie psychicznego pobudzenia.

Dopiero później tego samego dnia wieczorem jedna z uwag Claya dotarła do Faith z nową siłą. Ktoś wręczył mu „spory” datek za modlitwę, by uspokoić ducha. Ten ktoś pozostawił również niepodpisaną notatkę, taką jak ta, która zwabiła jej ojca na miejsce śmierci.

Ktoś ma niezwykle obawy związane z duchem wielebnego i za wszelką cenę chce ukryć swoją tożsamość. Być może „duch” Faith uczynił coś więcej, niż tylko nakarmił drzewo kłamstw. Może udało jej się przestraszyć mordercę.

## Na grzbiecie bestii

Kłamstwo rozprzestrzenia się jak pożar – Faith odkrywała to bardzo szybko. Najpierw trzeba było na nie dmuchać i chuchać, dodawać gałązek – ale lekko i ostrożnie. Delikatny oddech wzmoże nowo urodzony płomień, ale zbyt energiczne dmuchnięcie może go zgasić. Niektóre kłamstwa zakorzeniały się i rozprzestrzeniały, trzaskając wesoło jak ogień, i nie trzeba ich było dokarmiać. Nie należały już jednak do ciebie. Nabierały kształtu i żyły własnym życiem, nie można było nad nimi zapanować.

Niektóre pomysły załęgały się oczywiście łatwiej niż inne, ale nie przebiję iskry, jaką stanowi obietnica odkrycia skarbu.

Kiedy Faith jechała z wujem w powozie doktora trzeciego dnia rano, nie mogła nie zauważyć, że wzdłuż opuszczonej drogi na wykopaliska pojawiło się teraz kilku maruderów, opierających się o falochron z rękami w kieszeniach albo rozmawiających w cieniu klifu. Było w nich coś leniwie celowego, przypominali mewy, które mają instynkt odnajdywania odpadków i resztek gromadzących się za rufą łodzi.

Kiedy zbliżyli się do terenu wykopalisk, powóz minął kupkę kamieni wyrzuconych przy drodze. Troje miejscowych dzieci z głodnym entuzjazmem wyrывało sobie z rąk fragmenty skał.

Na terenie samych wykopalisk również panowała napięta atmosfera. Zobaczywszy Lambenta pogrążonego w ożywionej konwersacji z doktorem

Jacklersem i Benem Crokiem, Faith ustawiła sztalugi w dyskretnej odległości, pozwalającej jednak usłyszeć, co mówią.

– Coś jest nie tak – mówił doktor – a dopóki się nie dowiemy, co ich ugryzło i jak mocno, nie będziemy w stanie nic zrobić.

– Pytałem ich, o co chodzi – mówił Crock, jak zwykle był lekko pochylony, żeby nie wyrastać ponad Lambenta. – Zrobili kwaśne miny i odeszli bez odpowiedzi. Jeden z nich nazwał mnie „świnia przy żłobie” i powiedział, że według niego ja „dostaję swoją część”.

– Twoją część?! – Twarz doktora pociemniała. – Czy to oznacza, że ci chłopcy zamieniają się w naukowców? Cóż takich osłów mogą interesować skamieliny i kości. Chyba że... To możliwe, że ktoś im proponuje pieniądze za eksponaty?

– Jest jeszcze gorzej, sir – wtrącił Crock. – Kopacze mówią, że zeszłej nocy przepędzili dwóch intruzów.

– Przybłądów? – podsunął Jacklers.

– Tacy ruszyliby do tunelu szukać schronienia – powiedział Crock – albo do namiotów, żeby coś ukraść. Ci dwaj byli u szczytu szybu i wciągali kosz.

– To na pewno sprawka muzeów! – Lambent uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Wiedziałem, że tak będzie! Któreś muzeum musiało się dowiedzieć o naszych odkryciach. Wiecie, jacy oni są, zawsze gotowi ukraść chwałę i eksponaty prawdziwemu uczonemu dżentelmenowi! Muszą mieć agentów na wyspie Vane! Złodzieje skamielin! Łowcy mamucich kłów!

– Kopacze rozpoznali jednego z tych ludzi – mówił dalej Crock. – Mówią, że to Stoke. – Peter Stoke był jednym z dwóch miejscowych, którzy pracowali na terenie wykopalisk.

– Stoke! – Lambent spojrzał ku mężczyźnie, o którym była mowa. – Jest pan pewien? Wierzy im pan?

– Oni wydają się pewni tego, co mówią, sir, a ja nie wyobrażam sobie,

dlaczego mieliby kłamać.

– Przepraszam was, panowie – powiedział Lambent, który aż poczerwieniał z irytacji, słuchając wyjaśnień Crocka. – Mam wrażenie, że muszę porozmawiać na osobności ze Stokiem.

Lambent podszedł energicznie do dwóch ludzi z wyspy Vane, którzy ładowali skałę na taczkę, żeby „dyskretnie z nimi porozmawiać”. Okazało się, że „rozmowa” ta nie była ani dyskretna, ani krótka. Padło wiele słów, które rozniosły się echem po jarze.

– ...kryminaliści... Wtrącę was do więzienia, jeżeli natychmiast nie zejdzicie mi z oczu!

Obaj odeszli, rzucając za siebie niespokojne i niechętne spojrzenia.

Lambent wrócił do swoich przyjaciół.

– Crock, chyba będziemy musieli zatrudnić jeszcze dwóch kopaczy – powiedział krótko.

Na tym ta historia się jeszcze nie skończyła. Kłopoty wisały nad głową i dały o sobie znać raz jeszcze wczesnym popołudniem. Faith przyglądała się jednemu ze swoich szkiców, kiedy przypadkiem spojrzała w górę, na pobliską grań.

– Kto to? – zapytała instynktownie.

Na tle słońca widziała tylko głowę i ramiona człowieka, który patrzył w dół, w kierunku jaru.

Crock, który stał w zasięgu jej słów, spojrzał w górę i w ostatniej chwili zobaczył przybysza, zanim ten zdążył się schować. Nic nie powiedział, tylko ruszył pędem pod górę, nie zważając na biegnącą zygziem ścieżkę.

Po chwili Faith usłyszała głuchy huk. Wydawało jej się, że głąz dziesięć metrów od niej nagle wyskoczył w powietrze, a później zaczął się toczyć. Faith spojrzała na tę skałę i zobaczyła, że pękła na pół. I wcale nie „wyskoczyła” – ktoś zrzucił ją z góry.



Dziewczyna zerwała się na równe nogi i ruszyła pędem do tunelu. Płócienny namiot może spowolnić bieg toczącej się skały, ale w tunelu na pewno będzie bezpieczniej.

Na grani powyżej jaru usłyszała jakieś bezładne krzyki i wrzaski. Jeden z głosów należał do Crocka. Później nastąpiły odgłosy krótkiej potyczki, znów ktoś krzyknął, a potem zapadła cisza.

Po chwili przy wejściu do tunelu pojawił się wuj Miles.

– Faith, niestety musimy na tym ten dzień zakończyć. Były tu jakieś kłopoty, a może być ich więcej. Kilku ludzi robi raban, mówią, że kopacze zabierają miejscowym pracę – niektórzy mają pomieszane w głowach i bredzą coś o jakimś złocie. Lambent radzi, żebyśmy wyjechali, zanim wrócą.

– Nikomu nic się nie stało? – spytała Faith.

– Nikomu z naszej strony – odparł wuj. – Jak jesteśmy już przy tym temacie, przypomnij mi, żebym nigdy nie stawał do walki z Benem Crockiem. Wolałbym raczej pójść na pięści z lokomotywą.

Wystarczy. Musiało wystarczyć. Na Vane byli ludzie, którzy na tyle uwierzyli w złoto przemytników, że odważyli się zakraść nocą na teren wykopalisk, przeszukiwać stopy kamieni i zrzucić z góry głazy. Nadszedł czas, by Faith znów odwiedziła drzewo kłamstw i odkryła, czy jej wysiłki przyniosły owoce.

Zaczęło się zmierzchać, kiedy Faith jeszcze raz wymknęła się w swoim pogrzebowym ubraniu przez ogród na dachu. Tym razem miała na sobie płaszcz, który poradziła jej włożyć pani Vellet. Gospodyni miała rację – rzeczywiście było jej znacznie cieplej.

Wiosłowanie też było teraz łatwiejsze. Mięśnie pleców i ramion przyzwyczały się powoli do wysiłku, a głowę miała zbyt zajęta, by panikować, myśląc o bijących w dziób falach. Jaskinia morska po raz kolejny wessała ją do środka i łódź osiadła na kamyczkach w pieczarze, pełnej ryku fal i grzmotu wody.

Faith owinęła latarnię płótnem i wspięła się do jaskini drzewa kłamstw.

Już na pierwszy rzut oka można było dostrzec, że ciemna masa drzewa znów się rozrosła. Nie było widać donicy, ukrytej w pnączu czarnych liści. Macki, które opierały się o skalną półkę, teraz niemal ją zakryły i spływały w dół jej jasnych, bocznych kamiennych części. Kiedy Faith podeszła do rośliny, poczuła, że zahaczyła o coś stopą. Spojrzała w dół i zobaczyła ciemne, wijące się ramiona, jak gdyby na podłodze rozpląszczył się gigantyczny pająk.

Faith szła dalej, ostrożnie stawiając stopy pomiędzy pnączami, bała się, że przypadkiem nastąpi na owoc. Znów usłyszała kakofonię krótkich oddechów w powietrzu wokół siebie, jakieś na wpół rozmyte słowa, niewypowiedziane dźwięki.

– Dlaczego tak bardzo wyrastasz po moich kłamstwach? – spytała głośno. – Kłamstwo mojego ojca było ważniejsze, wierzyło w nie mnóstwo ludzi.

*Może dlatego, że drzewo mnie lubi.* Była to idiotyczna myśl, a jednak Faith nie potrafiła całkowicie jej zlekceważyć. *Może dlatego, że ja lubię to drzewo.*

Znalazła owoc razem z otoczką martwych płatków – zagnieździł się w wielkim, zbitym pęku liści. Był większy niż ostatnio, miał prawie sześć centymetrów długości. Tym razem przyniosła dywanik, żeby położyć go na skale, zanim usiądzie, poduszkę, żeby podeprzeć głowę i szyję, i butelkę z wodą.

Wiem, że to będzie nieprzyjemne – powiedziała sobie, przecinając owoc na pół – ale wiem też, że mnie nie zabije.

Szybko wcisnęła miąższ owocu do ust, zakrztusiła się, wykrzywiła i spłukała nieznośny smak wodą. Nadeszła ciemność, która waliła w nią jak w bęben, dopóki nie zgasły wszystkie światła.

Faith miała wrażenie, że wraca do dawnych wspomnień, jakby wkładała nogi w wygodne, stare buty.

Miała dziewięć lat i była wraz z całą rodziną na wycieczce w Londynie –

wszyscy pojechali obejrzeć Crystal Palace. Faith była oszołomiona ogromem szklanej przestrzeni i trochę przestraszona Wielkim Labiryntem.

Później oczywiście poszli obejrzeć dinozaury.

Ogromne zwierzęta pokazano na tle krajobrazu. Dzięki temu wyglądały jak żywe, chociaż przyłapano je w przygodnym momencie bezruchu. Kąpały się w promieniach słońca na małych wyspach, spacerowały między drzewami i nurkowały w swym prywatnym jeziorze.

Niektóre przykucnęły jak żaby, a ich gadzie pyski były tak szerokie, że sprawiały wrażenie, jakby się uśmiechały. Z wody wystawały szczupłe szyje plezjozaurów. Ichtozaury wyległy na plaży, unosząc głowy, by otworzyć szeroko pyski okolone ostrymi zębami, ich dziwacznie podzielone oczy przypominały pomarańcze. Wydawało się, że olbrzymi megalozaurus z garbatym grzbietem zaraz się odwróci i zniknie między drzewami. Faith trzymała za rękę nianię, a Howard siedział w wózku. Mama była piękna pod błękitem ocieniającego ją parasola. Papa, który wiedział wszystko, mówił o tym, jak zbudowane są modele, i o naukowcach, którzy urządzili sobie kolację wewnątrz jednego z iguanodonów. Słońce świeciło jasno, chmury były białe, pierzaste i lekkie. Przechodnie śmiali się i rozmawiali, a wszystkie panie były prześliczne.

I wtedy megalozaurus powoli mrugnął swoim tępym, smutnym okiem, przestąpił z nogi na nogę i ruszył.

Nagle Faith nie trzymała już nikogo za rękę. Nie miała już dziewięciu lat. Niania, papa, mama i Howard poznikali. Słońce było szare, a wszystkie dinozaury pełzły jak węże, podpływając do tłumu ludzi.

To nie mogło dziać się naprawdę, więc nikt nie uciekał. Ichtozaur chwycił jakąś kobietę za wąską talię i wciągnął ją do wody. Dwa ogromne, napęczniałe iguanodony odgryzały ludzkie głowy bez złości i bez pasji. Krokodyle o zębach ostrych jak igły wiły się, pędząc z oszałamiającą

prędkością po trawie, i rzucały się na dzieci.

Żadne ze zwierząt nie zaatakowało Faith. Wyciągnęła rękę i poczuła dotyk skórzastych, gadzich łusek. Kiedy wielki megalozaurus zatrzymał się przed nią i położył płasko na ziemi, Faith wspięła się na jego stopę, a potem usiadła na chropowatym grzbiecie niczym w siodle.

Megalozaurus znów wstał na równe nogi, dzięki czemu Faith znalazła się na tyle wysoko, że widziała wszystko, co działo się w parku, i dostrzegła innego ogromnego dinozaura z trójgraniastymi kolcami wzdłuż grzbietu. Na głowie zwierzęcia siedział jeździec. Kiedy zaczęła mu się przyglądać, dinozaur uciekł, a ogrodzenie zawaliło się pod naporem jego nóg jak dziecięca zabawka.

Faith miała dziwaczne poczucie, że rozpoznała drugiego jeźdźca, było to jak odbłask ruchu w starym lustrze poplamionym srebrną czernią.

*Mam cię.* Nie mogła sobie przypomnieć, kim jest ów drugi jeździec, ale wiedziała, że to ktoś taki jak ona. Wiedziała również, że jest to jej wróg. Odebrali jej kogoś bliskiego, a teraz ona musiała ich ścigać.

Wyczuwając jej życzenie, megalozaurus ruszył w pościg, wypadł na drogę przez wyrwę w ogrodzeniu, za nim ruszyła horda pozostałych dinozaurów. Faith nie spuszczała oka z drugiego jeźdźca, podczas gdy iguanodony przewracały omnibusy i zjadały konie. Wozy trzeszczały i chrupały, miażdżone pod ogromnymi łapami megalozaura. Zwierzę zaryczało, z zębów sterczały mu fragmenty parasola.

Faith doganiała swoją ofiarę. Wkrótce będzie mogła zobaczyć jej twarz. Wkrótce jej wierzchołek będzie na tyle blisko, by rzucić się na tylne nogi uciekającego dinozaura.

Nagle powietrze nad jej głową przeszył stalowy wrzask. Spojrzała w górę i zobaczyła skrzydlaty kształt, który jak kosa ciął powietrze, lecąc w jej kierunku, na jego grzbiecie dostrzec można było ledwo widoczną sylwetkę

człowieka. Otworzył się szeroko dziób pełen ostrych zębów. Nastąpiła ciemność, usłyszała odgłos bezboleśnie pękającego karku – swojego karku.

## ROZDZIAŁ 26

# Zęby

Dobrze było czuć trawę pod dłońmi i pod głową. Faith głęboko oddychała. A więc jeszcze nie jest martwa. Ta świadomość była pocieszająca. Otworzyła oczy i spojrzała w górę, na nocne niebo. Było tak czyste, że widziała niemal kolory najjaśniejszych gwiazd i mglisty, dymny poblask nieprawdopodobnie dalekich galaktyk.

– Ja żyję – powiedziała sama do siebie. Pterodaktyl nie złamał mi karku. Modele dinozaurów w parku w Crystal Palace nie ożyły i nie zezarły całego Londynu.

A później z jeszcze większym zdziwieniem:

– Jestem na dworze.

Faith wyprostowała się i od razu musiała się podeprzeć, bo świat dookoła niej zakręcił się i zadrzał. To prawda. Już nie była w jaskini.

Rozejrzała się i spostrzegła, że siedzi na trawiastym cyplu. Jej nogi zwisały w jakiejś dziurze, na wpół ukryte w plątaninie nisko rosnących krzewów.

Spojrzała w głąb dziury i zobaczyła niemal niedostrzegalny poblask złotego światła.

– To musi być moja latarnia – powiedziała głośno. Teraz, gdy wszystko sobie przypominała, wydawało jej się, że rzeczywiście pamięta rozplątywanie liny. Paznokcie miała zniszczone i połamane. Odwróciła dłonie – były brudne i podrapane. Tak, na pewno się wspinała. Ścisnęła coś ręką i przedzierała się

przez coś. Przeszła przez sieć pieczar i znalazła inną drogę wyjścia.

– Tym razem obudziłam się znacznie prędej – szepnęła do samej siebie. Wstała i zakołysała się na nogach. – I głowę mam jakby jaśniejszą – dodała, kiedy gwiazdy pulsowały w jej oczach, a ich blask przenikał ją na wskroś.

Faith rozejrzała się, próbując rozpoznać kształt cypli i dopasować je do mapy, którą miała zapisaną w głowie. Podeszła bliżej urwiska i spojrzała w dół, czując drżenie kolan.

Już wiedziała, gdzie jest! Była niedaleko „górnego drogi”, prowadzącej od Zatoki Byka do miasta, niedaleko chaty służącej kiedyś za punkt obserwacji morza, gdzie porzucono ją na rzecz „różnorodnych wycinków”.

„Co poniedziałek wieczór jest szczurowisko – powiedział Paul. – Znajdź mnie tam i wtedy będziemy mogli porozmawiać o twoim bezcennym morderstwie”.

Był poniedziałkowy wieczór, a ona znajdowała się w pobliżu tej chaty. Uczestnictwo w szczurowisku wydawało jej się kiedyś nie do pomyślenia, a teraz Faith nie potrafiła sobie przypomnieć dlaczego. Chciała porozmawiać z Paulem Clayem.

Rzucił jej wyzwanie, żeby przyszła. Nie spodziewał się, że je podjęmie, było to coś w rodzaju policzka – próby udowodnienia jej, że jest delikatna i bezradna. Teraz jednak nie czuła się ani delikatna, ani bezradna. Wciąż pamiętała fakturę skóry dinozaura, której dotykała wnętrzem dłoni.

Uporczywy, natarczywy wiatr ciągnął ją za ubranie, kiedy szła drogą. Gwiazdy świeciły z chłodną cierpliwością. Nisko rosnące drzewa drżały przyczajone. W końcu rozpoznała rozwidlenie drogi, gdzie kazano jej wysiąść z powozu Lambenta. Znalazła wijącą się ścieżkę, którą kiedyś już szła, i ruszyła. Po jakimś czasie zobaczyła przysadzisty zarys chaty wyrastający z kamiennego zbocza. Tym razem obraz był trochę bardziej skomplikowany – dostrzegła małą grupkę postaci i słyszała ich głosy. Z otwartych drzwi

wylewało się pomarańczowe światło.

To mężczyźni, sami mężczyźni. Co ty robisz? – krzyczał jakiś głos w jej głowie. Po co tu przyszłaś? Panika ukrywająca się w sercu Faith rozpostarła skrzydła i zaczęła bić nerwowo w górę i w dół, ale na razie odgłos ten był nieco przytłumiony. Naciągnęła kaptur peleryny, żeby zakryć twarz. Czekala na skraju światła bijącego z latarni.

Przy drzwiach rozmawiało trzech chłopców. Nagle najmłodszy z nich odwrócił głowę i zobaczył ją. W tym samym momencie światło padło na jego twarz. To był Paul Clay.

Wpatrywał się w nią, pozostali również odwrócili się, żeby popatrzeć na Faith. Paul szepnął coś pospiesznie do swoich współtowarzyszy i podszedł do Faith.

– Co ty tutaj robisz? – spytał z niedowierzaniem.

– Zakładałeś się ze mną, pamiętasz? – Faith nagle zdała sobie sprawę, jak wygląda, umorusana, w czarnym płaszczu z kapturem, czająca się w cieniach na skraju światła. – Wydawało mi się, że to ja mam się bać, a nie ty.

– Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że to zrobisz! – syknął. – Oszalałaś? Czy chcesz, żeby ktoś cię tu zobaczył?

– Powiedziałaś im, kim jestem? – spytała Faith.

– A co, myślisz, że jesteś w przebraniu? – Paul przewrócił oczami. – Na całej wyspie jest kilkanaście osób w naszym wieku. Każdy, kto cię zobaczy, będzie wiedział, kim jesteś. – Rzucił spojrzenie przez ramię. – Teraz musiałem powiedzieć moim kolegom, że odebrało ci rozum. Że oszalałaś z żalu. Że to niegroźne, ale chodzisz po świecie jak lunatyk. Jak inaczej miałbym im wyjaśnić, że się tu zjawiłaś?

Faith spojrzała w kierunku chaty i zdała sobie sprawę, że dwóch chłopców patrzy na nią podejrzliwie.

– A co miałam zrobić, żeby z tobą porozmawiać? – szepnęła. – Ty do mnie



nie przyszedłeś!

– A czego się spodziewałaś? – Paul zmrużył oczy. – Ukradłaś nam zlecenie na robienie zdjęć na terenie wykopalisk! Dlaczego? To znowu jakaś twoja złośliwa gierka?

Faith walczyła z szaloną pokusą, żeby mu powiedzieć, że właśnie tak jest, i zobaczyć, jak się wścieka.

– Nie – przyznała. – Musiałam się dostać na teren wykopalisk, żeby prowadzić śledztwo. Czy twój ojciec powiedział ci o zerwanym łańcuchu przy koszu transportowym?

Paul skinął głową.

– Byłaś w koszu z bratem. Tak powiedział. Ale to przecież nie było niebezpieczne, prawda? Liny asekuracyjne zatrzymały kosz.

– O tym, że my pojedziemy, postanowiono w ostatniej chwili – szepnęła Faith. – To wszystko zmieniło, bo przecież jesteśmy dziećmi. Raz jeszcze wszystko sprawdzono. Wtedy właśnie przywiązano do kosza liny asekuracyjne. Jeżeli jechałby w dół dorosły albo dwóch, na przykład mój ojciec i ten brygadzysta...

– Niczego by nie sprawdzali – powiedział zamyślony Paul. – Nie byłoby żadnych lin asekuracyjnych.

– I łubudu – powiedziała Faith.

– Uważasz, że ktoś czyhał na życie twojego ojca – powiedział Paul, ale to nie było pytanie.

– Uważam, że ktoś osłabił ogniwo – zgodziła się Faith. – I musiał to być ktoś, komu wolno było wejść na teren wykopalisk. – Nie chciała wspominać o drzewie kłamstw, o swoich wizjach, o tym, że ojciec Paula był jednym z trzech głównych podejrzanych.

Paul zastanowił się nad wszystkim z nieodgadnionym wyrazem twarzy i skinął głową – to skiniecie bliskie było przyznaniu, że Faith ma rację.

– To by pasowało – mruknął pod nosem. – Rozmawiałem z ludźmi. Dowiadywałem się, kto w mieście mógłby życzyć twojemu ojcu śmierci. Na przykład rodzina mojego przyjaciela Tony’ego, który złapał się we wnyki. Byli całą noc w domu.

– W takim razie teren wykopalisk.

Paul zmarszczył czoło.

– Pan Lambent. Doktor Jacklers. Brygadzysta Crock. Stoke i Carroll. Kopacze. – Uśmiechnął się do Faith ponuro. – Ja i mój ojciec.

– Wuj Miles – dodała Faith. – Pani Lambent. Panna Hunter.

– Nie wszyscy byliby dostatecznie silni – powiedział Paul z zastanowieniem.

– To nie ma znaczenia – odparła Faith. – Chyba wiem, dlaczego mój ojciec nie wystrzelił w kierunku mordercy. – Przypomniała sobie niedawną wizję – dinozaura, który nikał gdzieś w dali i nagłą zasadzkę, atak jeźdźca lecącego na grzbiecie pterodaktyla. W tej wizji był komunikat – teraz zdała sobie z tego sprawę. To nie jeden wróg, ale dwóch. – Uważam, że było dwoje zabójców. Jeden, który miał się z nim spotkać i odwrócić jego uwagę, i drugi, który miał go uderzyć z tyłu. A przecież ojciec nie miał oczu z tyłu głowy.

Paul myślał o tym przez chwilę, a później powoli skinął głową.

– Ciała są ciężkie – powiedział tonem kogoś, kto ma bogate doświadczenie. – Dopóki nie spróbuje się ich przesunąć, człowiek nie zdaje sobie z tego sprawy. Jeżeli wsadzono go do taczki i wywieziono na klif, to taka operacja byłaby łatwiejsza, gdyby zajmowało się tym dwoje ludzi.

– Paul!

Faith spojrzała i stwierdziła, że większość osób, które kręciły się wokół chaty, zniknęła w środku. Przed drzwiami stał tylko rudowłosy chłopak, na oko szesnastoletni.

– Już są gotowi na następnego psa! – zawołał do Paula. – Pospiesz się! –

Spojrzał przelotnie i pytająco na Faith. – A jak już o tym mowa, bądź dżentelmenem i przyprowadź swoją znajomą, żeby nie marzła na dworze!

„Nie” byłoby łatwą odpowiedzią, ale nie takiej udzieliła Faith.

Chata była źle oświetlona i wyglądała na większą, gdy znajdowało się w niej pełno ludzi. Bliskość męskich ciał była wroga i Faith czuła się nieswojo. Ich ciężkie buciory sprawiały, że dziewczyna czuła się krucha i nieważna. Większość zgromadzonych patrzyła w kierunku środkowej części pomieszczenia i prawie nikt nie zauważył, że Faith weszła tu z Pauliem i rudowłosym chłopcem.

Kiedy znaleźli się w kręgu światła, Paul spojrzał na nią, a później lekko zmarszczył brwi.

– Co się stało z twoimi oczami? – szepnął.

– Nic – odparła Faith, odwracając wzrok. Pozostali koledzy Paula również się zbliżyli, przyglądając się jej niepewnie, ale zapalczywie. Od czasu do czasu spoglądali na Paula i było widać, że są pod wrażeniem. Faith nie widziała w tym nic dziwnego. Wysłali go po kosmyk włosów wielebnego, a on wrócił z jego szaloną córką. Na szczęście nikt inny nie zwracał na nią uwagi, bo nie było na to czasu.

Nawet ze swojego miejsca przy drzwiach Faith widziała, że w centrum chaty ustawiono drewniane deski, które tworzyły coś w rodzaju sporej prostokątnej zagrody.

– Bessie! – ogłosił ktoś z drugiej strony zagrody. W ryku publiczności zabrzmiało prawdziwe uczucie.

Tuż obok drewnianego ogrodzenia jakiś mężczyzna uniósł w powietrze psa. Był to niewielki terier rasy jack russell o błyszczącym spojrzeniu i Faith była zdziwiona, bo wyglądał dość zwyczajnie. W głębi duszy spodziewała się jakiejś bestii o pomarszczonym pysku i otwartych szczękach, wysokiej na półtora metra.

– Ile ona waży? – krzyknął jakiś mężczyzna w tłumie, trzymając w ręku zegarek.

– Siedem kilo – zawołał właściciel.

Niektórzy mężczyźni mieli w rękach worki, w których coś się wiło i kotłowało, a teraz zaczęli opróżniać je do zagrody. Tłum liczył jednym głosem do siedmiu, po czym między deskami rozbiegły się szczury. Przyczajone i drapiące o deski, szukały narożników i próbowały się na nie wspiąć, gotujące się i przechodzące jedne nad drugimi w próbie ucieczki. Głośne okrzyki dopingujące Bessie unosiły się pod sufit, a ekscytacja tłumu rosła.

– Teraz! – krzyknął mężczyzna z zegarkiem, a właściciel Bessie wrzucił ją do zagrody.

Jakże szybki był ten pies o kędzierzawym pysku! To była zabawa. Pies podbiegał, zapędzał szczura w narożnik i wgryzał się w jego miękki brzuch, potrząsał nim i ruszał dalej. Skok. Chwył szczękami. Potrząśnięcie. Kolejny brązowy kształt na podłodze wysypanej trocinami jak maleńki worek mąki.

Faith zamarła, ale wciąż patrzyła. Było tak jak podczas tej okropnej nocy, kiedy nie mogła oderwać wzroku od zwłok na dywanie.

Chciała, żeby było więcej krwi i pisków. Chciała, żeby każda śmierć wybuchała przed nią jak mały, czarny fajerwerk. Chciała, żeby to miało znaczenie. Wokół niej rozlegały się pełne entuzjazmu wrzaski, ale samo zabijanie było ciche, spokojne i bardzo konkretne. Życie, później śmierć. Życie i śmierć. Nie więcej dramatyzmu niż w przewróceniu kołdry na drugą stronę.

– Zostało trzydzieści sekund! – usłyszała krzyk.

Jakże słodki był ten terier! Jaki rzeczowy! Ale Faith widziała teraz tylko jego zęby. Był samymi zębami.

– Tylko zęby – powiedziała i zaśmiała się. Ten dźwięk zagubił się

w kakofonii innych odgłosów. Wszyscy wokół coś wykrzykiwali. Ryczeli o mięsie, śmiali się mięsem. Mięsem, w którym było tylko małe, niedostrzegalne mrugnięcie życia. A czymże było życie? Zębami. Zębami i żołądkiem, i ślepy, idiotycznym impulsem w oczach, każącym mięso zabijać i jeść inne mięso.

Kości padały na ziemię, a potem kolejne, jeszcze więcej kości, całe wzgórza i urwiska kości. Śmierć na szczycie śmierci, a na niej jeszcze jedna śmierć. Dwunożne zwierzęta wykopywały stare kości, zastanawiały się, czym są. A potem i one umierały i leżały tam jak szczur w trocinach, czekając na to, aż staną się starymi kośćmi.

– Czternaście! Czas stop!

Bessie uniesiono w górę, a ludzie pochylili się nad drewnianymi barykadami, dźgając kijami martwe szczury, żeby zobaczyć, czy drży w nich jeszcze życie.

Coś ciągnęło Faith za rękaw. Usłyszała głos w uchu.

– Wychodzimy. – To był Paul. Paul Clay.

– Nie – powiedziała Faith. – Chcę to zobaczyć. To śmieszne. Pozwól mi obejrzeć. – Czuła, że kręci jej się w głowie. Rozmyślała o swojej wizji i o megalozaurze, który gryzł i odgryzał, o elegancko ubranych, bezgłowych ciałach padających na ziemię.

Paul Clay ciągnął ją teraz za ramię, pozwoliła mu się wyprowadzić z chaty, bo w końcu czy miało to jakieś znaczenie? Wciąż to widziała, wciąż mogła oglądać, dopadało ją w ciemności, kiedy zamknęła oczy.

To uczucie dawało jej wolność – wiedzieć, że nic nie ma znaczenia. Miała poczucie przestrzeni, jak gdyby nieboskłon się uniósł, a ona dowiedziała się, że ląd i morze są zrobione z dymu. Tylko z dymu. Ona sama była dymem. Czuła, że jej ciało jest gorące, lekkie i zwiewne.

– Siadaj – powiedział Paul.

– Nie trzeba – odparła Faith. Gdyby chciała, mogłaby polecieć.

– Po prostu usiądź.

I usiadła, bo w przeciwnym razie on wciąż by to powtarzał, mówił to w kółko i w kółko, a w końcu jakie to ma znaczenie.

– Jeśli jest ci niedobrze...

– Niedobrze? Wcale nie jest mi niedobrze!

– Jesteś blada jak ściana i coś jest nie tak z twoimi oczami.

– Mam oczy mojego ojca – odparła Faith. Trudno było się nie zaśmiać.

Paul Clay nie wiedział, jakie to śmieszne, i to rozśmieszyło ją jeszcze bardziej.

– Po co tu przyszłaś? – zapytał jeszcze raz Paul, a w jego głosie była frustracja i nuta desperacji.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił – przyznała Faith. – Twój ojciec przerobił fotografię, przeklejając głowę małego chłopca do twojego zdjęcia. Czy ty mógłbyś zrobić coś podobnego?

– Żeby to wyglądało naturalnie? – Paul zmarszczył brwi i popatrzył na nią niepewnie. – Jeżeli osoby na zdjęciu byłyby odpowiednich wymiarów i patrzyły w tę samą stronę.

Faith sięgnęła po swój notes, a później wyjęła bezcenną fotografię ojca. Spojrzała na nią z żalem, po czym podała ją Paulowi.

– Wytnij głowę ojca – powiedziała. – Przyklej ją do kogoś na zdjęciu z terenu wykopalisk. Zrób tak, żeby ojciec stał pośród nich, żeby wszystkich wystraszyć.

– Dlaczego?

– Chcę przerazić mordercę.

– Nie – powiedział Paul bez ogródek.

– Dlaczego nie?

– Oszalałaś? Może ci się wydaje, że te zdjęcia to jakaś zabawa salonowa,

ale my potrzebujemy pieniędzy! Mój ojciec udaje, że tak nie jest, ale potrzebujemy pieniędzy. Jeżeli to się rozniesie i zyskamy reputację kogoś, kto stroi sobie żarty, wykorzystując twarze martwych klientów, kto do nas przyjdzie?

– Przyjąłeś zakład, że odetniesz kosmyk włosów mojego ojca! – odparowała Faith. – A teraz ja rzucam ci wyzwanie – wytnij jego twarz!

– A może każesz mi zeskoczyć z klifu? – odparł Paul. – Istnieją zakłady, których ty na pewno byś nie przyjęła.

– Ach tak? – Faith zerwała się na równe nogi. – Każ mi coś zrobić. Cokolwiek. Jeśli to zrobię, ty musisz poprawić zdjęcie.

Starli się spojrzeniami i Faith poczuła, że rozmowa, jak za każdym razem, zmierza ku przepaści szaleństwa i lekkomyślności.

– Wyciągnij szczura z worka gołą ręką – powiedział Paul, wskazując na worek leżący na ziemi, związany mocno sznurkiem. W środku wiły się i przesuwwały trzy okrągłe kształty. Kiedy tylko Paul wypowiedział te słowa, natychmiast się przestraszył.

– Poczekaj! – powiedział, kiedy Faith już kuciała przy worku i próbowała poluzować mocno zaciśnięty sznurek zamykający jutową pułapkę. Raz jeszcze spojrzała Paulowi w oczy i wsadziła rękę do środka. Poczwała pod palcami szorstkie futro i spazm ruchu. Wzdrygnęła się. Delikatne łaskotanie wąsów i muśnięcie pazurków. Ruszyła dłonią i zamknęła rękę wokół czegoś okrągłego i włochatego. To coś było miękkie i dzikie, wykręcało się na wszystkie strony w jej uścisku, a ona walczyła z instynktem, który kazał jej to natychmiast puścić.

Poczwała ostry ból u podstawy kciuka, kiedy niewidoczne zęby utkwili w jej ciele. Ramię Faith zadrżało i szarpnęło się bezwiednie, ale nie puszczała. Nie mogła się nie uśmiechnąć, widząc wyraz fascynacji i przerażenia na twarzy Paula.

– Przestań! – Paul rzucił się na kolana obok niej i wyszarpnął jej rękę z worka. Szczur wyrwał się z jej uścisku i uciekł w ciemność poszycia. Jego współwięźniowie natychmiast ruszyli za nim, kiedy tylko worek się otworzył.

– Dlaczego mnie powstrzymałeś? – Faith była wściekła. – Miałam szczura! Nie możesz powiedzieć, że mi się nie udało.

– Ugryzł cię – Paul odwrócił jej dłoń. U podstawy kciuka widniały dwa czerwone, okrągłe ślady zębów.

– I co z tego? – krzyknęła Faith. – Chciałeś, żebym cierpiała, bo inaczej nie wyznaczyłbyś mi takiego zadania!

– Chciałem, żebyś się wycofała! – wybuchł Paul. – Chociaż raz!

– Daj mi jeszcze jeden worek ze szczurami! – zażądała Faith.

– Nie! – Paul dramatycznym gestem chwycił się ręką za włosy, zamknął na chwilę oczy i wypuścił oddech z płuc. – Wygrałaś. Będziesz miała swoje zdjęcie. Ale... żadnych więcej szczurów. – Rzucił nieszczęśliwe spojrzenie na worek leżący na ziemi. – Powinniśmy już iść – powiedział swym zwykłym tonem – zanim przyjdzie łapacz szczurów i zorientuje się, że jego towar zniknął.

Sprowadził ją aż do drogi, tam kazała mu się zatrzymać. Nie chciała, żeby zobaczył wejście do sieci pieczar prowadzących do drzewa kłamstw.

– Ja nie chciałem... – zaczął, a później głos mu się załamał i pokręcił głową. – Przemyj ranę – powiedział. – Ludzie umierają od ugryzień szczurów.

Faith szła dalej, nie patrząc za siebie. Nie potrafiła się przed nim usprawiedliwić. Ugryzienie szczura bolało, ale nie przejmowała się tym. W jakiś dziwny sposób ten ból przynosił jej ulgę. Jak rozmowa z chłopcem, który jej nienawidził.



## Cisza, która tnie jak nóż

Faith szła ścieżką około pięciu minut, a później usłyszała za sobą dźwięk kamieni, po których ktoś idzie. W pierwszej chwili pomyślała, że to Paul. Kiedy spojrzała przez ramię, zobaczyła dwie postacie, ale żadną z nich nie był młody Clay. To byli jego koledzy, dwóch starszych chłopców, których widziała przy drzwiach chaty.

– Panienska zwolni! – zawołał wyższy, rudowłosy. – Proszę się nie bać!

W słowach o tym, żeby się nie bać nocy oświetlonej księżycem na pustkowiu, było coś, co kazało Faith natychmiast uciekać. Chłopcy byliby jednak szybsi, nie mieli spódnic, które wiązały im nogi.

Zrównali się z nią i szli po obu jej stronach w odległości około dwóch metrów.

– Nie powinnaś chodzić tutaj sama – powiedział rudowłosy. – Może pójdziemy z tobą i odprowadzimy cię do domu? Jesteśmy kolegami Paula. Z nami będziesz bezpieczna.

Była to propozycja dość naturalna i być może nawet złożona w dobrej intencji. Uśmiech rudego był szeroki, ale w jego oczach była jakaś dziwna, chłodna ciekawość. Faith od początku wiedziała, że wcale nie jest uprzejmy, nawet zanim złapała go na tym, że spogląda konspiracyjnie na kolegę.

Próbowała iść szybciej, ale oni przyspieszyli kroku i bez problemu za nią nadążali. Po chwili zwolniła i szła normalnym tempem.

– Nie możemy pani zostawić samej, panienko – nalegał drugi chłopiec o tłustych włosach, szerokim nosie i uważnych oczach. – Jesteśmy rycerscy.

– Chcemy tylko z tobą porozmawiać – powiedział rudowłosy.

Faith wsunęła rękę do kieszeni i ostrożnie otworzyła składany nóż ojca. Była szczurem między dwoma psami, ale potrafiła gryźć. Jest ich więcej, pomyślała dziwnie spokojna, są wyżsi i silniejsi. Ale jeżeli jednego z nich bym dźgnęła, to drugi na pewno by się przestraszył.

– Może nam panienka różne rzeczy mówić – mówił dalej rudy. – Tak jak naszemu koledze Paulowi. Wszyscy jesteśmy tu znajomymi, prawda?

Faith zawahała się, a później skinęła głową, twarz miała pokerową, a minę lekko głupią. Paul powiedział im, że postradała zmysły – a tę część potrafiła zagrać. Jeżeli będzie się wydawała ospała, nagły ruch z pewnością ich zaskoczy.

– Wszyscy byliśmy bardzo smutni, kiedy dowiedzieliśmy się o pani ojcu – powiedział rudy, wciąż się uśmiechając. – Zastanawiamy się...

– ...co zrobił ze swoją częścią skarbu – dokończył ten o tłustych włosach.

Rudy syknął niechętnie w jego kierunku, a Faith złapała go na tym, że spojrzał na niego wymownie.

– Niech pani nie zwraca uwagi na mojego kolegę – powiedział szybko. – Wczoraj przejechało mu po głowie koło od powozu i wciąż nie może dojść do siebie. My się tylko zastanawiamy... czy skarb jest bezpieczny... Czy może chce pani, żebyśmy go przenieśli w lepsze miejsce.

– Nie dali mu skarbu – powiedziała Faith rozmarzonym, dziecięcym głosem. Odwróciła się w kierunku rudowłosego i wpatrywała się intensywnie w jego lewe ucho. – Czy dlatego był wściekły?

– Pani ojciec był wściekły? – Rudy nie tracił opanowania, ale był jak zahipnotyzowany i Faith zdała sobie sprawę, że złapie każdy ochłap, który mu rzuci.

– Ja... Chyba tak – powiedziała. – Ja... nie pamiętam.

– Więc co się stało ze skarbem? – spytał ten o tłustych włosach, który ewidentnie nie opanował trudnej sztuki subtelności. – Była pani na terenie wykopalisk. Tam jest taka wielka dziura w ziemi. Widziała pani kogoś z monetami? Może w torbie?

– Nie – mruknęła Faith. – Tylko w skrzyni. – Nagle zobaczyła na twarzach obu chłopców wyraz zainteresowania. Powoli zaczęła się dobrze bawić. – Nie wiem nic o tej skrzyni – dodała, żeby zrównoważyć sytuację, kręcąc intensywnie głową. – Nie widziałam jej. Nic nie widziałam! Nawet nie widziałam, że daje komuś tę skrzynię.

– Komu? Komu dał tę skrzynię? – spytał rudy.

– Panu Lambentowi? – podsunął ten drugi już całkiem otwarcie.

Faith spuściła wzrok i spojrzała na obrębek swojej spódnicy, ale niczemu nie zaprzeczała. Przyglądała się, jak jej kłamstwo rośnie, karmione tylko sugestiami albo chwilami ciszy, jak przybiera przed jej oczami nowe kształty. Samą ciszą można się posługiwać równie sprawnie i okrutnie jak ostrym nożem.

– My już wiemy o skrzyni pana Lambenta – zapewnił ją szybko rudy, lecz bez przekonania. – Możesz nam wszystko o niej opowiedzieć. Komu ją dał? –

Przyglądał się ostrożnie jej twarzy. – Panu Clayowi? Panu Crockowi? – Nastąpiła chwila ciszy, a później oczy rozbłysły mu nowym natchnieniem. – A może to była ta pani? Ta czarnowłosa?

– To znaczy pani Hunter? – spytała Faith wzięta z zaskoczenia. Do głowy nie przychodził jej nikt inny, kto pasowałby do tego opisu.

– My wiemy, że ona jeździ na teren wykopalisk – powiedział ten z tłustymi włosami i uśmiechnął się krzywo. – I wiemy dlaczego.

– Dlaczego? – Faith nie potrafiła opanować ciekawości. Przyjazd pani Hunter na teren wykopalisk bardzo ją poirytował. Naczelniczka poczty co

prawda przyjaźniła się z panem Lambentem, ale na pewno wygodniej by jej było odwiedzić go w Paints.

– Nie powinniśmy rozmawiać o takich rzeczach w towarzystwie porządnej panienki, takiej jak pani – stwierdził rudy. – Chyba że... chce pani zrobić dobry interes. My opowiemy o pannie Hunter, a pani opowie nam o tej skrzyni. Zgoda?

Faith powoli skinęła głową.

– To jest tajemnica, ale wszyscy ją znają – powiedział rudy ze złośliwym uśmiechem. – Panna Hunter ma tajemniczego kochanka. Niby nie chce jeść kandyzowanych fiołków, ale zawsze je zamawia, jak przychodzi statek z pocztą. Wyjeżdża sama w teren swoim powozem dniem i nocą, zawsze na północ, z dala od miasta. A ta droga nie prowadzi do zbyt wielu miejsc.

To prawda. Prowadziła tylko do Zatoki Byka, na teren wykopalisk i do Paints.

– A czasem – mówił dalej chłopak z satysfakcją – widać sygnał z wieży telegraficznej. Mrugnięcie światła w słońcu. – Uniósł w dłoni wymyślony przedmiot i poruszył nim w powietrzu. – Lustro – powiedział. – Ludzie mówią, że pani Lambent przyjeżdża na teren wykopalisk, bo wie, że panna Hunter tam wpada – dodał rudy, puszczając perskie oko. – Pilnuje kurnika, na wypadek gdyby pojawił się lis.

– Panna Hunter odmówiła doktorowi Jacklersowi chyba z dziesięć razy – dodał ten drugi. – Ma na oku lepszy interes. Pani Lambent nie będzie żyła wiecznie, tak mówią.

Faith przypomniała sobie, jak Lambent, który nie mógł usiedzieć na miejscu choćby przez minutę, przestawał chodzić tam i z powrotem i odrywał się od paleontologii, żeby usiąść i napić się herbaty, kiedy przyjeżdżała panna Hunter. Trudno było wyobrazić sobie kogokolwiek, kto ma pełen pasji romans z okrągłutką, złośliwą kobietą przypominającą pardwę, ale to tłumaczyłoby

fakt, że na terenie wykopalisk pojawia się zarówno panna Hunter, jak i pani Lambent.

Z wizji Faith wynikało, że morderców jest dwoje. A kiedy myślała o tym teraz, przyszło jej do głowy, że współwinni mogą być dla siebie kimś więcej. Mogą być kochankami. Nieopanowanymi impulsami Lambenta może kierować wypiełgowana, tłuściutka kobieca rączka.

Jednocześnie Faith zdała sobie sprawę z czegoś innego. Chytra i inteligentna panna Hunter była siłą, z którą trzeba było się liczyć na wyspie, ale nikt jej nie lubił. Trudno było nie rozpoznać pełnej satysfakcji złośliwości w tonie chłopców. Panna Hunter zatrąła umysły wyspiarzy, którzy obrócili się przeciwko rodzinie Sunderly. Teraz Faith miała szansę odpłacić jej pięknym za nadobne.

– Ja nie chciałam niczego zobaczyć – powiedziała tym samym drętym tonem. – To była tylko stara skrzynia. A później panna Hunter szybko odjechała swoim powozikiem.

Chłopcy spojrzeli na siebie podekscytowani.

Teren robił się teraz coraz bardziej pofałdowany, upstrzony niskimi krzakami. Niedaleko stąd Faith rozpoznała miejsce, gdzie rosły krzewy kryjące wejście do jaskini. Zwalniała, zwalniała, w końcu zatrzymała się, potem odwróciła i wpatrywała tępym wzrokiem w drogę.

– Kto za nami idzie? – spytała, podnosząc ramię i wskazując coś w ciemności.

Obaj chłopcy zatrzymali się zdziwieni i zaczęli się wpatrywać w noc. W tym momencie jakiś fragment chmury przedryfował przez twarz księżycy, na chwilę zaciemniając cypel.

Faith ruszyła biegiem. Przebiegła obok najbliższych zarośli i schowała się za nisko rosnącymi krzakami, zanim rozległy się niepewne krzyki. Ktoś biegał tam i z powrotem, nawoływał i zapraszał. W końcu kroki zatrzymały się

i słyszała tylko dwóch zdyszanych chłopców.

– Chyba rzuciła się z klifu!

– Pójdziemy i zobaczymy?

– A co to da? Jeżeli skoczyła, i tak jej nie poskładamy. Musimy iść!

Kiedy chłopcy odeszli, Faith wyłoniła się zza krzaków, przemknęła przez wysoką trawę i przedarła się przez zarośla zakrywające otwór do sieci pieczar. W dole wciąż połyskiwało światło latarni. Idąc za poświatą, ześlizgiwała się po zboczach, przeciskała przez szczeliny, aż znalazła się z powrotem w wielkiej pieczarze drzewa kłamstw.

Czekało na nią.

Urosło jeszcze bardziej w ciągu zaledwie paru godzin. Faith była tego pewna. Była wyprana z sił, ale miała przedziwne wrażenie, że wróciła do domu. Pętle winorośli przypominały kwiecistą huśtawkę, którą widziała kiedyś na obrazie. Nic prostszego, niż na niej usiąść. Pędy zatrzeszczały, ale przyjęły jej ciężar.

Faith sięgnęła w lewo i w prawo, dotykając wierzchem dłoni chłodnych, czarnych liści, a później nachyliła się, oparła o siatkę winorośli i zamknęła oczy.

Echo od morza było ogłuszające. Rozróżniała w nim wiele dźwięków – ryk megalozaura z jej snu, krzyki obserwujących psa i szczury w chacie oraz wrogie szepty w kościele. Zdawało jej się od czasu do czasu, że słyszy swoje imię, zniekształcone i wymawiane koślawo, jak gdyby ćwiczył się w nim jakiś niewyszkolony głos.

Ona już wybrała swoje kłamstwo.

– Skarbu przemytników nie ma na terenie wykopalisk – powiedziała roślinie. – Pan Lambent oddał go swojej kochance, pannie Hunter.

Ludzie byli zwierzętami, a zwierzęta to tylko zęby. Gryziesz jako pierwszy, potem gryziesz coraz częściej. To jedyny sposób, żeby przetrwać.

## Białe oczy i drżąca skóra

Faith obudziła się w, a raczej na swoim łóżku. Wciąż była ubrana w strój pogrzebowy, znów czuła się wyczerpana i było jej niedobrze. Przypomniała sobie jak przez mgłę wiosłowanie z jaskini, wspinanie się po schodach i rzucenie się w pościel.

Powoli otwierały się przed nią wspomnienia przygód zeszłej nocy, niczym makabryczny arras. Wydawały się fantasmagorią. Jazda na grzbiecie dinozaura, atak pterodaktyla, uczestnictwo w szczurowisku, wkładanie ręki do worka ze szczurami...

Nagle poczuła ból w dłoni. U podstawy kciuka znalazła dwa głębokie, purpurowe otwory, skóra wokół nich była żółtobiała. Wpatrując się w nie, przypomniała sobie ugryzienie szczura i pieczenie, gdy później przemywała ranę słoną wodą.

Faith naprawdę poszła na szczurowisko. Widziano ją tam, samotną dziewczynę w tłumie mężczyzn. Czuła się tak pewna siebie, miała tak czysty umysł, ale teraz przewracało jej się w żołądku na myśl o tym, jakie podjęła ryzyko. Na pewno będą plotkować. Jej jakże cenna niewidzialność będzie w strzępach. Raz jeszcze rzucała się myślami tu i tam, jak szczur szukający bezpiecznych narożników i drogi ucieczki. Będzie musiała wszystkiemu zaprzeczyć albo powiedzieć, że poszła na spacer i po prostu się zgubiła.

Była wysuszona na wiór. Osuszała właśnie butelkę z wodą, kiedy do głowy

przyszła jej straszna myśl. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz nalewała wody do miseczki węża.

Pospiesznie ściągnęła płótno z klatki. Wąż był jak zwykle zwinięty między szmatami, ale złoto-białe odbłyски na jego hebanowych łuskach były woskowate i przygaszone.

– Nie! – Faith otworzyła drzwi do klatki, szybko nalała wody do miseczki i delikatnie pogładziła skórę węża. Ku jej uldze poruszył się. Kiedy jednak wyłoniła się jego głowa, dziewczyna zobaczyła, że oczy zwierzęcia są przykryte półprzejrystą, mętną skorupą. – Nie umieraj! Nie zostawiaj mnie! Tak mi przykro! – Kiedy wąż wślizgiwał się na jej ramię, żeby położyć się na barkach Faith, poczuła, że jego łuski są suche jak papier.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

– Przepraszam, panienko – usłyszała cichy głos pani Vellet. – Może chciałaby panienka przyjść do pokoju dziecięcego i zjeść z bratem śniadanie.

– Pani Vellet! – podążając za impulsem zrodzonym z paniki, Faith otworzyła szeroko drzwi. – Ta mysz, którą dała mi pani dla węża parę dni temu. Jak ona zdechła? Czy mogła połknąć truciznę?

Pani Vellet była nieco zdziwiona nagłym widokiem Faith z wężem na ramionach, ale szybko się opanowała.

– Mysz była w pułapce. – Gospodyni patrzyła na węża niepewnie. – To raczej mało prawdopodobne, że była zatruta, ale niewykluczone.

– Coś jest z nim nie tak. Proszę spojrzeć! – Faith uniosła węża, żeby gospodyni mogła zobaczyć jego mleczone oczy. – Czy jest coś w apteczce, co mogłabym mu dać, żeby zwymiotował?

Pani Vellet przyglądała się jej ze zmarszczonym czołem.

– Panienko, co się stało z pani ręką?

Martwiąc się o węża, Faith całkowicie zapomniała o ugryzieniu.

– Za szopą był szczur! – wyjaśniała pośpiesznie. – Ale... Ale teraz to nie



ma znaczenia!

– Ta rana wymaga więcej troski niż pani zwierzątko – powiedziała pani Vellet zadziwiająco zdecydowanie.

– Ale...

– Pani wąż zrzuca skórę, panienko – powiedziała cierpliwie gospodyni. – Nic więcej.

Faith otworzyła szeroko usta. Czowała się jak idiotka. Oczywiście wiedziała, że węże zrzucają skórę. Takie wyjaśnienie jednak nigdy nie przyszłoby jej do głowy. Mogła myśleć o tym, że wąż zdycha i ją zostawia. Faith było niemal niedobrze z ulgi. Nie zabiła węża.

Piętnaście minut później, już bez węża i porządnie ubrana, Faith znalazła się w salonie, podczas gdy pani Vellet otwierała apteczkę.

Gospodyni trzymała dłoń dziewczyny mocno, lecz delikatnie i przecierała ranę gazą zamoczoną w czymś, co piekło. Powietrze wypełnił gorzkawy zapach alkoholu. Faith próbowała się nie wzdrygnąć i odwracała oczy od ugryzienia. Patrzyła na apteczkę, która pełna była buteleczek.

– Ta apteczka wygląda jak piwniczka z winem! – powiedziała głośno.

– Te niepełnosprawne panie tak to chciały urządzić. – Pani Vellet spojrzała na butelki ponad ramieniem Faith. – Można by się zdziwić, ile tu mamy leków. Koniak do pobudzenia serca. Likier wiśniowy – na zmęczenie. No i wszystko, co jest zmieszane z tonikiem, jest lekarstwem na malarię. Tak mi mówiono.

– A czy tu, w okolicy, jest dużo przypadków malarii? – spytała powątpiewająco Faith.

– Ja o nich nie słyszałam, ale jestem pewna, że te niepełnosprawne damy wiedziały, o czym mówią. – Gospodyni miała twarz pokerzysty, ale w jej tonie głosu pobrzmiwała ledwo słyszalna zaczepka.

I wtedy pani Vellet popatrzyła przez okno i zmarszczyła brwi.

– Boże, ochroń – mruknęła. – A cóż to takiego?

Faith odwróciła się, żeby spojrzeć, i dostrzegła brązowoszary ślad na niebie.

– Wygląda na dym! – powiedziała. Był zbyt blisko, żeby jego źródłem mogło być miasto. W tamtej części, skąd się unosił, znajdowało się tylko kilka budynków – kościół, parafia, wieża telegraficzna, urząd pocztowy i dom panny Hunter. W umyśle Faith zrodziło się mroczne podejrzenie.

Pani Vellet wpatrywała się w dym, brwi miała zmarszczone i wyglądało na to, że robi jakieś obliczenia.

– Niech panienka położy się do łóżka, panno Sunderly – powiedziała w końcu, nie patrząc na Faith. – Musi panienka się wyspać, bo inaczej zachoruje. Prythe zabiera dzisiaj listy na pocztę. Dowie się, co się stało.

Poddając się zmęczeniu i naleganiu gospodyni, Faith powędrowała z powrotem do łóżka. Była pewna, że nie zaśnie, ale niemal natychmiast wpadła w półsen. Śniła, że jest w saloniku, pije herbatę i próbuje ukryć winorośle, które wypełzają z jej rękawów i kołnierza. Panna Hunter, która siedziała na wprost niej w bujanym fotelu, miała papierowo bladą skórę i przestraszone oczy za półprzezroczystą, białą skorupką.

Faith obudził dźwięk pomruków, które wydawały się tak bliskie, że ich źródłem mogło być coś w jej pokoju. Dopiero po kilku chwilach zdała sobie sprawę, że na schodach dla służby odbywa się jakaś przyciszona konwersacja. Z trudem wstała z łóżka i podeszła do miejsca, w którym mogła przyłożyć ucho do ściany.

– ...Człowiekowi to nie daje spokoju. – To był głos Prythe'a, ostrożnie dobierającego słowa, jak zwykle poważnego i ceremonialnego. – A ty sądzisz, że to klątwa?

– Myślę, że w tym domu jest tyle klątw, co jednoroźców – odparła sucho pani Vellet.

– Jeanne myśli, że jest przeklęta. – Nastąpiła długa chwila ciszy.

– A jak ona się czuje? – spytała gospodyni.

– Jest chora i jest z nią coraz gorzej, nawet w kościele. Nie może jeść ani spać. Ma koszmary senne i jest przemarznięta do szpiku kości. Niektórzy w mieście gadają, że umiera.

– Niektórzy w mieście gadają dużo głupot i mam nadzieję, że nie w zasięgu uszu Jeanne. Nie chcę, żeby ta myśl się do niej przyczepiła...

Głosy oddaliły się.

– Jeanne nie umiera – powiedziała sobie Faith. – Oczywiście, że nie. Nie ma żadnej klątwy. To tylko wyobraźnia Jeanne bawi się z nią jak kot z myszą. To tylko efekt ciągłego lęku, bezsenności, braku apetytu i spania co noc w zimnym kościele.

Faith poczuła, jakby coś wędrowało pod jej skórą. Przez chwilę żałowała, że nie może jej zrzucić tak jak wąż i stać się kimś innym, kimś nowym.

Było późne popołudnie. Faith przegapiła obiad, ale przed jej pokojem postawiono tacę z posiłkiem. Prawdopodobnie była to sprawka pani Vellet.

Dziewczyna zeszła na dół i spotkała Myrtle chodzącą tam i z powrotem po holu, rozdrażnioną i wściekłą na wszystko i wszystkich.

– Faith! Gdzie ty, u Boga, byłaś? – Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: – Musisz zająć się bratem. Całe rano biegał jak oszalały.

– Ale ja muszę jechać na teren wykopalisk z wujem Milesem i robić szkice! – powiedziała zdecydowanie Faith.

– To straszne miejsce, gdzie pękają łańcuchy i ludzie rzucają kamieniami? Nie, Faith. Nigdy nie powinnam ci była pozwolić na te wycieczki. Poza tym wuj pojechał już rano. Okazuje się, że są blisko przebicia się do niższej komnaty, a on nie chce niczego przegapić.

To był cios. Teraz bardziej niż kiedykolwiek Faith chciała przyglądać się ludziom obecnym na terenie wykopalisk.

– Poza tym chcę, żebyś przypilnowała Howarda. Od rana pisze. W całym

pokoju dziecięcym są ślady atramentu, a on nie włożył niebieskiej marynarki! Wiesz, że musi ją wkładać, kiedy zaczyna pisać. Za kilka lat idzie do szkoły... – Przerwała i uniosła dłoń do czoła. – Szkoła – mruknęła, jakby ta myśl ją zabolęła.

– Przepraszam – zaczęła Faith – ale ostatnim razem, kiedy włożyłam mu marynarkę, strasznie płakał.

– Więc niech nie płacze! – wybuchła Myrtle. – To dla jego dobra! Byłoby znacznie gorzej dla niego, gdybyśmy mu na to pozwoliły! W szkole będą się z niego naśmiewać, będzie dostawał linijką po palcach. A jak zacznie wchodzić w dorosły świat, to będzie jeszcze ważniejsze. Nikt go nigdzie nie zaprosi, jeżeli będzie brał nóż i widelec nie w tę rękę! Na szali leży przyszłość Howarda! Jego przyszłość... – Głos jej się załamał i przerwała w pół zdania. Wyglądało na to, że coś ją rozprasza.

Faith przygryzła wargi.

– A może to nie jest żadna faza? – spytała.

– Faith, twój brat nie jest leworęczny – powiedziała zdecydowanie Myrtle, jak gdyby Faith rzuciła na niego niesprawiedliwe oskarżenie. – Co się dzisiaj z tobą dzieje? – Zmarszczyła brwi i po raz pierwszy spojrzała przytomnie na córkę. – Wyglądasz strasznie! Kiedy ostatni raz się czesałaś? I dlaczego pachniesz cytrynami? – Rozejrzała się po holu. – Tu wszędzie panuje bałagan! A za chwilę przyjedzie doktor Jacklers. – Spojrzała na zegar. – Gdzie on jest? Dwie godziny spóźnienia i ani słowa. Coś jest nie tak. Czuję to.

Kiedy kończyła wymawiać te słowa, przed domem rozległ się stuk końskich kopyt.

Myrtle wypuściła powietrze z płuc.

– Nareszcie! – powiedziała.

Jak się okazało, to nie był doktor Jacklers, lecz jego usprawiedliwienie na papierze. Zatrzymano go, bo zajmował się panną Hunter.

Okazuje się, że w środku nocy panna Hunter zauważyła grupę mężczyzn szwendających się w pobliżu jej domu. Chociaż mieszka tylko ze starszą służącą, nie czuła się zagrożona, bo niejednokrotnie widywała rozwydrzone grupki ludzi wracających do domu po szczurowisku albo siedzących i pijących na szczycie klifu.

Kiedy jednak poszła spać, nagle zbudził ją trzask i okrzyk „Pali się!”. Obudziła służącą i sprowadziła ją na dół, gdzie dostrzegły mgiełkę brązowego dymu wypływającą z tyłu domu. Panna Hunter wysłała służącą na parafię, żeby poprosić o pomoc Claya, a potem zaczęła wynosić wartościowe rzeczy z domu i z urzędu pocztowego, który jest tuż obok, zaczynając od swojego urzędu, który jej powierzono.

Niespodziewanie okazało się, że chce jej pomóc grupa mężczyzn, którzy właśnie przechodzili obok. Przybiegli i zaczęli wynosić z jej domu meble i cenne rzeczy, twarze mieli zasłonięte szmatami, żeby chronić je od dymu. Dopiero wtedy zobaczyła, że niektórzy ładują jej skrzynie i meble na taczki albo wynoszą je na plecach. Zorientowała się, że to wcale nie są dobrzy Samarytanie. Krzyczała na nich, a wreszcie spróbowała wyrwać skrzynkę z biżuterią z rąk jednego z „ratowników”. Bezceremonialnie i brutalnie ją odepchnął i upadła na plecy. Uderzyła głową o ścianę na tyle mocno, że zemdląca.

„Próbujemy stwierdzić, czy to złamanie, czy krwawienie wewnątrz czaszki” – pisał doktor Jacklers. W tej notatce nie było zwykłego dla niego entuzjazmu na temat czaszek ani pogardy dla czaszek rodzaju żeńskiego.

Faith pomyślała o sugestiach, które rozsiewała na szczycie klifu. Wydawały się takie ulotne i kruche. Ale dwóch chłopców musiało pobiec z powrotem do chaty, gdzie odbywało się szczurowisko, rozsiać jej plotkę w grupie mężczyzn, którzy byli już podekscytowani i podpici, a co więcej, znajdowali się zaledwie kilometr od domu panny Hunter. Pozostałe kłamstwa Faith rozpałały

się długim lontem. To było jak iskra rzucona na kupkę prochu.

Ostatniej części listu Myrtle nie odczytała głośno. Stała w korytarzu, roztrzęsiona w swojej pięknie skrojonej sukni, pąsowała jak róża nad welwetową wstążką zaciśniętą wokół szyi.

Faith przyglądała się matce z lękiem, zastanawiając się, czy w notatce pojawiło się jej imię. „Panuje przekonanie, że do ataku doszło na skutek plotek, które pani córka rozsiewała w jaskini krwawego sportu...”.

Kiedy jednak Myrtle podniosła oczy, wcale nie spojrzała na Faith. Na jej twarzy malował się wyraz zdziwienia i zamyślenia.

– Doktor dziękuje nam za pomoc w śledztwie – powiedziała nagle – i przeprasza, że sprawiał kłopot w tak bolesnym dla nas czasie. Postara się nas nie nękać i nie nadużywać naszej cierpliwości.

– Co to znaczy? – spytała Faith.

– To znaczy, że nie będziemy już widywać doktora Jacklersa – odparła Myrtle lekkim tonem, ale wyczuwało się w nim gorycz. – Wyrzywa pannę Hunter z objęć śmierci i z pewnością jest przekonany, że to zwiększy jego szanse. Jeżeli panna Hunter powróci do świata żywych jako imbecyl, być może będzie miał nawet rację.

Myrtle nie była ani wojownicza, ani krzykliwa, mimo że ktoś obraził jej próżność. Miała kamienną twarz i bardzo zmęczone oczy i przez chwilę niemal wyglądała na swój wiek.

Howard wprost szalał z nudów, więc Faith zabrała go do ogrodu. Wzięła też stary zestaw do krykieta i wciskała małe, drewniane bramki do nieznośnie twardej ziemi. Trawa była zbyt długa, a kule podskakiwały i toczyły się w sobie tylko znanych kierunkach. Howard śmiał się, kiedy Faith zapomniała policzyć punkty albo kiedy kule chowały się w krzakach lub zagrzebywały w zagłębieniach. Po paru godzinach pani Vellet przyniosła im kolację, którą mogli zjeść na trawie, jakby to był piknik.

Kiedy grali, Faith chodziła tuż obok Howarda jak lunatyk, wyobrażając sobie pęknięcie w czaszce pod starannie uczesanymi czarnymi włosami panny Hunter. Widziała naczelniczkę poczty rzucającą się w delirium lub zamienioną w śliniacą się roślinę.

Tego właśnie chciałaś – mówił głos w jej głowie. To były jej własne myśli, ale niemalże słyszała je wymawiane jej własnym głosem. Chciałaś się na niej zemścić i teraz masz. A jednak ta myśl nie sprawiała Faith radości.

– Ona może być morderczynią – powiedziała Faith pod nosem.

Przycisnęła dłońmi skronie i zmusiła się do myślenia. Jeżeli dobrze rozumiała swoją wizję, morderców było dwoje. Krążyły plotki o tym, że panna Hunter ma romans z Lambentem. Cały czas wyjeżdżała gdzieś dniem i nocą. Lambent twierdził, że ma problemy ze snem, co dawało mu dobrą wymówkę, żeby wychodzić z domu o dziwnych porach. Mogli się spotykać w tajemnicy. Mogli być zamieszani w „intrygę”.

Faith nie wiedziała co prawda, dlaczego mogliby chcieć zabić jej ojca, ale Lambent napisał do wuja Milesa, zapraszając wielebnego na wyspę Vane, a panna Hunter była wrogiem rodziny od samego początku.

Musisz być bezwzględna – mówił głos w jej głowie. Doszłaś za daleko, żeby teraz zawrócić.

– Możemy zagrać jeszcze raz? – spytał Howard po raz dwudziesty, pojawiając się u jej boku.

– Na pewno jesteś już zmęczony! – powiedziała dobitnie Faith, chociaż widziała po jego twarzy, że wcale tak nie było. Zazdrościła mu. Czy ona kiedykolwiek potrafiła grać w tę samą grę, nie tracąc radości z tego, co robi, i nie martwiąc się o nic innego? Może zatraciła tę cechę, a może nigdy jej nie miała.

Rozejrzała się wokół siebie i zauważyła, że niebo ciemnieje, a na zachodzie robi się brzoskwiniowe. Poobijane drewniane bramki coraz trudniej było

zobaczyć na tle trawy.

– Robi się ciemno – powiedziała głośno. Nawet tego nie zauważyła. – To ostatnia partia, Howard. I tym razem mówię poważnie.

– Jesteś zmęczona? – spytał Howard, a później przechylił głowę na bok. – Co się stało? Boli cię brzuch? – Jego nianię, pannę Coudle, często bolał brzuch, więc Howard zapytał o to z przyzwyczajenia.

– Nie – Faith udało się uśmiechnąć – ale... Mam migrenę.

– Czy to duch wpędza cię w chorobę? – W oczach Howarda zapaliło się światełko niepokoju, a Faith zastanawiała się, ile rozmów o Jeanne musiał podsłuchać.

– Nie, oczywiście, że nie. – Faith zmusiła się do uśmiechu. – Przecież to ty nie pozwalasz duchowi, żeby przyszedł, pamiętasz? Chyba jesteś dobrym chłopcem i przepisujesz ładnie zdania.

Howard spuścił wzrok i nerwowo wyłamywał palce.

– Nie potrafiłem kazać mu odejść – szepnął. – On wrócił.

– Nie, Howardzie.

– Ale ja go widziałem. Wczoraj wieczorem.

Faith zatrzymała się i spojrzała w okrągłe, uczciwe i szczerze oczy Howarda. Opanowała ją nieprzeparta myśl, że jeśli nagle się obejrzy, zobaczy ojca, który się im przygląda. To powinno było ją pocieszyć. Zamiast tego poczuła pełną lęk. Robiła, co w jej mocy, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że jego wyraz twarzy jest miły albo wyrozumiały.

– Gdzie? Gdzie widziałeś ducha, Howardzie?

Howard odwrócił się i pokazał na szklarnię.

– Duch zapalił światło – szepnął. – Widziałem z mojego okna.

Faith wzięła brata za rękę i podeszli do szklarni. W nocy padało i trawa była wciąż na tyle mokra, że mogła zmoczyć rąbek jej spódnicy. Szyby szklarni zaparowały od wilgoci. Faith odsunęła zasuwę i weszła.



Ktoś poprzesuwał kilka donic z roślinami. Tu i ówdzie porozrzucano maleńkie grudki czarnej ziemi. Na samym środku podłogi Faith znalazła mały, kleisty ogryzek wosku ze świecy.

Lęk biorący się z przesądu oddał teraz pole strachowi bardziej pragmatycznemu. Nie tylko duchy potrafiły chodzić.

– A jak wyglądał, Howardzie? – spytała łagodnie. – Co widziałeś?

– Wyglądał jak mężczyzna. W wielkim, czarnym płaszczu.

– A widziałeś jego twarz?

Howard uparcie kręcił głową.

– Duch patrzył wszędzie. Myślę, że mnie szukał, ale nie wiedział, że stałem w oknie. A później obszedł dom dookoła.

Faith wyprowadziła Howarda ze szklarni i poszli w kierunku, który wskazał. Poprowadził ją wzdłuż grządki tuż obok stopni biegnących do jej ogrodu na dachu.

Na jednym ze stopni widniał wyraźny odcisk dużej stopy, wypełniony świeżą ziemią.

– Zostań tu, Howardzie. – Faith poszła na górę po schodach. W ogrodzie znalazła jeszcze dwa niewyraźne ślady. Tutaj również ktoś lekko poprzesuwał donice, a kamienne dzieci patrzyły w innych kierunkach, jak gdyby rozbudzone i skore do rozmowy. Ktoś był w jej tajemniczym porcie.

Może ktoś się tu czaił, kiedy ona spała zaledwie kilka metrów dalej. Ktoś czegoś szukał i te poszukiwania przyprowadziły go pod jej drzwi.

*Ale to nie mnie szukali.*

Zdała sobie z tego sprawę, kiedy powoli schodziła ze stopni. „Duch” przesuwał oranżerię, grządki i ogród na jej dachu. Szukał rośliny.

W końcu zrozumiała, dlaczego w oranżerii brakuje jednej z nich. Ktoś w pośpiechu i w ciemności wybrał nie ten egzemplarz, na którym mu zależało. Determinacja wuja Milesa, który chciał przejąć papiery i egzemplarze

przyrodnicze ojca, nabrała głębszego znaczenia.

Ktoś wiedział o drzewie. Ktoś chciał je mieć. Jej ojciec miał rację, że je ukrył, słusznie obawiając się, że grozi mu niebezpieczeństwo. Ktoś próbował je przywłaszczyć, prosił o pomoc wuja Milesa i nic nie stanie mu na przeszkodzie.

Drzewo, które dawało człowiekowi dostęp do najgłębszych sekretów, które rozwiewało tajemnice świata. Drzewo, które mogło ukazać rządcom krajów plany wrogów, naukowcom – tajemnice wieków, dziennikarzom – grzechy tych u władzy. Było ono nie tylko fascynujące naukowo, lecz przede wszystkim było wartościowe. Pełne mocy. Wręcz bezcenne.

Ktoś mógł zabić za taką roślinę. Faith poczuła gęsią skórę, kiedy raz jeszcze układała elementy tajemnicy, patrząc na wszystko z nowej perspektywy. Zaproszenie na wyspę Vane sprowadziło tu wielebne, ale sprowadziło również drzewo kłamstw. Nie mógł go powierzyć nikomu innemu, być może mordercy na to liczyli. Faith cały czas zastanawiała się nad życiem ojca, próbując się domyślić, kto mógł mu czegoś zazdrościć, kto mógł być na tyle zawistny lub mściwy, by go zabić. Ale być może zmarł po prostu dlatego, że był właścicielem rośliny, którą chciał mieć ktoś inny.

A teraz... Ona była w jej posiadaniu.

Faith zatrzymała się u podnóża schodów. Nagle przyszła jej do głowy inna myśl, każąc jej w pośpiechu rozejrzeć się wokół siebie.

Jeżeli mordercy wiedzieli o drzewie, to prawdopodobnie wiedzieli również o jego diecie opartej na kłamstwach. A może nawet szukali dziwnych plotek, które rozprzestrzeniały się jak pożar lasu. Na przykład historii o duchach albo o dziwnie nieuchwytnym skarbie. A jeżeli spróbują prześledzić to ostatnie oszustwo i trafią na pannę Hunter, znajdą kogoś, kto zapamiętał dwóch chłopców wspominających o rozmowie z Faith Sunderly...

Przypomniała sobie swoją wizję, to, jak przytulała się w przerażeniu do

ziemi. Nie była władczynią marionetek, pociągającą za wszystkie sznurki. Była tylko dziewczynką z papieru, którą można było podrzeć na strzępy, jeśli odkryje się jej istnienie.

– Ten duch może już jest nieżywy – powiedział z nadzieją Howard, oplatając palcami jej dłoń. – Zastrzeliłem go z mojej broni.

– Aha. – Faith przypomniała sobie jego drewniany karabinek i próbowała powiedzieć coś pocieszającego. – Naprawdę?

– Tak! – Howard kołysał ramionami do przodu i do tyłu. – Pif-paf! Ale... Nie usłyszałem „pif-paf”. Usłyszałem tylko „klik”. No ale duch zniknął i myślę, że go zastrzeliłem.

Klik.

Drewniany karabinek Howarda nigdy nie wydawał żadnych dźwięków.

– Howardzie – powiedziała Faith powoli. – Z jakiej broni zastrzeliłeś tego ducha?

– Z tej, która zabija duchy – odparł szybko. – Z tej, którą znaleźliśmy w lesie.

– Z tej, którą znaleźliśmy... – Faith objęła twarz dłońmi. Przeszukiwali razem jar, szukając broni, która zabija duchy, ale ona była zbyt zajęta przyglądaniem się śladom po kole taczki, żeby zwracać uwagę na Howarda.

„Faith, popatrz! Popatrz, co ja mam!”. Znalazł coś i krzyczał w jej kierunku, ale ona nie patrzyła.

– Czy ta broń jest duża? – spytała, ledwo co wążąc się oddychać. – Zrobiona z metalu, a rączka jest biało-żółta?

Kiedy Howard skinął głową, Faith kucnęła przy nim tak nisko, że ich oczy znalazły się na jednej wysokości.

– Howardzie, posłuchaj. To jest prawdziwa broń. Niebezpieczna. Musisz mi ją oddać!

– Nie! – Howard wyszarpnął dłoń z jej dłoni i odszedł parę kroków do

tyłu. – Ja jej potrzebuję! Potrzebuję jej na ducha!

Faith chciała go chwycić za rękę, ale Howard odwrócił się i pobiegł z powrotem do domu. Poszła za nim, ale nie było go w jego pokoju.

– Czy panicz Howard jest gotowy na wypicie mleka? – spytała pani Vellet, kiedy mijala Faith na schodach.

– Prawie gotowy. Bawiliśmy się w chowanego przed snem – powiedziała Faith pospiesznie. Gdyby zaczęła wyjaśniać całą historię, nastąpiłoby poszukiwanie Howarda w pełnej skali, ale przy okazji ktoś mógłby odnaleźć pistolet i skonfiskować go. A ona potrzebowała go teraz bardziej niż kiedykolwiek.

– Dobrze, żeby się trochę przemęczył przed snem – powiedziała pani Vellet. Sama gospodyni wyglądała na dość zmęczoną i zatroskaną.

Faith miała już w głowie mapę miejsc, gdzie można się było ukryć, ale Howard był mały i mógł się wcisnąć w którykolwiek róg. Ponadto robiło się ciemno i narastało wokół coraz więcej cieni, które mogły dać schronienie małemu, upartemu chłopcu.

– Howard – mówiła szeptem, szukając. – Proszę, wyjdź!

W końcu, kiedy Faith przechodziła przez hol, usłyszała stłumiony odgłos z biblioteki. Podeszła cicho i przyłożyła oko do dziurki od klucza.

Na początku nie zauważyła nic niezwykłego, tylko wąski widok na półkę z książkami, oświetloną łagodnym światłem świec. Po chwili usłyszała jednak ukradkowe otwieranie szuflad, ledwo słyszalny dźwięk rozdieranej tkaniny i od czasu do czasu skrzypienie.

Pod półkę z książkami zakradł się jakiś cień. Zobaczyła mężczyznę. Wyjmował książki jedną po drugiej, potrząsał nimi, jak gdyby szukał luźnych kartek, a później odkładał je, rozczarowany.

Potem zaczął stukać w tylną ściankę szafy, być może badając, czy nie ma tam jakichś pustych przestrzeni. Stukając i szukając, odwrócił się w kierunku

drzwi.

To był wuj Miles.

## Myrtle

Wściekłość na profanację ksiązek jej ojca przewyciężyła lęk Faith. Wstała, nacisnęła klamkę i z impetem pchnęła drzwi.

– Wuju Milesie! Co wuj robi?

Wuj zamarł w zdziwieniu, światło świecy migotało, oświetlając jego twarz.

– Trzeba zrobić dokładny spis... rzeczy twojego ojca... Dawno trzeba było to zrobić. Te wszystkie kradzieże...

Faith rozglądała się po pokoju. Poduszki były poprzecinane i wybebeszone. Wszystkie szuflady były na podłodze, z której wyrwano nawet kilka desek.

– Czy matka wie, że wuj to robi?

– Faith! – wuj Miles ściszył głos i teraz mówił szeptem. – Ty i ja zgodziliśmy się... Twoja mama jest w rozpacz, nie zwracajmy jej głowy takimi rzeczami!

Faith spojrzała na skórę i kartki papieru rozsypane u stóp wuja, drogocenne, poranione książki jej ojca.

– Mamo! – krzyknęła.

Rzuciła niechętnie spojrzenie na wuja Milesa, podczas gdy piętro wyżej skrzypnęły deski podłogowe. Ktoś schodził po schodach, a chwilę później Myrtle pojawiła się w szeleście krepy.

– Miej litość, co to za wrzaski? Czy Howardowi coś się stało? – Stała razem z Faith w drzwiach i patrzyła chwilę w milczeniu. – Milesie! – Gapiła

się w osłupieniu na brata.

– Musiałem wziąć sprawy w swoje ręce – powiedział wuj Miles, czerwieniejąc.

– Sprawy? – Myrtle weszła do pokoju. – To nie są twoje sprawy, Milesie! Nie masz prawa! Te rzeczy należą do mojego męża! Do mojej rodziny! Do mnie!

– Nadszedł czas, aby to się zmieniło – powiedział wuj Miles. Cofnął się, ale tylko o krok. – Myrtle, rozmawiałem z Lambentem. Powiedział mi, że rozprawę wyznaczono na jutro po południu. Nie mamy już czasu.

Myrtle opuściła lekko ramiona i znów wyglądała na starszą i bardziej zmęczoną niż zwykle.

– Czy to prawda? – Faith zwróciła się do matki. – Czy doktor Jacklers pisał o tym w liście do ciebie?

Myrtle zawahała się, a później skinęła głową.

– I uważasz, że nasz dobry pan doktor jest tak zamroczony, że poprze twoją wersję historii? – Wuj Miles zaśmiał się smutno, patrząc na siostrę. – Sądzę, że gdybyś miała nieco więcej czasu, może by ci się udało, ale już za późno.

– Nie bądź taki pewny. – Opór Myrtle słabł. – On mnie bardzo lubi.

– Nie wątpię, ale za dużo od niego wymagasz! Żądasz od niego krzywoprzysięstwa albo prawie krzywoprzysięstwa. Nie zapominaj, że Lambent jako sędzia magistracki decyduje, czy koronerowi się zapłaci, czy nie, a prawdopodobnie nie zapłaci, jeżeli jego opinia nie będzie jednoznaczna. Nie, moja droga. Sądzę, że ten rozsądny i trzeźwo myślący biznesmen, doktor Jacklers, będzie wolał mieć dwie złote gwinee niż przychyłność bardzo ładnej, ale nieprzewidywalnej wdowy.

– Jeśli będę miała sama zeznawać... – Myrtle wyprostowała się i uniosła dumnie głowę.

– Jeśli będziesz zeznawać, to będą z tego same plotki i nic poza tym.

Wuj Miles nie zachowywał się już jak przestępca złapany na gorącym uczynku.

– Wszyscy mówią o tym, że wciąż przyjmujesz gości po śmierci męża. Uważasz, że ława przysięgłych spojrzy na ciebie przychylnie, jeśli przedefilujesz wzdłuż niej, aby zeznawać z dumnie podniesionym czołem jak admirał? Jakich masz jeszcze świadków? Wiem, że Prythe nie skłamię dla ciebie – byłem przy tym, kiedy to mówił.

– Mamo, pozwól mi zeznawać! – powiedziała błagalnym tonem Faith. – Doktor Jacklers nie słuchał mnie, kiedy mówiłam o morderstwie, ale może posłucha mnie ława przysięgłych.

Szansa była zbyt dobra, żeby ją zmarnować.

– Nie! – rzuciła ostro Myrtle. Była wściekła i przerażona. – Nie jesteś nawet po bierzmowaniu. Masz czystą, świeżą duszę, Faith, nie zbrukaj jej!

– Więc pozwólcie mi powiedzieć prawdę! – powiedziała dramatycznym tonem Faith, przytłoczona frustracją. – Nikt nie wierzy w naszą historię, bo to kłamstwo! Powinniśmy od początku mówić prawdę!

– Faith, marsz do swojego pokoju! – rozkazała Myrtle, czerwieniejąc.

– Nie – powiedziała Faith.

Dwoje dorosłych wpatrywało się w nią z niedowierzaniem. Po raz pierwszy Faith zastanawiała się, czy w rozmowie nie uczestniczy aby trójka dorosłych.

– Nie mogliśmy powiedzieć prawdy i teraz też nie możemy! – rzuciła Myrtle. Oddychała ciężko, walcząc o powietrze w ciasno zawiązanym gorsecie. Oczy miała ogromne, jasne, niebezpieczne. – Prawda jest taka, że twój ojciec nas porzucił. Zostawił nas, nie myśląc o tym, jak mogłoby to na nas wpłynąć i co się z nami stanie. Zrobił to, co robił od zawsze. Poszedł, opanowany, w swoją stronę i zostawił nas, żebyśmy ugrzęźli w bagnie!

Faith zacisnęła pięści i poczuła, że pieką ją oczy. Chciała, żeby matka



umarła, umarła, umarła!

– A ty sama ugrzęzniesz – wtrącił się wuj Miles, zanim Faith zdołała odpowiedzieć – jeżeli mnie nie posłuchasz. Myrtle, wszystko się zmieniło. Potrzebujesz mnie. A jeżeli mam się o was zatroszczyć, muszę grać pierwsze skrzypce. Ja tylko proszę...

– O wszystko – zakończyła z goryczą Myrtle. – Chcesz wszystkiego, co mamy.

– Znalazłem sposób, żebyśmy zarobili sporo pieniędzy. – Wuj Miles mówił, nie patrząc na swoją siostrę. – Na wyspie jest pewna bardzo szanowana osoba, która hojnie zapłaci za dokumenty i żywe okazy, które przywiózł tu twój mąż. A jeżeli mam się opiekować rodziną, będę potrzebował funduszy!

– Kto? – spytała Faith. – Kim jest ta „szanowana osoba”?

Jej wuj natychmiast się zirytował, po jego chytrym spojrzeniu widać było, że kalkuluje. Faith zdała sobie sprawę, że to na nic. Tożsamość kupca była jednym z jego atutów. Nie chciał, żeby Myrtle sama pobiegła sprzedawać to, co on miał spieniężyć.

– Prawdę mówiąc, nie macie wyboru – mówił miłym, nieugiętym tonem wuj Miles. Faith zobaczyła, że Myrtle zaczyna się łamać.

– Mamo, mamy wybór! – zaprotestowała Faith. Za wszelką cenę musiała przekonać matkę, aby ta powstrzymała wujka Milesa od rozdzierania domu na strzępy. – Mamy pieniądze schowane w domu i w banku. Pamiętam, że ojciec tak mówił! Są pieniądze odłożone na szkołę i uniwersytet Howarda i na mój posag! Ja nigdy nie wyjdę za mąż, więc możemy żyć z tego posagu.

Myrtle patrzyła na nią przez dłuższą chwilę szeroko otwartymi, niebieskimi oczami. Po jej policzku spłynęła łza, odruchowo ją starła, osuszając dolną powiekę. Spuściła wzrok i opuściła ramiona w poddańczym geście.

– Faith – powiedziała. – Idź i przynieś papiery swojego ojca.

– To ty miałaś je przez ten cały czas? – Wuj Miles patrzył na Faith

oskarżycielsko.

– Zostaw to dziecko w spokoju – powiedziała zmęczona Myrtle. – Kazałam jej je schować i nikomu nic nie mówić. Wygrałeś, Milesie. Czy to ci nie wystarczy?

– Nie – powiedziała Faith. To nie była prowokacyjna deklaracja, jak przed chwilą, kiedy nie chciała wyjść z pokoju. Był to krótki, chłodny dźwięk, który zaległ w ciszy jak mały kamyczek z plaży.

– Faith... – W głosie Myrtle brzmiało ostrzeżenie.

– Nie. – Faith zrobiła parę kroków do tyłu, kręcąc głową. Przez chwilę zastanawiała się, czy się nie zgodzić, nie pobiec na górę i nie wrócić ze wszystkimi papierami ojca oprócz szkiców z wizji i dziennika. Ale wuj prawdopodobnie by za nią poszedł. Poza tym ona tylko pobieżnie przejrzała inne papiery i nie miała pewności, czy nie zawierają jakichś ważnych sekretów dotyczących drzewa.

– Faith, rób, co każe ci matka! – Wuj Miles zrobił krok do przodu, a jego okrągła twarz nie była już ani miła, ani przyjemna.

– Mamo, on musi powiedzieć, kto zaproponował nam pieniądze! – oświadczyła Faith. – Wuj Miles nas okłamywał – przywiózł nas tu, bo chciał uczestniczyć w wykopaliskach na Vane! Powiedziano mu, że pozwoli mu na to, jeśli przekona ojca, żeby przyjechał. To było przekupstwo.

Faith nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo wuj Miles chwycił ją za ramię. Zabolalo, a ona była zdziwiona, zdając sobie sprawę, że to miało boleć.

– Bądź cicho! – Wuj Miles był teraz wyższy, niż kiedykolwiek. – Gdzie są te dokumenty? – Znów potrząsnął Faith, wykręcając jej szyję. Próbowwała uwolnić się z jego uścisku, ale zacisnął palce jeszcze mocniej i wyciągnął ją z pokoju. – Pokaż mi!

– Milesie, przestań! – wołała Myrtle gdzieś spoza nich.

Faith nie była silna i nikt nigdy jej do niczego nie zmuszał. Ale teraz

wiedziała, że taka groźba od zawsze czaiła się w każdym uśmiechu, w każdym ukłonie, w każdej uwadze na temat jej płci. Zasłona się rozdarła, ukazując prawdę w całej swej brzydocie. Faith ślizgała się po podłodze. U podstawy schodów potknęła się o spódnicę i boleśnie uderzyła się o stopień.

Wuj Miles bez wahania pociągnął ją do góry i postawił na równe nogi, a Faith odwróciła się i uderzyła go tak mocno, jak potrafiła. Zobaczyła, że wyraz twarzy wuja zmienia się, a wściekłość tworzy miękkie, ohydne, wypukłe pęcherzyki na skórze, jak gotująca się owsianka. Wiedziała, że teraz jej odda. Rozwali jej twarz, jak gdyby była zrobiona z bezy.

– Puść moją córkę!

Rozległ się trzask i wuj Miles krzyknął głośno, chwytając się za szyję i patrząc przez ramię. Za jego plecami stała Myrtle z pogrzebaczem w ręce, uniesionym, gotowym do kolejnego uderzenia.

– Myrtle, czyś ty oszalała?

– Puść ją, Milesie, albo Bóg mi świadkiem, rozwalę ci głowę i każe służącym cię wyrzucić! – Głos Myrtle potężniał i odbijał się echem w całym holu.

Wuj Miles rozejrzał się nerwowo dookoła, jak gdyby spodziewał się, że Prythe przybiegnie nagle z jakiegoś bocznego pomieszczenia i go przewróci. Przełknął ślinę. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

– Taką podjęłaś decyzję? – spytał.

Myrtle nie odpowiedziała, ale nie ustępowała, trzymając przed sobą pogrzebacz jak szpadę.

– W takim razie umyвам ręce i nie mam zamiaru uczestniczyć w tym bałaganie, który nazywa się twoją rodziną – powiedział ponuro wuj Miles, puszczając Faith. Zrobił kilka kroków w kierunku schodów, ale ręka trzymająca pogrzebacz drgnęła, więc zamiast tego ruszył przez hol, chwycił płaszcz i kapelusz wiszące na wieszaku. Otworzył drzwi frontowe i zniknął

w ciemnościach nocy, zostawiając otwarte drzwi, które po chwili się za nim zatrzasnęły.

Myrtle odstawiła pogrzebacz z powrotem na stojak. Stała pochylona, odwrócona tyłem do Faith i objęła dłońmi twarz. Jej ramiona zaczęły drżeć. Faith znalazła chusteczkę i podeszła do niej, po czym delikatnie dotknęła łokcia matki.

– Mamo...

Myrtle wyrwała się, odwróciła i uderzyła Faith otwartą dłonią w twarz. To nie było mocne uderzenie, ale zaboląło.

– Dlaczego nie mogłaś mu dać tych dokumentów? – krzyknęła łamiącym się głosem. – Potrzebujemy go! Teraz... Nie wiem, co zrobimy.

– On zdradził ojca. – Ból i szok znów ustąpiły miejsca gniewowi. – A my go nie potrzebujemy. My mamy...

– My nie mamy nic, Faith! – krzyknęła Myrtle. – Nic! Nic! Naszym domem była plebania oddana do użytku proboszcza. Teraz, kiedy ojciec umarł, zamieszka tam następny proboszcz i zajmie dom. Nie mamy domu, nie mamy żadnych dochodów. – Myrtle wzięła głęboki oddech i głośno wypuściła powietrze z płuc. – Mówisz, że możemy żyć z twojego posagu – powiedziała z bolesnym grymasem. – Nie będzie posagu, Faith, nie będzie pieniędzy na wykształcenie Howarda, nawet na jedzenie. Gdyby Erasmus umarł naturalną śmiercią, dostałybyśmy jego oszczędności... Ale samobójstwo jest przestępstwem. Jeśli w dochodzeniu udowodnią, że twój ojciec targnął się na swoje życie, wszystko, co posiadał, zostanie skonfiskowane przez państwo.

Faith patrzyła na nią z otwartymi ustami. W końcu zaczęła rozumieć determinację matki, która kłamała w sprawie miejsca znalezienia ciała, i niejasne uwagi wuja, który mówił o tym, że chce przejąć to, co należy do ojca, aby rodzina nic nie straciła.

– Ale... Dlaczego my mamy być za to ukarani? To jest okrutne i nie ma

sensu!

– Świat jest okrutny i nie ma sensu – odparła gorzko Myrtle. – Każde samobójstwo jest traktowane w ten sposób, oprócz tych popełnionych przez maniaków. Myślę, że jest za późno, żebym zmieniała swoją wersję i twierdziła, że twój ojciec był szalony. Poza tym pomyśl, jak wyglądałaby wasza przyszłość, gdyby każdy wiedział, że w twoich żyłach płynie krew szaleńca.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś. – Faith dotknęła opuchniętego policzka. Ukrywano przed nią prawdę, a później jeszcze oberwała w twarz za to, że jej nie znała.

– Dość musiałam znieść, żeby jeszcze opowiadać ci, co zrobił nam twój cudowny ojciec.

– Jak śmiesz o nim tak mówić? – Faith poczuła rosnącą złość. – On nas wcale nie opuścił! Został powalony na ziemię! Został zamordowany!

– O czym ty mówisz? – W głosie Myrtle pobrzmiwało jedynie zmęczenie i nie było w nim żadnych emocji.

– Próbowałam ci powiedzieć, ale ty nie chciałaś słuchać. Zabili go w jarze. Zaatakowano go od tyłu. Później zawieźli go taczka na klif i zrzucili na dół nad krawędzią.

– Co? Kto? – Myrtle zmarszczyła brwi, a jej spojrzenie wciąż wyrażało niedowierzenie.

– A co cię to obchodzi? – krzyknęła Faith. Poszła już za daleko i teraz mogła jedynie pójść jeszcze dalej. – Ojciec nie żyje, a ciebie obchodzą tylko twoje sukienki, twoja biżuteria i twoje flirtowanie! Nie zczekałaś nawet, żeby go pochowali! Widziałam cię! Widziałam cię z doktorem Jacklersem, kiedy ojciec leżał martwy na dywanie!

– Jak śmiesz! – Myrtle nie mówiła już tonem małej dziewczynki. Był to pełny, twardy głos wściekłego kota. – Myślisz, że to jest próżność? Walczyłam

o moją rodzinę, a jedyną bronią, jaką mam, jest mój wygląd! Potrzebowałam doktora Jacklersa, żeby powiedział, że śmierć twojego ojca to wypadek. Potrzebowałam pana Claya, żeby zmienił zdjęcie tak, abyśmy mogli dzięki niemu rozwiać plotki w Anglii. Więc byłam bogatą, ładną wdówką, która na nich liczyła, i pewnego dnia mogłaby z wdzięczności poślubić któregoś z nich. To jest pole walki, Faith! Kobiety są na nim tak samo jak mężczyźni. Nie dostajemy broni i nie widać nas w boju. Ale musimy walczyć, inaczej zginiemy.

Faith poczuła, że twarz jej czerwienieje. Pierwszy raz usłyszała głos swojej matki pozbawiony udanej skromności. Był mocny, twardy, brzydki i nieprzejednany.

– Wzbudzasz we mnie obrzydzenie – powiedziała Faith. Głos jej zadrżał. Chciała, żeby jej słowa były prawdą.

Przez sekundę twarz Myrtle wyglądała jak buzia skrzywdzonego dziecka, później wrócił gniew.

– A ja z trudem cię rozpoznaję! – Matka Faith patrzyła na nią tak, jakby córka płonęła. – Skąd w tobie tyle gniewu? Tyle złości? Tyle razy próbowałam z tobą rozmawiać, Faith, ale nie chciałaś dotrzymywać mi towarzystwa. To było jak rozmowa z lunatykiem.

– Zawsze byłam przytomna! – przerwała Faith. – I zawsze byłam wściekła!

– Chcesz mnie zakrzyczeć! – Wargi Myrtle drżały, ale nie tylko z gniewu. – Jesteś taka jak twój ojciec.

– Tak! – krzyknęła Faith. – Tak! Jestem taka jak on i zupełnie niepodobna do ciebie.

Z tymi słowami na ustach odwróciła się i wybiegła z pokoju, żałując, że nie może zapomnieć o słowach matki.

## ROZDZIAŁ 30

# Małeńka śmierć

Wzbudzasz we mnie obrzydzenie.

Faith przykryła dłońmi uszy i pobiegła na górę, chcąc wyrzucić z siebie te słowa. Powtarzała sobie, że to właśnie ma na myśli. A Myrtle na nie zasługuje. Wciąż jednak wracało wspomnienie twarzy matki, na której malował się wyraz skrzywdzenia. Ból w jej oczach przypominał Faith, jak sama się czuła, kiedy ojciec rozdarł ją na strzępy w bibliotece.

Myrtle walczyła w brudnej wojnie, ale walczyła po to, by przeżyła rodzina. Jak Faith mogła mówić o moralności czy jej braku? Skutkiem jej własnych działań były już przecież ofiary w ludziach.

Nadstawiła uszu. Usłyszała delikatne odgłosy dochodzące z pokoju Howarda, jakieś skrzypienia i szurania.

Wyszła na półpiętro. Kiedy nacisnęła klamkę drzwi pokoju dziecięcego, usłyszała ze środka odgłosy ucieczki. Na pierwszy rzut oka pokój był pusty. Zeszyt Howarda leżał pod stołem i powoli się zamykał. Porzucony ołówek toczył się po podłodze.

– Howardzie? – zawołała Faith. Odpowiedziała jej cisza. Nie chciała wchodzić do jego sypialni, bała się, że chłopiec wyrwie się z jakiegoś kąta i ucieknie przez drzwi za jej plecami. – Wyjdź, proszę!

Cisza.

– Howardzie, wyciągam twój teatr! – zawołała w chwili natchnienia.

Usadowiła się na podłodze i wyjęła zabawkę z pudła.

Usłyszała kilka skrzypnięć, po czym mała postać pojawiła się w drzwiach do sypialni. Howard był brudny i zapłakany.

– A, tu jesteś, Howardzie. – Faith poczuła przypływ ulgi.

Howard powoli i niepewnie wchodził do pokoju, wyglądał na wystraszonego i widać było, że oczekuje połajanki.

– Dlaczego wszyscy krzyczą? – spytał.

– Nie przejmuj się tym, Howardzie. – Głos Faith był na wpół martwy, nawet ona sama to słyszała. Kiedy Howard podszedł i ukląkł obok niej, opierając się mocno na kolanie siostry, objęła go ramieniem. – Howardzie – powiedziała łagodnie. – Musimy porozmawiać o tym pistolecie.

Howard wcisnął twarz w jej ramię i potrząsnął głową.

– Nieee! – usłyszała jego stłumioną odpowiedź. – Nie, nie, nie! Ja go potrzebuję! – Podniósł głowę, oczy miał szkliste i wyglądał na nieszczęśliwego. – Zrób przedstawienie, Faith!

Faith spojrzała na małą scenę i nagle siły ją opuściły. Wcześniej chciała Howardowi wszystko wynagrodzić, ale kiedy popatrzyła na las koloru białych kości, mogła myśleć tylko o wielkim cieniu dłoni, przed którym się ukrywała. Malowany księżyc hipnotyzował ją martwym okiem. Poczła nagłą falę przerażenia.

– Howardzie – szepnęła. – Ja... Ja nie mogę. Nie teraz.

– Proszę! – Howardowi pałały policzki, miał dzikie spojrzenie. Był przestraszony. Znów chciał, żeby odpowiedziała mu na wszystkie pytania. Faith przypomniała sobie, że Howard jest bardzo mały. Może dlatego chciał móc kontrolować i badać świat jeszcze mniejszy od siebie.

Faith wzięła do ręki patyczek, z którego na sznurkach zwisał klaun, i potrząsnęła nim, a papierowa postać zrobiła fikołka. Pomyślała o swoich kłamstwach, które każą ludziom podskakiwać, a te podskoki rzucają ich



czasami na ziemię i rozbijają im czaszki.

Czując suchość w ustach, Faith przetańczyła kukiełkami przez bezbarwny las, pozwalając im walczyć, stawiać sobie wyzwania, okręcać się i umierać. Przyglądała się im zafascynowana, ale jej palce były drętwe. Czy naprawdę je kontroluje? Wydawało jej się, że czuje gęsią skórę, kiedy brała do ręki postać diabła. Wpatrywał się w nią, obnażając kły, warcząc, okrutnie się uśmiechając.

– Ja chcę mędrca! – powiedział Howard.

Faith, manewrując marionetką, wprowadziła na scenę maleńką postać wieszczka. Wydawało się, że przedstawienie ma się wreszcie ku końcowi.

– Paniczu Howardzie! – piskliwym głosem wrzasnął mędrzec, który był jednocześnie Faith. – Co mogę dla ciebie dzisiaj zrobić? Czy masz jakieś pytanie?

Howard przycisnął kolana do piersi i wyjrzał zza nich. Przez chwilę pocierał o nie nosem.

– Czy to moja wina z tym duchem? – spytał bardzo cicho. – Czy to moja wina, bo nie mogłem go odpędzić? I czy to dlatego Jeanne zachorowała i ją odesłali, i umiera? I czy to jest moja wina? – Głos potężniał, robił się ochrypły, a z oczu chłopczyka zaczęły toczyć się łzy.

– O, nie! – Faith z trudem utrzymała głos mędrca. – Nie, paniczu Howardzie. Jesteś dobrym chłopcem.

– Ale ja nie potrafiłem! – Howard zanosił się od płaczu. – Ja... Ja próbowałem! Próbowałem! Ale ja... – Wyciągnął swój zeszyt i otworzył go, przerzucając stronę.

Na początku litery były czytelne, chociaż niektóre z nich były napisane odwrotnie, tyłem do przodu albo pod złym kątem. W miarę odwracania kolejnych stron pojawiały się coraz dziksze zawijasy ołówkiem i coraz bardziej desperackie znaki. Niektóre zostawiły w papierze szaleńcze,

nierówne rowki. Całe stronice. Strona za stroną.

Faith poczuła, że serce zamiera jej w piersiach, gdy zdała sobie sprawę, na co patrzy. To jego pismo.

Duchy nie nękają dobrych, małych chłopców, którzy zmawiają modlitwy i przepisują zdania prawą ręką. Duchy nękają tylko złych ludzi.

Czując coraz silniejsze wyrzuty sumienia, Faith wyobrażała sobie Howarda drapiącego w zeszyte znaczki i nierówne linie w coraz większej panice, codziennie, a nocą leżącego na łóżku i nasłuchującego kroków ducha...

– Czy to moja wina? – spytał jeszcze raz drżącym głosem.

– Nie! – Faith przełknęła głośno ślinę, ale nie potrafiła powstrzymać drżenia w głosie. – Nie, to nie jest twoja wina, paniczu Howardzie! Na pewno nie! Duch nigdy tu po ciebie nie przyjdzie!

– No więc dlaczego przyszedł? – Howard ścisnął rączkami czubki swoich butów. – Dlaczego duch sprawia, że Faith choruje? Czy przyszedł po nią?

Faith pomyślała o zabójcach, którzy polowali na drzewo kłamstw, i jeszcze chwila, a z jej ust spłynęłoby słowo „tak”.

– Dlaczego? – spytał Howard. – Dlaczego chcą zrobić krzywdę Faith?

– Bo jest głupią, złą dziewczyną! – wybuchła Faith, nie mogąc już tego znieść. – Wszystko psuje, rozsiewa truciznę wszędzie, gdzie się pojawi. I pójdzie do piekła!

Zamknęła papierowy teatrzyk, wstała niepewnie i wybiegła z pokoju. Na półpiętrze w końcu wybuchła płaczem. Nie mogła opanować łkania, przez chwilę była w nim zatopiona bez końca.

Nagle wyrwał ją z tego stanu harmider i wrzawa dochodzące z pokoju dziecięcego gdzieś za jej plecami. Słyszała tupanie, łamanie, rozrywanie i rozrzucanie. Odwróciła się i spojrzała przez drzwi.

Howard tupał i deptał papierowy teatrzyk, z jego oczu płynęły łzy, leciało mu z nosa. Łuk jasno pomalowanego proscenium zapadł się i zawalił, a cały

teatr był powgniatany i powyginany. W pobliżu leżała połamana różdżka i mały, papierowy człowieczek z oderwaną głową. Na małej głowie był chiński kapelusz.

– How! – Faith wbiegła do środka, padła na kolana i zebrała to, co pozostało z mędrca. – Co ty zrobiłeś? – Jej małej wyroczni już nie było. Miała poczucie potwornej straty.

Howard podszedł do niej. Oczy miał błyszczące od łez.

– Zabiłem go – powiedział cienkim głosem. – Zabiłem mędrca. On... powiedział, że ty musisz iść do piekła! Ale... Ale teraz on nie żyje i nie może cię tam zapędzić! Nie chcę, żebyś poszła do piekła!

– O, Howardzie! – Faith przykucnęła i rozłożyła ramiona, a Howard podbiegł do niej, pociągając nosem. Objęła go mocno.

– Teraz nie może cię skrzywdzić, prawda? – Howard pochlipywał jej do ucha.

– No, cicho już, cicho – powiedziała Faith. – Ja... Nie. On nie żyje. Już nie może mi zrobić krzywdy. Ty... mnie ocaliłeś, Howardzie.

Howard jeszcze przez długi czas pociągał nosem i płakał, a Faith pocieszała go i głaskała po głowie. Kiedy w końcu łzy wyschły, wytarła mu twarz chusteczką.

– Chodź – powiedziała i zaprowadziła go do pokoju dziecięcego. Howard szeroko otworzył oczy, kiedy zdjęła z wieszaka jego niebieską marynarkę i otworzyła składany nóż. Najpierw przecięła szwy, które przytrzymywały lewy rękaw, a później cięła materiał raz za razem ogromnymi pociągnięciami. – To jest głupia, brzydka marynarka – powiedziała, z trudem oddychając – a ty nigdy, przenigdy nie będziesz musiał jej nosić. Możesz teraz przepisywać, Howardzie, jak chcesz i ile chcesz, pisać nawet lewą ręką.

Kiedy przestała, nie mogła złapać tchu. Brat i siostra stali i patrzyli na leżącą na podłodze marynarkę jak dwójka konspiratorów. Była zdecydowanie

martwa. Tak jak mędrzec.

– Boisz się ducha? – spytał Howard.

– Tak, Howardzie – odparła cicho Faith.

Howard zniknął pod łóżkiem, coś tam zaczęło szurać, a potem się wynurzył. Trochę niechętnie, ale położył na dłoni Faith mały, zimny kształt.

– Musisz mi go oddać, jak już zastrzelisz tego ducha – oznajmił.

Na dłoni Faith leżał mały, kieszonkowy pistolet z krótką lufą. To była broń jej ojca.

Wydawało się, że wciąż jest naładowany, chociaż kapiszon pistoletu chyba odpadł. Faith wiedziała, że broń była przez całą noc na dworze, ale przynajmniej wtedy nie padało, więc jest nadzieja, że proch nie zamókł. Tak czy inaczej, nie chciała próbować samodzielnie go przeładowywać. Widziała, jak robi to jej ojciec, ale to był skomplikowany proces, w którym brały udział iglice, demontaż lufy, a ona nie do końca wiedziała, w jakiej kolejności wykonuje się te czynności. Zamiast tego ostrożnie odchyliła spust i włożyła na miejsce nowy kapiszon, a później schowała broń w damskiej torebce i wcisnęła ją do kieszeni.

– Możesz zostać ze mną w pokoju – powiedział Howard z nadzieją. – Będę na czatach. Możesz zastrzelić ducha z mojego okna.

Faith się zawahała. Kusilo ją pozostanie w bezpiecznych murach domu, ale następnego dnia miała się odbyć rozprawa. Jeżeli nie znajdzie do tego czasu jakiegoś dowodu, że to morderstwo, jej ojca pogrzebią w niepoświęconej ziemi, a rodzina zostanie z niczym.

– Zostań na straży i pilnuj – powiedziała. – Jeżeli zobaczysz kogoś w ogrodzie, biegnij do mamy, pani Vellet albo Prythe'a i powiedz im. Ja... muszę odbyć pewną tajną misję. Ale nie powiesz nikomu, prawda, How?

Bardzo niedawno temu nakarmiła drzewo kłamstwem o pannie Hunter, ale to kłamstwo wystarczyło, żeby sprowokować podpalenie, kradzież i przemoc.

Niewykluczone, że drzewo znów urodziło owoc. Jeżeli tak było, to straszliwe konsekwencje tej plotki będą miały przynajmniej jakikolwiek sens.

Drzewo kłamstw nie dawało jej spokoju. Miała poczucie, że jego pnącza wrosły jej w umysł i że nawet teraz przyciągają ją do siebie.

Faith zastanawiała się, czy nie pójść bezpieczną drogą do tajnego wejścia do jaskini, ale obliczyła, że szybciej dostanie się tam łodzią i prawdopodobnie nikt jej nie zauważy. Kiedy raz jeszcze wiosłowała w kierunku morskiej jaskini, czuła kąsanie zimnego wiatru w każdym rozdarciu i dziurze swojego znoszonego stroju pogrzebowego. Księżyc był w pełni, świecił jasno, rysował mleczną drogę na czarno-szarych grzbietach fal.

Radosny niepokój na myśl o drzewie kłamstw trochę przygasł. Faith miała przeczucie czegoś złego, mrozącego krew w żyłach. Musiała się napomnieć, że samo drzewo nikogo nie skrzywdziło – przyczyniły się do tego jej kłamstwa. Tym niemniej miała wrażenie, że drzewo wydobywa z niej to, co najgorsze. Jeżeli jednak poddałaby się teraz, wszystkie katastrofy pójdą na marne. Było za późno, by przyznać się do klęski. Przez chwilę zastanawiała się, czy jej ojciec czuł się podobnie, gdy rzucił się głową naprzód w swoje oszustwa aż do krawędzi zniszczenia. Wolał to, niż przyznać, że wszystko, co zrobił, było jednym wielkim błędem. Oboje byli jak hazardziści, którzy zbyt wiele stracili i teraz nie mogą już przestać obstawiać.

Puściła wiosło i pozwoliła fali wnieść się do jaskini, łódź zaryła dziobem w brzeg i Faith wyskoczyła na zewnątrz, żeby ją zacumować. Nadszedł czas, by zbadać owoce własnych eksperymentów. Ostrożnie zdjęła gruby materiał przykrywający latarnię i szybko założyła kolejny – sieć splotów gazy dławiała światło jak pajęczyna, ale rozsiewała delikatną poświatę. Jeśli Faith się nie myli, światła będzie dosyć, ale nie robi drzewu krzywdy.

Z latarnią owiniętą gazą wdrapała się po zboczu do głównej pieczary i wtedy zamarła w pół kroku. Drogę zamykały jej czarne pnącza, które

wyglądały jak napisy węglem. Przeszła jeszcze parę kroków i poczuła, że chłodny zapach oblepia jej gardło i skórę w nosie. Pod jej nieobecność drzewo wypełniło całą pieczarę.

To było jak z legendy czy bajki. Faith przypomniała sobie starą opowieść o dzieciach, które uciekły z domu czarownicy i rzuciły za siebie magiczny grzebień, a ten wyrósł i zamienił się w ogromny las.

Dziewczyna ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła pnączy zwisających z sufitu. Były delikatne i giętkie, poddawały się jej dotykowi. Powoli wchodziła do dziwnej dżungli, lepkie liście omiały jej twarz.

Pnącza zamknęły się za jej plecami. Towarzyszyło jej tylko światło z ledwo pobłyskującej latarni, więc nie miała pewności, w którą stronę należy iść. Szybko sprawdziła kierunek na kompasie ojca i przyjrzała się, jak układa się zbrocze. Zapamiętała sobie to wszystko na wypadek, gdyby się zgubiła.

Ostatni owoc znalazła prawie w samym sercu rośliny. Miała nadzieję, że tym razem będzie tak samo, bo inaczej nigdy go nie znajdzie.

Marsz do przodu był łatwiejszy, niż się spodziewała, mimo że podłoga pieczary była opleciona winoroślą. Musiała się pochylić i przemknąć pod kilkoma grubymi, spiralnymi pniami, a niemal wszystkie luźne pnącza wydawały się zadowolone z tego, że mogą udrapować się na jej ramionach i spokojnie prześlizgnąć się po jej barkach, jak wąż. Irracjonalnie czuła, że drzewo czuje się dobrze w jej obecności.

Prowadziły ją grube, rozwidlające się pnącza, które wiły się po podłodze. Wszystkie na szczęście wyrastały z serca drzewa. Wydawało jej się, że ryk pieczary potężnieje, ale wcale nie było łatwiej go zrozumieć. Czasami coś łaskotało ją w ucho, jak gdyby zbliżała się do niego mysz, która ma jej coś szepnąć.

Nagle wyrosła przed nią kamienna półka, teraz owinięta kokonem czarnych macek. Ciemna, pająkowata masa na szczycie półki połyskiwała delikatnie

w przenikającym przez gazę świetle latarni. Faith przeczesywała palcami liście tu i tam, aż wyczuła coś niewielkiego i okrągłego wiszącego pod gałęzią jak bombka na choince. Oderwała to coś i wyczuła w ręce małeńki, idealny kształt owocu.

Kiedy wkładała owoc do kieszeni, kątem oka zobaczyła, że coś się porusza.

Okręciła się na pięcie, uniosła latarnię i popatrzyła w lewo i w prawo. Ze wszystkich stron zwodził ją widok przeplatających się i krzyżujących pnączy. Latarnia tylko pozłacała mrok. Faith nie słyszała szelestu liści w ryku i syku morza, w jękach i pomrukach głosów, które przynosiło echo.

Dziewczyna sięgnęła do kieszeni i wyjęła pistolet ojca, po czym odciągnęła iglicę, tak że broń była gotowa do strzału. Wypuściła z płuc powietrze i udało jej się utrzymać latarnię bez ruchu w drugiej ręce.

Jakieś trzy metry od niej w płataninie pnączy znów zadrżały liście. Tym razem widziała, że to nie żaden omam, i pośród sieci gałązek udało jej się rozróżnić czarną plamę. To coś było wyższe od niej i miało kształt ludzkiej postaci.

Nie miała dokąd uciec. Stała tam z latarnią, doskonale widoczna. Ktokolwiek to był, już ją zobaczył, jeżeli znów odejdzie, Faith straci go z oczu.

Dziewczyna wycelowała pistolet dokładnie w sam środek plamy, czując, że serce wali jej jak młotem.

– Widzę cię! I wiem, że ty też mnie widzisz! Wyjdź, powoli, albo będę strzelać!

Nie miała pojęcia, czy potrafiłaby pociągnąć za spust, nawet jeżeli ten drugi by na nią skoczył, ale udało jej się wypowiedzieć te słowa bez lęku w głosie.

Ciemny kształt poruszył się i lekko zakołysał. Przez chwilę myślała, że uskoczy gdzieś i umknie w cienie, i że już nigdy go nie zobaczy. Potem zaczął

się zbliżyć, odpychając na boki pnącza. W końcu podszedł na tyle blisko, żeby mogła zobaczyć jego twarz w złotej poświacie latarni.

Nieproszonym gościem był Paul Clay.



## ROZDZIAŁ 31

# Winterbourne

Paul Clay – sojusznik i wróg Faith. Była przytłoczona strachem, niepewnością i niedowierzaniem. Odkrył jej matecznik, widział więcej, niż pozwoliłaby kiedykolwiek komukolwiek zobaczyć.

– Co ty tu robisz? – spytała, wciąż mierząc do niego z pistoletu.

– Przestań we mnie celować! – zaprotestował, mrużąc oczy w przyćmionym świetle latarni. – Co ty tu robisz? Dlaczego to wszystko jest... – Rozejrzał się po ciemnej jak noc dżungli.

– Jak nas znalazłeś?

– Nas? – Paul był skonsternowany.

– Mnie... i roślinę.

– Jest twoja? – Spojrzał na pnącza. – Co to jest? Skąd to się tu wzięło? I schowasz wreszcie ten pistolet czy nie?

Faith nie odezwała się ani słowem, dłoń z pistoletem też nie zadrżała.

– W takim razie możesz sobie tutaj zostać ze swoim pnączem śmierci – warknął Paul, cofając się o krok. – Mam nadzieję, że spędzicie miły wieczór.

– Nie mogę ci pozwolić odejść. – Faith wiedziała, że ramię jej drży, mimo że pistolet był lekki.

– Co takiego? – We wściekłym spojrzeniu Paula malował się teraz cień niepokoju.

– Ktoś szuka tej rośliny – powiedziała Faith – i jest skłonny zabić każdego,

kto ją ma. A tym zabójcą możesz być ty.

– To jakiś żart? – Paul patrzył na nią niedowierzająco. – Poprosiłaś mnie o pomoc!

– Musiałam komuś zaufać! – Faith widziała, że Paul stoi, uginając ramię, jak gdyby trzymał coś obszerneho. – Może wybrałam nie tę osobę. Zabójców jest dwoje. Mogą być kochankami albo współnikami... Albo może to być ojciec i syn.

– No, przestań! – krzyknął Paul. – Mój ojciec nigdy w życiu nawet muchy nie skrzywdził!

– A skąd wiesz? A co ja wiem o tobie? Twój ojciec był na terenie wykopalisk. Mógł podpiłować łańcuch kosza. – To mówiąc, Faith przypomniała sobie jeszcze coś. – A kiedy przyjechaliśmy, zjawił się, żeby nas przywitać i odebrać z portu. Powóz był zbyt ciężki, więc powiedział, żeby zostawić skrzynię z tą rośliną, i zaproponował, że jej popilnuje. Pewnie tak by było i zostałby sam na sam ze skrzynią zawierającą roślinę, gdyby mój ojciec nie odmówił. Ktoś przeszukiwał naszą szklarnię i ogród. Widziano go, ale wzięto za ducha. A ja wiem, że ty szukałeś czegoś w domu – przyłapałam cię na tym! Powiedziałaś, że szukasz kosmyka włosów, ale skąd mam wiedzieć, że to prawda? A teraz... Jesteś tutaj. Dokładnie tam, gdzie pragnąłby być morderca.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Byłem na cyplu – powiedział w końcu Paul – i zobaczyłem, jak wiosłujesz.

– A co tam robiłeś o tej porze, tak późno w nocy? – przerwała mu Faith.

– Robiłem zdjęcia. – Paul ostrożnie się odwrócił, żeby pokazać jej przedmiot trzymany pod pachą. To była skrzynka z aparatem fotograficznym.

– Nocą? – przerwała mu Faith. – Nikt tego nie potrafi!

– Ja robiłem zdjęcie księżycowi – wydusił z siebie w końcu Paul. –

Słyszałem, że można to zrobić. Można zrobić czyste zdjęcia, na których widać cienie i szczyty. Za każdym razem, gdy noc jest jasna, a księżyc w pełni... Wychodzę i próbuję szczęścia. – Wyglądał na wściekłego i Faith zdała sobie sprawę, że jest zakłopotany. – Zobaczyłem łódź i zgadłem, że to ty. Kiedy moi koledzy powiedzieli mi, że „zniknęłaś” wczoraj w nocy na cyplu, pomyślałem, że może wpadłaś do którejś z jaskiń. Potem zobaczyłem, że znikasz na klifie, i już wiedziałem, która to jaskinia.

Faith przygryzała wargi. To ciekawe, ale nieśmiałość Paula przekonała ją lepiej niż jego aparat fotograficzny.

– Więc tak mnie znalazłeś – powiedziała ciszej. – Ale dlaczego? Dlaczego wszedłeś za mną do jaskini?

Dlaczego musiałeś tu schodzić i wszystko to zobaczyć? *Jak mogę cię teraz wypuścić?*

– Byłem ciekaw – powiedział szybko Paul. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, podczas której spuścił wzrok i zmarszczył czoło, jakby się nad czymś namyślał. – Nie – powiedział. – Ja... Nie wiem, dlaczego zszedłem do tej dziury, idąc za szaloną kobietą. To nie ma sensu. Za każdym razem, kiedy z tobą rozmawiam, wpędzasz mnie w szaleństwo. Wszystko oszalało, od kiedy ty i twoja rodzina tu przyjechaliście. Na wyspie Vane nigdy nie było buntów, ludzie nigdy nie podpalali domów! A teraz w samym centrum tego wszystkiego jesteś ty i przychodzisz do mnie bez powodu ze swoimi dzikimi opowieściami o morderstwie, taczkach i koszach, które spadają do szybu... A ja nie potrafię przestać słuchać. Nadajesz się do czubków, ale mimo to wciąż wierzę w to, co mówisz.

– Twoje zaufanie nie jest mi do niczego potrzebne! – Faith znów poczuła, że opanowuje ją ciemność. – Nie znasz mnie! Ja jestem... Jestem trucizną. Każde kłamstwo na wyspie Vane to moja sprawa.

– Mnie też okłamywałaś?

Faith zdała sobie sprawę, że nie. Przełknęła ślinę i nic nie odpowiedziała.

– Więc twój ojciec został zamordowany – powiedział Paul obcesowo. – I żadna fotografia nie sprawi, że poczujesz się lepiej. A jeżeli nigdy nie znajdziesz zabójcy, przez całe życie będziesz miała w głowie jakiegoś ducha. Wiem, jak to jest. Moja mama utonęła. Nie było ciała, nie było pogrzebu, nie ma nagrobka na cmentarzu. Jedyne jej zdjęcie stoi na naszej półce. Widziałaś je. Ten mały chłopiec na zdjęciu to ja. Mój ojciec... jest dla mnie dobry, ale uśmiecha się do mnie tak, jakbym ja był jej fotografią. Niekiedy mam wrażenie, że czeka, aż wyjdę z pokoju, żeby mógł z nią spokojnie porozmawiać.

Faith się wzdrygnęła. Miała wrażenie, że w jej stronę wyciągają się macki współczucia. Chciała się z nich otrząsnąć, zastrzelić je, wypalić do cna.

– Chcesz, żebym nad tobą płakała? – spytała tak chłodno, jak potrafiła.

– Chcę, żebyś podjęła decyzję – wybuchł Paul. – Chcesz, żebym ci pomagał, czy chcesz, żebym zdechł tu w jakimś rowie, mówisz mi o jakichś tajemnicach, coś tam ukrywasz, szukasz mnie, uciekasz, prosisz o przysługi, mierzysz mi w głowę z pistoletu... – Kręcił głową z niedowierzaniem. – Wybieraj! Zaufaj mi albo nie, ale wybieraj! Raz na zawsze!

Zastrzel go. Tak brzmiał spójny pomruk płynących w powietrzu głosów. Paul zbyt dużo wiedział. Paul zbyt dużo chciał. Paul wniknął w jej głowę i nie pozwalał jej logicznie i rozsądnie myśleć.

Opuszczenie lufy sprawiło Faith ból. Kiedy delikatnie zabezpieczała pistolet przed przypadkowym wystrzałem, wydawało jej się, że słyszy, jak drzewo syczy, i czuła się tak, jakby zdradziła ojca i jego najgłębsze tajemnice. Paul wypuścił powietrze z płuc i rozluźnił się.

– No cóż... Jest już trochę za późno, żeby ci przeszkodzić w zobaczeniu drzewa – powiedziała Faith, próbując uspokoić głos. – Teraz chyba muszę albo ci zaufać, albo cię zastrzelić, a przeładowanie pistoletu byłoby irytujące.

– Miała nieprzyjemne uczucie, że to, co powiedziała, wciąż brzmiało jak usprawiedliwienie.

Paul podszedł do niej, robiąc kilka niepewnych kroków.

– Myślałem, że sobie idziesz – powiedziała Faith lakonicznie.

– Pójdę, jeżeli chcesz. – Paul rozejrzał się wokół i z podejrzliwą miną kilka razy uderzył dłonią w pędy drzewa, odsuwając je od twarzy. – To nie jest dobre miejsce. Nic tak szybko nie rośnie. Nic, co dwa tygodnie temu było w pudełku, nie powinno być takie duże. A ja wciąż słyszę... – Zamilknął, po czym pokręcił głową. – Coś jest nie tak z tą rośliną.

– Ja jeszcze nie do końca ją rozumiem – przyznała Faith, czując, że znowu staje na pozycjach obronnych. – Nie rozumiem, skąd bierze wodę, może pobiera minerały i elementy odżywcze ze skały jaskini, ale jej energia... – Wzruszyła ramionami. – Może jest mięsożerna.

– A czy je ludzi? – Paul nie wyglądał na pocieszonego.

– Raczej nie. – Faith dotknęła dłonią najbliższego pędu. Była zazdrosna o swoje drzewo, sekrety swojego ojca. A jednak zrobiła coś nieodwracalnego, opuszczając broń. Zgodziła się komuś zaufać i zrobiła ogromną, ohydną wyrwę we własnej zbroi.

– Drzewo żywi się kłamstwami – powiedziała. – Kłamstwami, w które wierzą inni ludzie. To jest swego rodzaju istota symbiotyczna – przeżywa, współpracując z innym gatunkiem. Ludzie karmią je kłamstwami, a ono rodzi owoce, które dają wizje sekretów i utajonych prawd. W to przynajmniej wierzył mój ojciec.

– A miał rację? – spytał obcesowo Paul.

Oczywiście, że miał rację! – Faith chciała głośno krzyknąć. *Mój ojciec był geniuszem i doskonale wiedział, co robi, nie zniszczyłby sobie kariery ani przyszłości rodziny bez powodu!* Milczała, ale złapała się na tym, że chłodnym, analitycznym umysłem przygląda się dowodom. Czy fakt, że owoc

nabrzmiał, mógł być przypadkiem? Czego naprawdę dowiedziała się z tych wizji?

– Wciąż nie mogę być do końca pewna – przyznała niechętnie. – Wydaje mi się, że owoc otwiera jakieś trzecie oko i pokazuje mi rzeczy, o których nie wiedziałam... Ale z drugiej strony, nie wiem, do jakiego stopnia są one prawdziwe. – Zmrużyła oczy. – Będę wiedziała lepiej, jeśli znajdziemy mordercę.

– Jadłaś owoce z tego czegoś? – To było dla Paula bardziej przerażające niż pistolet.

– Tak, i przypląnąłam tu po to, żeby znowu to zrobić. – Faith obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. – Muszę! Jeżeli ci się to nie podoba, możesz odejść. A jeśli zostaniesz, to przynajmniej się na coś przydasz. Ten owoc sprawi, że zapadnę w trans. Próbowałam się przywiązywać do czegoś, żeby nie wędrować jak lunatyk, ale to... nie do końca się udało. Byłoby dobrze, gdyby ktoś nade mną czuwał. Możesz w tym czasie dokonywać obserwacji.

Paul podszedł do niej i przyglądał się linie, zwiniętej na ramieniu Faith. Nie wyglądał na zadowolonego z tego, co ma się stać.

– Pięć minut temu w ogóle mi nie ufałaś i nie wolno mi było zrobić nawet kroku. A teraz chcesz, żebym cię pilnował, kiedy będziesz nieprzytomna?

– Powiedziałaś mi, że mam wybierać – odparła krótko Faith.

Owoc był, jak zwykle, gorzki i posłał ją gdzieś w dół ciemną, wijącą się drogą, na której było słychać echa końskich kopyt uderzeń jej serca.

Później było już zbyt ciemno, żeby cokolwiek widzieć, ale wiedziała, że przedziera się przez dżunglę. Pod stopami nie było skał. Wspinała się i gramoliła, pokonywała kocie kołyski winorośli, które tworzyły wiszące mosty między olbrzymimi pniami drzew, wchodziły na potężne, drewniane spirale, jakby były stopniami schodów. A powietrze cały czas szumiało i pomrukiwało kłamstwami.

Kłamstwa były przyjemne. *Wciąż wyglądasz pięknie. Kocham cię. Wybaczam ci.*

Były też kłamstwa pełne lęku. *Ktoś inny mógł je zabrać. Oczywiście jestem anglikaninem. Nigdy przedtem nie widziałem tego dziecka.*

Były też kłamstwa czające się jak drapieżniki. *Kup ten tonik, jeżeli chcesz, żeby twoje dziecko przeżyło. Będę się tobą opiekować. Twoja tajemnica będzie bezpieczna.*

Półprawdy, półkłamstwa i pełne napięcia, krótkie cisze, w których powinna pojawiać się cała prawda. Kłamstwa jak noże, kłamstwa jak okłady i kompresy. Pręgi tygrysa i płowa sierść młodego jelenia. I wszędzie, wszędzie kłamstwa, którymi karmią się ludzie. Sny i marzenia jak cięte kwiaty, bez dającego życie korzenia. Cieniutkie kosmyki światła, dzięki którym czują się mniej samotni w ciemności. Puste postanowienia i bezsensowne wyjaśnienia.

Faith nie zwracała na nie uwagi, ale wspinała się i pięła w górę, bo czuła zapach tytoniu z fajki ojca.

Odnalazła ogromny, szeroki na trzydzieści metrów węzeł pnączy, który wisiał, przypominając kokon pająka. Przez szczeliny i pęknięcia wpełzał niebieski dym, a Faith czuła, że boli ją serce, bo rozpoznaje ten zapach. Rozrywała pnącza palcami, wyciosywała dziurę w roślinie, a później z trudem przeciskała się przez otwór.

Znalazła się w gorącej, ciemnej piwnicy. Na tle pomalowanych na biało ścian widać było maleńkie, czarne ślady zabitych komarów. Było tu tylko jedno wysokie okienko, przez które przeziarało burzliwe, purpurowo-szare niebo, wdzierał się do środka ryk deszczu i zapach ciepłego błota.

Na klepisku leżał mężczyzna. Nogę miał zakutą w kajdany, ale był ubrany jak dżentelmen. Jego brązowe wąsy i broda, kiedyś starannie przystrzyżone, teraz zwisały w nieładzie, na policzkach i podbródku widniał wyraźny zarost.

Włosy miał zlepione od potu i brudne, pod oczami malowały się cienie przypominające opuchliznę.

– Musisz mi pomóc – powiedział. – Musisz z nimi porozmawiać, Sunderly. Powiedz im, kim jestem i dlaczego tutaj trafiłem. Masz dokumenty od konsula – posłuchają cię. Możesz za mnie poręczyć.

Najpierw Faith myślała, że mężczyzna mówi do niej. Później tuż obok pojawiła się lekka mgiełka błękitnego dymu. Odwróciła głowę i zobaczyła ojca – wielebnego Erasmusa Sunderly’ego. Skóra błyszczała mu od potu, ale poza tym wyglądał nienagannie.

Faith chciała go objąć, ale coś kazało jej się cofnąć o krok. Zapomniała, jak nieosiągalny potrafił być jej ojciec. Kiedy obrzucał kogoś swoim zimnym, nic niemówiącym spojrzeniem, jego obecność nie różniła się niczym od nieobecności.

– Panie Winterbourne – powiedział swoim zwykłym chłodnym tonem. – Prosi mnie pan, żebym poręczył za pana charakter – żebym dał słowo jako dżentelmen. A ja prawie pana nie znam. Spotkaliśmy się mniej niż dwa tygodnie temu. Wiem tylko tyle, co powiedzieli mi pan i pańscy znajomi, a to, co usłyszałem, było fantastyczne i niewiarygodne.

– Bardzo proszę! – Winterbourne był nieszczęśliwy. – Niech pan się zastanowi nad tym, że nie jestem tu sam – nie tylko ja będę cierpieć! Miejże pan litość!

– Jeśli będzie mi pan mógł udowodnić, że ta historia jest prawdziwa – odparł wielebny – i przekona mnie pan, wtedy da mi pan sposób na przekonanie władz. Niech pan powie, gdzie mogę znaleźć drzewo mendacity. Jeśli będzie odpowiadało pańskim opisom, wtedy panu zaufam.

Skuty łańcuchami mężczyzna wyglądał na zdziwionego, później na jego twarzy malował się przez chwilę wyraz wściekłości i uporu. Winterbourne spojrział wielebnemu prosto w oczy, po czym opuścił wzrok i jego twarz nie



wyrażała już żadnych emocji.

– Nie mam wyboru. Muszę panu zaufać – powiedział gorzkim tonem. – Zanim mnie pojmano, znalazłem notatki Kikkerta. Jeżeli dobrze zrozumiałem jego mapę, pięć kilometrów na północ od jego domu jest budynek – przy brzegu rzeki, która płynie przez las bambusowy. Sądzę, że roślina jest tam ukryta. Ale niech pan się pośpieszy, Sunderly.

Wielebny skłonił się formalnie, odwrócił i odszedł parę kroków, po czym zastukał kilka razy pięścią w ścianę. Drzwi się otworzyły, on przeszedł przez próg, jeszcze raz odwrócił się i omiół spojrzeniem celę. Przez chwilę wydawało się, że patrzy prosto w oczy Faith. Jego wzrok był zimny jak głaz. Później zamknął drzwi.

Faith podbiegła do nich, poczuła pod dłońmi nieheblowane drewno i usłyszała ciężki, metaliczny dźwięk zasuwki zamykającej je z drugiej strony. Przyłożyła ucho do skrzydła drzwi i usłyszała niewyraźny głos ojca.

– Nie. – Głos był precyzyjny i chłodny jak skalpel. – Jeśli ten dżentelmen jest przekonany, że mnie zna, to jest w błędzie lub w delirium. Nigdy go nie widziałem.

Monsunowy deszcz stanowił ogłuszający aplauz do tych słów. Ciemność zamknęła się jak pięść.

Faith obudziła się, czując chłód i wewnątrz, i na skórze. Jeszcze nigdy nie było jej tak zimno. Przypomniała sobie opis rozmowy z Winterbourne'em z dziennika ojca.

*Przyrzekłem mu, że zrobię wszystko, żeby odzyskał wolność, a on zwierzył mi się ze swoich ostatnich podejrzeń dotyczących lokalizacji drzewa mendacity, błagając mnie, żebym je odnalazł, jeśli on nie będzie mógł. Nie potrafiłem mu pomóc. Gorączka zabiła go w celi na długo przed tym, zanim udało mi się załatwić jego zwolnienie.*

Teraz zastanawiała się, dlaczego zawsze czuła, że w tych słowach jest

jakieś oszustwo. Winterbourne nie ujawnił lokalizacji drogocennej rośliny Kikkerta z własnej i nieprzymuszonej woli; to ojciec Faith wydusił z niego tę informację. Mało tego, wielebny nie próbował ratować Winterbourne'a. Skłamał, żeby móc odnaleźć drzewo.

A Winterbourne umarł.

Faith poruszyła się nieco. Tym razem lina obwiązana wokół jej talii nie poluzowała się. Otworzyła oczy i zobaczyła Paula siedzącego w pewnej odległości, odwróconego do niej plecami. Jego oczywista obojętność sprawiła, że poczuła się jeszcze bardziej samotna. Dopiero po chwili spojrzała w dół i zobaczyła nieznaną, obcą chusteczkę udrapowaną na swoim ramieniu.

Faith uniosła rękę i stwierdziła, że ma mokre policzki. Płakała, nie wiadomo jak długo. Szybko otarła twarz, przez chwilę się uspokajała, a później odchrząknęła, żeby Paul wiedział, że może się już odwrócić. Natychmiast popatrzył na nią i podszedł, a potem dał jej do ręki butelkę z wodą. Jak zwykle jego twarz była starannie pozbawiona emocji.

– Jak długo to trwało? – spytała, a głos jej chrypiał jak stare miechy kowalskie.

– Jakąś godzinę – powiedział Paul. – Widzisz mnie już?

Faith skinęła głową.

– Wizja się skończyła. Jak wyglądają moje oczy?

Paul unióś latarnię i spojrzał, a później zrobił nagły krok do tyłu, jak gdyby coś go zakłuło.

– Jak stopione masło na patelni – powiedział. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Co to znaczy?

– To znaczy, że wciąż jestem jeszcze pod wpływem owocu. – Faith zaczęła tępo strzępić swoje więzy. – Ja... Nie czuję, jakbym była pod jego wpływem, ale ostatnim razem też tak było. Nie pozwól mi chwycić żadnych szczurów.

Paul skinął głową i widać było, że wszystkie elementy układanki w jego głowie zaczynają do siebie pasować.

– Czy tym razem dowiedziałaś się tego, czego chciałaś?

– Chyba tak. – Faith z trudem udało się odplątać linę i stanęła na drżących nogach. – Ale żeby się upewnić, muszę zajrzeć do rejestru parafialnego. Gdzie go trzymacie?

– W zakrystii. A nie powinnaś trochę odpocząć?

– Nie. – Faith pokręciła głową i oparła się o filar, żeby ustać. – Rozprawa jest jutro. Rano muszę mieć gotowy plan. Muszę dzisiaj wieczorem zobaczyć te rejestry.

– Nigdy nie prosisz o zbyt wiele, prawda? – powiedział Paul ponuro. A jednak, ku zdziwieniu Faith, nie odmówił.

## ROZDZIAŁ 32

# Egzorcyzmy

Kiedy szli, Faith zauważyła, że Paul odgradza ją od klifu, bojąc się może, że w jakimś szalonym tańcu skoczy w dół, wciąż pod wpływem owocu. Prawie nie rozmawiali, dopóki nie dotarli do czarnego, smukłego palca wieży kościelnej.

– Musimy być cicho – szepnął Paul, kiedy zbliżali się do okutych mosiądzem drzwi kościoła. – Jeanne Bisette będzie spała na którejś z ławek. Poczekaj tu. Muszę pójść po klucze do skrzyni parafialnej. – Zniknął, udając się w kierunku plebanii.

Faith stała sama na podwórcu kościelnym, wciąż czując ból spowodowany chłodem. Jasne światło księżyca odbijało się od maleńkich szybek okiennych jak od łusek jaszczurki.

Po chwili dostrzegła grób wykopany dla jej ojca. Obok wciąż leżała kupka ziemi, ale ktoś z podziwu godnym pragmatyzmem włożył do środka napełnione czymś worki, prawdopodobnie po to, żeby nikt nie wpadł do grobu.

Gdyby Jeanne nie rozsiewała wrednych plotek, ojciec Faith leżałby bezpiecznie pod pierzyną ziemi zamiast w krypcie kościelnej, czekając na nieznaną los.

Faith wyciągnęła rękę i sięgnęła do wielkiego, metalowego kółka znajdującego się na drzwiach do kościoła. Jak się okazało, po przekręceniu kółka drzwi otworzyły się szeroko. Po chwili namysłu dziewczyna zdała sobie

sprawę, że Clay prawdopodobnie nie chciał zostawić młodej kobiety zamkniętej bez pomocy wewnątrz kościoła.

Weszła do środka. Nieoświetlony kościół bez tłumu wiernych wydawał się znacznie większy. Księżyc świecił przez witraże, rozlewając rozwodnione srebrnym światłem kolory na najbliższe ławki. W środku było zimno i Faith zobaczyła własny oddech zamieniony w chmurkę pary.

Jeanne Bisette leżała w przedniej części nawy, skulona na jednej z obudowanych ławek i przykryta kocem. Spała, a jej oddech nieprzyjemnie charczał. Skórę miała bladą i woskową, przypominającą Faith chropowate łuski węża.

*Nie mogę nic zrobić, żeby jej teraz pomóc – powiedziała sobie Faith. Potrzebuję jeszcze jednego dnia. Potem już nic nie będzie miało znaczenia.*

A jednak ciemne cienie pod oczami Jeanne miały kolor śliwki, tak jak u Winterbourne'a z jej wizji. Kto wie, może ojciec mówił sobie to samo. *Potrzebuję jeszcze jednego dnia, żeby znaleźć drzewo. Winterbourne przeżyje w tym więzieniu trochę dłużej. Gdy tylko będę miał roślinę, załatwię mu zwolnienie.*

Faith zastanawiała się, co powiedzieliby ludzie, gdyby pewnego dnia znaleźli Jeanne Bisette na ławce, zimną i siną. Może wyjęliby worki z dziury obok kościoła i tam ją pochowali. W tej wizji była pewna okrutna poezja. Raz jeszcze Faith drżała na granicy niemożliwego, tak jak wtedy, kiedy stała przed drzwiami biblioteki ojca, chcąc zapukać i wyznać mu swoje winy.

– Naprawdę, czy zawsze muszę wszystko robić dla ciebie? – syknęła pod nosem. – Ja cię nawet nie lubię!

Jej wypowiedziane teatralnym szeptem słowa były zadziwiająco głośne w ciszy kościoła. Powieki Jeanne zadrżały i obudziła się. Przestraszyła się, widząc pochylającą się nad sobą, odzianą w płaszcz postać, ale później zamrugała oczami i jej spojrzenie stało się rozumniejsze.

– Panna Sunderly? – spytała niedowierzającym tonem.

– Masz dokąd pójść? – odparła Faith szeptem.

– Dokąd pójść? – Jeanne usiadła na ławce, włosy opadły jej na twarz. – Ja nie mogę! Nie mogę stąd wyjść!

– Ale... gdybyś mogła? Masz rodzinę albo znajomych na wyspie?

– Mam wuja... – Dziewczyna wciąż nie była do końca rozbudzona i próbowała się domyślić, czy Faith nie jest aby snem albo zjawą. – Ale...

– Nie ma tu żadnego ducha! – powiedziała szybko Faith, jak gdyby mówiła coś obraźliwego albo oskarżycielskiego.

Jeanne bez słowa pokręciła głową. Twarz jej się wydłużyła z wyczerpania i męki.

– Nie ma żadnego ducha – powtórzyła Faith. – To wszystko byłem... ja. Ja jestem duchem. Ja zamieniłam druty dzwonek służby, ja zatrzymałam zegary, ja paliłam tytoń ojca w bibliotece i przesuwałam rzeczy. Ja zostawiłam czaszkę w twoim łóżku.

W miarę jak Faith mówiła, Jeanne rozbudzała się i ożywiała. W końcu stała się na powrót czujna, jej oczy się rozszerzyły i niebezpiecznie ściemniały.

– Ty? Dlaczego?

– Nienawidziłam cię – odparła Faith po prostu. – Ty opowiedziałas wszystkim o tym, że śmierć mojego ojca to było samobójstwo. Pozbawiłaś go grobu.

Jeanne z trudem wstała na równe nogi i patrzyła na Faith, jak gdyby z jej ust wyslizgiwały się węże. Zacisnęła szczęki, zaczęła szybko i wściekle oddychać. W jej oczach zabłyśły łzy zawstydzenia i wściekłości.

– Ty... Ty czarownico! – Głos Jeanne się załamał. – Mam nadzieję, że serce twojego drogiego ojca przebiją osinowym kołkiem! Mam nadzieję, że zrobią to na twoich oczach! Mam nadzieję, że cała twoja rodzina skończy na ulicy!

Była wyższa i silniejsza niż Faith i bez trudu mogłaby ją pokonać w walce. Choć walka oczywiście nigdy nie byłaby uczciwa. Jeanne Bisette zawsze zbierałaby baty od losu za to, że uderzyła Faith Sunderly, a Faith Sunderly nigdy nie usłyszałaby złego słowa za to, że uderzyła Jeanne Bisette. Karanie kogoś z tej pozycji było znacznie łatwiejsze i Faith zawstydzila się na tę myśl.

– Wszystkim rozpowiem! Wszystkim! A jak skończę, nie będziesz mogła wytknąć nosa za drzwi! – Jeanne odwróciła się i rzuciła pędem do wyjścia, po chwili zniknęła na dworze, w świetle księżyca.

Kilka minut później Paul zjawił się na progu, trzymając w ręce pęk kluczy. Spojrzał wymownie na podwórzec kościelny, a później – pytająco – na Faith.

– Wyszła – powiedziała Faith.

– A co ty tu robiłaś? – spytał.

– Rujnowałam wszystkie plany bez powodu. – Przez jakiś czas brakowało Faith czegoś ważnego w jej własnym wnętrzu. Teraz zdała sobie z tego sprawę i czuła, że na powrót trzyma maleńką nić tego czegoś. Nie poczuła się lepiej, wręcz przeciwnie, ale tak czy inaczej miała w ręku nić. – Pewnie niedługo o tym usłyszysz. Wszyscy usłyszą.

– Co chcesz powiedzieć, mówiąc, że twoje plany są zrujnowane? – spytał ostro Paul. – Nie mów mi, że już nie potrzebujesz tej fotografii!

– Potrzebuję! – odparła pospiesznie Faith. – Zrobiłeś ją? Jest gotowa?

Paul sięgnął do kieszeni i wyjął małe tekturowe zdjęcie. Zmarszczył brwi, jak gdyby siłą woli dokonywał ostatnich zmian.

– Nie było łatwo – mruknął i podał jej fotografię, wciąż zmarszczony. – Lepiej już nie będzie.

Faith spojrzała na nią i poczuła szok. Paul wykorzystał zdjęcie z wykopalisk zrobione w dniu, kiedy Faith po raz pierwszy szkicowała. Z przodu byli doktor Jacklers i Lambent, wpatrujący się intensywnie w róg tura. Za nimi, nieco z boku, widniały postacie pani Lambent i Faith, ta ostatnia

ukryta w cieniu i tylko częściowo w kadrze. A obok ściany „namiotu Beduina” dostrzec można było na wpół widoczną postać o jakże znanych senatorskich rysach, kopulastym czole i chłodno odległych oczach...

Przez chwilę Faith nie rozumiała, jak przetransportowano tu jej ojca. Dopiero po chwili przypomniała sobie o wuju Milesie. Rzeczywiście, wujowi Faith kazano stać za namiotem i kontrolować wydymające się płótno. Jednak nie byłby sobą, gdyby nie znalazł sposobu, aby się nachylić i pojawić na zdjęciu. Paul bardzo dokładnie wyciął twarz wielebnego i wkleił ją na twarz jego szwagra. Efekt był niesamowity.

– To jest... – Faith ugryzła się w język. Komplementy były sprzeczne z regułami jej rozmów z Paulem, ale w tym wypadku były nieuniknione. – Świetna robota – przyznała niechętnie. Ostrożnie włożyła zdjęcie między kartki notesu i odłożyła go. Nie do końca wierzyła, że Paul zareaguje na jej obłudne wyzwanie i przygotuje tę fotografię. Impulsywne wariactwo to jedno, ale to zadanie wymagało czasu, wysiłku i chłodnej precyzji. – Dziękuję – dodała pod nosem. Nie była pewna, czy to usłyszał.

Trzymając latarnię w ręku, Paul poprowadził ją przez kościół do małej zakrystii, gdzie zatrzymał się i przekręcił trzy klucze w trzech zamkach podniszczonej, staroświeckiej skrzyni. Otworzył wieko i wyjął dużą księgę oprawną w skórę.

Podał ją Faith, a ona zaczęła przeglądać kartki, skupiając się na zapisach dotyczących zawieranych małżeństw. Kiedy dotarła do roku 1860, zatrzymała się.

– Mam – szepnęła. Postukała palcem w jedno ze starannie wypisanych nazwisk.

– To nazwisko coś dla ciebie znaczy? – spytał Paul, zaglądając jej przez ramię.

Faith skinęła głową.



– To znaczy, że wiem, kim są zabójcy, wiem, jak się dowiedzieli o drzewie i dlaczego mogli nienawidzić mojego ojca.

Dzienniki pastora zawsze były kluczem, ale Faith tego nie rozumiała. Przemknęła wzrokiem nad jednym krótkim zdaniem, które mogło jej wyjaśnić wszystko, co powinna wiedzieć.

*Odkryłem, że Winterbourne'owie wynajęli pokoje w podrzędnej gospodzie.*

Nie „Winterbourne”, ale „Winterbourne'owie”. Hector Winterbourne podróżował po Chinach z żoną. Wielebny nie widział powodu, żeby o niej wspomnieć. Jej istnienie nie wydało mu się znaczące ani ważne.

W świetle latarni Faith odczytywała marmurowe tablice na ścianach. Dzisiaj jej oko uważnie wychwytywało wszystkie nazwiska kobiet.

*Anna, ukochana matka...*

*Ku pamięci jego najdroższej siostry Elisabeth...*

*I tu również leży Amelia, jego kochająca żona...*

Kim one były, wszystkie te matki, siostry i żony? Kim były teraz? Księżycami, wyblakłymi odbiciami świecącymi pożyczonym światłem, każda lojalnie obracająca się wokół większej kuli.

– Niewidzialne – powiedziała Faith pod nosem. Kobiety i dziewczęta były niewidoczne, zapomniane, nie poświęcano im uwagi. Sama Faith korzystała z tego zjawiska celowo, ukrywając się w świetle dnia i żyjąc podwójnym życiem. Dopiero teraz zdała sobie jednak sprawę, że oślepiało ją to samo światło niewidzialności – niewidzialności umysłu.

W księgach parafialnych zapisano małżeństwo Anthony'ego Lambenta i pani Agathy Winterbourne (wdowy).

## Proch i iskra

Następnego dnia rano wstał bezlitośnie jasny i słoneczny. Śpiew ptaków brzmiał okrutnie głośno, rozrywając sny Faith. Znowu zbudziła się we własnym łóżku, czując ból za oczami i mając wrażenie, że po jej wnętrznościach przejechał walec. Kiedy gorączkowo piła wodę, przypomniała sobie przygody poprzedniego wieczora. Odwiedziny u drzewa kłamstw, spotkanie z Paulem, drogę do kościoła, rozmowę z Jeanne i to, co ujawniły księgi parafialne... A później, po omówieniu strategii z Paulem, wymknięcie się z powrotem przez morską jaskinię i wiosłowanie do brzegu.

Będzie musiała działać szybko, zanim Jeanne ujawni wszystkim na wyspie ciemne oblicze Faith. Nie bała się tego. Czowała odrętwienie rezygnacji, kiedy o tym myślała. Miała tylko nadzieję, że los da jej szansę zagrać ostatnimi kartami, zanim prawda dotrze do prowadzących wykopaliska.

Tego dnia nie było powozu, który by ją tam zawiózł, więc włożyła ubranie nadające się do marszu, sięgnęła po szkieletnik i ruszyła w drogę na piechotę.

– Panna Sunderly! – Ben Crock wyglądał na niepomnie zdziwionego, kiedy Faith pojawiła się jakiś czas później na terenie wykopalisk, jej spódnica była przykurzona, a twarz błyszczała od gorąca i potu. – Całą drogę przeszła panienka piechotą?

– Rozprawa dotycząca mojego ojca odbędzie się dziś po południu – odparła Faith, nieco zdyszana po wędrowaniu w dół i w górę krętą ścieżką. –

Później chyba moja rodzina opuści wyspę Vane. To może być moja ostatnia szansa na pobyt na terenie wykopalisk. – Pomyślała o Myrtle i zrobiła wielkie oczy, była bezbronna i niepewna. – Uważa pan, że dżentelmeni mnie zawrócą?

Crock patrzył na nią przez chwilę niezdecydowanie, jak gdyby zastanawiając się, czy sam nie powinien odprawić jej do domu. Nie miał jednak pod ręką żadnego powozu, a Faith liczyła na to, że nie zmusi jej do powrotu na piechotę.

– To chyba nie będzie żaden problem, panienko – powiedział, rzucając spojrzenie w kierunku małego urwiska. – Dżentelmeni są dzisiaj bardzo zajęci. Wczoraj tunel otworzył się na szyb. Wygarniamy gruz i kamienie, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

– Znaleźli coś? – zapytała Faith z uprzejmą ciekawością. Prawdę mówiąc, wiedziała tyle samo co on. Paul opowiedział jej o ostatnich rewelacjach z terenu wykopalisk.

– Partie żwiru przelatują przez pęknięcia, poniżej, pod podstawą szybu, jest jeszcze jedna pieczara, tak jak myśleliśmy. Jest tam gruba warstwa brekcji, więc będziemy wysadzać skałę prochem, żeby oczyścić sobie drogę w dół.

– Przypuszczam, że wszyscy dżentelmeni będą się przypatrywać wysadzaniu skał?

– Na pewno, panienko – Crock wykrzywił usta w czymś, co przypominało uśmiech. – Chyba nikt nie chciałby tego przegapić.

Faith miała te same odczucia. Jeżeli jest szansa na przedostanie się do nowej podziemnej komnaty, wszyscy uczeni dżentelmeni będą chcieli to zobaczyć – choćby z obawy, że ktoś inny zacznie wykradać kości do własnej kolekcji albo nazywać skamieliny swoim nazwiskiem. Każdy, kto ma jakieś znaczenie, będzie tam dzisiaj. Na to liczyła.

Kiedy szła w kierunku małego jaru, rzucono na nią kilka ciekawskich spojrzeń, tak jak pierwszego dnia, ale wszyscy byli zbyt zajęci, żeby

kwestionować jej obecność.

Wuj Miles, który jak uczeń kręcił się koło tunelu, zobaczył ją kątem oka i zbladł. Faith rzuciła mu krótki, płaski uśmiech zdechłej ryby. Wciąż czuła na ramionach ślady po jego palcach. Robił dosłownie wszystko, byle tylko na nią nie spojrzeć.

Minęła doktora Jacklersa, który wyglądał na nieco zakłopotanego, ale miał na tyle klasy, żeby się uklonić.

– Dzień dobry panu, doktorze Jacklers – powiedziała łagodnie Faith. – Jak się czuje panna Hunter?

– Na tyle dobrze, żeby sobie stroić żarty z zaleceń lekarza. – Doktor zmarszczył brwi. Widać było, że to jakiś punkt sporny.

Faith poczuła ulgę, słysząc te wieści. Jeżeli panna Hunter znów wkurza doktora Jacklersa, to prawdopodobnie jest nadzieja, że dojdzie do siebie.

Lambent chodził tam i z powrotem ze swoim biczykiem. W wąwozie obecni byli zarówno Clay, jak i Paul, ten ostatni z trójnogiem do aparatu i skrzynką na sprzęt. Dziś było tam więcej kopaczy niż zwykle – ustawiali worki z piaskiem i żwirem wokół wejścia do tunelu, tworząc niską ścianę w kształcie końskiej podkowy.

Słynny „namiot Beduina” został postawiony obok wejścia do tunelu. Faith spojrzała w górę, na szczyt grani, i zobaczyła jego targany wiatrem dach. Widać z tego, że został ustawiony obok maszyny wyciągowej transportującej kosz.

Faith usadowiła się na kamieniu w rogu i otworzyła szkicownik. Po chwili podszedł do niej Paul Clay i ustawił trójnog na nierównym gruncie. Nawet na siebie nie spojrzeli. Nikt, kto ich obserwował, nie mógłby odgadnąć spisku zawiązanego między synem wikarego o kamiennej twarzy i nieśmiałą, choć błyskotliwą córką proboszcza.

– Ona tam jest? – mruknęła Faith, próbując nie poruszać ustami.

– Tak – odparł pod nosem Paul, wpatrując się intensywnie w podstawę trójnogu. – Przesunęli namiot wyżej, żeby ją ochronić przed skutkami wybuchu i posadzić w pierwszym rzędzie, kiedy ludzie będą zjeżdżali na dół. Jesteś pewna, że sztuczka z duchem na nią podziała?

Jeżeli Faith ma rację, to ma do czynienia z dwojgiem morderców o różnych temperamentach. Jeden z nich odwrócił uwagę ojca, a drugi uderzył, żeby zabić. Jeden był przerażony plotkami o duchu, a drugi – całkiem spokojnie chodził po „nawiedzonej” ziemi i sam został pomyłony z duchem. A zatem ktoś posłuszny i przywódca. Słabe i silne ogniwo.

– Nie, ale mogłabym się o to założyć. – Faith pomyślała o tych wszystkich *memento mori* w bawialni pani Lambent. – Ona uważa, że jest u bram śmierci, więc spędza większość czasu, wpatrując się przez nie w mrok. Jest po czubek głowy otoczona książkami do nabożeństwa i wieńcami darowanymi w dobrych intencjach.

– Wkrótce się okaże. Kiedy dociśniemy śrubę. – Paul postąpił zgodnie z tym, co mówił, i kilka razy przekręcił śrubę na trójnogu. – A jego jesteś pewna?

Faith udało się spojrzeć w kierunku górującej nad wszystkimi postaci Anthony’ego Lambenta.

– Agatha jest lojalną żoną – powiedziała pod nosem.

„Żona nie zawsze może opanowywać impulsy męża – powiedziała kiedyś Agatha Lambent – ale zawsze musi starać się chronić go przed konsekwencjami”.

– Ma motyw, żeby nienawidzić ojca, ale nie ma powodu, żeby pragnąć drzewa na własność – mówiła dalej. – On – tak. Jest kolekcjonerem, przyrodnikiem... I chce być posłem do parlamentu. Nikt nie potrafi rozsiewać kłamstw tak dobrze jak polityk.

– Więc musimy go usunąć z drogi.

Plan Faith polegał na tym, żeby wywierać nacisk na „słabe ogniwo”, aż pęknie. Nie było na to szans, gdy obecne było „silne ogniwo”.

– Kiedy otworzą wejście do nowej pieczary, wszyscy dżentelmeni będą chcieli zjechać tam jako pierwsi. – Faith zmarszczyła brwi. – Musimy zrobić tak, żeby pan Lambent postąpił zgodnie ze swoim życzeniem.

W końcu uznano, że barykada z worków z piaskiem jest wystarczająco wytrzymała. Do tunelu ostrożnie wtoczono beczkę prochu, po czym wszyscy oprócz Crocka wyłonili się z ciemności. Dżentelmeni i robotnicy zajęli pozycje, przykucając w rowie za barykadą, i uwaga wszystkich skupiła się na wejściu do tunelu.

Godzi się chronić damę, więc przesunięto Faith poza skałę, a opiekun bezcennego aparatu fotograficznego, Paul, wycofał się za inny fragment skalny. Ani jedno, ani drugie nie zostało na swoim miejscu.

Spotkali się za grupą namiotów. Faith szybko wyjęła masywną torbę ukrytą między dwoma kamieniami i wręczyła ją swojemu koledze-konspiratorowi. Paul odebrał ją bez słowa i ruszył w kierunku drogi.

Faith wyjrzała zza najbliższego namiotu i zobaczyła Crocka wybiegającego z tunelu. Przyglądała się, jak zamyka barykadę worków z piaskiem i rzuca się płasko na ziemię po drugiej stronie.

– Lont się pali! – zawołał. – Niech nikt się nie rusza!

Faith się cofnęła. Rozległ się ogłuszający dźwięk eksplozji, który potrząsnął nią, mimo że była na niego gotowa. Usłyszała tępy odgłos łopotu namiotu, któremu towarzyszyło szarpnięcie płótna. Poczwała w ustach piasek.

Kiedy zaryzykowała kolejne spojrzenie, okazało się, że wejście do jaskini jest niewidoczne za delikatną, rzednącą chmurą dymu i pyłu. Leżący za barykadą mieli przy ustach chusteczki i energicznie kasłali. Każdy wpatrzony był w rozpraszającą się chmurę kurzu, co pozwoliło Faith przemknąć się z powrotem na swoje „bezpieczne” miejsce, a później pojawić się tam jeszcze

raz w sposób bardziej oczywisty i stosowniejszy do jej statusu.

Do tunelu weszli kopacze, żeby oczyścić go z luźnych kamieni i skał. Kilka taczek gruzu później Crock doniósł, że nowo utworzona przez eksplozję dziura rzeczywiście ujawniła kolejną pieczarę poniżej poziomu tej pierwszej.

– Uważam, że otwór jest na tyle szeroki, że przejdzie przez niego kosz, sir – powiedział Lambentowi. – Możemy opuścić go za pomocą maszyny wyciągowej ustawionej na samej górze i zjechać szybem aż do mniejszej pieczary.

– Doskonała wiadomość. – Lambent zatarł ręce. – Crock, niech pan przygotuje kosz. Pan i ja zjedziemy w dół i zobaczymy, jakież to skarby ujawniła dla nas eksplozja!

– A... – Clay odchrząknął, a później nieśmiało podniósł dłoń, by móc uczestniczyć w konwersacji. – Zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdyby Crock został na górze i dopilnował mechanizmu? Ja bardzo chętnie zjadę z panem na dół, panie Lambent.

– A może ja? – podsunął myśl wuj Miles.

– Sir. – Crock osłaniał oczy i patrzył w kierunku drogi. Stukając nieregularnie kopytami, wędrował nią powoli samotny koń. Szedł w dół w kierunku jaru. Ciągnął za sobą wodze.

– Czy to mój wierzchowiec? – zdziwił się Lambent. – Jak to się stało, że nie jest przywiązany?

Koń potrząsnął bladą grzywą i szedł dalej bez celu, lecz nieugięcie wzdłuż krawędzi jaru w kierunku „namiotu Beduinów”. Faith nie widziała pani Lambent, nie mogła więc zgadnąć, jak zareaguje. Crock wspiął się na górę, by przejąć konia, i po kilku prychnięciach i nerwowym przestępowaniu z nogi na nogę zwierzę pozwoliło mu na to, by chwycił wodze.

– W strzemionach są buty! – zawołał. – Włożone tył naprzód! – Wyjął jeden z nich i dokładnie mu się przyjrzał, a później zeszywniał. Spojrzał na Faith,

ale było to spojrzenie pełne niepokoju, nie podejrzliwości. Później Crock zszedł z powrotem w dół i pokazał but Lambentowi, szepcząc mu coś do ucha. Faith wiedziała, że na pewno zastanawiają się nad monogramem.

E. J. S.

– Koń bez jeźdźca z butami włożonymi w strzemiona tyłem naprzód? – powiedział Clay przyciszonym tonem. – Słyszałem o takich rzeczach na pogrzebach wojskowych.

Lambent przez kilka sekund gapił się bez ruchu na but. Później podszedł energicznym krokiem do wuja Milesa i uniósł but, przybliżając go do jego twarzy.

– Co pan knuje, Cattistock? – zapytał obcesowo.

– Pan wybaczy? – Zakłopotanie sprawiło, że twarz wuja Milesa stała się jeszcze bardziej okrągła.

– Co to za gierki? – Lambent przestąpił z nogi na nogę i wydawało się, że wyrósł jeszcze wyżej, rozpostarł ramiona, napęczał od nabrzmiałych emocji. Potrząsnął butem. – To, drogi panie, jest but do jazdy konnej. Rzecz, drogi panie, zrobiona ze skóry i gwoździ. I nie znika z mojej ręki jak dym. To nie jest jakaś eteryczna fantasmagoria. Jest to przedmiot równie solidny jak pan i ja i śmiem twierdzić, że jeżeli wcisnąłbym go panu w twarz, zostawiłby ślad.

Wuj Miles zrobił pospiesznie krok w tył.

– Nie rozumiem pana, Lambent! – zaprotestował.

– To jest but – kontynuował pan Lambent niebezpiecznie cichym i napiętym głosem – który odbył widmową podróż z pana domu rodzinnego, jak sądzę.

Faith nigdy przedtem nie widziała Lambenta wściekłego. Po incydencie z koszem był oburzony i wytrącony z równowagi, ale nie był to gniew tego samego kalibru. Teraz miał zaciśnięte pięści i Faith zdała sobie sprawę z tego, jakie są ogromne. Przez chwilę poczuła siłę, z trudem kontrolowaną siłę rzeki, która burząc się, z rykiem przelewa się nad śluzą i grozi wylaniem z brzegów.



Jak większość zaatakowanych stworzeń, wuj Miles rozglądał się wokół, szukając wsparcia lub popleczników, ale ich nie znalazł. W końcu jego spojrzenie padło na Faith i coś poruszyło się leniwie w jego spojrzeniu, może zdał sobie sprawę, że to ona mogła przytargać buty wielebnego na teren wykopalisk.

– Niech pan się wynosi! – warknął Lambent.

– Ale obiecano mi...

– Nie, nie będę tego dłużej słuchał! Wynoś się pan!

Rzucając ostatnie podejrzliwe spojrzenie na Faith, wuj Miles umknął, starając się nie stracić przy tym godności.

– Dość już zmarnowaliśmy czasu! – Lambent wrzasnął, a dźwięk ten przypominał ryk wściekłego lwa. – Crock, niech pan przygotuje kosz. Zjadę z Clayem.

– Nie tak szybko! – Doktor, na którym, jak widać, nie zrobił wrażenia wybuch wściekłości sędziego magistrackiego, wciąż tulił w duszy jakąś gorzką skargę. – Nie omawialiśmy tego, kto pierwszy powinien zjechać w dół. Nazbyt pan zapalczywy, panie Lambent!

– Zapalczywy? Panie doktorze, te wykopaliska odbywają się na moim terenie i są opłacane z mojej kiesy.

– A pan już uznał za stosowne to sobie wynagrodzić – wycedził doktor przez zęby.

– Co pan był łaskaw powiedzieć? – Głos Lambenta był teraz niski i zimny.

– Mówię po prostu, sir, że różne maleńkie ptaszki opowiadały mi, że nie wszystkie nasze znaleziska lądują na stole do sortowania i nie wszystkie nasze znaleziska wracają z pańskiego domu po tym, jak zostaną polakierowane. – Doktor miał chłodny, napięty głos kogoś, kto uważa, że jest taktowny. Faith nie mogła zgadnąć, którą z jej plotek usłyszał i w jakiej formie.

– Jak pan śmie! – gromko zakrzyknął sędzia magistracki.

Faith podejrzewała, że lada chwila także doktor Jacklers zostanie wyrzucony z terenu wykopalisk. A to kłóciło się z jej planami.

Ugięła kolana i upadła na ziemię jak worek kartofli.

– Panna Sunderly zemdlą! – Usłyszała tupot nóg biegnących w jej kierunku. Podniesiono ją do pozycji siedzącej i zaproponowano wodę. Doktor zapomniał o swoim gniewie i badał jej puls.

Faith pomachała niezbornie ręką w kierunku „namiotu Beduina”.

– Do cienia – szepnęła błagalnie.

Ktoś pomógł jej przejść zboczem i poprowadził na fotel tuż obok pani Lambent. Żona sędziego magistrackiego nie spojrzała na nią. Jak zwykle była opatulona po uszy, ale dzisiaj jej oczy wyglądające zza szali były niezwykle jasne, a spojrzenie – lękliwe. Dłonie przerzucały nieco bezmyślnie leżące przed nią karty, wyglądała jak niewidomy wróżbita stawiający tarota.

Nie były to jednak karty tarota. Były to miniaturowe sceny, odbitki fotografii robionych podczas wykopalisk, które dostarczył jej tego dnia rano Paul Clay. Unosiły się i opadały lekko w podmuchach bryzy.

– Pani Lambent. – Paul stanął przed żoną sędziego magistrackiego. Ukłonił się lekko z nieco pogrzebową manierą. – Ojciec wysłał mnie do parafii po chemikalia i zastanawiałem się, czy mógłbym pani coś przywieźć z miasta.

– Nie, dziękuję, paniczu Clay.

Paul raz jeszcze się ukłonił, odwrócił, żeby wyjść, a następnie zgarbił się, wyprostował z fotografią w ręce i położył ją na stosie innych odbitek w dół, nawet na nią nie zerkając. Zrobił to tak zręcznie i naturalnie, że ktoś patrzący z boku mógłby pomyśleć, że podniósł ją z podłogi.

Przez sekundę patrzył w oczy Faith. Żadne z nich się nie uśmiechnęło, ale ona zamknęła oczy, powoli opuszczając powieki w kocim uśmiechu. *Dziękuję.*

Przygotowano maszynę wyciągową, po czym wikary oraz sędzia magistracki powoli zniknęli w ciemności. Doktor rzucał im od czasu do czasu niechętnie

spojrzenia, ale nie opuszczał pacjentki. Tuż obok koń Lambenta niezwykle spokojnie pasł się na trawie, przywiązany do ramy maszyny wyciągowej luźnym węzłem.

Po jakimś czasie podszedł Crock i podniósł pięść do czoła.

– Wylądowali bezpiecznie, madame – powiedział. – Mówią, że na dole jest duża pieczara. Będą się tam rozglądać przynajmniej przez pół godziny.

– Nie powinien był tam jechać – powiedziała pani Lambent cicho. – To zły, nieszczęsny dzień... – Przez chwilę nieobecny wzrokiem patrzyła na zdjęcia trzymane w ręce. Nagle twarz jej zamarła i opadła szczęka. Ochryple wciągnęła powietrze, jak gdyby wydawała ostatnie tchnienie, lecz puszczona od tyłu.

– Pani Lambent! – Doktor Jacklers skoczył na równe nogi, a po chwili pospiesznie podszedł do nich także Crock.

Żona sędziego magistrackiego patrzyła na zdjęcie leżące na samym wierzchu stosu, oddychając chrapliwie raz po raz.

– Ten kształt... Który szponami wbija się w namiot...

– Nie, nie – zapewniał ją doktor. – Widziałem odbitkę tej fotografii. To tylko Miles Cattistock walczy z płótnem ścian namiotu.

– Nie! – Pani Lambent wyprostowała się w fotelu i podała fotografię doktorowi, żeby sam mógł się jej przyjrzeć. – Niech pan spojrzy! Niech pan spojrzy na tę twarz! Widzi pan, kto to jest? To Erasmus Sunderly! Wszędzie poznam tę twarz.

– Ale jak to możliwe? – spytała Faith niezbyt głośno, ale wyraźnie. – Jak to możliwe, że pani zna tę twarz? – Jej głos wciął się w rozmowę jak ostrze, wycinając w niej mały otwór ciszy.

Doktor, który wpatrywał się w zdjęcie, podniósł głowę zakłopotany.

– To... bardzo dobre pytanie. Jak pani go rozpoznała? Byłem pewien, że nigdy się nie poznaliście.

– Był u mnie w domu – odparła pani Lambent.

– Ale nie widziała go tam pani – powiedziała Faith. – Nie przyszła pani na kolację, bo gdyby pani przyszła, to by panią rozpoznał. Spotkał panią w Chinach, kiedy podróżowała pani z mężem, panem Hectorem Winterbourne’em, który zmarł na malarię. Niektórzy sądzą, że ma pani słabość do dżinu, pani Lambent, ale ja jestem pewna, że doktor Jacklers wie lepiej. Jest pani lekarzem, więc na pewno wie, dlaczego ma pani nieustanną gorączkę. Może to nawet sam doktor Jacklers powiedział pani, że dżin i tonik to dobre lekarstwo na malarię.

Oddech pani Lambent zamieniał się w niebezpieczny charkot, a za każdym razem, kiedy wciągała powietrze do płuc, dziwacznie wytrzeszczała oczy.

– Panie doktorze. Pani Lambent źle się czuje! – Crock zmarszczył brwi, wpatrując się w żonę swojego pracodawcy.

– Proszę, panie doktorze, niech pan mi pozwoli powiedzieć wszystko do końca! – rzekła Faith nagłym tonem. – Tu chodzi o śmierć mojego ojca, a ja mam dowód, dowód na piśmie! – Niemal widziała lekarza i koronera, którzy toczą walkę w głowie doktora Jacklersa.

– Proszę mówić dalej – powiedział i skinął głową w kierunku Faith. Po raz pierwszy popatrzył na nią spojrzeniem, w którym nie było pobłażliwości ani zniecierpliwienia.

– Pani Lambent nazywała się kiedyś Winterbourne – mówiła dalej Faith. – Można to sprawdzić w księgach parafialnych. Mój ojciec zostawił dziennik, w którym pisze o spotkaniu z Winterbourne’ami, kiedy podróżowali w górę rzeki w poszukiwaniu pewnego eksponatu. Kiedy pan Winterbourne został aresztowany, mojemu ojcu nie udało się załatwić jego zwolnienia.

– Nie udało się! – Głęboki głos pani Lambent drżał od emocji. – Podstępem doprowadził do tego, że zatrzymali Hectora w tej ohydnej dziurze! Równie dobrze mógł go przejechać!

Faith poczuła, że gdzieś w jej żołądku rozplątuje się olbrzymi węzeł. Wybuch pani Lambent potwierdził historię dziewczyny. Słabe ogniwo pękało – Faith miała rację. Teraz musiała tylko utrzymać ciśnienie i wymusić kolejne zeznania.

– Mój ojciec tego dnia, kiedy zmarł, otrzymał rano niepodpisany list, w którym ktoś groził mu ujawnieniem przeszłości i kazał przyjść o północy na spotkanie w jarze w Zatoce Byka. – Faith zawahała się, po czym postanowiła zaryzykować kłamstwo. – Długo nie mogłam znaleźć tego listu. Ale teraz, kiedy go mamy, łatwo będzie zidentyfikować charakter pisma.

Myśl o charakterze pisma sprawiła, że Faith poczuła się niezręcznie. Jakieś wspomnienia zastukały w szybę okienną jej umysłu, ale trwało to tylko chwilę.

– Nie... – szepnęła pani Lambent. – Powiedział, że go spalił... – Kiedy westchnęła, pokazały się białka jej oczu.

– Wiem, że to był pomysł pani męża – mówiła Faith dalej. Wstała i zbliżyła się do starszej kobiety. – Wiem, że pani nigdy nie zaryzykowałaby własnej duszy. Jest pani dobrą żoną.

– Pani Lambent, niech pani nam powie wszystko, co pani wie. – Doktor Jacklers był teraz w każdym calu koronerem. Pochylił ramiona, żeby spojrzeć zonie sędziego magistrackiego w oczy, miał niezwykle poważny i skupiony wyraz twarzy. – Prawo szanuje uczciwość – jeśli zechce mi pani teraz o tym opowiedzieć, w dłuższej perspektywie może to na wszystkim zaważyć.

Pani Lambent otworzyła usta, ale słyhać było tylko świszczący oddech. W końcu z widocznym wysiłkiem nabrała powietrza do płuc i wyrzuciła z siebie długą, chrapliwą sylabę.

– Ben!

Między Faith a słońcem przemknął cień. Był to Ben Crock, który jednym skokiem znalazł się przy doktorze Jacklersie i zaczął dusić go ramieniem. W tym samym czasie pani Lambent rzuciła się do przodu, chwytając

z zadziwiającą siłą nadgarstki Faith.

– Crock, co ty robisz...

– Pozbądź się go, Ben! – rzuciła pani Lambent.

Crock bez mrugnięcia okiem pociągnął doktora w tył, obrócił go jednym ruchem i zrzucił do szybu. Doktor machał rękami, spadając. Kiedy zniknął z pola widzenia, liny asekuracyjne napięły się jak struny harfy. Faith mogła mieć tylko nadzieję, że spowolniły jego upadek.

– Nie zmiażdżyłeś przy okazji mojego męża, Ben? – spytała Agatha Lambent przerażonym tonem, nie puszczając rąk Faith.

Crock pochylił się w bok i nasłuchiwał.

– Chyba nie, madame. On wciąż krzyczy. Wydaje się chyba całkiem zdrowy.

Kopacze przypatrywali się temu wszystkiemu ze spokojem. Nie protestowali, nie biegli, by wyprowadzić Crocka i przycisnąć go do ziemi. Patrzyli na Crocka... Nie, spoglądali na niego, oczekując rozkazów. To byli jego kopacze, jeżeli rzeczywiście byli tylko kopaczami. Crock wszystkich ich wynajął.

– A teraz ty, mała żmijo – powiedziała Agatha, zwracając się do Faith. – Masz dzienniki swojego ojca. Znasz jego tajemnicę. Gdzie jest moje drzewo?

Faith powoli dochodziła do wniosku, że jej dedukcja była poprawna tylko w części.

## Wdowa

### *Pani drzewo?*

Faith w końcu to zrozumiała. Zbyt późno pojęła, dlaczego nęka ją poczucie niepewności.

Charakter pisma. Charakter pisma Lambenta na wezwaniu koronera – duże, niezdyscyplinowane litery, które rozbiegały się chaotycznie po całej kartce. Lakoniczny list pani Lambent do Myrtle w dniu pogrzebu napisany był maleńkimi literami, okrutnymi w swojej precyzji, przypominającymi te na etykietach w gabinecie osobliwości...

– Gabinet! To pani pismo jest na wszystkich etykietach. Te eksponaty przyrodnicze i biologiczne nigdy nie należały do pani męża, tylko do pani.

Faith dopiero teraz zdała sobie sprawę, że miała do dyspozycji wszystkie wskazówki. Przypomniała sobie wypchanego węża, który dusił mangustę. Nic dziwnego, że przypominał jej własne zwierzątko. To był wąż mandaryński. Agatha z pewnością znalazła go podczas pobytu w Chinach.

– Mam doskonały gust, jeżeli chodzi o mężów – powiedziała Agatha. – Ale wszystko to niestety amatorzy.

Jej oddech powoli się uspokajał, wzrok miała stalowy. Faith zastanawiała się, jak mogła jeszcze niedawno pomyśleć, że to Agatha jest tym słabym ogniwem.

– Popełniłam ten sam błąd co wszyscy – powiedziała Faith, zastanawiając

się nad sytuacją. – To pani przez cały ten czas była prawdziwym przyrodnikiem. Winterbourne nie ciągnął pani za sobą w poszukiwaniu drzewa – było na odwrót. Pan Lambent...

– ...to poczciwa, szlachetna duszyczka. I bardzo chętnie słucha dobrych rad – skończyła Agatha pobożnym tonem.

Obraz dominującego męża i lojalnej, ale kruchej psychicznie żony rozpadł się na tysiąc kawałków. Faith zobaczyła impulsywnego, pełnego entuzjazmu mężczyznę prowadzonego na smyczy przez mądrą i mściwą kobietę.

– To pani przekonała męża, żeby zaprosił mojego ojca na wyspę Vane. – Faith wyobraziła sobie Lambenta, który chwytą ten pomysł jak szczeniaczek zabawkę i jest przekonany, że sam to wszystko wymyślił. – Pani kazała mu wynająć Bena Crocka.

W końcu Faith zdała sobie sprawę, dlaczego Agatha tyle czasu spędza na terenie wykopalisk i dlaczego Crock jest wobec niej tak usłużny. Kiedy Lambent puszył się i pozował w pantalonach, jego żona po cichu prowadziła prace na wykopaliskach.

Kiedy Faith to rozumiała, opadła ją dziwna mieszanka radości, frustracji i smutku. Oto ma przed sobą mityczną bestię, której istnieniu wszyscy zaprzeczali – kobietę-przyrodnika.

– Mogłybyśmy być przyjaciółkami – powiedziała Faith.

– Jak widzisz, nie brakuje mi przyjaciół – odparła Agatha chłodno, gestem wskazując milczących kopaczy. – Nasza przyjaźń rozpoczęła się w Chinach, gdzie machinacje twojego ojca sprawiły, że niemal wszyscy zgniliśmy w więzieniu.

– Ale to szaleństwo! – Faith wciąż walczyła, by zrozumieć całą sytuację. – Co pani planuje? Wszyscy będą szukać ludzi, których pani pozrucą do szybu! Mnie też. Ktoś się tu zaraz pojawi, żeby zbadać sytuację. – Jej wzrok powędrował w kierunku szybu. – Jeśli teraz każe pani wydostać doktora



Jacklersa, może przeżyje. W przeciwnym razie to będzie morderstwo i wszyscy będą wiedzieli, że pani jest za nie odpowiedzialna!

– Zaatakowali nas ci bandyci z miasta, którzy przedtem rzucali w nas kamieniami – powiedziała Agatha, nie zmrużywszy powieki. – Zaskoczyli nas, wrzucili biednego doktora do szybu i przez jakiś czas mieli nad nami przewagę, dopóki ich nie odpędziliśmy i nie wyciągnęliśmy naszych przyjaciół na powierzchnię. Zależy od tego, jak chcesz być irytująca. Masz wybór – albo uciekłaś przerażona, albo upadłaś i skręciłaś kark.

Faith spojrzała na Crocka. *Lubiłeś mnie. Było ci przykro z mojego powodu.*

Prawda uderzyła ją jak bicz. *Byłeś miły tylko dlatego, że czułeś się winny. Zabiłeś mi ojca.*

– Przepraszam, panienko – powiedział Crock. – Miałem nadzieję, że wyjdzie pani z tego obronną ręką.

Oczyrna wyobraźni Faith zobaczyła, jak Crock przepiłowuje łańcuch wpuszczający kosz, a później przywiązuje do niego liny asekuracyjne, kiedy okazuje się, że do kosza wsiadła dwójka dzieci.

– Ale ja jestem winien pani Lambert życie – mówił dalej. – Byłem brygadzystą pana Winterbourne’a i mnie też wtrącono do tego więzienia. Zmarłbym tam, gdyby nie to, że pani Lambert mnie nie porzuciła. Została w tym malarycznym miasteczku, dopóki nie przekonała ich, żeby mnie puszczono... Ale wtedy była już zarażona malarią. – Wciąż miał oczy kogoś, kto dużo przebywa na dworze, ale dziś było w nich odbicie zimowego nieba.

– Drzewo, panno Sunderly – powiedziała Agatha. – Wszyscy na nie zasłużyliśmy. To klucz do dobrobytu, którego tak długo nam odmawiano. Mamy do niego prawo.

Choć Faith nie mogła się z tym pogodzić, Agatha miała w pewnym sensie rację. Winterbourne’owie nigdy nie byli właścicielami drzewa, ale poświęcili lata swojego życia, podążając za plotkami. Zanim w końcu mogli uznać je za

swoje, drzewo porwano im sprzed oczu. „To mordercy” – szeptała pogrążona w smutku Faith. Ale wielebny doprowadził do śmierci męża Agathy. Faith zrozumiała wykalkulowaną, płonąca chłodnym płomieniem zemstę. Mogłaby współczuć swoim wrogom, gdyby nie to, że patrzyła, jak przed chwilą wrzucają doktora Jacklersa do szybu.

– Bardzo proszę, panienko. – Uśmiech Crocka nie był nieprzyjazny, ale czaiła się w nim groźba.

– Ja... – Faith zwiesiła głowę. – Ja ukryłam roślinę. Ja... mogę wam pokazać liście, a wy mi powiecie, czy to o nią wam chodzi.

Agatha puściła rękę Faith, a Crock stał za nią, pilnując, żeby dziewczyna się nie wymknęła. Sięgnęła do kieszeni. Jej palce otarły się o torebeczkę zawierającą pistolet i przez chwilę się zawahała. Gdyby jednak wyjęła broń na wpeł gotową do strzału, Crock na pewno by ją jej wyrwał. Gdyby zaś odciągnęła młoteczek przed wyciągnięciem broni, wrogowie na pewno usłyszeliby metaliczne kliknięcie.

Zamiast tego wyjęła pudełko na tytoń swojego ojca. Położyła je na dłoni, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Liście są w środku? – Agatha z zapalem ruszyła do przodu, żeby wziąć je do ręki. Zgodnie z przewidywaniami Faith znalazła się w świetle słońca.

– Niech pani sama zobaczy. – Faith otworzyła pudełko i wyrzuciła jego zawartość na Agathę.

Fragmety liści opadły na suknię starszej kobiety i zapaliły się. Małe, zjadliwe płomyki wybuchały na bawelnie i tafcie, plując ogniem i skwiercząc. Crock chwycił dywanik i cisnął go na suknię Agathy, żeby zdusić płomień.

Faith ruszyła do ucieczki. Zanim kopacze zareagowali, dobiegła do pasącego się konia, pociągnęła za luźny węzeł i włożyła stopę w najbliższe strzemię.

Później usłyszała krzyki i odgłos kamieni pod biegnącymi stopami. Koński

bok zadrżał, a nogi nerwowo zatańczyły. Faith desperacko podciągała się do góry, mając nadzieję, że dzięki temu będzie mogła usiąść na końskim grzbiecie. Zamiast tego okazało się, że leży na siodle jak worek ziemniaków, a koń ruszył nagle spłoszonym galopem.

Faith trzymała się desperacko dalszej części siodła, które przy każdym podskoku zwierzęcia uderzało ją w klatkę piersiową. Koń rzucał się w biegu i każdy jego ruch groził, że Faith puści brzeg siodła i spadnie na ziemię. Usłyszała, jak prują się szwy na ramieniu jej sukienki.

„Jak to dobrze, że mama nigdy nie kazała mi wkładać pełnego gorsetu” – pomyślała. Kopyta dzwoniły o twardą nawierzchnię drogi. Wciąż słyszała za sobą krzyki, ale coraz słabsze.

Osadzona niezgrabnie na końskim grzbiecie, podskakiwała jeszcze kilka minut, zanim puściła siodło i wylądowała boleśnie na zakurzonej drodze. Koń zwolnił i zatrzymał się, przez chwilę wlokąc za sobą wodze. Faith wstała niepewnie, bolało ją kolano. Kulejąc, poszła za wierzchowcem. Kilka razy próbowała go dosiąść, ale był osiodłany jak dla mężczyzny. Miała na sobie za dużo halek, żeby usiąść na nim okrakiem, a kiedy próbowała jechać jak w damskim siodle, ześlizgiwała się. Nie miała wyjścia. Musiała iść dalej piechotą.

Nie było czasu do stracenia. Faith miała przewagę tylko dlatego, że udało jej się uciec. Jej prześladowcy w przeciwieństwie do niej nie byli ani wyczerpani, ani poobijani, nie cierpieli także z powodu efektów ubocznych owocu, który przynosi wizje, ani nie walczyli z trzema warstwami halek pod spódnicą.

Ponadto jej wrogowie wiedzieli, dokąd zmierza. Wiedzieli, gdzie mieszka.

Kiedy Faith doszła do drogi prowadzącej do domu w Zatoce Byka, poczuła krew ciekącą z kolana i klejącą się do halki.

Drzwi otworzyła jej pani Vellet. Popatrzyła w przerażeniu na brudną,

zakurzoną i rozczochraną dziewczynę. Po chwili pojawiła się Myrtle.

– Faith, gdzie ty byłaś? Gdzie...? O, Boże, co się stało? – Wciągnęła Faith do środka. Podczas gdy pani Vellet pobiegła po apteczkę, Myrtle stała, wpatrując się w córkę i dotykając niepewnie jej włosów, przecięcia na uchu, porozrywanej sukienki. – Kochanie... O, kochanie. Co ci się stało? Czy ty...? Czy ktoś...?

Dopiero po chwili Faith zrozumiała, o co chodzi matce.

– Nie. – Faith złożyła dłonie i próbowała się uspokoić. – Nie, nikt mnie nie napadł. Jestem po prostu posiniaczona, obita i... Uciekałam. Zbliża się tu banda morderców, mamó! Musimy wyjeżdżać, natychmiast, w przeciwnym razie nas zabiją!

– Morderców? Faith, o czym ty mówisz?

– Ojciec robił straszne rzeczy w Chinach – wybuchła Faith. – Doprowadził do śmierci pewnego mężczyzny i ukradł wartościowy egzemplarz rośliny, a teraz ludzie, których skrzywdził, chcą się na nas zemścić. Pani Lambent, Ben Crock i kopacze... Mamó, nie ma czasu, żeby to wyjaśnić do końca – wszyscy musimy uciekać! Proszę, proszę, uwierz mi, chociaż raz!

W tym momencie pojawiła się gosposia z butelką leczniczej brandy. Myrtle stała przez chwilę, nie wiedząc, co zrobić. Oblizywała koniuszkiem języka wargi, marszczyła brwi i wpatrywała się w twarz Faith.

– Pani Vellet – powiedziała. – Proszę pójść po Howarda. Musimy natychmiast wyjść, i to piechotą. Jakies mordercze łotry zbliżają się, żeby na nas napaść.

– Czy Prythe ma strzelbę? – spytała z nadzieją w głosie Faith.

– Prythe odszedł wczoraj po południu – odparła z roztargnieniem Myrtle.

– Ale... – Faith przypomniała sobie, że jeszcze poprzedniego wieczoru Myrtle groziła wujowi Milesowi, że służący wyrzucą go z domu. Matka złapała jej spojrzenie i uśmiechnęła się.

– Tak, kochanie – powiedziała Myrtle cierpko. – Blefowałam.

Po chwili pani Vellet wróciła z Howardem.

– Górną drogą czy dolną? – Myrtle szeptała do siebie nerwowo. – Jeżeli pójdziemy dolną, nie będzie się gdzie schować. Gdy wybierzemy górną, będziemy mogły przejść przez łąki albo ukryć się za krzakami...

– Madame... – Pani Vellet odchrząknęła. – My... powinniśmy pójść dolną drogą.

– A to dlaczego? – Myrtle spojrzała zdziwiona, słysząc tę nieproszoną radę.

Pani Vellet zacisnęła usta, cofnęła policzek i wyglądała na zmieszaną. Faith pomyślała, że gdyby gospodyni potrafiła wciągnąć głowę jak żółw, prawdopodobnie by to zrobiła.

– Jeśli pójdziemy dolną drogą, natrafimy na powóz – powiedziała w końcu pani Vellet. – Ktoś się tu wybiera... Żeby się ze mną spotkać.

Dolna droga i morze flirtowały ze sobą od zawsze, a dzisiaj były wyjątkowo pełne pasji. Potężne fale przyływu rozbijały się o brzeg. W powietrzu czuć było odświeżający wiatr, a w nim krople wody i chmurki tęczy.

Pani Vellet cierpliwie ciągnęła Howarda za rękę, podczas gdy Myrtle walczyła w swojej nieskazitelnej czarnej sukni, jej ciężki welon podnosił się i opadał wraz z rytmem oddechu. Żadna z nich nie niosła bagażu, nawet wachlarza. Faith miała obolałe nogi i ręce po upadku z konia, kolano puchło w zastraszającym tempie i zaczęła odczuwać chroniczny brak snu. Od czasu do czasu wycieńczenie ogarniało jej umysł, jakby płótno przykrywało lampę.

Nie mogła się powstrzymać i co rusz oglądała się za siebie. W każdej chwili spodziewała się pogoni.

Pierwsze odgłosy – łoskot i dudnienie – zaskoczyły Faith. Była zbyt zmęczona i oślepiąca słońcem, żeby chcieć się domyślać, skąd pochodzą. Później coś głośno uderzyło o drogę kilka metrów od niej i Faith się

odwróciła. Zobaczyła czerwonobrazowe fragmenty skały spadające z góry małą lawiną.

– Są nad nami, na klifie, i zrzucają kamienie! – Faith przeszła na drugą stronę drogi. – Szybko, przejdźcie tutaj! Pod nawis!

Cała reszta poszła za jej przykładem i po chwili podążali pospiesznym krokiem jedno za drugim pod małym kamiennym daszkiem.

– Oni na pewno myśleli – uff – że my pójdziemy – uff, uff – górną drogą. – Myrtle ciężko oddychała, próbując dotrzymać im kroku.

– Teraz wiedzą, gdzie jesteśmy – mruknęła Faith. – Część z nich pewnie zawróci i pójdzie dolną drogą, żeby nas tu dopaść.

Jeszcze jeden większy kamień spadł na drogę bardzo blisko uciekinierów. Odpryski wystrzeliły w górę i uderzyły Howarda, który zawył z bólu, nie wiedząc, co się dzieje. Ten odgłos rozdzierał Faith serce i wypełnił ją uczuciem wściekłości. Za wszelką cenę chciała chronić chłopca.

Nieco dalej droga szła ostro w dół i znacznie niżej wyrównywała poziom. Teraz przed rozbuchanym i kapryśnym morzem chronił ją tylko falochron. Hałas był ogłuszający. Co druga fala rozbijając się o falochron, tryskała w górę łukiem białej piany, woda spadała na drogę i spryskiwała klif ciemnymi bryzgami.

Ogromna fala, która wystrzeliła fontanną w górę, oblała ich wszystkich, po czym cofnęli się w przerażeniu. Droga była upstrzona szerokimi, słonymi kałużami. Faith poczuła dreszcz strachu na plecach, przypominając sobie, że w dniu, kiedy przyjechali, wszystko było zalane. Nie pamiętała danych z tabeli przyływów i odpływów, nie miała też pewności, czy woda nie pójdzie jeszcze wyżej.

Co gorsza, gdy Faith obróciła się i spojrzała przez ramię, przez mgiełkę oświetlonego słońcem rozbryzgu wody dostrzegła kogoś w oddali.

– Już tu są! – zawołała.

– A gdzie powóz? – krzyknęła Myrtle.

– Posłuchajcie! – zawołała pani Vellet.

Słychać było stuk kopyt, ale tak słaby, że ledwo słyszalny. Później stał się głośniejszy i wyraźniejszy, aż w końcu zobaczyły konika i małe powozik wyjeżdżający zza dalekiego zakrętu. Stuk kopyt odbijał się echem od skały, dzwoniły dzwoneczki.

W małej czterokółce była jedna osoba, miała na sobie bordowy płaszcz do jazdy konnej i czepek, powoziła swobodnie, z ullańską fantazją. Kiedy podjechała bliżej, Faith zobaczyła czarne włosy i gruby bandaż na czole. To była panna Hunter.

Gdy zauważyła biegnącą grupę, wyraz radosnego oczekiwania na jej twarzy ustąpił miejsca zdziwieniu i zwątpieniu.

– Jane! – krzyknęła. – Sprowadziłaś rodzinę?

– Są w ogromnej potrzebie, Leda – zawołała pani Vellet, biegnąc naprzód z Howardem w ramionach. – Atakują ich. Musiałam im pomóc w ucieczce. – Oczy miała rozświetlone i wyglądała młodziej niż zwykle.

– Oczywiście, że tak. – W uśmiechu Ledy Hunter był lekki smutek, który często miesza się z prawdziwym sentymentem i miłością.

– Może pani zawrócić? – Gdy Faith mówiła te słowa, z góry spadł jeszcze jeden kamień, obsypując czterokółkę żwirem.

Droga była wystarczająco szeroka, więc panna Hunter zaczęła obracać powozik. Parę czarnych loków wymknęło się jej spod czepca, sprawiając, że wyglądała na rozbawioną i lekkomyślną.

– Nie powinnaś jechać z tą raną! – szepnęła pani Vellet, łajając ją, podczas gdy usadzała Howarda na ławeczce powozu. Dwie kobiety wymieniły lekkie i pospieszne uśmiechy. To wystarczyło, by Faith zrozumiała, że ani pani Vellet nie jest sucha jak pieprz, ani panna Hunter nie jest zimna jak lód. Dziewczyna wyczuła moment zgrania się dwóch nut w akordzie, małe fragmenty melodii,

której sama nie rozumiała.

– Szybko! – krzyknęła Myrtle.

Odległość między nimi a goniącymi ich mężczyznami z każdą chwilą się zmniejszała. Dotarli do miejsca, gdzie droga gwałtownie schodzi w dół, i biegli ile sił w nogach, ślizgając się na ścieżce mokrej od morskiej piany. Jeden z nich niósł beczkę wielkości dużego pudła na kapelusze.

Panna Hunter zakończyła manewr. Podała rękę Myrtle, która usiadła tuż obok Howarda. Pani Vellet wdrapała się na górę, a mały powozik trzeszczał i protestował, nie mogąc znieść takiego ciężaru.

– Faith! Włóż na górę!

Faith rzuciła za siebie ostatnie spojrzenie. Mężczyźni przestali ją gonić. Zatrzymali się u podnóża wzgórza, bardzo czymś zajęci. Ustawili beczkę przy falochronie i narzucili na nią byle jak kawałki skał i kamieni. Po chwili biegli z powrotem w górę z bocza tak szybko, jak umieli...

Beczka była dwadzieścia metrów od nich. Faith rzuciła się do biegu mimo napuchniętego kolana i mokrych halek. Biegła sprintem w kierunku prowizorycznego ogródka skalnego, wiedząc, że jeżeli ma rację, w każdej sekundzie może ją rozerwać na strzępy.

Taki był prawdopodobnie plan Crocka, bo miał cechy bezwzględności i zdrowy rozsądek. Nie było potrzeby złapania i zabijania pięciorga uciekinierów w powozie, jeśli można było eksplozją zrobić wyrwę w falochronie i pozwolić morzu na wykonanie mokrej roboty.

Kiedy Faith dotarła do górki kamieni, serce waliło jej jak młotem. W każdej chwili spodziewała się wybuchu. Widziała już drewniane klepki przykrytej kamieniami beczki z prochem. Usłyszała delikatne syczenie. Spomiędzy skał wystawał gruby, lakierowany sznur. Kwiat oślepiająco pomarańczowego płomienia błąkał się po luźnym końcu sznura, zjadając go aż do nasady.



Faith chwyciła detonator tuż nad płomieniem i wyszarpnęła go. Łatwo wyszedł, ona rzuciła go zaś na drogę prosto w kałużę, gdzie zasyczał i zgasł. Rozkopywała kamienie, dopóki nie dostała się do beczki. Była ciężka, ale udało jej się zarzucić ją na ramię, a później przerzucić przez falochron.

– Faith! – wrzeszczała Myrtle.

Dziewczyna usłyszała zbliżające się kroki. Odwróciła się w stronę powoziku, ale wiedziała, że jest już za późno. Wiedziała to od samego początku.

Ktoś chwycił ją z tyłu za kołnierz, a później jakieś ramię objęło ją brutalnie w pasie i ktoś podniósł ją do góry.

Myrtle wciąż wrzeszczała jej imię, kiedy pozostali mężczyźni przebiegali obok Faith w kierunku czterokółki. Krzyczeli, a z góry spadało coraz więcej kamieni i skał. Nagle rozległo się rzenie przerażonego konia. Powozik ruszył gwałtownie, kiedy koń się przestraszył, szarpnęło nim na boki, ale po chwili nabrał prędkości i zniknął za zakrętem drogi.

– Wracajcie! – krzyknął znajomy głos. Biegający kopacze zwolnili i odwrócili się. – Mamy tę, którą chcieliśmy dopaść – powiedział Ben Crock, stawiając Faith z powrotem na nogi.

## Przetrwają najsilniejsi

Pod jaskrawobłękitnym niebem Faith szła ścieżką na plażę, słysząc za sobą zgrzytanie butów jej wrogów. Na karku czuła niemal fizycznie powiew niebezpieczeństwa.

„Dziś ostatni raz idę tą ścieżką” – pomyślała, dziwnie spokojna.

Już obliczyła szanse na przetrwanie. Agatha Lambent i Ben Crock nie mogli sobie pozwolić na to, by utrzymać ją przy życiu. Zabiją ją, kiedy tylko zrobi to, czego od niej zażądano.

Kiedy Faith umrze, Agatha i jej współpracownicy będą bezpieczni. Doktor Jacklers mógłby zeznawać przeciwko nim, ale to, że przeżył, wydawało się mało prawdopodobne. Grupa, która uciekła w powoziku, wiedziała tylko tyle, ile Faith zdołała szybko opowiedzieć. Widzieli jeszcze mniej – grupę mężczyzn w pewnej odległości i spadające kamienie. Paul wiedział część tego, co odkryła Faith, ale Agatha i Crock nie mieli o tym pojęcia i Faith wcale nie zamierzała im się do tego przyznawać.

Niemal czuła obecność innych dziewczyn, takich jak ona sama, z innych czasów. Faith, która pełna poczucia winy idzie na plażę, żeby ukryć rękawiczki między skałami. Faith przemykająca się z ojcem przez ciemność nocy. Faith odkrywająca ludzką podkowę zwisającą z drzewa na klifie. Faith idąca ukradkiem do łodzi w swojej zniszczonej sukience pogrzebowej, wściekła z żalu i głodna zemsty. A może nawet i młodsza Faith, na innej plaży,

znajdująca swoją pierwszą skamielinę i szukająca aprobaty ojca.

Te obrazy wydawały się oddalone o całe wieki. Faith nie miała pojęcia, co mogłaby im teraz powiedzieć.

– Czy ta łódź jest gdzieś przed nami? – spytała Agatha Lambent głębokim kontraltem gdzieś za jej plecami.

– Tak – powiedziała Faith. Odchyliła głowę, przyglądając się baletowi maleńkich białych mew jeżdżących na grzbiecie fali i coraz silniejszego wiatru.

Nie potrafiłaby już zrozumieć Faith z czasu szczurowiska, która wierzyła, że świat to tylko zęby i głód, nic oprócz zabijania i martwych kości startych na proch. Głód to nie wyjaśnienie, dlaczego kocham błękit tego nieba, pomyślała.

Ktoś wziął ją za ramię i poprowadził zdecydowanie na kamienie plaży.

Faith kulą, nabrzmiałe kolano trudno było zgiąć.

– Pokaż nam jaskinię – powiedział Crock. Faith uniosła ramię.

– Stąd jej dokładnie nie widać.

– A jest jakieś inne wejście? – spytał brygadzysta.

Faith obejrzała się i spojrzała prosto w jasne oczy Crocka.

– Naprawdę pan sądzi, że płynęłabym łodzią tam i z powrotem, pokonując prąd, gdyby było jakieś inne wejście?

Crock przyglądał się jej przez chwilę, później skinął głową, przyznając jej rację. Faith była rozbawiona. Nawet teraz, na krawędzi śmierci, wciąż potrafiła kłamać.

Łódź była zbyt mała dla wszystkich chętnych.

– Siadaj na rufie i mów nam, gdzie płynąć – powiedziała Agatha. – Ja pójdę na dziób, a pan Crock będzie wiosłować.

Kiedy wszyscy usiedli, „kopacze” zepchnęli łódź na wodę. Z pewnością nocne podróże Faith byłyby łatwiejsze, gdyby miała do pomocy armię śmiertelnych wrogów.

Zielone, szkliste fale i rozbijająca się piana miały fałszywy połysk, jak uśmiech lunatyka. Łódź wierzgała i kołysała się na wszystkie strony, zostawiając za sobą śliczny, perłowy kilwater, ale Crock panował nad wiosłami znacznie lepiej, niż kiedykolwiek udało się to Faith. Słońce świeciło przez materiał czepka Agathy, rzucając na jej twarz cienie kolorowe jak pawie ogon. Mogliby równie dobrze być rodziną na morskiej wycieczce. Akurat teraz Faith tańczyła, jak jej zagrali, robiła właśnie to, co prowadziło ją do chwili, w której nie będzie więcej potrzebna. Niemniej jednak godny uwagi był fakt, że miała przed sobą dwoje wrogów, a nie siedmioro.

– Co pani robi z drzewem? – spytała głośno.

– Czy opublikuję na jego temat artykuły, wprawię w osłupienie świat nauki i stanę się pupilką Królewskiego Towarzystwa Naukowego? – Głęboki głos Agathy był ciężki od cynizmu i goryczy. – Chyba nie. Kiedyś miewałam takie pomysły. Teraz lepiej rozumiem ten świat.

– Uważa pani, że nikt jej nie uwierzy? – Faith podsunęła nową sugestię.

– Wiem, że nie uwierzą. To jest zbyt nowe, zbyt dziwne, wypchnęłabym zbyt wielu naukowców z komfortowych foteli. Może to wszystko brzmiałoby lepiej i wiarygodniej z ust ogólnie szanowanego dżentelmena, ale gdybym ja o tym mówiła? Prawdopodobnie wkrótce znalazłabym się w domu wariatów.

– Więc planuje pani utrzymywać sekret i karmić drzewo kłamstwami. – Faith stwierdziła, że jest wściekła. Skoro miała być zamordowana z powodu rośliny, to mordercy powinni przynajmniej zrobić z drzewa jak najlepszy użytek.

– Wkrótce, jak Bóg da, mój mąż zostanie posłem do parlamentu – powiedziała spokojnie Agatha. – Będzie miał tak dobrą pozycję, że z łatwością przyjdzie mu karmić drzewo i powie to, co ja mu każę powiedzieć.

Na tę myśl Faith zrobiło się niedobrze. Jako poseł do parlamentu Anthony Lambent będzie mógł rozsiewać olbrzymie, dalekosiężne kłamstwa poprzez

Izbę Gmin na całe Imperium.

– Tajemnica to władza – mówiła Agatha – i pieniądze, jeśli ktoś się nimi odpowiednio posługuje. Jeżeli nie mogę być sławna, będę wobec tego bogata.

– Ale ma pani zamiar je badać! – wykrzyknęła Faith. – Musi pani zaplanować badania! Jak może pani znieść korzystanie z drzewa, jeśli go pani nie rozumie?

– Są rzeczy, których nauka nie potrafi wyjaśnić – rzucił Ben Crock, marszcząc czoło.

Zarówno Faith, jak i Agatha natychmiast prychnęły, w oczywisty sposób się z tym nie zgadzając.

– Co za nonsens! – krzyknęła Faith. – To, że coś nie zostało wyjaśnione, wcale nie znaczy, że tego wyjaśnić nie można! Kiedyś myślano, że groty strzał z krzemienia to dzieło elfów! Anglowie uważali, że rzymskie ruiny zbudowali giganci!

– Mogą istnieć pytania, na które nie ma jeszcze odpowiedzi, ale to oznacza, że nauka jest nam potrzebna, a nie – że jest bezużyteczna – odparła energicznie Agatha. – Może są ryby, których nie złowiono, ale to wcale nie znaczy, że sieci się podarły i powinniśmy je wyrzucić.

Faith złapała się na tym, że przytakuje.

– Ale my wszyscy wiemy, czym jest drzewo! – zaprotestował Crock. – Jesteś córką proboszcza – znasz Pismo na wylot. Musisz wiedzieć, co mam na myśli.

Po chwili Faith zrozumiała, o co chodzi Crockowi. Jednocześnie przypomniała sobie niejasne fragmenty z dziennika ojca i w końcu je pojęła.

*Zastanawiałem się, czy drzewo może pochodzić z najwcześniejszych dni istnienia świata – wówczas jego matowe liście, bezużyteczne kwiaty i owoce bez nasion byłyby pamiątkami po utraconym raj.*

– Drzewo wiedzy – powiedziała z nagłym, głębokim smutkiem. – Ojciec tak sądził. Nie... miał nadzieję, że tak będzie. Chciał naukowych dowodów na to, co mówi Biblia.

– Nadzieja jest niebezpiecznym marzeniem dla naukowca – powiedziała chłodno Agatha.

– Ja nie sądzę, żeby to było drzewo wiedzy – powiedziała powoli Faith. Bolało ją to, że musi się przeciwstawić ojcu, i dziwne było, że dyskutuje tę kwestię ze swoją Nemezis, ale nie mogła się powstrzymać. – Dlaczego drzewo byłoby poza Edenem i dlaczego żywiłoby się kłamstwami? Poza tym owoce nie dają człowiekowi wiedzy Boga. Czasami się nawet zastanawiam... – Przerwała i zmarszczyła czoło, kiedy cień podejrzenia urodził się gdzieś w zakątkach głowy. – Te „tajemnice” mogłyby być czymś, co już zgadliśmy i wiemy w głębi duszy.

Crock wiosłował dalej, ale był teraz zachmurzony. Faith wyczuła gotujący się powolutku wściekły dyskomfort wywołany tą rozmową. Po raz pierwszy zauważyła, że między wrogami jest cień niezgody. Crock nie miał pewności, że drzewo nie jest zakazaną rośliną, która ma skazać jego duszę na potępienie. Faith widziała, że jest gotów pójść za Agathą Lambent do piekła, ale być może wierzył, że właśnie to czyni.

Dziewczyna nagle zauważyła, gdzie są.

– Tam jest ta jaskinia! Trzeba pozwolić, żeby fale nas tam wniosły!

Nigdy nie była tu w czasie przyływu, teraz woda ochlapywała niemal szczyt otworu prowadzącego do jaskini. Kiedy fala popchnęła ich naprzód z siłą, która zawraca w głowie, cała trójka siedząca w łodzi musiała się pochylić, żeby bez szwanku przejść pod łukiem wejścia.

Faith usłyszała, jak jej współtowarzysze nagle nabierają powietrza w płuca, kiedy łódź pruć przez ryczącą od fal pieczarę, kręcąc się i obijając o ściany. W końcu usiadła, ale nie, jak zwykle, na kamyczkach, lecz na

kamiennym płaskowyzu po drugiej stronie.

– Co to za zapach? – spytała Agatha. Woń drzewa kłuła igiełkami za oczami i w nosie. Chłodziła płuca.

– To drzewo – powiedziała Faith.

Crock pierwszy wygrzebał się z łodzi. Kiedy Faith wyszła, chwycił ją mocno pod ramię.

– Nie chcę tracić cię z oczu w ciemności – powiedział.

Światło zadrżało i pojaśniało w łodzi, pokazując Agathę, która raz jeszcze zapala płomień.

– Nie możecie tego tam wnieść! – powiedziała pospiesznie Faith. – Tak jasne światło zniszczy drzewo! Widziała pani, co się stało z liśćmi. Trzeba przyćmić latarnię tak, żeby przesączało się przez nią tylko trochę światła.

Jej wrogowie popatrzyli na nią podejrzliwie i spojrzeli na siebie niepewnie, ale poszli za jej radą. Zobaczyła, że pierwsza jaskinia wokół nich ciemnieje.

Kiedy podeszli do kolejnej groty, nawet Faith zaparło dech ze zdziwienia. Przed nimi pleniła się masa płaczących się, czarnych gałęzi, tak gęsta i ciemna, że wyglądała jak portal wiodący w przepaść. Olbrzymie, mięsiste pnącza wiły się łukowato między czarnymi mackami jak tajemnicze pieczęcie i znaki pisane w jakimś roślinnym języku.

Agatha z uniesioną latarnią prowadziła ich w kierunku delikatnie kołyszących się czarnych macek. Wyciągnęła do góry urękawiczoną dłoń i delikatnie pogładziła najbliższe pnącze, a później potarła kciuk i palec wskazujący, żeby zbadać konsystencję żywicy. Miała szeroko otwarte oczy i była jak w transie. Jednocześnie w jej uśmiechu było coś odległego i zagubionego. Nawet blask spojrzenia wydawał się pusty, jak odbicie złota w oczach poszukiwacza skarbów.

– A więc to jest drzewo – powiedziała głosem pełnym nabożeństwa, lecz

dziwnie matowym. – Znaleźliśmy je. Po tylu latach.

Agatha bez ostrzeżenia weszła w czarną dżunglę macek i zniknęła. Zabrała ze sobą latarnię i zostawiła Crocka i Faith w całkowitej ciemności. Gdzieś przed nimi przebłyski światła przesuwwały się i kołysały między pnączami, ogniki w lesie bez słońca.

– No chodź, Ben – zawołała Agatha zduszonym głosem. – Drzewo nie zrobi ci krzywdy.

Crock ruszył za nią, ciągnąc za sobą Faith przez ruszające się i wijące macki.

Faith próbowała zapamiętać drogę, bo chciała wiedzieć, jak znaleźć ukryte przejście na szczyt klifu. Niestety Crock zbyt mocno trzymał ją za ramię i żadną miarą nie mogła się wyslizgnąć i uciec. Tak czy inaczej, nawet gdyby jej się udało, latarnia Agathy mogłaby ją wyśledzić, zanim zaszłaby za daleko.

Nieobserwowana, wsunęła dłoń do kieszeni i wymacała rękojeść pistoletu ojca. Broń miała tylko jedną kulę, a ona przecież ma przed sobą dwoje morderców.

– Można prześledzić drogę do samego serca rośliny, idąc za korzeniami na podłodze – powiedziała Agatha, unosząc latarnię i zapraszając ich, żeby szli dalej. – Są jak małe listewki wachlarza!

Kiedy szła do przodu, wiszące macki szeptały, dotykając tafty jej spódnicy, i pytająco ocierały się o jej ramiona. Wydawało się, że Agatha i drzewo zaczynają się lubić, a Faith poczuła głupie ukłucie zazdrości.

Crock z kolei wzdrygał się za każdym razem, kiedy pnącza dotykały jego twarzy.

– Nie trzeba zwracać uwagi na głosy – szepnęła Faith. – Przyzwyczai się pan do nich. – Sprawilo jej przyjemność to, że widziała, jak Crock tężeje, gdy po raz pierwszy dotarły do jego uszu ledwo słyszalne pomruki.

Kiedy szli dalej, głosy zrobiły się wyraźniejsze i zaczęły wyprowadzać



z równowagi także i Faith.

Serce drzewa było teraz wielkim, umęczonym splotem szerokich jak pnie, zdrewniałych pnączy, wybrzuszonych i kłujących. Kiedy Faith uniosła głowę, żeby popatrzeć na drzewo, usłyszała odgłos uderzeń w bębnekach usznych, jakby ktoś rozdzierał papier. Z każdym uderzeniem bladość pokręconego drewna coraz bardziej pulsowała i świeciła dziwnym blaskiem. Wydawało jej się, że gdzieś w oddali widzi delikatne kosmyki czerni, które wyciekają z węzła, przyciemniając i zagęszczając powietrze.

Agatha zaśmiała się i postawiła stopę na grubym splocie. Faith nie widziała, czy starsza kobieta wykonuje gest podboju, czy też chce się wspiąć do góry jak dziecko. Crock patrzył na to wszystko, marszcząc brwi z podejrzliwością.

– Widzieliśmy to, co mieliśmy zobaczyć – powiedział Crock. – Wracamy?  
– Spojrzał na Faith i twarz mu posmutniała. Faith zdała sobie sprawę, że już myśli o niej jako o martwej. Przygotowywał się do zamordowania dziewczyny i już próbował, jak mu będzie żal, gdy to zrobi. Zastanawiał się, jak to zrobić jak najszybciej.

Jeżeli Faith nie podsunie swoim prześladowcom innych myśli, będą myśleć o tym, żeby ją zabić.

– Dlaczego tak się pan spieszy, panie Crock? – spytała Faith z odwagą, której nie czuła. – Czego pan się tak boi? Po wszystkim, co pan zrobił, i po tylu zabójstwach, których pan dokonał? To tylko roślina. Ona żywi się sekretami, ale to można łatwo wyjaśnić. Tworzy więź z jedną osobą, a reszta to tylko kwestia prądów we fluidach magnetycznych.

Agatha zeszywniała, odwróciła się i spojrzała na nią niechętnie.

– Przepraszam bardzo?

– Magnetyzm zwierzęcy – mówiła niespłoszona Faith. – Wprowadza w trans, zapewnia niczym niezablokowane wizje, pozwala rzeczom żywym

wpływać na siebie bez dotyku, daje efekty fizyczne.

– Znam teorię magnetyzmu zwierzęcego! – rzuciła krótko Agatha. – To absurdalna, rozdmuchana hipoteza, w którą nie wierzy nikt przy zdrowych zmysłach! Tylko szarlatani i uzdrowiciele wciąż o tym mówią. Jak śmiesz stosować takie absurdalne, staromodne nonsensy, mówiąc o moim drzewie? – W jej oczach pobłyskiwało dzikie światło, które było niemal radością.

– Więc jak w takim razie to pani wyjaśni? – odparła Faith, zastanawiając się, kiedy Agatha miała ostatnio okazję prowadzić z kimkolwiek debatę na tematy naukowe.

– Tu rzeczywiście drzewo jest pewnego rodzaju duchowym mięsożercą. – Agatha podeszła bliżej. – Przypuszczam, że konsumuje duchy, potrafi dawać odpowiedzi, posługując się wiedzą wewnętrzną i duchową, jest jak roślinne medium. Według mojej teorii potężne kłamstwo zaczyna żyć własnym życiem, stając się niemal miniaturowym duchem. Drzewo takie kłamstwa absorbuje i wykorzystuje energię duchową, by utrzymać duchy i zjawy w swoim wnętrzu.

Stała teraz blisko Faith, jej oczy lśniły w przyćmionym świetle latarni. Faith zdała sobie sprawę, że Agatha ma tyle samo lat co Myrtle, ale rozczarowanie odcisnęło na niej swoje piętno. Miała małe zmarszczki w kącikach ust, ślady zbyt dużej liczby słów, które trzeba było przygryzać, jak za długi język.

– Dziękuję – powiedziała Faith pokornie. – To było... bardzo pouczające.

I w tym momencie wytrąciła z ręki Agathy latarnię, która rozbiła się na drobne kawałki na dnie jaskini.

Zapanowała ciemność, pachniało oliwą i zielonym drewnem. Faith próbowała wyrwać ramię z uścisku Crocka, ale jego palce były zaciśnięte zbyt mocno. Chwycił ją drugim ramieniem i nagle zacisnął jej dłoń na gardle.

Faith wyciągnęła z kieszeni pistolet, na ślepo manipulowała przy broni, aż usłyszała stuk młoteczka, po czym uniosła broń tak, żeby celować w tył, za

głowę. Wystrzeliła.

Huk był jak uderzenie w skroń. Pistolet podskoczył i wyleciał jej z ręki, gorący kawałek metalu uderzył o jej bark, upadając. Ktoś z tyłu za nią wrzeszczał i nikt już jej nie przytrzymał.

Faith rzuciła się w ciemność, słysząc pod stopami chrzęst szkła. Gdzieś za nią jakieś kształty rzucały się na lewo i prawo, słyszała szelest i dyszenie wielkich bestii gdzieś w poszyciu. Dziewczyna sama poruszała się bezładnie, powodując równie dużo hałasu. Pnącza uderzały ją po twarzy, zawijały się wokół szyi, chwytaly ją za kostki, próbując przewrócić, zahaczały się o rękawy, wślizgiwały się do kieszeni, sięgały niewidzialnymi palcami do oczu.

Musiła znaleźć ścianę jaskini. Kiedy już jej dotknie, będzie mogła iść za nią i znaleźć drogę do wyjścia. A jednak w jej palce wkradały się zwisające z sufitu pnącza, znów pnącza i lepkość liści. Nagle poczuła ogromny, przepełniający duszę i serce lęk, że ona i jej oprawcy nie są już w jaskini, ale w jakiejś nieskończonej dżungli bez ścian stworzonej z drzewa, w prywatnym piekle, w którym będą nękać się nawzajem przez całą wieczność.

Nie myśl – powiedziała sobie. – Nie. Jest ściana. Musi być ściana.

Pomiędzy trzepoczącymi skrzydłami liści i zmiętymi warstwami rośliny jej palce znalazły kamienne oparcie.

Szła, trzymając się ściany, w pośpiechu ocierając się boleśnie o sploty pnączy. Potykała się o stopnie i pochyłości, znajdowała ścieżkę, wspinała się i przeciskała, wyczuwając drogę dotykiem. Otwory w ścianie były teraz węższe niż przedtem, wyłożone rozrastającymi się na wszystkie strony, pełznącymi pnączami. Straciła mnóstwo cennego czasu, przecinając tasiemki gorsetu i wyrzucając je, żeby móc się przeciskać przez kolejne szczeliny.

Dziękowała jednak w duchu każdej najmniejszej rysie, każdej bolesnej szczelinie, wiedząc, że jeśli stanowią dla niej problem, będą podwójnie

trudne do przejścia dla tych, którzy rozbijają się i rzucają gdzieś za nią. Była szczurem uciekającym przed szczękami teriera.

Coś tam zaświeciło nad jej głową, niemy przebłysk, który z trudem można było nazwać światłem. Walczyła, wiła się i wywijala jak ryba, dążąc z wysiłkiem w kierunku tej bladej obietnicy. Palce Faith znajdowały chwyt, ramiona znajdowały siłę, kiedy wyciągała się w górę. Tunel zrobił się jaśniejszy i w końcu zobaczyła nad głową trójkąt błękitnego nieba. Faith czuła w nozdrzach zapach świeżego powietrza i gorącej trawy, czuła między palcami mokrą ziemię.

Kiedy jednak próbowała przedostać się w kierunku światła, pnącza zaciskały się wokół niej coraz mocniej i przytrzymywały ją. Oplatały jej ramiona i pas, barki i szyję, gryząc i zawiązując węzły. Dotarła do końca smyczy drzewa kłamstw i czuła, że palcami grabi już ziemię, kiedy z powrotem zaczęła ześlizgiwać się do tunelu.

– Nie! – szepnęła Faith, ale jej szept nie był jedynym dźwiękiem. Wokół niej gromadziły się głosy, teraz wiedziała, dlaczego ją niepokoją. Przemawiały do niej jej własnym głosem, zniekształconym i pokaleczonym, oszalałym jak chrypienie kota.

– Był geniuszem – głosy zawodziły i warczały. – Był niezrozumiany, zrobiono mu krzywdę. To był dobry człowiek. Mieliśmy szczególną więź...

Słowa, których nigdy nie szeptała drzewu. Myśli, których nie szeptała nikomu oprócz siebie samej. Kłamstwa. Kochane, duszące kłamstwa.

Faith udało się wcisnąć jedną rękę do kieszeni i wyciągnąć małe, kieszonkowe lustro. Sięgnęła w górę, prostując rękę, i okazało się, że jego szklana powierzchnia dociera do promieni słońca.

Coś syknęło i rozbłysło, a pnącza, które trzymały ją w okowach, wybuchły płomieniem. Nie zważała na nagły, palący ból i ostry zapach przypalonych włosów. Jej unurzane w żywicy ubranie syczało, ale wciąż jeszcze mokre było

od morskiej wody. Kiedy macki puściły ją wreszcie ze swoich objęć, Faith wyciągnęła się na rękach z dziury, brzuchem w dół, jak ryba, która wylądowała na brzegu. Przetoczyła się raz, później drugi raz, by ugasić płomień, a potem leżała przez chwilę, ciężko dysząc.

Przez kilka chwil nie miała świadomości tego, że oddycha, wiedziała tylko, że ma nad głową niebo. Potem uświadomiła sobie, że z dziury bije dym. Wcześniej myślała wyłącznie o tym, żeby uwolnić się od chwytających ją macek, ale teraz usłyszała i wyobraziła sobie ogień pędzący w dół i zjadający pnącze po pnączu, jak pomarańczowy płomień biegnący po loncie do beczki z prochem.

Obłoczki szarego dymu zamieniły się w wielkie, czarne chmury. Gdzieś pod nią drzewo płonęło.

Faith odsunęła stopy i kostki jak najdalej od otworu w ziemi, zakryła twarz, żeby nie wdychać dymu. Oprócz wezwania pomocy nie mogła nic zrobić dla Bena Crocka i Agathy Lambent. Wstała niepewnie, a później znów prawie się przewróciła, kiedy świat zamienił się w jedną wielką karuzelę, w uszach miała tylko huk.

Zobaczyła w oddali kościelną wieżę i potykając się, ruszyła w jej kierunku. Miała wrażenie, że stopy do niej nie należą, że nie jest w stanie iść prosto. Nie wiadomo, w jaki sposób krawędź klifu zaskakująco zbliżyła się do niej gdzieś z prawej strony. Raz złapała się na tym, że poirytowana odpowiada na pytanie, którego nikt jej nie zadał.

Opary, to na pewno wpływ oparów.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że z ukrytego wyjścia wciąż bije kolumna dymu. Rozszerzał się na wszystkie strony, niezdrowa, ziemista smuga na tle błękitu.

Znacznie dalej ujrzała jakąś postać. Poczerniała chimera, nieulekłe przywidzenie brudne od sadzy, włosy powiewające na wietrze jak

ostrzegawcza flaga. Czerwone oparzenia rozlewały się po jej twarzy, przemykały przez wypalone dziury w sukni koloru morskiej syreny. Agatha zbliżała się szybko, wzrok miała skupiony na Faith i tylko na Faith.

Nogi dziewczyny zawiodły i znów upadła na ziemię. Chciała czymś rzucić i jej dłoń zamknęła się na małym, idealnie okrągłym kamyczku.

– Nie zbliżaj się! – krzyknęła, kiedy postać skracała odległość. Podniosła w górę kamień, mając nadzieję, że Agatha nie widzi nic oprócz ciemnego, okrągłego kształtu. – To jest owoc, wszystko, co zostało z drzewa! Zostaw mnie w spokoju... Albo wrzucę go do morza!

Agatha nie zwalniała tempa.

– Możesz jeszcze uciec – zawołała Faith, potykając się do tyłu. Dłoń miała wciąż uniesioną. – Idź do portu! Znajdź łódź!

Agatha popatrzyła Faith prosto w oczy i szła dalej. Jej spojrzenie było tak pełne nieszczęścia, płaskie i bez wyrazu, jak przedtem pełne było radości.

– Zatrzymaj się! – krzyknęła Faith. – Ja nie żartuję!

Agatha rzuciła się naprzód, palce miała zakrzywione, żeby złapać „owoc”, a Faith rzuciła go poza nią, w kierunku szczytu klifu. Myślała tylko o tym – jak odwrócić jej uwagę, żeby zyskać czas na ucieczkę.

Starsza kobieta powiodła wzrokiem za małym, okrągłym kształtem, który odbijał się od ziemi w kierunku krawędzi. Odwróciła się i pobiegła za nim.

Odbił się i podskoczył, a słońce oświetliło jego szarą, kamienną powierzchnię. To był kamyczek, nic więcej, tylko kamyczek. Toczył się szybciej, niż dałoby się go złapać, ale Agatha wciąż biegła.

– Zatrzymaj się! – Faith złapała się na tym, że krzyczy. – Zatrzymaj się! Kłamałam!

Kiedy jednak kamyczek runął z krawędzi klifu, Faith zdała sobie sprawę, że Agatha nawet na niego nie patrzy. W pewnym momencie przyspieszyła, a później rozpostarła ramiona, kiedy robiła swój najdłuższy krok w kierunku

wieczności.

Nie było już nic oprócz chłodnego błękitu nieba, wiatru, zapachu dymu i koników polnych plotkujących w suchej trawie.

## Ewolucja

Sprawy przybrałyby być może inny obrót, gdyby doktor Jacklers nie przeżył. A jednak udało mu się, co prawda było z nim kiepsko, ale miał pewne szanse na odzyskanie władzy w złamanej nodze.

Przewodniczył nawet przełożonej rozprawie dotyczącej śmierci wielbnego Erasmusa Sunderly'ego, nie chciał bowiem zostawić tego zadania komukolwiek innemu. Dręczył ławę przysięgłych tak mocno, że niektórzy jej członkowie z pewnością myśleli, że to oni są oskarżeni. Przemawiał łagodnie do Faith Sunderly, ale zła ją za to, że nie podzieliła się z nim wcześniej swoimi podejrzeniami.

Stwierdzono, że wielbny zginął z rąk konkretnych osób. Bena Crocka znaleziono w pieczarze żywego, ale mocno pokiereszowanego, uszkodzenie spowodowane prochem z pistoletu zaburzało widzenie w jego lewym oku. „Kopacze” – wszyscy, którzy pracowali z Crockiem pod kierownictwem Winterbourne'a – zostali otoczeni i aresztowani.

Ciało Agathy Lambent znaleziono u podstawy klifu. Niemniej jednak jej rolę w intrydze umniejszono. Faith wiedziała, że to łagodne podejście było gestem w kierunku jej męża, który był zdruzgotany, gdy usłyszał o zbrodniach swojej zmarłej żony. Jednocześnie Faith poczuła się niezręcznie. Agatha zniknęła. Jej knowania, jej nikczemność, jej zapał naukowy, jej niezwykły umysł i obsesje rozpląwały się w powietrzu jak para wodna. Już niedługo



będzie kolejną „ukochaną żoną” na marmurowej tablicy cmentarza.

Rola samej Faith w tych wydarzeniach również pozostanie niezauważona. Jeżeli gazety w ogóle o niej wspomną, napiszą o młodej dziewczynie, która przypadkiem natknęła się na prawdę, tak jak kiedyś przypadkiem natknęła się na wartościową skamielinę. Być może nawet wykorzystają jej fotografię, na której dumnie trzyma swoje znalezisko.

Nie znaleziono ani śladu drzewa. Strawił je ogień – zostawiając tylko czarne skały i dziwny zapach. Faith żałowała, że nauka straciła możliwość zbadania tej rośliny, ale skłamałaby, mówiąc, że było jej z tego powodu bardzo przykro.

„Dowody niejednoznaczne” – pisała w swoim notesie pod własnymi teoriami i teoriami ojca. A następnie – „Obserwacje niewiarygodne. Obiektywizm zagrożony”.

Pewnego spokojnego ranka grób wielebnego został oczyszczony, a jego trumnę opuszczono na miejsce ostatecznego spoczynku. Przyglądając się, jak grudy ziemi uderzają miękko o drewno, Faith poczuła, że w końcu rana się zamyka.

*Mój ojciec nigdy mnie nie zrozumie i mi nie wybaczy, ale ja potrafię zrozumieć jego i będę mogła mu z czasem wybaczyć. I to chyba wystarczy.*

– Było w nim trochę dobra – powiedziała Myrtle, rozmawiając z Faith pewnego długiego wieczoru, kiedy omawiały wszystko, jedząc ciasto, które było teraz zbytkiem. – Ty i Howard coś dla niego znaczyliście.

– A ty, mamó? – spytała Faith.

Myrtle pokręciła głową.

– Wmawiałam sobie, że mam szczęście – powiedziała. – Twój ojciec nigdy mnie nie uderzył, nie pił, a jeżeli miał kochanki, to robił to dyskretnie. Łożył na mnie i na moje dzieci, a ja próbowałam rok po roku stać się jego towarzyszką życia. Ale drzwi nigdy się nie otworzyły, Faith. W końcu

straciłam nadzieję. Ale przecież nie mogę narzekać! – Myrtle odrzuciła przeszłość delikatnym ruchem dłoni. – Dlatego jestem taka, jaka jestem. Kiedy wszystkie drzwi są pozamykane, człowiek uczy się wchodzić przez okno. To chyba leży w ludzkiej naturze.

Anthony Lambent przyjął Myrtle i Faith w gabinecie osobliwości swojej żony. Był wrakiem człowieka w porównaniu z tryskającą energią osobą z przeszłości, z rozczarowaniem i bez wiary patrzył na kolejne skrzynki.

– Była moją kotwicą – powiedział. – Moim portem w sztormach świata. Mogłem spać spokojnie, wiedząc, że tu jest. Jak teraz znów zasnę?

Spojrzał na Faith, która była zdumiona tym, że taki wielki człowiek może wyglądać na tak małego.

– Jestem sędzią magistrackim – mruknął nieszczęśliwie. – Muszę egzekwować prawo, a przecież jest prawo dotyczące chowania samobójców – pani wie o tym lepiej niż wszyscy inni. Panno Sunderly... Widziała ją pani na samym końcu. Czy ona...? – Nie potrafił skończyć zdania. Faith pamiętała odważny skok Agathy w przestrzeń. Później spojrzała w twarz wdowca i postanowiła, że kosmos wybaczy jej jeszcze jedno kłamstwo.

– Potknęła się – powiedziała.

Lambent zamknął oczy i wypuścił powietrze z płuc.

– Nie powinno mnie to obchodzić – powiedział. – Ale... Zrobiłbym dla niej wszystko. Wszystkie te... – Chodził po pokoju od skrzynki do skrzynki. – Te wykopaliska były dla niej. Ja chciałem tylko, żeby była szczęśliwa... – Łzy popłynęły mu z oczu, a jego zagubione spojrzenie przypominało Faith Howarda.

Nastrój Lambenta zmienił się gwałtownie – zbyt szybko, by ktoś mógł zareagować. Sięgnął po najbliższą witrynkę, wyrwał ją ze ściany i cisnął o ziemię. Rozbiła się na kawałki, wszędzie były fragmenty szkła, na podłodze – etykiety i kawałki ptasiego jaja.

Odwrócił się do następnej witryny.

– Nie! – Faith rzuciła się, by bronić jej własną pierś. W tym momencie walczyłaby do upadłego, by obronić życiowy dorobek swojego śmiertelnego wroga.

– Proszę, panie Lambert! – krzyknęła w tym samym czasie Myrtle. – Jeżeli chce się pan pozbyć tych rzeczy ze swojego domu... Niech pan pozwoli je nam ze sobą zabrać. Jestem pewna, że... Hm... Howard odpowiednio je doceni, kiedy będzie starszy.

Pewnego szarego ranka kilka dni później niewinnie wyglądający stateczek pocztowy przybił do portu na wyspie Vane, nieświadomy, że ma zabrać ze sobą najszlachetniejszych intruzów na tej wysepce.

Transportowanie bagażu Sunderlych i sporej kolekcji przyrodniczej Agathy nie było łatwe. Mogłoby okazać się wręcz niemożliwe, gdyby nieoczekiwanie swej pomocy nie zaproponowali Clayowie i panna Hunter.

Faith jechała do portu w czterokółce panny Hunter, słysząc odgłosy wicia się węża w skrzynce na kolanach. Zwierzę w końcu zrzuciło starą skórę i oczom wszystkich ukazały się nowe kolory, żywe i niczym nieprzytłumione.

Z bocznych uliczek i drzwi rzucono im niechętnie spojrzenia, a Faith rozpoznała wśród gapiów również Jeanne.

Rodzina wielebnego była kiedyś obiektem szyderstw, niechęci i podejrzliwości. Teraz po całej wyspie rozpląwały się prawdy i półprawdy, a wrogość ustąpiła miejsca niemal przesádnemu lękowi. Ubrane w kolory nocy kobiety Sunderly były mistrzyniami oszustwa i uwodzenia. Lepiej nie spotykać się z nimi oko w oko. Panna Hunter wydawała się jednak nieporuszona. Kiedy Faith zdobyła się wreszcie na odwagę i zaczęła, jękając się, spowiadać ze swoich czynów, poczmistrzyni w zadziwiająco dobrym nastroju przerwała jej w pół słowa.

– Obie grałyśmy w grę plotek. – Panna Hunter panowała nad lejcami

z pewnością dojrzałego woźnicy. – Kiedy twoja mama zdenerwowała Jane Vellet, ja poczułam wściekłość i powiedziałam wszystkim o artykule w „Intelligencerze”. Ty z kolei rozsiewałaś swoje plotki, ale to nie ty podpaliłaś mój dom. Kobieta taka jak ja łatwo robi sobie wrogów.

Faith zastanawiała się, co to znaczy „kobieta taka jak ja”. Może szczęśliwa na przekór wszystkim, dobrze zarabiająca stara panna o ostrym języku? W oczach Faith panna Hunter zawsze była zadowolona z siebie i niedostępna. Teraz dziewczyna dostrzegła w niej przebłysk buntu i linę pod jej stopami, po której kroczyła jak linoskoczek.

Faith zawsze mówiła sobie, że nie jest jak inne kobiety. Ale okazało się, że dotyczy to również „innych kobiet”.

Kiedy przejeżdżały koło domu doktora Jacklersa, panna Hunter uniosła dłoń w geście salutu. Ręka w oknie na piętrze pomachała do nich bez wielkich ceremonii.

– Dlaczego pani dokucza doktorowi Jacklersowi, że jest taki niewysoki? – To była ostatnia szansa na zadanie tego pytania.

– Aha – panna Hunter uśmiechnęła się do niej krótko i zaczepnie. – Cóż, był taki okres, kiedy bardzo się irytowałam, że odmawiam mu ręki, więc wyjaśnił mi, że kobiety nie mają dość inteligencji, żeby o siebie zadbać. Próbował to udowodnić, pokazując mi pomiary czaszek swoich pacjentów i pacjentek. Ogólnie rzecz biorąc, męskie czaszki rzeczywiście są większe niż kobiece. Na nieszczęście dla doktora w jego zapiskach są również inne wymiary pacjentów. Potem powiedziałam mu, że przekonuję mnie jego dowody i zrobię, co będę mogła, by wyjść za najwyższego mężczyznę, jakiego znajdę. Widzisz, mężczyźni wysocy mają zwykle większe czaszki. A doktor nie mógł powiedzieć, że nie jest to oznaka inteligencji, bo to rozbiłoby jego teorię mówiącą, że jest bystrzejszy ode mnie. Duzi ludzie mają przeważnie większe głowy. Mężczyźni nie są mądrzejsi od nas, panno Sunderly. Tylko wyżsi.

Na nabrzeżu Faith stała obok Paula Claya, przyglądając się, jak załoga stateczku pocztowego ładuje na pokład skrzynie. Dziwnie było stać obok niego w świetle dnia i bez żadnych tajemnic. Czuła się zbyt skrępowana, żeby na niego patrzeć. Spory były łatwiejsze, teatralne, pełne scenicznych świateł i dramatycznych gestów. Teraz istniało ryzyko, że ich wspólny czas skończy się dla obojga bez słów.

– Napiszę do ciebie – powiedziała.

– Dlaczego? – Paul przyjrzał się jej twarzy, szukając podstępów. – Żebyś mogła mi powiedzieć, że mnie nie znosisz? Myślisz, że chcę od ciebie jakichś wiadomości?

– Tak – powiedziała Faith.

Zaczął mżyć deszcz. Dźwięki pierwszych kropeł wypełniły ciszę.

– Muszę ci się do czegoś przyznać – powiedziała Faith.

– Bogowie, jest tego jeszcze więcej? – Paul gapił się na nią. – Może być jeszcze gorzej?

To była najtrudniejsza część. Łatwiej było być żoną, złą czarownicą. Być człowiekiem to rzecz niebezpieczna.

– Ja... Jestem czasami miła, Paul – przyznała Faith. – Ja... Bardzo kocham mojego małego braciszka.

Nastąpiła długa przerwa.

– Za pierwszym razem, kiedy widziałem szczerowisko – powiedział Paul, nie patrząc na nią – pies stracił oko i zrobiło mi się niedobrze. Wracam tam, żeby udowodnić sobie, że mogę na to patrzeć, nie rzygając.

– Kiedy miałam siedem lat, znalazłam na plaży skamielinę – powiedziała cicho Faith. – Mój ojciec był ze mnie bardzo dumny. Przynajmniej... tak mi się wtedy wydawało. Ale to była jedna z jego podrabianych skamielin – sądził, że będzie wyglądała bardziej przekonująco, jeżeli odkryje ją „niewinne dziecko”. Zostawił ją dla mnie specjalnie na plaży, żebym mogła ją znaleźć.

Jej złoty moment na plaży, jej cudowny moment połączenia duchowego z ojcem był od początku do końca wykalkulowany, był oszustwem, które miało mu służyć. W głębi duszy podejrzewała, że taka właśnie jest prawda, ale dopiero kiedy znalazła egzemplarz niesławnego „Intelligencera”, potwierdziły się jej najgorsze obawy. Na samym środku strony widniało zdjęcie „jej” skamieliny i dokładny opis metody użytej, żeby ją podrobić.

Przygryzła mocno wargę.

– Ja... Myślę, że czasami trochę za bardzo szalałam po jego śmierci.

– Włożyłaś rękę do worka ze szczurami! – wskazał Paul. – Celowałaś do mnie z pistoletu!

– Patrząc wstecz, sądzę, że... Rzeczywiście, to było zbyt drastyczne.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, podczas której okazało się, że nikt nie musiał za nic przeproszać.

– Ja chcę być fotografem – powiedział Paul – ale nie takim jak ojciec. Chcę fotografować egzotyczne miejsca, których nikt nigdy nie widział. Chcę próbować nowych rzeczy, znajdować sposoby, jak robić zdjęcia ptakom w locie i jak fotografować w nocy.

Jego wyznanie było wściekle uczciwe. Faith wyobraziła go sobie stojącego godzinami na chłodnym cyplu, cierpliwie ogniskującego aparat fotograficzny, by uchwycić jaskrawy, przekorny księżyc.

– Ja chcę być przyrodnikiem – wyznała Faith. Te słowa wydały jej się niezwykle kruche, gdy tylko je wypowiedziała.

Spojrzała na Paula, ale wcale się nie śmiał. Zamiast tego cicho kiwał głową, jak gdyby ta rewelacja nie zdziwiła go ani odrobinę.

Pokład kołysał się pod stopami Faith, kiedy stateczek pocztowy oddalał się od brzegu. Ludzie maleli, kurczyli się, domy układały się w szeregi. Przygotowywały się do tego, że za chwilę staną się wspomnieniami.

Faith poczuła niespodziewany przypływ nerwowości. Minione tygodnie na

wyspie Vane były tak boleśnie żywe, że wydawało się, iż jest ona jedynym realnym miejscem na świecie. Inne wspomnienia stały się zamglonym tłem. Teraz wracali do Anglii i należało stawić czoła faktowi, że Anglia rzeczywiście istnieje. Skandal z ojcem w roli głównej sięgnie szczytu. Rodzina straci znajomych, swój dom na probostwie. W porównaniu jednak z nieszczęściami, które groziły im jeszcze przed kilkoma dniami, problemy te wyglądały zaledwie na małą apokalipsę, którą z łatwością będzie można opanować.

– Dlaczego jest tak, że mężczyźni o łagodnym temperamencie nigdy nie mają pieniędzy? – powiedziała Myrtle w zadumie, machając chusteczką do Claya.

– Teraz będzie pewnie miał ich jeszcze mniej – powiedziała Faith. – Cała wyspa widziała, jak pomaga tym czarownicom Sunderly. Może się okazać, że odprawia nabożeństwo w pustym kościele.

– Należy mu się porządne życie, biedakowi, a ja jestem pewna, że jest zbyt potulny, by o nie walczyć. – Myrtle zmrużyła oczy i Faith wiedziała, że coś knuje. – Aha, wiem. Wiem, co zrobię! Dam mu dobrą rekomendację.

Dobrą rekomendację? Faith zdała sobie sprawę z mieszaniną podziwu i przerażenia, dokąd zmierza umysł jej matki. Życie jej ojca właśnie się skończyło, ale nikt jeszcze o tym nie wiedział. Bardzo szybko będzie potrzebne zastępstwo. Myrtle znała miejscowego arystokratę, który decydował o tych nominacjach, i mogłaby mu kogoś polecić...

A może plany Myrtle były jeszcze bardziej dalekosiężne, może myślała o dniu, kiedy skończy się żałoba i przyjdzie pora na szukanie męża z dużym domem i porządnymi dochodami?

– To byłoby idealne – westchnęła bardzo cicho Myrtle. – Nie będziemy musiały nawet zmieniać wystroju wnętrza!

– Matko – powiedziała przez zęby Faith, ale okazało się, że nie znajduje

w sobie całkowitego potępienia i wściekłości, które kiedyś niewątpliwie by ją ogarnęły. Myrtle była okropna, ale gdzie bez tej cechy rodzina znalazłaby się za rok?

Moja matka nie jest z gruntu zła – napominała się Faith. Jest po prostu idealnie zdroworozsądkowym wężem, który chroni zniesione jaja i porusza się po świecie najlepiej, jak potrafi.

– No cóż – powiedziała Myrtle, broniąc się przed niewypowiedzianym oskarżeniem. – Jeśli masz ciągnąć dalej te swoje antykwaryczne zachwyty, to nie będzie tanie. A przecież nie chcesz z tego rezygnować, prawda?

Faith skinęła głową.

– Więc niech niebiosy ześlą ci męża z cierpliwością i pieniędzmi. – Myrtle rzuciła Faith niespokojne spojrzenie.

Faith wiedziała, że jej matka nie martwi się tym, że będzie musiała świecić oczami za swoją ekscentryczną, nudną, chłodną córkę. Myrtle martwiła się o Faith, i słusznie. Jeżeli Faith dalej będzie podążała ścieżką nauk biologicznych, jako kobieta będzie prawdopodobnie wyszydzana, niedoceniana, poklepywana po plecach i całe życie ignorowana.

Może wskutek tego nie będzie mogła znaleźć sobie męża. Jak będzie żyć i skąd weźmie pieniądze, żeby rozwijać swoje pasje?

Może pojedzie za granicę i będzie odwiedzać tereny wykopalisk, zostanie znienawidzona jako podróżująca samotnie skandalistka. Może wyjdzie za mąż i wszystkie jej dokonania świat przypisze mężowi, jak w przypadku Agathy. Być może skończy jako stara panna bez grosza, której towarzyszyć będzie jedynie kolekcja koralowców.

Być może jakaś inna dziewczynka wiele lat później, przetrząsając bibliotekę swojego ojca, znajdzie odnośnik w czasopiśmie naukowym i odczyta nazwisko „Faith Sunderly”. „Faith? – pomyśli. – To kobiece imię. Dokonała tego kobieta. A jeżeli tak... To i ja potrafię”. I przekaże mały ogień



nadziei, wiary w siebie i determinacji następnemu sercu.

– Jestem zmęczona kłamstwami – powiedziała Faith. – Nie chcę się ukrywać tak jak Agatha.

– A więc czego chcesz? – spytała Myrtle.

– Chcę pomóc ewolucji.

Ewolucja nie napełniała Faith tym samym przerażeniem co jej ojca. Ma płakać, bo nic nie zostało raz na zawsze zapisane na kamiennych tablicach? Wszystko się zmienia. Wszystko szło ku lepszemu centymetr po centymetrze, tak powoli, że niemal niezauważalnie, ale sama świadomość tego faktu dawała jej siłę.

– Moja droga córeczko, ja nie mam najmniejszego pojęcia, o czym ty mówisz.

Faith zastanawiała się przez chwilę, jak najlepiej opisać swoje postanowienie za pomocą innych słów.

– Chcę świecić złym przykładem – powiedziała.

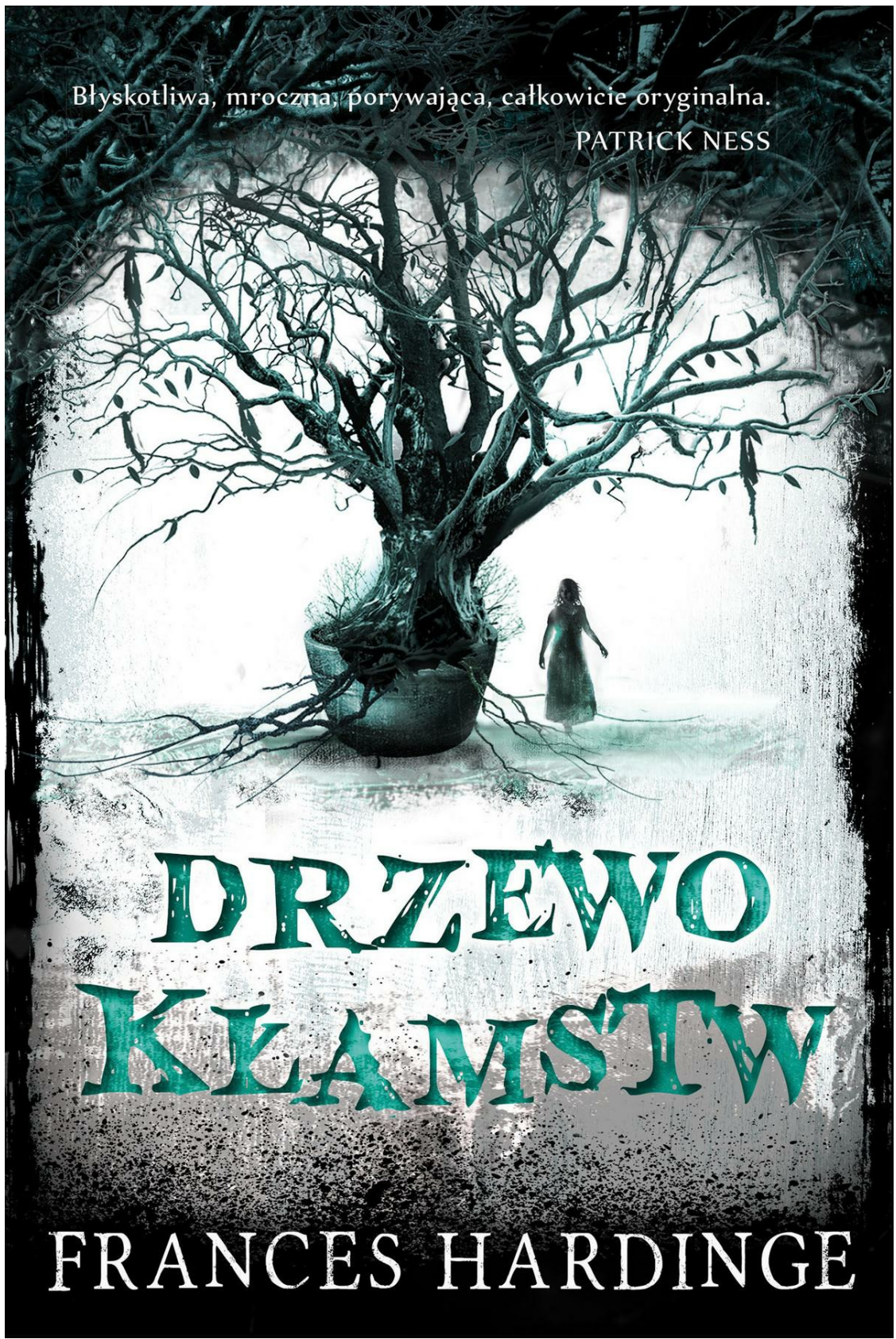
– Rozumiem. – Myrtle wstała, gotowa przejść na rufę. – Cóż, moja droga, uważam, że rozpoczęłaś wręcz doskonale.

# PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować mojej agentce Nancy Miles; wydawcy Rachel Petty; Rhiannon Lassiter za jej wsparcie i solidną, rozsądną krytykę; mojemu chłopakowi Martinowi za cierpliwość i wytrzymywanie zarwanych nocy; dziękuję Plot on the Landscape; dr Ruth Charles za fascynujące i intrygujące informacje o XIX-wiecznej archeologii i paleontologii; Heather Kilgour za zapoznanie mnie z dinozaurami w parku Crystal Palace; Sandrze Lawrence za zaproszenie na doskonałe seminarium „Przerażający wiktorianie – fotografia pośmiertna” w muzeum Old Operating Theatre; Sarze Blake za informacje na temat geologii. Jestem wdzięczna za informacje odnalezione w następujących źródłach: *The Mismeasure of Man* pióra Stephena Jay Goulda; *Victorian Religion: Faith and Life in Britain* autorstwa Julie Melnyk; *The Victorian Celebration of Death* Jamesa Stevensa Curla; *Crinolines and Crimping Irons: Victorian Clothes: How They Were Cleaned and Cared For* Christiny Walkley i Vandy Foster; *The Victorian Undertaker* Trevora Maya; *Food and Cooking in Victorian England: A History* Andrei Broomfield; *Cave Hunting: Researches on the Evidence of Caves Respecting the Early Inhabitants of Europe* Williama Boyda Dawkinsa; *The Idea of Prehistory* pióra Glyn Daniel.

Błyskotliwa, mroczna, porywająca, całkowicie oryginalna.

PATRICK NESS



# DRZEWO KŁAMSTW

FRANCES HARDINGE